

ANEKS

Rozprawy doktorskiej

pt.

ZŁOTE PIÓRA

Twórczość George'a MacDonalda, Jamesa Matthew Barriego oraz Cicely
Mary Barker, jej polska recepcja
i nowe przekłady

SPIS TREŚCI

George MacDonald POZA WIATREM PÓLNOCNYM.....	5
Rozdział I Na stryszku z sianem	7
Rozdział II Na trawniku.....	15
Rozdział III Stary Diamond	21
Rozdział IV Wiatr Północy	29
Rozdział V W altance	37
Rozdział VI Pośród burzy	45
Rozdział VII W katedrze	51
Rozdział VIII Pod wschodnim oknem.....	59
Rozdział IX Jak Diamond trafił do kraju poza wiatrem północnym.....	63
Rozdział X Poza wiatrem północnym	75
Rozdział XI Jak Diamond wrócił do domu	79
Rozdział XXXVI Diamond zadaje pytania	85
Rozdział XXXVII Po raz ostatni	93
Rozdział XXXVIII Poza wiatrem północnym.....	97
James Matthew Barrie PIOTRUSZ PAN ALBO CHŁOPIEC, KTÓRY NIE CHCIAŁ DOROSNAĆ.....	101
<i>Calej Piątce. Dedykacja</i>	103
Akt I Pokój dziecienny	113
Akt II Nigdylandia	125
Akt III Laguna Syren.....	135
Akt IV Podziemny dom	141
Akt V Statek piratów, pokój dziecienny i korony drzew.....	149
Gdy Wendy dorosła. Refleksja	161
Kapitan Hak w Eton	167
Cicely Mary Barker WŁADCA RZEKI RUSHIE.....	173
Rozdział I Opuszczona	179
Rozdział II Miasto.....	183
Rozdział III Lot	187
Rozdział IV Pośród łabędzi	191
Rozdział V Chleb powszedni.....	195
Rozdział VI Czegoś brakuje	199
Rozdział VII Mewi posłaniec	203
Rozdział VIII Cudowna sukienka	207
Rozdział IX Radość wędrowca	211
Rozdział X Zakończenie opowieści.....	217

George MacDonald

POZA WIATREM PÓŁNOCNYM

Przełożyła Aleksandra Wieczorkiewicz

Ilustrował Arthur Hughes



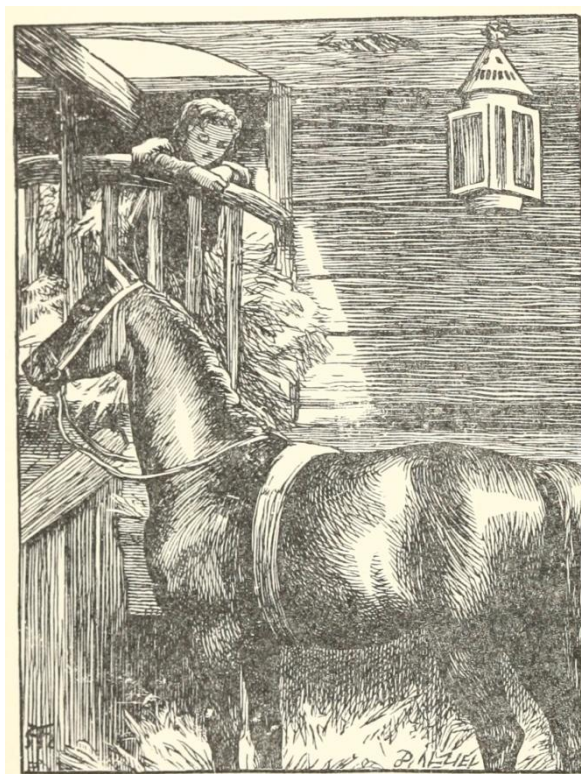
Po raz pierwszy wydana przez
Strahan & Co, Publishers
56 Ludgate Hill, London
1871

ROZDZIAŁ I

NA STRYSZKU Z SIANEM

Poproszono mnie, bym opowiedział wam o tym, co znajduje się poza Wiatrem Północy. Dawny grecki pisarz wspomina o ludziach, którzy żyli tam tak wygodnie, że nie mogli tego wytrzymać ani chwili dłużej i się rzucali się w morze. Moja opowieść jest jednak inna. Wydaje mi się też, że Herodot wyrobił sobie o tym kraju niewłaściwe pojęcie. Opowiem wam, co stało się z pewnym chłopcem, który do niego trafił.

Chłopiec mieszkał w niskiej izdebce nad wozownią – i w żadnym wypadku nie było to poza Wiatrem Północy, z czego jego matka świetnie zdawała sobie sprawę. Jedna ściana izdebki była zbudowana tylko z desek i to w dodatku tak starych, że moglibyście z łatwością przebić się przez nie scyzorykiem prosto do północnego wiatru. A potem niech już sami rozstrzygną między sobą – wiatr i scyzoryk – który z nich jest ostrzejszy! Wiem też, że gdybyście wyciągnęli scyzoryk, wiatr rzuciłby się za nim w pogoń niczym kot za myszą, a wy przekonalibyście się wtedy bardzo prędko, że nie znajdujecie się p o z a Wiatrem Północy. Nie była to jednak bardzo zimna izdebka, może za wyjątkiem tych dni, kiedy północny wiatr dął silniej niż zwykle: w pokoju, w którym teraz siedzę, zawsze panuje chłód, chyba że akurat jest lato i słońce bierze sprawy w swoje ręce. Cóż, nie jestem nawet pewny, czy powinienem w ogóle nazywać tamto miejsce izdebką, gdyż był to właściwie tylko stryszek, na którym trzymano słomę, siano i owies dla koni. A kiedy mały Diamond – ale chwileczkę! najpierw muszę wam przecież powiedzieć , że jego ojciec był stangretem i nadał mu imię swojego ulubionego konia, a matka chłopca nie miała nic przeciwko temu – zatem kiedy mały Diamond leżał w łóżku, słyszał jak konie w ciemnościach pod nim przeżuwiają obrok lub poruszają się leniwie, śniąc swoje sny. Ojciec Diamonda postawił jego łóżko na stryszku położonym nad stajnią i obudował je deskami, ponieważ w ich własnym kąciku nad wozownią było bardzo mało miejsca; w przegrodzie pod stryszkiem trzymał natomiast starego Diamonda, gdyż był to koń bardzo spokojny, który w dodatku nie zasypiał na stojąco, lecz kładł się na ziemi jak wszystkie rozsądne stworzenia. A jednak, choć był on bez wątpienia zaskakująco rozsądnym stworzeniem, to gdy mały Diamond budził się w środku nocy i czuł, jak jego łóżko trzęsie się w porywach północnego wiatru, nie mógł opędzić się od myśli, czy – gdyby wiatr powalił dom, a on sam poleciałby w dół i wpadł do żłobu – stary Diamond nie schrupałby go bez zastanowienia, zanim zdołałby go rozpoznać po koszuli nocnej. I choć stary Diamond był przez całą noc bardzo spokojny, to kiedy się budził, zrywał się od razu na równe nogi z łoskotem jak trzęsienie ziemi, a wtedy mały Diamond wiedział, która jest godzina, albo przynajmniej, co należy zrobić w następnej kolejności – a mianowicie spróbować znowu zasnąć tak szybko, jak tylko się da.



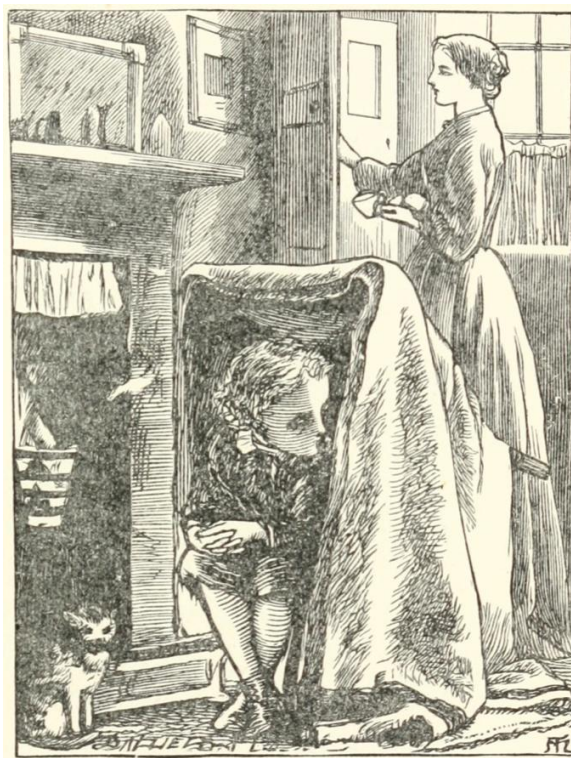
Nad jego głową i pod stopami leżały wielkie wiązki siana, które piętrzyły się aż pod dach. Czasem tylko wąska dróżka z kilkoma zakrętami, wyglądająca tak, jak gdyby ktoś wyciął ją w sianie specjalnie dla niego, prowadziła Diamonda do łóżka. Zapasy siana były zawsze albo w stanie powolnego odpływu, albo też gwałtownego przyptywu: czasem widok całego stryszku, wraz z szybkami w dachu, przez które zaglądały do środka gwiazdy, otwierał się przed otwartymi oczami leżącego w łóżku chłopca, a czasami złota ściana słodko pachnących źdźbeł zostawiała mu widok zaledwie na pół jarda. Czasem, gdy matka rozbierała go do snu w swoim pokoju i kazała potem ruszać samemu do łóżka, Diamond zakradał się w samo serce siana i leżał tam, myśląc, jak zimno musi być na dworze, gdzie wieje wiatr, i jak ciepło będzie w jego własnym łóżku, do którego może pójść, kiedy tylko zechce – ale jeszcze nie teraz, najpierw zmarznie odrobinę bardziej. A gdy tak marzył coraz bardziej, jego łóżko coraz bardziej się rozgrzewało, aż w końcu gramolił się z siana i mknął ku niemu jak strzała, a potem wskakiwał pod kołdrę i otulał się szczelnie, myśląc, jakim szczęśliwym jest chłopcem. Nie miał pojęcia, że wiatr dostał się do środka przez szparę w ścianie i hulał wokół niego przez całą noc – za jego łóżkiem były przecież tylko deski grube na cal, a po ich drugiej stronie wiał północny wiatr.

Powiedziałem już wcześniej, że deski te były spróchniałe i kruche. Wprawdzie z zewnątrz posmarowano je smołą, jednak w wielu miejscach przypominały bardziej drzazgi niż deski. W końcu próchno wytarło się do tego stopnia, że pewnej nocy Diamond, który ułożył się już do snu, spostrzegł, iż z jednej wypadł sęk, a przez otwór wiatr uderza prosto w niego zimnymi, władczyimi podmuchami. Nie miał w zwyczaju zostawiać w złym stanie rzeczy, które można było naprawić, wyskoczył więc z łóżka, wysuwał kilka źdźbeł siana, skrzył je mocno i złożył na pół, po czym tak przygotowanym korkiem zatkał dziurę w ścianie. Wiatr zaczął dąć głośno i gniewnie – i już, już Diamond miał zapaść w sen, gdy nagle korek wyskoczył i uderzył go w nos na tyle mocno, że chłopiec całkiem się rozbudził i usłyszał przenikliwy świst wiatru w dziurze. Zaczął szukać swojego siennego korka, a gdy znalazł, wetknął go w otwór jeszcze

mocniej niż poprzednio – i znów już prawie zasypiał, gdy wtem pac! i poganiany gniewnym świstem korek wyskoczył znowu, uderzając go tym razem w policzek. Diamond wstał, zrobił nowy szpunt i po raz kolejny porządnie zatkał dziurę. Lecz ledwie zdążył się położyć – pac! korek wyładował na jego czole. Dał więc sobie spokój, naciągnął kołdrę na głowę i szybko zapadł w głęboki sen.

Choć następnego dnia było bardzo wietrznie, Diamond zapomniał zupełnie o dziurze, ponieważ był bardzo zajęty przy kominku w pokoju rodziców, gdzie najpierw zbudował jaskinię ze złamanego krzesła, trójnożnego stołka i koca, a potem w niej siedział. Za to jego matka odkryła dziurę i zakleiła ją kawałkiem brązowego papieru, tak, że następnej nocy, gdy Diamond mościł się w posłaniu, nie miał nawet okazji o niej pomyśleć.

W pewnym momencie jednak podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Kto to może być, kto do niego mówi? Wiatr znów się wzmagał – stawał się coraz głośniejszy, pełen szumów i świstów, ale Diamond był pewny, że ktoś się odzywa – i to w dodatku gdzieś bardzo blisko. Nie był przestraszony, gdyż nie wiedział jeszcze, czym jest strach; usiadł więc tylko i nasłuchiwał. W końcu zaczęło mu się zdawać, że głos – łagodny, choć nieco zagniewany – dobiega zza łóżka. Przynął się bliżej ściany, przykładając do niej ucho, nie usłyszał jednak niczego poza wiatrem, który dał naprawdę głośno. Ale w momencie, gdy odsunął głowę, głos odezwał się znowu, tuż przy jego uchu. Chłopiec zaczął badać deski ręką, aż natrafił na kawałek papieru, którym jego matka zakleiła dziurę w ścianie, po czym przyłożył do niego ucho i wtedy usłyszał ów głos całkiem wyraźnie. Okazało się, że jeden róg papierowego skrawka się odkleił: to stamtąd dochodził głos – płynął jak gdyby przez usta drewnianej ściany.



- Co to ma znaczyć, chłopcze, że zamykasz moje okno?
- Ale jakie okno? – zapytał Diamond.
- Wczoraj w nocy trzy razy zatykałeś je sianem. Trzy razy trzeba było wyrzucać korek.
- Nie chodzi chyba o tę dziurkę w ścianie! To przecież nie żadne okno, to dziura w moim łóżku.

- Nie mówię, że to ż a d n e okno – mówię, że to m o j e okno.
- Ale to nie może być okno, bo okna są po to, żeby przez nie wyglądać.
- Cóż, właśnie do tego służy moje okno.
- Ale przecież ktoś, kto jest na zewnątrz, nie potrzebuje okna.
- Mylisz się całkowicie. Mówisz, że okna są po to, żeby przez nie wyglądać. A ja znajduję się właśnie w moim domu i potrzebuję okien, by wyglądać na zewnątrz.
- Ale to okno wychodzi prosto na moje łóżko.
- Twoja matka ma trzy okna z widokiem na moją salę balową, a ty przez swoje szybki wyglądasz na moje poddasze.
- Ale ja przecież słyszałem, jak tata mówił do mamy, która chciała, żeby wybił w ścianie okno, że takie okno byłoby niezgodne z prawem, bo wychodziłoby na ogród pana Dyvesa.



- Głos roześmiał się.
- Prawo miałyby niemały kłopot, żeby mnie złapać! – powiedział.
 - Ale to nie ma znaczenia, bo jeżeli coś jest nie w porządku, nie powinno się tego robić.
 - Ja sięgam ponad *to* prawo – odparł głos.
 - O, to chyba tak wysoko, jak dom – zauważył Diamond.
 - Wysoki dom. Dom, w którym mieszkają chmury.
 - O rety! – zawołał chłopiec, po czym zastanawiał się przez chwilę. – Ja myślę, że w takim razie ktoś, kto mieszka w takim domu, nie powinien robić sobie okien nad moim łóżkiem, skoro równie dobrze mógłby mieć okno nad łóżkiem pana Dyvesa.
 - Ale kto by chciał mieć widok na popielnik? – zapytał głos dość smutnym tonem. – Przez moje okno chcę widzieć ładne rzeczy.
 - Ale przecież on musi mieć o wiele ładniejsze łóżko niż moje, chociaż moje jest oczywiście b a r d z o ładne. Tak ładne, że wcale nie chciałbym lepszego.
 - To nie o łóżko chodzi, ale o tego, kto w nim sypia. A teraz otwórz okno.

– No tak, mama mówi, że nie powinienem się sprzeciwiać, ale to trudna sprawa. Bo kiedy otworzę okno, północny wiatr będzie dmuchał wprost na mnie.

– Ja jestem Wiatrem Północy.

– O-o-o-och! – westchnął Diamond z namysłem. – No to proszę obiecać, że nie będzie żadnego wiania na mnie, kiedy otworzę okno.

– Tego nie mogę obiecać.

– A co, jeśli nabawię się przez to bólu zębów? Mama już się go nabawiła.

– A niby jak ja mam sobie poradzić bez okna?

– Całkiem na pewno nie mam pojęcia. Mówię tylko, że dla mnie będzie to o wiele gorsze, jeśli otworzę okno.

– Nie, nie będzie. Nie będzie ci z tego powodu gorzej, to mogę obiecać. Będzie ci nawet o wiele lepiej. Zaufaj tylko temu, co mówię, i zrób, co każe.

– No dobrze, mogę przecież nakryć głowę kołdrą – powiedział Diamond i skrobiąc po ścianie paznokciami, uchwycił brzeg papieru i oderwał go za jednym zamachem.

Natychmiast do środka wdarła się długa lanca chłodu i uderzyła go wprost w odkrytą pierś. Diamond poderwał się, rzucił w pościel i zagrzebał się w niej dokładnie: nic nie odgradzało go teraz od tamtego głosu i czuł się trochę – nie, nie przestraszony, mówiłem wam przecież, że nie nauczył się jeszcze bać – ale trochę dziwnie. Bo przecież kim też musi być ten Wiatr Północy, skoro mieszka w wielkim domu – „o nazwie Na-Zewnątrz, jak sądzę”, pomyślał – i robi sobie okna nad czyimiś łózkami! Ale głos odezwał się znowu, a chłopiec słyszał go teraz całkiem wyraźnie, choć głowę miał ukrytą pod kołdrą. Brzmiał o wiele łagodniej, choć jednocześnie sześć razy mocniej i głośniejszy niż poprzednio, a Diamond pomyślał, że przypomina trochę głos jego mamy.

– Jak masz na imię, chłopczyku? – zapytał.

– Diamond – odpowiedział Diamond spod kołdry.

– Jakie śmieszne imię!

– To bardzo ładne imię – odciął się jego właściciel.

– Nic o tym nie wiem – rzekł głos.

– Ale ja wiem – odparował chłopiec trochę niegrzecznie.

– Czy wiesz, do kogo mówisz?

– Nie – odpowiedział Diamond.

I w rzeczy samej, nie wiedział. Ponieważ znać czyjeś imię nie zawsze znaczy znać tego kogoś naprawdę.

– A więc nie mogę się na ciebie gniewać. Lepiej spójrz tu i sam się przekonaj.

– Diamond to bardzo ładne imię – upierał się chłopiec, urażony, że głos nie chce mu odpowiedzieć.

– Diament to rzecz bezużyteczna – odparł głos.

– Nieprawda. Diamond jest bardzo kochany, duży za dwóch i taki spokojny przez całą noc! No i jaki wspaniały hałas robi rano, kiedy zrywa się na swoje cztery nogi! Całkiem jak grzmot.

– Zdaje mi się, że nie wiesz, o czym mówię.

– Oho, jak to nie? Diamond to duży, dobry koń, który śpi tuż pode mną. On to Stary Diamond, a ja jestem Młody Diamond, albo, jeśli pan woli, bo jest pan bardzo wymagający, panie Wietrze Północy, on to Duży Diamond, a ja Mały Diamond. I nie wiem, którego z nas tata lubi bardziej.

Śliczny śmiech, głośny, lecz jednocześnie miękki i śpiewny, zabrzmiał gdzieś za jego plecami, ale Diamond trzymał nadal głowę pod kołdrą.

– Nie jestem panem Wiatrem Północy – odezwał się głos.

– Ale powiedział pan przecież, że jest pan Wiatrem Północy – upierał się chłopiec.

- Ale nie p a n e m Wiatrem Północy – odparł głos.
- No tak, to powiedziałem ja, bo mama mówi zawsze, że powinienem zwracać się grzecznie do starszych.
- A więc pozwól sobie powiedzieć, że to niezbyt grzecznie z twojej strony zwracać się do mnie przez „pan”.
- Nie wiedziałem o tym. Bardzo przepraszam.
- Ale powinieneś być wiedzieć.
- Tego też nie wiedziałem.
- A ja owszem. Nie możesz też twierdzić, że to grzecznie leżeć tak i rozmawiać z głową schowaną pod kołdrą, nie spoglądając nawet na tego, do kogo mówisz. Chcę, żebyś wyszedł ze mną na zewnątrz.
- Ale ja chcę iść spać – powiedział Diamond niemal z płaczem, bo bardzo nie lubił, żeby go łajano, nawet jeśli sobie na to zasłużył.
- Będzie ci się dzięki temu spało o wiele lepiej jutro w nocy.
- Poza tym – ciągnął chłopiec – nie mogę zejść do ogrodu pana Dyvesa. Mogę zejść tylko na nasze własne podwórko.
- A czy wyjdiesz wreszcie spod tej kołdry? – zapytał głos, nieco rozgniewany.
- Nie! – odparł Diamond, trochę rozdrażniony, a trochę przestraszony.



W tym samym momencie, gdy wyrzekł ostatnie słowo, potężny podmuch wiatru przebił się przez deskę w ścianie i zdmuchnął kołdrę, którą chłopiec był przykryty. Diamond poderwał się z przerażeniem. Nad nim pochylała się duża, piękna i blada twarz kobiety. Jej oczy wydawały się nieco zagniewane, gdyż paliły się w nich błyski, lecz słodkie drżenie górnej wargi sprawiało wrażenie, jakby miała się zaraz rozplakać. Jednak najdziwniejsze były jej włosy, które

rozpływały się na wszystkie strony, tak, że ciemność na stryszku zdawała się utkana z czarnych splotów. Lecz gdy Diamond wpatrywał się w nią w niemym zdumieniu przemieszonym z ufnością – oczarowało go bowiem potężne piękno nieznanego – włosy poczęły wysnuwać się z ciemności i gromadzić dookoła jej twarzy, która wyglądała teraz spośród nich jak księżyc zza chmury. Jej oczy jaśniały światłem, w którym Diamond widział twarz i włosy – były to zresztą jedyne szczegóły jej postaci, które na razie zobaczył. Wiatr ustał, zapanowała cisza.

– Czy teraz pójdziesz ze mną, mały Diamondzie? Przykro mi, że musiałam obejść się z tobą tak szorstko – powiedziała pani.

– Pójdę, o tak, pójdę – odpowiedział chłopiec, wyciągając do niej ramiona. – Ale – dodał, opuszczając je – jak dostanę się do mojego ubrania? Jest w pokoju mamy, a drzwi są zamknięte.

– Och, nie troszcz się o ubranie. Nie będzie ci zimno. Zaopiekuję się tobą, a nikomu nie jest zimno razem z Wiatrem Północy.

– Myślałem, że wszystkim jest wtedy zimno – odpowiedział Diamond.

– Nic bardziej mylnego, chociaż ludzie w większości właśnie tak uważają. Jest im jednak zimno nie dlatego, że idą razem z Wiatrem Północy, ale dlatego, że zwracają się przeciw niemu.

Gdyby Diamond był odrobinę starszy, albo uważał się za odrobinę mądrzejszego, pomyślałby zapewne, że pani żartuje. Nie był jednak starszy i nie wyobrażał sobie, że jest mądry, więc zrozumiał ją całkiem dobrze. Znowu wyciągnął do niej ramiona, ale twarz pięknej pani odsunęła się od niego delikatnie.

– Pójdź za mną, Diamondzie – powiedziała.

– Dobrze – odpowiedział chłopiec z lekkim żalem.

– Nie boisz się przecież? – zapytała Wiatr Północy.

– Nie, proszę pani, ale mama nie pozwala mi wychodzić na dwór bez bucików. O ubraniach nigdy nie mówiła, więc to by jej chyba nie przeszkadzało.

– Znam twoją mamę bardzo dobrze – powiedziała pani. – Dobra z niej kobieta. Często ją odwiedzałam i byłam przy niej, kiedy przyszedłeś na świat. Widziałam, jak śmieje się i płacze jednocześnie. Kocham twoją matkę, Diamondzie.

– A dlaczego w takim razie nie wiedziała pani, jak mam na imię? I proszę, niech mi pani powie, czy mam mówić do pani „proszę pani”?

– Jedno pytanie na raz, drogi chłopcze. Wiedziałałam bardzo dobrze, jak masz na imię, ale chciałam usłyszeć, co ty masz na ten temat do powiedzenia. Czy nie pamiętasz, że kiedy tamtemu panu nie podobało się twoje imię, ja jednym podmuchem otworzyłam okno na oścież?

– O tak, tak – odpowiedział Diamond gorąco. – Nasze okno nad drzwiami do wozowni otwarło się jak drzwi, a wiatr – to znaczy pani – wpadł do środka i wytrącił tamtemu panu z rąk biblię, która upadła na podłogę, a jej karty przewracały się i przewracały z wiatrem, ale moja mama ją podniosła i podała temu panu otwartą, a tam...

– A tam zapisane było twoje imię: szósty kamień na napierśniku arcykapłana.

– O, to był kamień? – zawołał Diamond. – Myślałem, że chodziło o konia.

– Nie martw się tym. Koń jest zawsze lepszy niż kamień. Widzisz więc, że wiem wszystko o tobie i twojej matce.

– Tak. Pójdę z panią.

– A co do twojego drugiego pytania: nie nazywaj mnie „panią”. Będziesz zwracał się do mnie moim własnym imieniem – z szacunkiem, ma się rozumieć. Będziesz nazywał mnie po prostu Wiatrem Północy.

– Dobrze, Wietrze Północy. Jesteś taka piękna, że jestem gotów pójść z tobą.

– Nie powinieneś być gotów iść tak od razu za wszystkim, co jest piękne, Diamondzie.

– Ale przecież to, co jest piękne, nie może być złe. Ty nie jesteś zła, prawda, Wietrze Północy?

– Nie, nie jestem zła. Lecz czasem piękne istoty stają się złe przez to, że czynią źle, i musi minąć trochę czasu, zanim zło zniszczy ich urodę. Więc mali chłopcy mogą popełnić błąd, idąc za czymś tylko dlatego, że jest piękne.

– W takim razie pójdę za tobą dlatego, że jesteś piękna i dobra.

– I jeszcze jedno, Diamondzie. Co jeśli będę wyglądać brzydko, ale nie będę zła? Jeśli sama będę brzydka, ponieważ będę czynić brzydkie rzeczy pięknymi? Co wtedy?

– Chyba nie całkiem cię rozumiem, Wietrze Północy. Ty mi powiedz, co wtedy.

– Dobrze, powiem ci. Jeśli zobaczysz, że moja twarz staje się czarna, nie bój się. Jeśli zobaczysz, że biję skrzydłami jak nietoperz, wielki niczym ogrom nieba, nie przerażaj się. Jeśli usłyszysz, że wściekam się dziesięć razy bardziej niż pani Billowa, żona kowala, a nawet jeśli zobaczysz, że zaglądam w okna cudzych domów jak wścibska pani Eve Dropper, żona ogrodnika – musisz wierzyć, że wykonuję tylko to, co do mnie należy. Nie, Diamondzie, nawet jeśli zmienię się w węża lub tygrysa, nie możesz puścić mojej ręki, gdyż ona nigdy nie zmieni się w twoich dłoniach, o ile będziesz ją mocno trzymał. Jeśli mnie nie puścisz, będę przez cały czas wiedziała, kim jestem, nawet jeśli ty, patrząc na mnie, zobaczysz kogoś, kto zupełnie nie przypomina Wiatru Północy. Czasami mogę wyglądać naprawdę okropnie. Czy to rozumiesz?

– Całkiem dobrze – odpowiedział Diamond.

– Chodź zatem – rzekła Wiatr Północy i zniknęła za stertą siana.

Diamond wysliznął się z łóżka i podążył za nią.

ROZDZIAŁ II

NA TRAWNIKU

Gdy Diamond również minął stertę siana, na moment się zawahał. Schody, którymi normalnie zszedłby do drzwi, znajdowały się po drugiej stronie stryszku i tonęły w gęstej ciemności, gdyż pełne były włosów Wiatru Północy schodzącej na dół przed chłopcem. Tuż przed nim znajdowała się natomiast drabinka wiodąca wprost do stajni, po której jego ojciec zwykł wchodzić na stryszek po siano na obiad dla starego Diamonda. Przez otwór w podłodze widać było słaby poblask stajennej latarni, który skusił chłopca, by zejść ze stryszku właśnie tędy.

Drabinka biegła tuż obok przegrody, w której mieszkał koń Diamond. Gdy chłopiec Diamond był w połowie drogi, przypomniał sobie, że nie ma sensu tędy schodzić, bo drzwi do stajni i tak są zamknięte, ale w tej samej chwili koń wystawił swój wielki łeb nad ogrodzeniem i przysunął go do stojącego na drabince Diamonda – którego rozpoznał pomimo nocnej koszuli nocnej – dopraszając się wytargania za uszy. Przez dłuższą chwilę Diamond targał więc bardzo delikatnie końskie uszy, klepał też i gładził szyję, po czym pocałował potężne zwierzę i zaczął wybierać z jego grzywy źdźbła siana oraz słomy, kiedy nagle przypomniał sobie, że na zewnątrz czeka pani Wiatr Północy.

– Dobranoc, Diamondzie – powiedział, a potem wbiegł po drabince, przemknął przez stryszek i rzucił się po schodach do drzwi. Ale kiedy wydostał się na podwórze, pani nigdzie nie było widać.

To zawsze okropne uczucie, gdy zamiast kogoś znajduje się nikogo, a dzieci nie lubią tego szczególnie i widok nikogo zwykle pobudza je do płaczu, zwłaszcza, jeśli obudzą się w nocy. Dla Diamonda było to jednak wyjątkowe rozczarowanie, bo jego serce biło wcześniej tak radośnie na samą myśl o Wietrze Północy: jaka zachwycająca była przecież jej twarz! Mieć za przyjaciółkę taką panią – i to z włosami dłuższymi niż chyba ze dwadzieścia ogonów Diamonda! Teraz zniknęła, a bosonogi chłopiec stał samotnie na kamiennym bruku podwórza.

Nad nim rozpościerało się czyste, nocne niebo i jaśniały gwiazdy. Szczególnie Orion chełpił się swym połyskliwym pasem i złotym mieczem, za to księżyc świecił lichym, cienkim sierpem. Na niebie widać było tylko jedną olbrzymią chmurę, wystrzępioną i ciemnoszarą, ściętą z jednej strony jak urwisko; właśnie po tej stronie znajdował się księżyc, który wyglądał, jakby stoczył się z tej chmurnej góry i połamiał na kawałki, lecąc w stronę urwiska. Księżyc wydawał się niespokojny, bo przed nim otwierał się czarny dół, który zdawał się na niego czekać. Tak przynajmniej myślał sobie Diamond, gdy przez chwilę się mu przyglądał. Mylił się

jednak zupełnie: księżyc wcale się nie bał, nie było też żadnego dołu, w który mógłby wpaść, bo dół nie miał dna ani krawędzi, a taki dół przestaje być dołem. Ale Diamond jeszcze nigdy w życiu nie był na zewnątrz o tak późnej porze, więc wszystko dookoła wydawało mu się bardzo dziwne – zupełnie jakby znalazł się w Krainie Wrózek, o której wiedział tyle, co i każdy, gdyż jego matka nie miała pieniędzy na kupowanie książek, przez które mógłby wyrobić sobie o niej niewłaściwe pojęcie. Zdarzało mi się niekiedy – no wiecie, od czasu do czasu, nie za każdym razem – widywać nasz świat wyglądający tak dziwnie jak Kraina Wrózek. Muszę się tylko przyznać, że nie widziałem jeszcze samej Krainy w jej w pełnej krasie, zawsze dopiero m a m ją taką zobaczyć. Gdybyście jednak, zamiast poza Wiatrem Północy, stali wystawieni twarzą na chłodne podmuchy, wśród zimnej, a nawet m r o ź n e j nocy, i to w samej koszuli nocnej, myślelibyście pewnie, że to wszystko jest bardzo dziwne, zupełnie tak samo, jak myślał wtedy Diamond. Płakał trochę, ale tylko troszeczkę, tak bardzo był zawiedziony, że stracił z oczu piękną panią: wy oczywiście na pewno byście nie płakali! Ja ze swojej strony nie zwracam jednak tak bardzo uwagi na to, że ludzie płaczą, ile na to, z jakiego płaczą powodu i w jaki sposób – czy płaczą cicho jak damy i dżentelmeni, czy też wrzeszczą jak ordynarny cesarz albo złośliwa kucharka: bo nie każdy cesarz jest dżentelmenem i nie każda kucharka damą, jak też wcale nie zawsze damami są księżniczki czy królowe.



Trudno jednak zaprzeczyć, że odrobina cichego płaczu może przynieść ulgę; ulżyła też Diamondowi, który już po chwili był znów dzielnym chłopcem.

– Nie będzie przecież mogła powiedzieć, że to moja wina! – rzekł sobie. – Na pewno gdzieś się schowała, żeby zobaczyć, co zrobię. Pójdę jej poszukać.

Przeszedł więc za węglem stajni w kierunku ogródka warzywnego, a gdy tylko wysunął się zza osłony muru, wiatr uderzył w jego pierś i boscie nogi, tnąc jak ostry nóż. Diamond zajrzał do warzywniaka i poszedł dalej. Kiedy minął płaczący jesion, który stał w rogu ogrodu, wiatr wzmógł się – wiał coraz mocniej i mocniej, aż w końcu chłopiec nie miał już niemal sił z nim walczyć. Wiatr był taki przenikliwy! Wydawało się, że jakimś sposobem wraziły się w niego

wszystkie ostre promyki gwiazd. Wtedy Diamond przypomniał sobie, jak piękna pani mówiła, że ludziom jest zimno, gdy nie idą r a z e m z Wiatrem Północy. Nie potrafię powiedzieć, jakim sposobem, ale dokładnie w tej chwili domyślił się, o co jej chodziło; zauważyłem zresztą, że w ogóle najwspanialszą rzeczą na świecie jest moment, w którym ludzie zaczynają coś rozumieć. Diamond odwrócił się więc plecami do wiatru i pokłusował z powrotem w stronę podwórza – o dziwo, wiatr, który wcześniej bił go po goleniach, teraz owiewał jego łydki o wiele łagodniej, a przez ten kontrast chłopcu zrobiło się niemal ciepło.

Nie myślcie tylko, że takie odwracanie się plecami do wiatru było z jego strony tchórzostwem: Diamond zrobił to, ponieważ wydawało mu się, że pani Wiatr Północy poleciła mu coś w tym rodzaju. Gdyby kazała stać twarzą do wiatru, na pewno by się jej nie sprzeciwił. Ale najgłupszą rzeczą jest walka o nic, bez żadnego pożytku i ku niczyjemu zadowoleniu.



Tymczasem wiatr jak gdyby popychał Diamonda naprzód. Gdy chłopiec próbował się obrócić, zaczął go dotkliwie, szczególnie po nogach, Diamond myślał więc sobie, że może tak naprawdę to pani Wiatr Północy i chociaż jej nie widzi, lepiej pozwolić jej nieść się dalej. Ona wiała i wiała, a on szedł i szedł, aż znalazł się przed drzwiczkami w murze, które wiodły z podwórza w pas zarośli otaczający dom pana Colemana, chlebodawcy jego ojca i właściciela dużego Diamonda. Mały Diamond otworzył drzwi i przeszedł przez zarośla wprost na trawnik, wciąż mając nadzieję, że odnajdzie tu Wiatr Północy. Przyjemnie było iść bosy po miękkiej trawie, która po chłodnych kamieniach podwórza wydawała się ciepła; pięknej pani nigdzie jednak nie było widać. Wtedy pomyślał, że może wcześniej postąpił źle, a ona poczuła się urażona tym, że nie poszedł za nią od razu i zatrzymał się, by porozmawiać z koniem, co z pewnością nie było ani mądre, ani grzeczne.

Stał więc pośrodku trawnika, wiatr targał jego koszulę nocną, która trzepotała jak poluzowany żagiel, a gwiazdy błyszczały jasno, ale nie dawały tyle światła, żeby można było zobaczyć, że trawa jest zielona. Diamond stał sam, otoczony dziwną nocą, która wydawała się prawie namacalna – i wtedy zaczął się zastanawiać, czy to przypadkiem nie sen. Trzeba było

koniecznie to ustalić, „bo – myślał dalej – jeśli to sen, znaczy, że jestem bezpieczny w moim łóżku i nie muszę płakać. Ale jeżeli to nie sen i naprawdę jestem tu na zewnątrz, to w takim razie lepiej już sobie popłaczę, a przynajmniej nie wiem, czy uda mi się powstrzymać”. Doszedł jednak do wniosku, że niezależnie od tego, czy to sen czy nie, jeszcze przez chwilę spróbuje nie płakać – zawsze może zacząć, gdy tylko przyjdzie mu na to ochota.

Dom pana Colemana zwrócony był tyłem do trawnika, na który wychodziło jedno z okien bawialni. Świeciło się w nim światło, co oznaczało, że panie nie poszły jeszcze spać. Nie miały jednak pojęcia, że pewien mały chłopiec stoi na trawniku w koszuli nocnej, w przeciwnym razie z pewnością natychmiast wybiegłyby na zewnątrz. Światło sprawiało, że Diamond nie czuł się taki samotny. Stał więc wpatrzony – nie w wojowniczego Oriona, nie w strapiony i zabiedzony księżyc, chylący się ku zachodowi, lecz w okno bawialni, przez które zza zielonych zasłon sączył się nikły blask. Pamiętał, że był już w tej bawialni raz czy dwa razy podczas świąt Bożego Narodzenia, gdyż Colemanowie byli dobrymi ludźmi, chociaż nie interesowali się zbyt wiele dziećmi.

W pewnym momencie jednak światło przygasło niemal zupełnie i Diamond mógł dostrzec tylko migotliwy zarys okna. I wówczas poczuł, że rzeczywiście został sam. Jakże okropna była myśl, że jest się na zewnątrz w środku nocy, gdy wszyscy inni poszli spać! To było nie do zniesienia – wybuchnął płaczem na dobre, zawodząc jak wiatr, który zrywa się ze snu.

Być może sądzicie, że to było z jego strony bardzo niemądre – bo czy nie mógł wrócić do domu, do własnego łóżka, kiedy tylko chciał? Owszem, ale najokropniejsze wydawało mu się to, że będzie musiał wspiąć się po schodach i wśliznąć do łóżka ze świadomością, że okno Wiatru Północy stoi otworem tuż obok niego, ale jego właścicielka odeszła i może już nigdy jej nie zobaczy. Czułby się tam tak samo samotny jak tutaj. Ale nie, byłoby znacznie gorzej, gdyby musiał myśleć, że okno nie jest niczym więcej, jak tylko dziurą w ścianie.



W chwili, gdy wybuchnął płaczem, stara niańka – która stała się częścią rodziny Colemanów, więc nie wymówiono jej posady, gdy panna Coleman nie potrzebowała już jej opieki – podeszła do przeszklonych drzwi bawialni wychodzących na ogród, by zabezpieczyć je na noc okiennicami. Zdawało się jej, że słyszy płacz, wyjrzała więc na zewnątrz, przysłoniwszy oczy dłońmi stronach obu stron tak samo, jak staremu Diamondowi zasłanianio oczy specjalnymi klapkami, i wtedy na trawniku zobaczyła coś białego. Była zbyt stara i zbyt mądra, żeby się przestraszyć, otworzyła więc drzwi i poszła prosto w kierunku bielejącego kształtu, by sprawdzić, co to takiego. A kiedy Diamond zobaczył, że się do niego zbliża, nie przestraszył się również, chociaż pani Crump potrafiła być czasem trochę zgryźliwa; istnieje jednak dobry rodzaj zgryźliwości, który jest tylko nieprzyjemny, i zły rodzaj, który jest naprawdę paskudny. Gdy tak szła z wyciągniętą szyją, by zobaczyć, co tam bieleje w ciemności, przypominała trochę ślimaka, który wystawia głowę i wysuwa oczy daleko przed siebie – a kiedy już zobaczyła, krzyknęła głośno i zamachała rękami. Potem nie powiedziała już ani słowa, bo była przekonana, że Diamond lunatykuje, tylko pochwyciła chłopca i powiodła go w stronę domu Colemanów. Nie sprzeciwiał się, bo znajdował się właśnie w nastroju, w którym człowiek jest się wdzięczny za każdy przejaw zainteresowania, a pani Crump zaprowadziła go prosto do bawialni.

Tymczasem przez zapominalstwo nowej pokojówki ogień w sypialni panny Coleman wygasł, dlatego pani Coleman poleciła córce, by wyszczotkowała włosy przed kominkiem w bawialni – decyzja może niezbyt zgodna z zasadami porządku, ale dająca się uzasadnić troską matki. Młoda panna była śliczna, choć nie tak piękna jak Wiatr Północy – jej długie włosy, chociaż spływały aż do kolan, też nie dawały się porównać z włosami Wiatru. Jednak gdy Diamond wszedł, a ona obejrzała się na niego z włosami rozsypnymi na ramionach, chłopcu wydało się przez chwilę, że to właśnie jest Wiatr Północy, więc wyrwał się pani Crump i, wyciągnąwszy ręce, pobiegł prosto do panny Coleman. Dziewczynie sprawiło to ogromną radość: rzuciła szczotkę, którą się czesała, i niemal uklękła na podłozę, żeby go przytulić. W następnej chwili Diamond zorientował się, że to nie pani Wiatr Północy, ale panna Coleman



była do niej tak podobna, że nie mógł się powstrzymać i rzucił się jej w ramiona, po czym na nowo wybuchnął płaczem. Pani Crump wyjaśniła, że biedny malec musiał chodzić we śnie, a Diamond nie zaprzeczył, bo wydało mu się, że niania na pewno wie lepiej – on sam przecież nie wiedział, czy to wszystko nie było snem. Nie przerywał, gdy kobiety o nim rozmawiały. Kiedy minęło ich pierwsze zdumienie, a panna Coleman poczęstowała go biszkoptem i zostało postanowione, że pani Crump odprowadzi go do jego domu, był z tego całkiem zadowolony.

Jego matka musiała wstać z łóżka, by otworzyć na pukanie pani Crump. Była rzeczywiście zdumiona, widząc nagle swojego synka; wzięła go w ramiona i zaniósła do łóżka, a potem jeszcze długo rozmawiała ze starą niańką – obie ciągle jeszcze rozprawiały, gdy Diamond zapadł w głęboki sen i przestał słyszeć ich głosy.

ROZDZIAŁ III

STARY DIAMOND

Diamond obudził się wczesnym rankiem i pomyślał, że przyśnił mu się bardzo dziwny sen. Lecz wkrótce wspomnienia w jego głowie zaczęły się rozjaśniać, aż w końcu zupełnie nie przypominały snu i chłopiec zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem naprawdę nie był wczorajszej nocy na zewnątrz razem z wiatrem. Doszedł jednak do wniosku, że jeśli rzeczywiście to pani Crump przyprowadziła go z powrotem do matki, powiedziała mu coś na ten temat i tym samym wyjaśniła sprawę. Następnie wstał i ubrał się, ale zorientowawszy się, że jego matka i ojciec śpią, zszedł po drabince do stajni. Tam okazało się, że nawet stary Diamond śpi jeszcze spokojnie, ponieważ on, tak samo jak młody Diamond, miał w zwyczaju wstawać dokładnie w momencie, w którym się obudził. A teraz leżał tak płasko na swoim schludnym pościelaniu ze słomy, jak tylko można się po koniu spodziewać.

„Zrobię Diamondowi niespodziankę”, pomyślał Diamond i podkraść się do niego bardzo cichutko, tak, że zanim koń się zorientował, chłopiec siedział już okrakiem na jego grzbiecie. I teraz z kolei to jego spotkała niespodzianka: jakby z nagłym trzęsieniem ziemi, z łoskotem i chybotaniem tam i nazad, rozprostowywaniem nóg i przeciąganiem grzbietu, chłopiec, uczepony obiema rękoma końskiej grzywy, został uniesiony w powietrze. W następnej chwili stary Diamond poderwał zadnie nogi, a młody Diamond z okrzykiem przerażenia rozpląszczył się na jego szyi, oplatając ją ramionami tak mocno, jak tylko zdołał. Ale teraz koń stał już spokojnie, jakby wykuty z kamienia, podniósłszy tylko łagodnie głowę, żeby chłopiec mógł ześlizgnąć się na jego grzbiet. Bo gdy tylko usłyszał krzyk Diamonda, od razu się zorientował, że nie ma o co wierzyć – młody Diamond był przecież dobrym chłopcem, a stary Diamond był dobrym koniem, więc ten pierwszy mógł równie dobrze siedzieć na grzbiecie tego drugiego.

Gdy tylko Diamond usadowił się wygodnie w miejscu, gdzie zwykle kładzie się siodło, koń zaczął posilać się sianem, a chłopiec zaczął rozmyślać. Nigdy wcześniej nie dosiadał samodzielnie starego Diamonda, nigdy też nie zsiadał z niego bez pomocy. Siedział więc sobie teraz, podczas gdy koń jadł, i zastanawiał się, jak by tu zejść z powrotem na ziemię.

Jednak gdy on tak dumał, obudziła się jego matka, której pierwszą myślą było zobaczyć swojego synka. W nocy odwiedzała go dwukrotnie i za każdym razem spał spokojnie. Teraz jego łóżko było puste, więc bardzo się przestraszyła.

– Diamond, Diamond! Gdzie jesteś? – zawołała.

A chłopiec, który siedział niczym rycerz na swoim rumaku w zaklętej stajni, odkrzyknął jej:

– Tutaj, mammo!

– Gdzie, Diamondzie? – zapytała.

– Tutaj, mammo, na grzbiecie u Diamonda.

Spiesznie podbiegła do drabinki i, spojrzawszy w dół, zobaczyła go usadowionego wysoko na wielkim koniu.

– Zejdź na ziemię, Diamondzie – powiedziała.

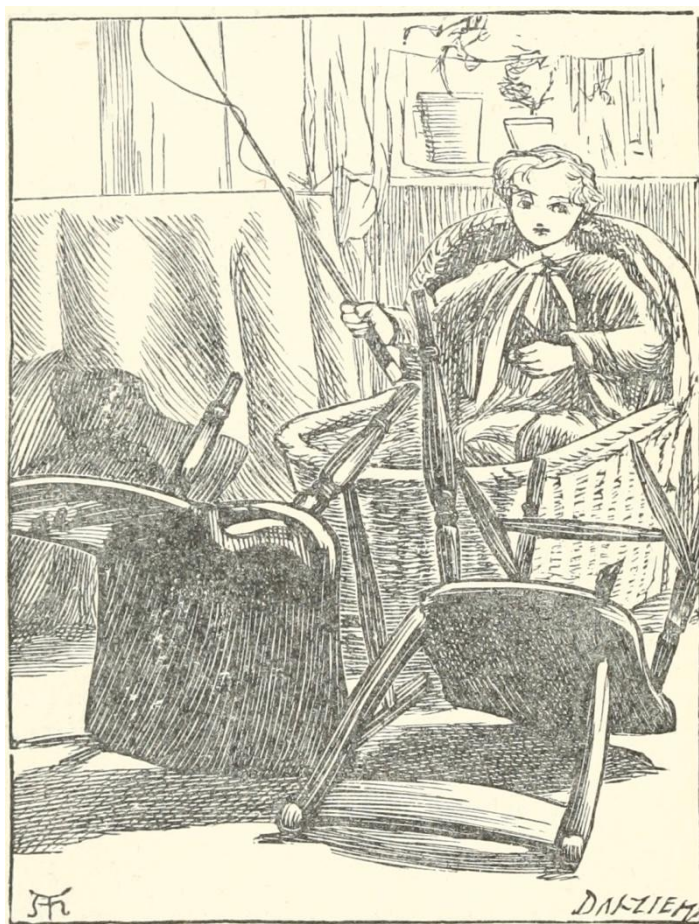


– Nie mogę – odparł chłopiec.

– Ale jak się tam wdrapałeś? – zapytała.

– Całkiem łatwo – odpowiedział. – Tylko kiedy już byłem na górze, Diamond też się podniósł, no i teraz tu siedzę.

Jego matka pomyślała, że pewnie znów lunatykował, i pospieszyła na dół. Nie lubiła specjalnie podchodzić do koni, ponieważ nie była do nich przyzwyczajona, ale dla swojego synka poszłaby prosto w paszczę lwa, o przegrodzie dla koni nie wspominając. Zeszła więc po drabince i zdjęła go z grzbietu starego Diamonda, a później już zawsze czuła się z tego powodu odważniejsza. Potem zaniósła chłopca do swojego pokoju, ale ponieważ bała się, że wiadomość o tym, co uważała za lunatykowanie, może go przestraszyć, nie powiedziała ani słowa o wydarzeniach minionej nocy. Nim dobiegł końca kolejny dzień, Diamond był już niemal zupełnie przekonany, że cała przygoda była tylko snem. Przez cały tydzień jego matka obserwowała go bardzo uważnie, nocami zaglądając na stryszek po kilka razy – właściwie za każdym razem, kiedy się przebudzała. Jednak ilekroć odwiedzała Diamonda, zawsze zastawała go pogrążonego w spokojnym śnie.



W ciągu całego tego tygodnia na dworze było bardzo zimno. Rano trawę pokrywał siwy szron, który otulał pojedyncze źdźbła jak gdyby cukrową skorupką, tak, że przypominały maleńkie łakocie z kandyzu. A ponieważ buciki Diamonda nie były dość porządne na takie zimno, a jego matka nie uzbierała jeszcze wystarczająco dużo pieniędzy na zakup nowych, które bardzo chciała mu sprawić, nie pozwoliła chłopcu wyjść na zewnątrz. Siedział więc w domu i bawił się ciągle od nowa we wszystkie swoje zabawy, szczególnie w powożenie dwoma krzesłami zaprzęgniętymi do dziecinnej kołyski; i nawet jeśli nie były one zbyt ręczne, biegły przecież tak szybko, jak można byłoby się tego spodziewać po najlepszych krzesłach świata, mimo że jedno miało tylko trzy nogi, a drugiemu brakowało połowy oparcia.

W końcu matka przyniosła do domu parę nowych bucików i gdy tylko upewniła się, że dobrze pasują, pozwoliła mu wybiec na podwórze i pobawić się przez godzinkę.

Słońce opadało już ku horyzontowi, gdy Diamond wyfrunął przez drzwi wozowni jak ptaszek wypuszczony z klatki. Cały świat wydawał mu się zupełnie nowy. Wspaniały płomień zachodu płonął na szczycie bramy, która wiodła ze stajni w kierunku domu państwa Colemanów; ponad nim rozpościerała się rozległa toń zielonkawego światła, jeszcze wyżej wydać było złoty obłok, a jeszcze wyżej błękit zimowego nieba. A Diamond pomyślał, że oprócz własnego domu nie widział nigdy miejsca, w którym chciałby zamieszkać tak bardzo, jak w tym niebie. To nie piękne przedmioty sprawiają bowiem, że dom jest miłym miejscem, lecz wasza matka i wasz ojciec.

Nadal przyglądał się tym ślicznym kolorom, gdy brama otwarła się i ukazał się w niej stary Diamond razem ze swoim towarzyszem, obaj zaprzęgnięci do powozu, niecierpliwie przebierający kopytami, by dostać się wreszcie do swoich przegród i swojego owsa. Konie wbiegły na podwórze. Diamond wcale się nie bał, że powóz może go przejechać, ale nie chciał

psuć uroczystego wrażenia, jakie wraz ze swymi wspaniałymi końmi sprawiał ojciec, ubrany w obszerny płaszcz z pelerynką, której krawędzie obwiedzione były czerwoną lamówką. Zszedł więc z drogi i na wszelki wypadek wsunął się we wnękę drzwiczek wiodących z podwórza w stronę ogrodowych zarośli, by powóz mógł swobodnie przemknąć obok i wjechać do stajni.

Gdy tak stał, przypomniał sobie, że tamtej nocy, której przyśnił mu się sen, wiatr zagnał go dokładnie w to miejsce. I znów wydało mu się, że to przecież nie mógł być sen. W każdym razie postanowił sprawdzić, czy wszystko wygląda tam teraz tak samo, jak wyglądało wtedy. Otworzył drzwi i przeszedł przez pas zarośli. Na rabatach nie było widać ani jednego kwiatka. Nawet stare, dzielne chryzantemy i ciemierniki, zwane bożonarodzeniowymi różami, nie oparły się mrozom. Lecz co to? Ależ tak! Jeden kwiat tam był! Diamond pobiegł prędko i ukląkł, żeby się mu przypatrzeć.

To był pierwiosnek – karłowata istotka, ale o doskonałym kształcie – istne dziecię cudu. Diamond nachylił się, by obejrzeć kwiat z bliska, a w tym samym momencie powiał lekki wietrzyk: dwa lub trzy podłużne listki, które wyrastały z tyłu, zaczęły drzeć, kołysać się i falować, lecz sam kwiat spoczywał spokojnie w zielonym zagłębieniu, spoglądał w niebo i zdawał się nie wiedzieć, że wokół wieje wiatr. Było to jakby oko, które spłowiła, zimowa ziemia otworzyła, żeby popatrzeć na niebo. Nagle chłopiec pomyślał, że może kwiatek się modli i że nie powinien się mu tak natrętnie przyglądać. Pobiegł do stajni, żeby zobaczyć, jak ojciec będzie przygotowywał posłanie dla starego Diamonda. Potem ojciec wziął go na ręce, wspinał się po drabince i zaniósł do stołu, przy którym mieli zasiąść do podwieczorku razem z matką Diamonda.

– Panienska miewa się nietęgo – odezwał się ojciec chłopca. – Pani dziedziczka wzięła ją dziś do doktora, ale jak wyszły, to minę miała smętną. Przyglądałem się im, żeby wymiarkować, co też doktor powiedział.

– A sama panienska nie wyglądała smętnie? – zapytała matka Diamonda.

– Ani w połowie tak smętnie, jak pani dziedziczka – odpowiedział stangret – Bo widzisz...

Tu jednak zniżył głos tak, że z dalszej rozmowy Diamond mógł uchwycić jedynie pojedyncze wyrazy. Jego ojciec był nie tylko jednym z najlepiej prezentujących się stangretów i najzdolniejszych woźniców, lecz również najdyskretniejszym z sług. Z tego względu nie rozprawiał o rodzinie państwa z nikim poza własną żoną, a ona już wcześniej dowiodła, że godna jest zaufania bardziej nawet niż on sam; zwracał tedy baczną uwagę, by Diamond nie posłyszał czegoś, co potem mógłby powtórzyć o panu i jego bliskich.

Wkrótce przyszła pora na spanie, więc Diamond poszedł do łóżka i prędko zapadł w sen.

Obudził się nagle, w całkowitej ciemności.

– Otwórz okno, Diamondzie – odezwał się jakiś głos.

Bo matka Diamonda zdążyła tymczasem z powrotem zakleić okno Wiatru Północy.

– Czy jesteś Wiatrem Północy? – zapytał chłopiec. – Nie słyszę twojego świstu.

– Nie, ale słyszysz mój głos. Otwórz okno, bo nie mam zbyt wiele czasu.

– Dobrze – odparł Diamond. – Ale proszę, Wietrze Północy, powiedz, po co? Ostatnim razem zostawiłaś mnie całkiem samego.

Ukląkł na łóżku i starał się zedrzeć papier zasłaniający otwór w ścianie. Bo teraz, gdy Wiatr Północy do niego przemówiła, przypomniał sobie wszystko zupełnie wyraźnie, tak, jakby zdarzyło się to zaledwie zeszłej nocy.

– Tak, ale to była twoja wina – odparła Wiatr Północy. – Miałam pracę do wykonania, a poza tym dżentelmen nigdy nie powinien kazać damie czekać.

– Ale ja nie jestem dżentelmenem – odpowiedział Diamond, skrobiąc paznokciami papier.

– Mam nadzieję, że nie będziesz tak mówił za dziesięć lat.

– Zostanę stangretem, a stangret nie jest dżentelmenem – upierał się chłopiec.

– W naszym domu nazywamy dżentelmenem właśnie twojego ojca, który przecież jest stangretem – odrzekła Wiatr Północy.

– On sam siebie tak nie nazywa – podparł Diamond.

– To nie ma nic do rzeczy. Każdy mężczyzna powinien być dżentelmenem, a twój ojciec nim jest.

Diamond tak się ucieszył, słysząc te słowa, że zaczął skrobać papier jak dziesięć głodnych myszy, aż w końcu udało mu się go odgiąć i oderwać. W następnej chwili dziewczynka przefrunęła nad jego łóżkiem i stanęła na podłodze.

– Ojej! – powiedział chłopiec, całkiem zbity z tropu. – Nie wiedziałem, że... Kim jesteś, powiedz proszę?

– Jestem Wiatrem Północy.

– Naprawdę?

– Ależ tak. Pospiesz się.

– Ale przecież nie jesteś większa ode mnie.

– Myślisz, że obchodzi mnie to, jak duża albo mała jestem? Czy nie widziałeś mnie dzisiejszego wieczoru? Byłam wówczas jeszcze mniejsza.

– Wcale cię nie widziałem. Gdzie byłaś?

– Za listkami pierwiosnka. Nie zauważyłeś, jak się poruszały?

– O tak, zauważyłem.

– Więc pospiesz się, jeśli chcesz iść ze mną.

– Ale przecież jesteś za mała, żeby się mną zaopiekować. Myślę, że dziś jesteś tylko panienką Wiatrem Północy.

– Jestem w każdym razie wystarczająco duża, żeby wskazać ci drogę. No ale jeśli nie chcesz iść, to możesz oczywiście zostać.

– Muszę się ubrać. Z dorosłą panią się tym nie przejmowałem, ale z małą dziewczynką nie mogę wyjść w koszuli nocnej.

– Dobrze. Nie spiesz się tak bardzo, jak tamtej nocy. Ubieraj się tak szybko, jak tylko potrafisz, a ja pójdę w tym czasie zakołysać listkami pierwiosnka.

– Tylko nie zrób mu krzywdy – powiedział jeszcze Diamond.

Wiatr Północy zaniósła się lekkim śmiechem, który brzmiał jak pęknięcie srebrnych baniek, i już po chwili jej nie było. Diamond zobaczył – ponieważ tej nocy świeciły gwiazdy, a siano było akurat w porze odpływu – jakiś błysk niknący na schodach, wyskoczył więc z łóżka i ubrał się tak prędko, jak tylko umiał. Potem wymknął się na podwórze, przeszedł przez drzwi wiodące do ogrodu, aż w końcu dotarł do pierwiosnka. Za nim stała Wiatr Północy, która pochylała się nad kwiatem i spoglądała nań w taki sposób, jakby była jego matką.

– Chodźmy – powiedziała, po czym wyprostowała się i wyciągnęła rękę do chłopca. Diamond chwycił jej dłoń – była chłodna, lecz jednocześnie tak przyjemna w dotyku i pełna życia, że było to lepsze, niż gdyby była ciepła. Powiodła chłopca przez ogród, a następnie jednym skokiem znalazła się na szczycie okalającego go muru. Diamond został jednak na dole.

– Stój, stój! – zawołał. – Nie potrafię tak wysoko skakać.

– Bo nie próbujesz – odparła Wiatr Północy, która teraz spoglądała na niego z wysoka i sama zdawała się o stopę wyższa.

– Podaj mi znów rękę, to spróbuję – powiedział chłopiec.

Sięgnęła ku niemu, a Diamond uchwycił jej dłoń, wykonał potężny sus i znalazł się obok na murze.



– A t o dopiero! – powiedział.

Kolejny skok i stali razem na drodze nad rzeką. Był przyływ, wody wezbrały, a gwiazdy świeciły jasno w ich głębinach, bo rzeka leżała spokojna – czekała, aż nadejdzie pora, by znów pospieszyć do morza. Szli wzdłuż jej brzegu. Nie uszli jednak daleko, gdy powierzchnię wody zmaciły drobne fale, a gwiazdy zniknęły z jej łona.

Wiatr Północy była teraz tak wysoka jak dorosła kobieta. Czarne włosy unosiły się wokół jej głowy, a wiatr płynął lekką bryzą w dół rzeki. Ona skręciła jednak w wąską dróżkę, a jej włosy znowu opadły.

– Zanim wyruszę na morze, mam dziś w nocy do wykonania dość nieprzyjemne zadanie – powiedziała – i muszę zabrać się do niego od razu. Nieprzyjemną pracę należy wykonywać w pierwszej kolejności.

Mówiąc to, chwyciła Diamonda za rękę i zerwała się do biegu, sunąc przed siebie coraz szybciej i szybciej. Chłopiec nadążał za nią jak mógł. Skręcali i meandrowali, bo okazało się, że nie tak łatwo przeprować go przez mury i ponad domami. Raz przebiegli przez hol domu, którego drzwi wejściowe i wyjściowe zastali otwarte. U podnóża schodów Wiatr Północy zatrzymała się, a Diamond usłyszał grmiący ryk i wzdrygnął się z przerażenia – obok niego, zamiast Wiatru, stał ogromny wilk. W konsternacji puścił jej rękę, a wilk wskoczył na schody. Szyby w oknach zaczęły drżeć i dygotać, jak gdyby w pobliżu ktoś palił ze strzelby, a z góry rozległ się donośny łomot czyjegoś upadku. Diamond stał poblady i wpatrywał się w podest schodów.



„Przecież – pomyślał – Wiatr Północy nie pobiegła chyba pożreć jakiegoś dziecka!” Doszedłszy natychmiast do siebie, popędził za nią, zaciskając swoją małą piąstkę. Schodami w górę i w dół sunęły damy w sukniach z długimi trenami oraz asystujący panowie w białych krawatach; wszyscy przypatrywali się Diamondowi, ale ponieważ nie należeli do mieszkańców domu, nie powiedzieli ani słowa. Nim jednak chłopiec dotarł do szczytu schodów, Wiatr Północy wyszła mu naprzeciw, chwyciła go za rękę, pognęła w dół i wybiegła z domu.

– Wietrze Północy, mam nadzieję, że nie pożarłaś jakiegoś dziecka! – powiedział Diamond bardzo poważnie.

Ona zaśmiała się tylko wesoło i przyspieszyła lekkiego kroku. Zwiwna szata w kolorze trawy falowała wokół jej stóp, a ilekroć Wiatr Północy przemknęła po suchych liściach, te wirowały w spiralnym tańcu i obracały się wokół własnej osi, jak koła niewidzialnego powozu, umykające spod jej nóg.

– Nie – odparła. – Nie pożarłam żadnego dziecka. A ty nie musiałbyś zadawać tego głupiego pytania, gdybyś nie puścił mojej ręki. Zobaczyłbyś, jak usłużyłam pewnej niańce, która obrzucała małą dziewczynkę wyzwiskami i nazywała ją niegodziwym dzieckiem. Ta niańka była pijana. Widziałam szpetną flaszkę ginu stojącą w szafce.

– Napędziłaś jej stracha? – zapytał Diamond.

– Mam nadzieję! – odparła Wiatr Północy, śmiejąc się wesoło. – Rzuciłam się jej do gardła, a ona zwała się na podłogę z takim hałasem, że państwo przybiegli zobaczyć, co się stało. Jutro wyrzucą ją z domu. Był już na to najwyższy czas, a oni zdaliby sobie z tego sprawę, gdyby wiedzieli to wszystko, co ja wiem.

- Ale czy nie przestraszyłaś tamtej małej dziewczynki?
- Ona wcale mnie nie widziała. Jej niańka również by mnie nie zobaczyła, gdyby nie zachowywała się tak niegodziwie.
- Och – westchnął Diamond niepewnie.
- Dlaczego ludzie mieliby widzieć rzeczy, których i tak by nie mogli zrozumieć i przez to nie wiedzieliby, co z nimi zrobić? – ciągnęła Wiatr Północy. – Dobrzy ludzie widzą dobre rzeczy, źli widzą złe.
- To ty jesteś złą rzeczą?
- Nie. Ponieważ ty mnie widzisz, mój drogi Diamondzie – powiedziała dziewczyna, po czym spojrzała na niego kochającymi oczami wielkiej damy, jaśniejącymi pośród falujących włosów. – Musiałam najpierw przybrać wygląd czegoś złego, by tamta niańka mogła mnie zobaczyć. Gdybym przybrała jakąkolwiek inną postać, nie zobaczyłaby mnie wcale, ponieważ to właśnie wilk rośnie w jej wnętrzu, by stać się jej własną postacią.
- Nie rozumiem tego, co mówisz – odparł Diamond – ale przypuszczam, że tak jest dobrze.
- Szli teraz trawiastą ścieżką, która wiodła pod górę. To było Primrose Hill, choć Diamond nigdy nie słyszał tej nazwy. W momencie, w którym weszli na szczyt wzniesienia, Wiatr Północy zatrzymała się i zwróciła twarzą ku Londynowi. Ponad ich głowami gwiazdy lśniły wciąż czystym i chłodnym blaskiem. Nie było widać ani jednej chmurki. Powietrze było ostre, lecz Diamondowi nie wydawało się zimne.
- A teraz – powiedziała do niego pani – za nic w świecie nie puszczaj mojej ręki. Mogłam cię zgubić już poprzednim razem, ale wtedy się nie spieszyłam. Teraz jednak będę się spieszyć.
- Mimo tego stała przez chwilę w bezruchu.

ROZDZIAŁ IV

WIATR PÓŁNOCY

A gdy tak stała, patrząc w kierunku Londynu, Diamond spostrzegł, że drży.

– Czy jest ci zimno, Wietrze Północy? – zapytał.

– Nie, Diamondzie – odpowiedziała, spoglądając na niego z uśmiechem. – Przygotowuję się tylko do tego, by zamieść jeden z moich pokoi. Te bezmyślne, zachłanne i niechlujne dzieci robią w nim okropny bałagan.

Nawet gdyby Diamond nie widział tego na własne oczy, poznałby z pewnością po jej głosie, że Wiatr Północy robi się coraz większa. Głową zaczęła sięgać gwiazd, a gdy tak rosła, drżąc wciąż na całym ciele, jej włosy rosły również – unosiły się coraz dłuższe wokół jej głowy i rozpląwały po niebie w czarnych kaskadach. W następnej chwili opadły jednak znów dookoła niej, a ona sama zaczęła maleć, aż w końcu stała się tylko wysoką kobietą. Sięgając do tyłu, zaczęła splatać i wiązać włosy, a gdy skończyła, nachyliła ku chłopcu swoją piękną twarz i powiedziała:

– Diamondzie, obawiam się, że nie uda ci się przez cały czas trzymać mnie za rękę, a doprawdy nie wiem, co by się stało, gdybym cię puściła. Zrobiłam więc dla ciebie miejsce wśród moich włosów. Chodź.

Diamond wyciągnął do niej rękę, gdyż jak dziecko miał zaufanie do tej zachwycającej twarzy, która się nad nim pochylała. Wiatr Północy wzięła go na rękę, przełożyła do tyłu przez ramię i powiedziała: „Wskakuj, chłopczyku.”

Diamond rozdzielił jej włosy, wśliznął się między nie i szukając wokół rękami, odnalazł uplecione z włosów gniazdo. Wyglądało jak kieszonka albo kołyska z chusty, w której Cyganki noszą swoje dzieci. Wiatr Północy sięgnęła do tyłu, dotknęła dłońmi gniazda, a gdy upewniła się, że jest bezpieczne, zapytała:

– Czy jest ci wygodnie, Diamondzie?

– Tak, bardzo – odparł chłopiec.

W następnej chwili wzniesli się w powietrze. Wiatr Północy rosła, przewyższając szczyty chmur, a jej włosy rozsnuwały się dookoła, aż przysłoniły gwiazdy niczym mgłą. W tym samym momencie rzuciła się w przestrzeń, przed siebie.

Diamond cały czas trzymał się dwóch poskręcanych kosmyków, które – rozdzielone i przeplecione – tworzyły jego schronienie, gdyż nie mógł tak do końca pozbyć się uczucia

lekkiego strachu. Gdy tylko doszedł do siebie, wyrżał spomiędzy splotów, ale nie śmiał bardziej wychylać się z gniazda. Ziemia pod nim sunęła w rwącym pędzie niczym rzeka lub szalejące morze. Drzewa, woda i trawa poniżej uciekały w dal. Gdy pędzili ponad Ogrodem Zoologicznym, do jego uszu doszedł wielki ryk dzikich zwierząt, pomieszany z trąkotaniem małych i krzykami ptaków – lecz już po chwili wszystko to ucichło w dali. Teraz nie było widać niczego poza dachami domów, rozlewającymi się pod spodem jak wielki potok kamieni i głazów. Z kominów spadały nadstawki, po dachach fruwały dachówki, lecz wyglądało to wszystko tak, jak gdyby to dachy i kominy pozostawiały ich za sobą, gdy oni mknęli wciąż naprzód. Wzmagał się ogłuszający ryk, bo wiatr rzucił się na Londyn niczym rozszalałe morze, lecz poza Wiatrem Północy Diamond nie odczuwał tego zupełnie – u niego panował idealny spokój. Słyszał ryk wichury – i to było wszystko.



Po chwili chłopiec podniósł się i znów wyrżał z gniazda. Pod nimi domy przemykały w pędzie niczym rwący nurt, w którym zamiast wody płynęły kamienie. Spojrzał w niebo, ale nie zobaczył gwiazd, gdyż wszystkie zostały przysłonięte włosami Wiatru Północy, które przemykały się pomiędzy nimi i zasłaniały widok. Diamond zaczął się zastanawiać, czy usłyszałyby go, gdyby się do niej odezwał. Pomyślał, że spróbuje.

– Wietrze Północy, powiedz, co to za hałas?

Z wysokości ponad jego głową dobiegł łagodny głos:

– To moja miotła. Jestem staruszką, która omiata niebo z pajęczyn. Ale teraz akurat sprzątam podłogę.

– A czemu domy wyglądają tak, jakby uciekały?
– Dlatego, że omiatam je w wielkim pędzie.
– Wietrze Północy, powiedz mi jeszcze jedno: wiedziałem, że Londyn jest strasznie duży, ale nie wiedziałem, że aż taki ogromny. Wygląda, jakby ciągnął się pod nami w nieskończoność.

– To dlatego, że krążymy nad miastem. Gdyby nie to, już dawno byśmy je minęli.
– I właśnie w ten sposób zamiatasz?
– Tak. Krążę wszędzie z moją wielką miotłą.
– A czy nie mogłabyś krążyć troszkę wolniej? Chciałbym zobaczyć ulice.
– Za wiele nie zobaczysz. Prawie wszystkich wymiotłam do domów.
– A tak, zapomniałem – powiedział Diamond i przez jakiś czas milczał, nie chcąc się naprzykrzać.

Wiatr Północy zniżyła się jednak nieco nad dachy domów, tak, że mógł przyglądać się ulicom, na których rzeczywiście było bardzo niewielu przechodniów. Płomienie ulicznych latarni zaczęły znów pełgać i migotać, ale ich blask zdawał się nikomu niepotrzebny.

Nagle Diamond zauważył, że ulicą idzie mała dziewczynka. Podmuchy wiatru targały ją niemiłosiernie, a miotłą, którą ciągnęła za sobą, sprawiała jej niemało kłopotu. Wyglądało to tak, jak gdyby wichura się na nią zawzięła: kąsała ją jak dzika bestia i szarpała łachmanami, w które dziewczynka była ubrana. Wydawała się taka samotna tam w dole!

– Och, Wietrze Północy! – zawołał Diamond. – Nie pomożesz tej dziewczynce?
– Nie, Diamondzie. Nie wolno mi porzucić mojej pracy.
– Ale dlaczego nie możesz być dla niej miłsza?
– Przecież jestem miła: przepędzam okropny zaduch ulicy.
– Ale dla mnie jesteś miłsza. Czemu nie możesz być dla niej taka miła, jak dla mnie?
– Istnieją po temu powody, chłopcze. Nie można postępować ze wszystkimi w ten sam sposób. Nie każdy jest na to gotowy.

– Ale nie rozumiem, czemu ja mam być traktowany lepiej niż ona.
– A czy myślisz, głuptasie, że może się dziać tylko to, co rozumiesz? Ale dobrze już, dobrze. Oczywiście, że możesz jej pomóc, jeśli chcesz. Ty nie masz w tym momencie nic szczególnego do roboty, ja owszem.

– O tak, pozwól mi jej pomóc. Ale pewnie nie będziesz mogła na mnie poczekać?
– Nie, nie mogę czekać. Musisz poradzić sobie sam. I pamiętaj, że wiatr rzuci się również na ciebie.

– Nie chcesz, żebym poszedł jej pomóc?
– Nie bez świadomości tego, co się stanie. Gdybyś miał się tam na dole załamać i rozplakać, taka pomoc nie na wiele się tej dziewczynce przyda, a mały Diamond wyjdzie na małego dudka.

– Chcę iść – odparł Diamond. – Zastanawiam się tylko nad tym, jak wrócę do domu?
– Jeśli się tym martwisz, może lepiej zostań ze mną. Ja na pewno zabiorę cię z powrotem.
– O nie, spójrz! – zawołał Diamond, który nadal przyglądał się dziewczynce. – Wiatr za chwilę ją przewróci i ona może od tego umrzeć. Pozwól mi zejść.

Przemykali się teraz wzdłuż ulicy w znacznie mniejszym pędzie. Wycie wichru na chwilę ucichło.

– Cóż, chociaż nie mogę obiecać, że zabiorę cię z powrotem do domu – powiedziała Wiatr Północy, opadając coraz niżej na ziemię – obiecuję, że wszystko dobrze się skończy. Jakoś trafisz do domu. Zdecydowałeś już, co chcesz zrobić?

– Tak. Pomogę tej małej dziewczynce – odpowiedział Diamond stanowczo.

W tym samym momencie Wiatr Północy wylądowała na ulicy i zatrzymała się: była

wzrostu wysokiej kobiety, ale jej włosy unosiły się ponad dachami budynków. Sięgnęła do tyłu, wyjęła Diamonda z jego gniazda i postawiła na ziemi. W mgnieniu oka wichur spowił go dzikimi podmuchami, nieomal go przewracając. Wiatr Północy odstąpiła od niego o krok i w jednej chwili wystrzeliła jak wieża na wysokość domów. Nadstawka komina z trzaskiem rozbiła się tuż obok Diamonda – odwrócił się ze zgrozą, ale tylko po to, by rozejrzeć się za dziewczynką. Gdy zwrócił się znowu w stronę, gdzie przed chwilą stała Wiatr Północy, pięknej pani już nie było, a wichur z rykiem toczył się ulicą, jak gdyby ta stanowiła łożysko niewidzialnej rzeki. Wiatr podmuchami gnał przed sobą dziewczynkę i rozwiewał jej włosy, a mała zamiataczka biegła tak szybko, jak tylko pozwalały jej nogi, ciągnąc za sobą miotłę i starając się nie przewrócić. Diamond wśliznął się pod osłonę jakiejś bramy, skąd zamierzał zatrzymać dziewczynkę – ale ona przemknęła obok niego jak ptak, łkając cicho i żałośnie.

– Stój, zaczekaj! – zawołał Diamond, ruszając za nią.

– Nie mogę, – załkała w odpowiedzi – wiatr nie chce mnie puścić.

Diamond umiał biegać szybciej niż ona, a w dodatku nie miał ze sobą miotły. Po chwili złapał ją za sukienkę, ale ta rozdarła mu się w dłoni: został w niej tylko strzęp materiału, a dziewczynka pędziła dalej, gnana wiatrem. Musiał ruszyć za nią znowu, ale tym razem biegł tak szybko, że wyprzedził ją i, odwracając się, pochwycił w ramiona, a potem polecieeli dalej już razem, co sprawiło, że dziewczynka roześmiała się przez łzy.

– Dokąd idziesz? – zapytał Diamond, pocierając łokieć, który był najbardziej wystawiony na zimne podmuchy, bo zdążył tymczasem objąć ramieniem słup latarni i stał tak pomiędzy dziewczynką a wichurą.



– Do domu – odparła, próbując złapać oddech.

– To pójdę z tobą – powiedział.

A potem stali przez chwilę w milczeniu, bo wiatr dął mocniej niż wcześniej i oboje musieli mocno trzymać się latarni

– Które przejście zamiatasz? – zapytała w końcu dziewczynka.

– Żadne. Nie zamiatam ulic – odrzekł Diamond.

– To c o robisz? – pytała zdziwiona. – Przez na inne rzeczy za mały jesteś.

– Właściwie to nie wiem, co robię z rzeczy do robienia – odpowiedział trochę zawstydzony. – Chyba nic. Mój tata jest stangretem u pana Colemana.

– Masz tatę? – patrzyła na niego ze zdumieniem, jakby chłopiec posiadający ojca był jakimś cudem natury.

– Tak. A t y nie? – zapytał z kolei Diamond.

– Nie. Ani matki też nie mam. Mam tylko starą Sal.

I znowu zaczęła płakać.

– Ja bym do niej nie wracał, gdyby nie była dla mnie dobra – powiedział Diamond.

– Ale gdzieś muszę iść.

– Dalej, ruszać się, nie stać – ozwał się za nimi głos policjanta.

– Widzisz, mówiłam – powiedziała dziewczynka. – Trza iść. Ciągle się o to rozchodzi.

– Ale stara Sal cię nie bije, prawda?

– Lepiej, gdyby biła.

– Jak to, nie rozumiem – Diamond był naprawdę zdumiony.

– Biłaby, jakby była moją mamą. Ale wtedy by nie leżała całymi dniami na wyrku i nie grzała swoich paskudnych, starych kości, i nie rechotała ze mnie za każdym razem, kiedy chlipię pod drzwiami.

– Nie mówisz chyba, że nie wpuści cię dziś do domu?

– To by dopiero był traf, gdyby wpuściła.

– W takim razie czemu wracasz tak późno? – dopytywał dalej Diamond.

– Moje przejście jest hen, na West Endzie, a jeszcze do tego zasiedziałam się na schodkach i za stajniami.

– Lepiej będzie i tak spróbować dostać się do domu – powiedział chłopiec. – Chodźmy.

Kiedy to mówił, wydało mu się, że kątem oka złowił postać Wiatru Północy skręcającą przed nimi za róg ulicy. Jednak gdy oni również minęli zakręt, ulica wydała się całkiem zaciszna, a pięknej pani nigdzie nie było widać.

– Teraz ty prowadź – powiedział Diamond, biorąc dziewczynkę za rękę – a ja się tobą zaopiekuję.

Mała zamiataczka ulic cofnęła dłoń, ale tylko po to, by wytrzeć zapłakane oczy rąbkiem sukienki, gdyż w drugiej ręce cały czas trzymała miotłę. Potem wzięła chłopca za rękę i poprowadziła go przez miasto, zakręt za zakrętem, aż zatrzymali się przed drzwiami suterenu w bardzo brudnym zaułku. Dziewczynka zastukała do drzwi.

– Nie chciałbym tu mieszkać – powiedział Diamond.

– A pewnie, że byś chciał, gdybyś nie miał dokąd pójść – odparła. – Oby tylko nas wpuściła.

– Ja nie będę wchodzić do środka.

– To gdzie pójdziesz?

– Do domu.

– A gdzie to jest?

– Tak właściwie to nie wiem.

– To wpadłeś gorzej niż ja.



– Och, nie, bo Wiatr Północy powiedziała... – zaczął Diamond i urwał, nie wiedząc nawet, dlaczego.

– Że c o ? – zapytała dziewczynka, przykładając ucho do drzwi i nasłuchując.

Ale Diamond nie odpowiedział. Nie odezwała się też stara Sal.

– Mówiłam ci, że tak będzie. Nie śpi i nasłuchuje, ale ani myśli nas wpuszczać.

– I co teraz zrobisz?

– Ruszę dalej – odpowiedziała.

– Ale dokąd?

– O, wszystko jedno. Jużem do tego nawykła.

– A nie lepiej, żebyś poszła ze mną do domu?

– Dobrze sobie, sam nie wiesz, gdzie to jest! Chodź, idziemy.

– Ale gdzie?

– Dzielkolew. No dalej, chodź.

Diamond usłuchał. Wiatr tymczasem znacznie się uciszył. Wędrowali przed siebie, skręcając w to w jedną, to w drugą ulicę i obierając drogę na chybił trafił, aż w końcu wyszli pomiędzy gęstwiny domów i dotarli na coś w rodzaju jałowego ugoru czy śmietniska. Byli już oboje bardzo zmęczeni, a Diamond czuł, że zbiera mu się na płacz: myślał sobie, że postąpił bardzo niemądrze, schodząc na ziemię i opuszczając Wiatr Północy – gdyby jakoś pomógł dziewczynce, nie przejmowałaby się tym tak bardzo, ale teraz miał wrażenie, że na nic się jej nie przydał. W tym się jednak mylił, gdyż zamiataczka była o wiele szczęśliwsza przez to, że był przy niej, niż gdyby musiała błąkać się sama po nocnym mieście. Nie wydawała się jednak tak zmęczona jak on.

– Odpocznijmy chwilę – zaproponował Diamond.

– Zaraz zobaczymy – odparła. – Tu jest coś jakby tory kolejowe. Może jest też jakieś przejście.

Podeszli do nasypu i rzeczywiście znaleźli przejście pod wiaduktem, pod którym leżała pusta beczka.

– A to ci dopiero! – ucieszyła się dziewczynka. – Beczka to wyrko na fest. Na włóczędzie, ma się rozumieć. Pośpimy tutaj, a potem ruszemy dalej.

Wpełzła do środka, a Diamond wczołgał się obok niej. Przytulili się do siebie i gdy tylko zaczęło się im robić ciepło, Diamond zaczął odzyskiwać odwagę.

– T o r z e c z y w i ś c i e na fest! – powiedział. – Tak się cieszę!

– Ja tam nad tym nie przemyśliwuję – odparła dziewczynka. – Chyba po prostu nawykłam. Ale w głowie mi się nie mieści, jakim cudem taki dzieciak jak ty znalazł się sam na dworze, i to w środku nocy.



Nazwała go „dzieciakiem”, ale tak naprawdę nie była od niego ani o miesiąc starsza. Musiała jednak zarabiać na chleb, a to sprawia, że ludzie szybko dorastają.

– Ale mnie też nie byłoby już na dworze, gdybym nie zszedł, żeby ci pomóc. Wiatr Północy już dawno poszła do domu

– Jak na moje, to urwałś się z jakiegoś domu wariatów, pewnikiem z przytułku Hidget – powiedziała mała zamiataczka ulic. – Wcześniej też plotłeś coś o jakimś północnym wiatrze, ale ni w ząb nie mogłam wyrozumieć, o co idzie.

A zatem teraz, przez wzgląd na swoją reputację, Diamond musiał opowiedzieć jej całą historię.

Nie uwierzyła w ani jedno słowo. Powiedziała, że nie jest aż takim tłukiem, żeby dać wiarę podobnym dyrdymałom. Ale gdy to mówiła, pod wiaduktem przeciągnął silny podmuch wiatru, który zaczął toczyć beczkę. Szybko więc z niej wypelzli, bo nie mieli przecież zamiaru toczyć się przed siebie bez końca, jak gdyby byli sardynkami upakowanym w beczce tak ciasno, że nie może im się stać żadna krzywda.

– Myślałem, że mieliśmy chwilę pospać. Ale po tym wszystkim nie czuję się już senny. Chodźmy dalej.

Wędrowali więc dalej, przysiadając czasem na schodkach ganków, a gdy tylko mieli po temu okazję, skręcali zawsze w dróżki oraz na pola. W końcu dotarli na wzgórze, które po drugiej stronie opadało dość stromo. W dole rozciągały się nieużytki, które ograniczał nieregularny mur z kilkoma drzwiami. Wszędzie leżały połamane sprzęty, od walców ogrodowych po skorupy doniczek i butelek po winie. Gdy tylko znaleźli się na szczycie wzgórza, porwał ich podmuch wiatru i pogał w dół tak szybko, że ledwie mogli za nim nadążyć. Diamond wpadł prosto na jedne z drzwi znajdujących się w murze. Ku jego zaskoczeniu drzwi otworzyły się z trzaskiem. Kiedy oboje doszli do siebie, zajrzeli do środka: przed nimi znajdowało się tylne wejście do czyjegoś ogrodu.

– Och, tak, tak myślałem! – zawołał Diamond po tym, jak przyjrzał się ogrodowi. – Wiatr Północy nikogo nie zostawia na lodzie! Jesteśmy w ogrodzie pana Colemana! I coś ci jeszcze powiem: zrób dziurę w ścianie u starej Sal, przytknij do niej usta i powiedz „Wietrze Północy, proszę cię, czy mogę pójść razem z tobą?”, a sama zobaczysz, co się stanie.

– Powiem ci, że chyba tak zrobię. Ale po prawdzie to wystaję w wietrze tak dużo, że wcale nie mam ochoty na więcej.

– Mówiłem r a z e m z , nie w wietrze.

– To przecież całkiem to samo.

– T o n i e to samo.

– C a ł k i e m to samo.

– Ale ja wiem lepiej.

– A ja jeszcze bardziej najlepiej. I zaraz dam ci w ucho – zagroziła dziewczynka.

Diamond bardzo się rozżłościł. Mimo to pamiętał, że nawet jeśli ona da mu w ucho, jemu nie wolno oddawać – ona jest przecież dziewczynką, a kiedy dziewczynki są niegrzeczne, chłopcy mogą tylko iść sobie i zostawić je w spokoju. Wszedł więc do ogrodu.

– Do widzenia, paniczu! – powiedziała mała zamiataczka ulic.

Jej słowa przywołały Diamonda do porządku.

– Przepraszam, że się zezłościłem – powiedział. – Chodź ze mną, moja mama poczęstuje cię śniadaniem.

– Nie, dziękuję. Muszę pędzić na moje przejście. Już rano.

– Strasznie mi cię żal – rzekł do niej.

– Ha, po prawdzie to można się zmęczyć takim życiem: z tą starą Sal i tyloma dziurami w butach.

– Musisz być bardzo dobrą dziewczynką. Ja bym tego nie wytrzymał.

– Ale dzie tam, pewnie, że byś wytrzymał! Tak myślę, że zawsze jestem ciekawa, co się zdarzy następnego, a potem czekam, aż to coś się skończy. Ha, no nic! Pewnie gdzieś tam ktoś żyje sobie wesoło. Ale wcale nie ci, co to jeżdżą powozami. O raju! Ale też oni czasem w y g l ą d a j ą ! Całkiem jakby chcieli odgryźć ci głowę. No, to do widzenia!

Wbiegła na wzgórze i po chwili zniknęła Diamondowi z oczu, a on zamknął drzwi najlepiej jak umiał i pobiegł przez ogród warzywny w stronę stajni. To była dopiero radość, wskoczyć znowu do swojego miłego łóżka!

ROZDZIAŁ V

W ALTANCE

Diamond ani słowem nie wspomniał matce o swojej nocnej przygodzie. Po części miał wrażenie, że Wiatr Północy jest jej przyjaciółką, więc nawet jeśli mama j e s z c e nie wie o wszystkim, nie powinna przecież mieć nic przeciwko jego wyjściom w towarzystwie pani wiatru. Jednak z drugiej strony nie był też całkiem pewny, czy gdyby nawet opowiedział swoją historię, nie wyszłoby na to, że zmyśla, skoro nawet jemu samemu trudno było w to uwierzyć w ciągu dnia. Jednak gdy zmierzch przechodził z wolna w noc, Diamond nie miał wątpliwości, że wszystko zdarzyło się naprawdę; a przynajmniej to przekonanie towarzyszyło mu jeszcze przez kilka dni jego po nocnej wyprawie. Mała zamiataczka ulic z całą pewnością mu nie uwierzyła. Poza tym miał poczucie, że Wiatr Północy powiedziałyby mu przecież, gdyby należało opowiedzieć matce o ich spotkaniu.

Minęło trochę czasu, nim znowu ją zobaczył – prawdę mówiąc, w życiu Diamonda przez cały następny tydzień działo się niewiele. Oto, co się na przykład zdarzyło: stary Diamond potrzebował nowych podków, więc ojciec Diamonda wyprowadził konia ze stajni i już miał go dosiąść, by podjechać z nim do kuźni, gdy zobaczył swojego synka stojącego przy pompie i spoglądającego nań tęsknie. Wysunął więc stopę ze strzemienia, puścił grzywę i wodze, podszedł do chłopca, podniósł go i podsadził na koński grzbiet, mówiąc, by siedział prosto, jak mężczyzna. A potem poprowadził obu – konia i chłopca o tym samym imieniu.

Usadowiony w siodle Diamond czuł niemałe drżenie, gdy potężne mięśnie, wprawiające w ruch końskie nogi, napinały się i rozluźniały pod jego własnymi nóżkami, nachylił się więc w kierunku kłębu, chwytając dłońmi grzywę w miejscu, gdzie włosie było nieco wytarte i skrócone przez chomąto. Jednak kiedy jego ojciec obejrzał się na niego ze słowami „Diamond, prosto siedź”, puścił grzywę i wyprostował się, próbując nie zważać na fakt, iż koń – myśląc chyba, że jego pan zawołał „Diamond, prędzej jedź” – ruszył szybszym krokiem. Obaj, chłopiec i koń, odznaczali się wielkim posłuszeństwem, a Diamond szybko zrozumiał, że tak jak on jest posłuszny ojcu, tak i koń jest posłuszny jemu. Nie ujechali daleko, a zebrał się na odwagę, by sięgnąć po wodze; gdy tylko jego ojciec poczuł, że chłopiec ciągnie je do siebie, spojrział w górę i uśmiechnął się. Potem, uradowany, puścił wodze i pozwolił Diamondowi prowadzić Diamonda, a chłopiec prędko przekonał się, że radzi sobie z tym doskonale. To było coś wspaniałego, móc kierować tak wielkim stworzeniem. Kolejne jego odkrycie było takie, że aby kierować koniem, trzeba najpierw być mu posłusznym: gdyby nie dostosowywał swojego ciała do ruchów zwierzęcia, nie byłby w stanie nim kierować i na pewno by spadł.



Kowal mieszkał nieco dalej, przy drodze wiodącej do centrum Londynu. Gdy przejeżdżali przez róg jakiegoś skweru, Diamond, który tymczasem rozsiadł się wygodnie na swoim żywym tronie i rozglądał to tu, to tam w poczuciu spokojnej dumy, ujrzał nagle dziewczynkę zamiatającą ulicę przed jakąś damą. Damą była pani Coleman, chlebobawczyni ojca, a małą zamiataczką dziewczynka, przez którą tamtego razu opuścił Wiatr Północy. Ściągnął więc wodze Diamonda z gorącym pragnieniem, by zobaczyć, czy wyciągnięta rączka dziewczynki otrzyma pensa od pani Coleman. Lecz pani Coleman wydała już pensa przy poprzednim przejściu i wyciągnięta dłoń wróciła z powrotem do właścicielki tylko po to, by znów chwycić za miotłę. Diamond nie mógł tego znieść. Miał przy sobie pensa, którego wczoraj otrzymał w prezencie od tej samej damy, i pospieszył spaść z konia, by dać go dziewczynce. Powiedziałem, że pospieszył spaść, ponieważ upadł, kiedy tylko znalazł się na ziemi. Ale podniósł się natychmiast i pobiegł do dziewczynki, przeszukując po drodze kieszenie. Zamiataczka dygnęła uprzejmie, gdy wręczał jej swój skarb, ale patrzyła na niego zdumionym wzrokiem. Pomyślała najpierw: „A jednak siedział na Wietrze Północy! Wiatr Północy to koń jego ojca! Oto ci cały sekret! Tylko czemu nie mógł tak od razu?”. I już chciała odmówić przyjęcia pensa, gdy jego uśmiech sprawił, że zmieniła zdanie, i nie tylko wzięła pieniążek, ale nawet wsadziła go sobie do ust i nagryzła ze słowami „Dziękuję, paniczu. A wygarbowali paniczowi skórę za tamten raz?”.

– O, nie! – odparł Diamond. – Nigdy mnie nie wygarbowują.

– A to ci! – zdziwiła się i aż zaniemówiła.

Tymczasem ojciec Diamonda, spojrzawszy w górę i przekonawszy się, że siodło jest puste, przeżył moment prawdziwego przerażenia, lecz już w następnej chwili zauważył syna i

podsadził go znowu na siodło, mówiąc:

- Nie zsiadaj sam. Koń mógł na ciebie nastąpić.
- Dobrze, tato – odparł Diamond i pojechał dalej w całym majestacie bezpieczeństwa.

Nadchodziło lato, upalne i wspaniałe. Panna Coleman wydobrzała nieco i dużo czasu spędzała w ogrodzie. Pewnego dnia zobaczyła Diamonda wyglądającego spomiędzy zarośli i zawołała go do siebie, a chłopiec rozmawiał z nią tak otwarcie, że odtąd często po niego posyłała i po niedługim czasie Diamond mógł już biegać po ogrodzie, kiedy tylko miał na to ochotę. Nigdy jednak nie dotykał roślin ani kwiatów, bo nie był jak niektórzy chłopcy, ci, co nie potrafią cieszyć się jakąś rzeczą, nie rozszarpując jej zaraz na strzępy i tym samym nie pozwalając, by inni również mogli się nią cieszyć.

Tydzień w dziecięcym życiu to okres bardzo długi, a po jego upływie Diamondowi znów zaczęło się wydawać, że Wiatr Północy jest tylko snem, który przyśnił mu się dawno temu.

Pewnego upalnego wieczoru siedział razem z młodą panią (tak w jego rodzinie nazywano pannę Coleman) w małej altance na skraju ogrodu – czymś prześlicznym, jak zdawało się Diamondowi, ponieważ miała boczne okienko zrobione z kolorowego szkła. Zmierzchało już, więc panienka, której zrobiło się chłodno, wróciła do domu, pozostawiając chłopca samego w altance. Siedział tam nadal i przyglądał się grządce tulipanów. Kwiaty zamknęły już na noc swoje kielichy, ale nie mogły jeszcze zasnąć z powodu wiatru, który nieustannie nimi kołysał. W pewnej chwili Diamond zobaczył olbrzymiego trzmiela wylatującego z wnętrza jednego z nich.



– No, to już coś – odezwał się naraz jakiś głos, łagodny, wesoły i dziecięcy, a jednocześnie taki n i k ł y . – Nareszcie się udało. Już myślałam, że będzie tu siedział przez całą noc, biedaczek!

Diamond nie potrafił stwierdzić, czy ów głos dochodzi z bliska, czy z daleka, tak był cichutki, ale zarazem pełen wyrazu. Choć nigdy nie widział wróżki, wiele o nich słyszał, zaczął się więc pilnie rozglądać, by sprawdzić, czy nie zauważy w pobliżu jednej z nich. I była tam, drobniuteńka istotka ześlizgująca się po łodydze tulipana!

– Czy jesteś tą wróżką, która pasie pszczoły? – zapytał, wychodząc z altany i klękając na trawiastej krawędzi grządki.

– Nie jestem wróżką – odparła małeńka istotka.

– Skąd to wiesz?

– Lepiej by było, gdybyś zapytał, skąd t y to wiesz.

– Właśnie mi powiedziałaś.

– To prawda. Ale jaki pożytek z tego, że wiemy coś, bo nam o tym powiedziano?

– No tak, ale skąd mam wiedzieć, że n i e jesteś wróżką? Wyglądasz zupełnie jak wróżka.

– Przede wszystkim wróżki są znacznie większe niż ja teraz.

– Och! – zdumiał się Diamond. – Myślałem, że są bardzo małe.

– Nawet gdyby były o wiele większe niż ja, nadal nie można by powiedzieć, że są wyrośnięte. Przecież ja sama mogłabym być sześć razy większa i wcale nie byłabym duża. Poza tym wróżki nie potrafią zmieniać rozmiaru wedle własnego uznania, choć w bajkach tak się opowiada – ale mówią to ci, którzy nic nie wiedzą o tych sprawach. Ty głuptasie! Pytasz, jakbyś widział mnie po raz pierwszy!

Gdy to mówiła, wiatr ze świstem przygiął tulipany niemal do ziemi, a ona położyła rękę na ramieniu Diamonda. W mgnieniu oka zrozumiał, że to Wiatr Północy.

– Głuptas ze mnie – przyznał, – ale nigdy wcześniej nie widziałem cię tak małej, nawet kiedy opiekowałaś się pierwiosnkiem.

– Czy żeby mnie poznać, musisz widzieć mnie w postaci, do której można przyłożyć miarę, Diamondzie?

– Ale skąd mogłem wiedzieć, że to właśnie ty troszczysz się o wielkiego głupiego trzmiela?

– Im głupszy, tym więcej troski potrzebuje. Od tego picia nektaru i dobijania się do wyjścia był na wpół zamroczony. I gdy rankiem tulipan rozchyliłby płatki, żeby wpuścić promienie słońca do swojego wnętrza, co powiedziałyby słońko, widząc tam takie głupie stworzenie – w dodatku uskrzydłone?

– Skąd masz tyle czasu, by opiekować się pszczołami?

– Nie opiekuję się pszczołami. Musiałam zadbać o tego jednego trzmiela. Ale to była naprawdę ciężka praca

– Ciężka praca! Przecież ty potrafisz zerwać komin z dachu, albo... albo czapkę z czyjejś głowy – zdziwił się Diamond.

– Obie te rzeczy są o wiele prostsze, niż rozchylenie płatków tulipana. Ale dla mnie nie ma właściwie różnicy między tym, co trudne, a tym, co łatwe. Zawsze potrafię wykonać moją pracę. Gdy mam przed sobą zadanie, po prostu się do niego zabieram – i je wykonuję. Ale dość już o tym. Dziś w nocy muszę zatopić statek.

– Zatopić statek?! Co takiego?! Statek pełen ludzi?

– Tak, pełen kobiet i mężczyzn.

– Okropne! Wolałbym, żebyś tak nie mówiła.

– To rzeczywiście dość okropne. Ale takie jest moje zadanie. I muszę je wykonać.

– Mam nadzieję, że nie powiesz, że mam iść z tobą.

- Dobrze, nie powiem. Ale i tak musisz iść.
- Nie pójdę.
- Nie?

I Wiatr Północy urosła do rozmiarów wysokiej kobiety, po czym spojrzała Diamondowi w oczy, a chłopiec powiedział:

– Weź mnie ze sobą, Wietrze Północy. Przecież nie możesz być okrutna.

– Nie, nie mogę być okrutna, nawet gdybym chciała. Nie potrafię dopuścić się okrucieństwa, choć często robię rzeczy, które wydają się okrutne tym, którzy nie wiedzą, co naprawdę czynię. Ludzi, o których mówi się, że ich utopiłam, zabieram po prostu do... do... cóż, zabieram ich do kraju poza Wiatrem Północy. Tak przynajmniej nazywano kiedyś to miejsce, choć ja sama nigdy go nie widziałam.

– Jak możesz zabierać kogoś w miejsce, którego nie widziałas?

– Ponieważ znam do niego drogę.

– Ale dlaczego nigdy go nie widziałas?

– Bo leży poza mną.

– Mogłabyś się przecież odwrócić.

– Nie na tyle, bo zobaczyć to, co jest za moimi plecami. Nie, ja zawsze patrzę przed siebie, a gdy próbuję spojrzeć do tyłu, przestaję cokolwiek widzieć i słyszeć. Skupiam się więc na mojej pracy.

– Ale czemu to jest twoja praca?

– Ach, na to nie potrafię ci odpowiedzieć. Wiem tylko, że to jest moja praca, ponieważ kiedy ją wykonuję, czuję się dobrze, a kiedy przestaję, czuję się bardzo źle. Wiatr Wschodu mówi – tylko że nie zawsze wiadomo, czy można jej wierzyć, bo czasami bywa bardzo psotna – że tym wszystkim zarządza pewne małe dziecko, ale trudno powiedzieć, czy mówi to dla psoty, czy na poważnie. Nie rozmyślam nad tym i trzymam się wyznaczonych mi zadań. Dla mnie to wszystko jedno: wypuścić trzmiela z tulipana czy wymiatać pajęczyny z zakamarków nieba. Chciałbyś dziś w nocy wyruszyć ze mną?

– Nie chcę widzieć, jak tonie statek.

– A gdybym musiała zabrać cię z sobą?

– Wtedy pewnie musiałbym pójść.

– No, i to jest mój grzeczny Diamond. W takim razie lepiej będzie, jak jeszcze trochę urosnę. Musisz jednak najpierw się położyć. Nie mogę zabrać cię z sobą, dopóki nie znajdziesz się w łóżku. Takie zasady obowiązują względem do dzieci. Pójdę więc teraz i zajmę się czymś innym.

– Dobrze – zgodził się Diamond. – Ale, Wietrze Północy, powiedz, czym będziesz się teraz zajmować?

– Myślę, że mogę ci powiedzieć. Wskocz tutaj na mur.

– Nie potrafię.

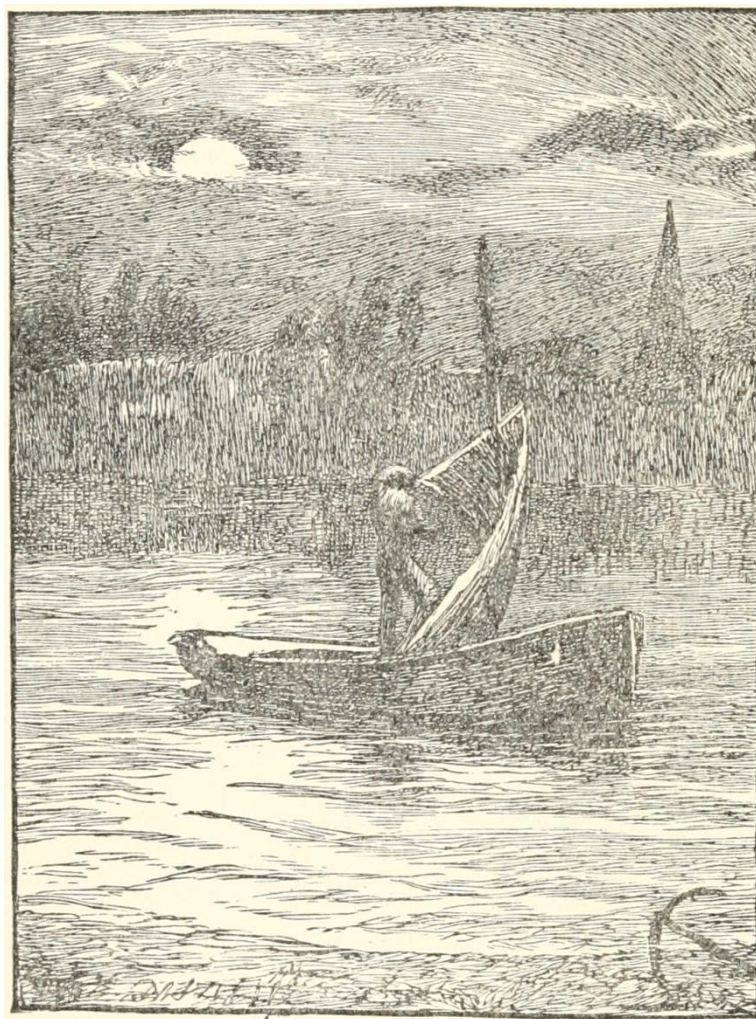
– Ach, a ja nie mogę ci pomóc – przecież jeszcze się nie położyłeś. Więc wyjdź ze mną na drogę, tylko przed wozownię, a pokażę ci, co będę robić.

Wiatr Północy zrobiła się teraz rzeczywiście bardzo mała – tak mała, że nie mogłaby nawet zdmuchnąć pyłku z żółtej prymulki, którą dzieci w Szkocji nazywają młynarczykiem. Diamond zauważył, że nie poruszyła ani jednego źdźbła trawy, gdy przemykała się między nimi tuż obok jego stopy. Zeszli z trawnika, po czym, kierując się przez furtkę w bramie wozowni, przeszli na drugą stronę drogi i zbliżyli się do niewysokiego murku odgradzającego drogę od rzeki.

– Ale na ten murek chyba potrafisz wskoczyć? – zapytała Wiatr Północy.

– Tak, ale mama mi nie pozwala – odparł Diamond.

- A więc nie możesz tego robić.
 - Mogę za to wyjrzeć na drugą stronę.
 - Ach, z pewnością. Ale ja nie mogę.
- To mówiąc, Wiatr Północy jednym susem znalazła się na murku. Była teraz takiego wzrostu, jakiego byłaby ważka, gdyby potrafiła stać pionowo.
- Och, ależ z ciebie słodkie maleństwo! – zawołał Diamond, widząc, jaką śliczną miniaturową panią ma przed sobą.
 - Nie bądź bezczelny, paniczu Diamondzie – odparła Wiatr Północy. – Najbardziej ze wszystkiego złości mnie to, w jaki sposób wy, ludzie, oceniacie różne rzeczy po ich rozmiarze. Należy mi się teraz tyle samo szacunku, ile będzie mi się należało za sześć godzin, gdy chwycę galeon Kompanii Wschodnioindyjskiej za maszty i żagle, zakręcę nim i cisnę go pod wodę. Nie masz prawa zwracać się do mnie w ten sposób.
- Lecz gdy to mówiła, na jej ustach igrał uśmiech wspaniałej, wielkiej damy. Stroiła sobie z Diamonda własne, urocze żarty, a żarty prawdziwej damy nigdy nie ranią.
- Spójrz tam, Diamondzie – podjęła. – Widzisz tę białą-zieloną łódkę, w której siedzi pojedynczy człowiek?
 - Tak, widzę wyraźnie.
 - To poeta.
 - Wydawało mi się, że powiedziałaś „łód-ka”.
 - Ty niemądre stworzenie! Nie wiesz, kim jest poeta?
 - Chyba w takim razie jest czymś, czym można pływać po wodzie.
 - Cóż, może jest w tym nawet trochę prawdy. Niektórzy poeci unoszą ludzi ponad morzami. Ale nie będę tracić słów na próżno. Ten człowiek to poeta.
 - A ta łódka to łódka.
 - Potrafisz literować?
 - Nie za bardzo.
 - Właśnie widzę. Poeta to nie „łód-ka”, jak go nazywasz. Poeta to człowiek, który z czegoś się cieszy i pragnie, by inni również się z tego cieszyli.
 - Ach, teraz rozumiem! Jak sprzedawca w sklepie ze słodyczkami?
 - Nie bardzo. Widzę, że to nie ma sensu. Nie posłano mnie po to, bym ci to wyjaśniała, nie mogę więc tego zrobić. Muszę już iść. Lecz najpierw przypatrz się temu człowiekowi.
 - Kiepski z niego wiosłarz – powiedział Diamond. – Zanurza najpierw jedno wiosło, a dopiero potem drugie.
 - Spójrz w takim razie na to – odparła Wiatr Północy.
- I pomknęła jak ważka ponad wodą, której powierzchnia sfałdowała się i zmarszczyła pod jej przelotem. W następnej chwili mężczyzna siedzący w łódce rozejrzał się dookoła, po czym pochylił nad wiosłami. Łódź pomknęła po rozkołysanej wodzie. Człowiek, łódź i rzeka jak gdyby zbudzili się ze snu. W tym samym momencie Wiatr Północy znów przysiadła na nadrzecznym murku.
- Jak to zrobiłaś? – zapytał chłopiec.
 - Dmuchałam mu w twarz – odparła.
 - Nie rozumiem, jak takie dmuchnięcie mogło sprawić coś takiego.
 - Domyślam się. I dlatego pewnie powiesz, że nie wierzysz w to, by mogło.
 - Och, nie, Wietrze Północy. Za dobrze cię znam, by ci nie wierzyć.
 - Cóż, dmuchałam mu w twarz i to go zbudziło.
 - Ale co to niby dało?
 - Jak to, nie rozumiesz? Spójrz, jak dzielnie wiosłuje. Odpędziłam od niego mgłę.
 - W jaki sposób?



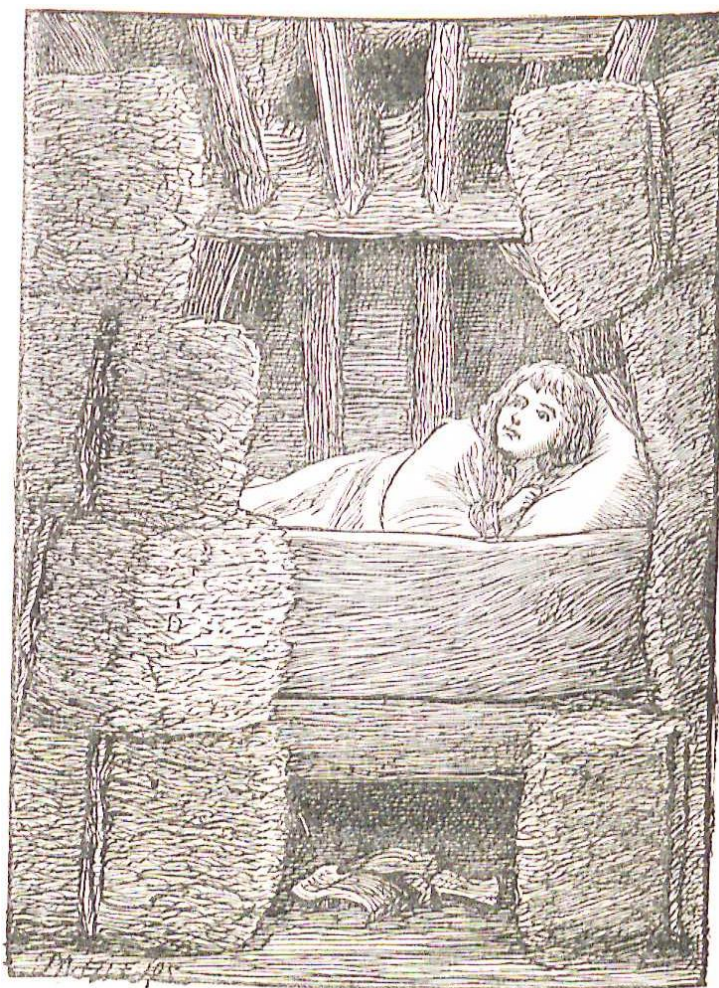
- Tego właśnie nie umiem ci powiedzieć.
- Ale przecież to zrobiłaś.
- Owszem. Muszę wykonywać tysiące zadań, o których nie umiem opowiadać.
- Wcale mi się to nie podoba – powiedział Diamond.

Gdy to mówił, spoglądał w ślad za łódką, ale gdy nie doczekał się odpowiedzi, popatrzył z powrotem na murek.

Wiatr Północy zniknęła, a w oddali na rzece pojawiła się długa zmarszczka – fala zwiastująca nadejście sztormu, którą żeglarze nazywają „kocią łapką”. Człowiek w łódce zabrał się do stawiania żagla, który zaśnił biało, bo księżyc wyłonił się zza krawędzi wielkiej chmury. Diamond przetarł oczy i zastanawiał się, co to wszystko znaczy. Wydawało mu się, że wokół niego dzieją się różne rzeczy, które doskonale rozumieją siebie nawzajem, a tylko on nie może się w nich połapać. Wsadził więc ręce do kieszeni i poszedł do domu na podwieczorek. Wieczór zapowiadał się upalny, bo wiatr znowu ucichł.

- Nie wyglądasz mi na zdrowego, Diamondzie – powiedziała do niego matka.
- Czuję się całkiem dobrze, mam – odrzekł chłopiec, który był tylko zamyślony.
- Chyba lepiej, żebyś od razu poszedł do spania – dodała.
- Dobrze, mam – odparł.

Przystanął jeszcze na chwilę, by wyrzucić przez okno. Ponad księżycem chmury kłębiły się i płynęły w różne strony. Z jakiegoś powodu go to zaniepokoiło, lecz mimo wszystko wkrótce zapadł w głęboki sen.



Zbudził się w środku nocy, w ciemnościach. Straszliwy huk przetaczał się nad jego głową, jak bicie wielkich bębnow grzmiące echem pod mosiężnym sklepieniem. Dach, pod którym Diamond sypiał, nie miał sufitu, więc pomiędzy chłopcem a niebem znajdowała się tylko warstwa dachówek. Przez chwilę nie mógł dojść do siebie, bo huk gromu wciąż go przygniatał, napełniając serce lękiem i wprawiając je w bolesne drzenie. Gdy rozległ się drugi grzmot, strach ścisnął go za gardło niemal do utraty tchu. Odzyskał zmysły dopiero wtedy, gdy silny podmuch wiatru zerwał z dachu kilka dachówek, a jego poślanie i twarz ogarnął chłodny powiew, który przegonił resztki snu i przywrócił mu odwagę. W tym samym momencie usłyszał, że przyzywa go potężny, lecz jednocześnie melodyjny głos:

– Pójdź, Diamondzie. Wszystko gotowe i czekam na ciebie.

Chłopiec wyjrzał spod kołdry i zobaczył olbrzymie, mocarne, lecz jednocześnie bardzo piękne ramię – z dłonią, której palce nie traciły nic ze swojej delikatności przez to, że byłyby w stanie zgnieść boa dusiciela albo zmusić tygrysicę od porzucenia swojej ofiary – wyciągające się do niego przed otwór w dachu. Bez chwili wahania wyciągnął swoją małą rączkę i wsunął ją w leżącą przed nim potężną dłoń.

ROZDZIAŁ VI

POŚRÓD BURZY

Palce potężnej dłoni podążyły w górę ramienia Diamonda i, chwytając go mocno, lecz zarazem delikatnie, powyżej łokcia, po czym wyciągnęły z łóżka i uniosły w górę. Gdy tylko chłopiec przedostał się przez otwór w dachu, wszelkie wiatry niebieskie rzuciły się na niego i zaczęły nim miotać na wszystkie strony. Włosy rozwiewały się w jedną stronę, koszula nocna trzepotała w drugą, nogi groziły, że spod niego uciekną, a w głowie zaczynało się kręcić od gwałtownych uderzeń niewidzialnego napastnika. Skulił się i przywarł drugą ręką do ogromnej dłoni, która trzymała go za ramię, a jego serce ogarnęła trwoga.

– Och, Wietrze Północy – wyszeptał, lecz słowa zniknęły tuż przy jego ustach, dokładnie tak, jak zbyt szybko pękające bańki mydlane znikają u wylotu cybucha fajki. Poryw wiatru unióśł je i rozwiął w nicość – nie mogły nawet same wydobyć się z jego ust, zostały z nich wyrwane i zdławione. Ale Wiatr Północy je usłyszała a po tonie jej odpowiedzi Diamondowi zdawało się, że właśnie z tego powodu, iż sama jest taka ogromna i nic nie może na to poradzić, i dlatego, że jej uszy i usta muszą się mu wydawać tak strasznie dalekie, przemawiała doń z większą czułością i łaskawością niż wcześniej. Jej głos brzmiał jak niskie, głębokie tony organów, ale bez zawartego w nich jęku; jak najdelikatniejsze dźwięki skrzypiec, ale bez skargi; jak najcudowniejsze brzmienia trąbek, ale bez przekory; jak odgłos wodospadu, ale bez huku i łoskotu: był jak te wszystkie dźwięki razem i jednocześnie jak żaden z nich – jak one wszystkie, lecz pozbawione wad, jak każdy z nich, lecz wyzuty ze swojej osobliwości. W końcu zaś przypominał głos jego matki bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

– Diamondzie, kochanie, – powiedziała Wiatr Północy – bądź mężczyzną. To, co tobie wydaje się straszne, nie jest wcale straszne dla mnie.

– Ale tobie wiatr nie może zrobić krzywdy – wymamrotał – bo ty sama n i m jesteś.

– Jeśli w takim razie ja nim jestem i trzymam cię w ramionach, w jaki sposób mógłby skrzywdzić ciebie?

– Ach, już rozumiem! – wyszeptał Diamond. – Ale on wygląda tak przerażająco i rzuca mną na wszystkie strony.

– Owszem, mój mały. Po to właśnie został posłany.

W tej samej chwili niebiosy rozdarł grzmot, który wstrząsnął sercem chłopca: nie mogę powiedzieć, że grzmot rozdarł niebo, bo nieba wcale nie było. Diamond nie zauważył błyskawicy, gdyż starał się wypatrzeć twarz Wiatru Północy. Fałdy jej szaty przemykały nieustannie przed jego oczami, prawie go oślepiając, ale jednocześnie zdawało mu się, że w prześwitach między spiętrzonymi chmurami widzi blask jej wspaniałych, wpatrzonych w niego oczu.



Grzmot wprowadził Diamonda w takie drżenie, że nogi odmówiły mu posłuszeństwa: osunął się do stóp Wiatru Północy, obejmując jej nogę w kostce, jakby to była kolumna. Natychmiast schyliła się i podniosła go z dachu w górę, na swoją pierś. Po czym, tuląc go, mówiła doń jak nieukojonego w płaczu dziecka:

- Diamondzie, kochanie, to się nie uda.
- Owszem, uda się – odparł chłopiec. – Już mi lepiej, możesz mi wierzyć, droga Wietrze Północy. Pozwól mi tylko tutaj zostać, a będę się czuł zupełnie dobrze.
- Ale tutaj będziesz wystawiony na podmuchy wiatru.
- Wcale mi to nie przeszkadza, dopóki mogę czuć jednocześnie twoje ramię – odrzekł, moszcząc się jak pisklę na jej potężnej piersi.
- Dzielny chłopiec! – zawołała Wiatr Północy, przyciskając go mocniej do siebie.
- Nie, wcale nie. To żadna odwaga, póki czuję, że jesteś blisko.
- Czy nie lepiej, byś schował się wśród moich włosów? Tam nie będziesz odczuwał wiatru tak, jak tutaj.
- Och, ale Wietrze Północy, ty nie wiesz, jak cudownie jest być w twoich ramionach. Czuję twoje ramiona i wiatr to tysiąc razy lepsze, niż siedzieć zacisznie w twoich włosach.
- Tam byłoby ci na pewno wygodniej.
- Może tak. Ale zaczynam myśleć, że są na świecie lepsze rzeczy niż wygodna.
- To prawda. No dobrze, zatrzymam cię z przodu. Będziesz czuł wiatr, ale nie bardzo mocno. Mogę cię trzymać jedną ręką – druga w zupełności wystarczy mi do zatopienia statku.
- Och, droga Wietrze Północy, jak możesz mówić w ten sposób?

- Mój kochany chłopcze, ja nigdy nie mówię w jakiś sposób. Zawsze mówię dokładnie to, co mam na myśli.
- Więc naprawdę zamierzasz zatopić statek drugą ręką?
- Owszem.
- To do ciebie nie pasuje.
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- Po prostu. Bo jedną ręką jesteś kimś, kto opiekuje się biednym małym chłopcem, a drugą kimś, kto zatapia statek. To nie może do siebie pasować.
- Ach, ale która z tych osób to ja? Nie może być przecież dwóch mnie jednocześnie.
- Nie, nie da się być dwoma ja naraz.



- Więc które ja to ja?
- Muszę się zastanowić. Bo wydaje mi się, że są dwa.
- O to właśnie chodzi: nie możesz wiedzieć rzeczy, której nie wiesz, prawda?
- Nie.
- Którą mnie znasz?
- Najmilsze, najdobrzejsze, najlepsze mnie na świecie – odparł Diamond, przytulając się do niej.
- Czemu jestem dla ciebie dobra?
- Nie wiem.
- Czy kiedykolwiek coś dla mnie zrobisz?

- Nie.
- Więc jestem dla ciebie dobra, ponieważ chcę być dla ciebie dobra?
- Tak.
- A czemu tego chcę?
- Bo... bo... bo tak lubisz.
- A czemu miałabym lubić to, że jestem dla ciebie dobra?
- Nie wiem, chyba że może przez to, że bycie dla mnie dobrą samo jest dobre.
- Dokładnie tak. Jestem dla ciebie dobra, ponieważ lubię być dobra.
- Więc dlaczego nie możesz być dobra również dla innych ludzi?
- Tego właśnie nie wiem. Dlaczego nie mogę?
- Też nie wiem. Dlaczego?
- Ponieważ już taka jestem.
- I znowu to samo – powiedział Diamond. – Nie widzę, żebyś była dla nich dobra. Wręcz przeciwnie.
- Dobrze, ale posłuchaj mnie, Diamondzie. Mówisz, że znasz j e d n ą mnie i że jestem dobra?
- Tak.
- Czy znasz też tę d r u g ą mnie?
- Nie. Nie mógłbym. Nie chciałbym.
- No właśnie. Nie znasz drugiej mnie. Jesteś pewny tej, którą znasz?
- Tak.
- A więc ta ja, której nie znasz, musi być dokładnie taka sama, jak ta, którą znasz, bo inaczej byłyby dwie mnie?

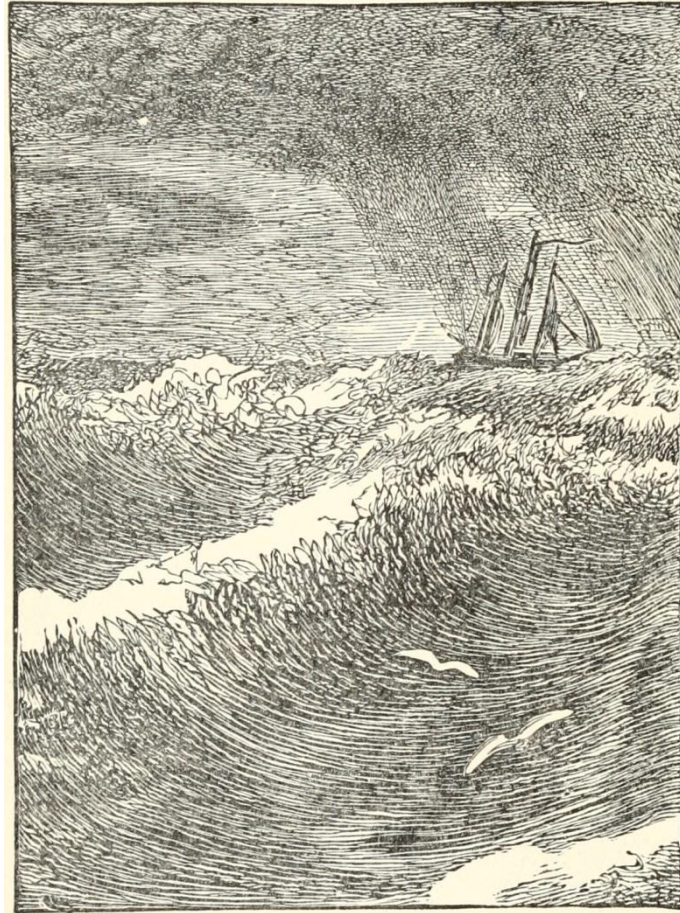


- Tak.
- Zatem ta inna ja, której nie znasz, musi być tak samo dobra jak ta, którą znasz?
- Tak.
- Dokładnie tak. A poza tym ja ci mówię, że tak właśnie jest, choć na to nie wygląda. To przyznaję. Czy czemuś jeszcze chciałbyś się sprzeciwić?
- Nie, nie, droga Wietrze Północy. Teraz już się całkiem zgadzam.
- Więc powiem ci coś, co może wywołać twój sprzeciw. Mógłbyś powiedzieć, że ta ja, którą znasz, jest taka sama jak ta, której nie znasz i że w obu wypadkach jestem okrutna.
- To nie może być prawda, ponieważ jesteś taka dobra.
- Lecz to, że jestem miła, może być tylko pozorem, który później przerodzi się w tym większe okrucieństwo.

Na te słowa Diamond przywarł do niej jeszcze mocniej, wołając:

– Nie, nie, droga Wietrze Północy, nie mogę w to uwierzyć! Nie wierzę w to i nie uwierzę. Od tego bym umarł. Kocham cię i ty również musisz mnie kochać, bo jak inaczej mógłbym pokochać ciebie? I jak mogłabyś mieć tak piękną twarz, gdybyś nie kochała mnie i wszystkich innych? Nie. Możesz zatapiać tyle statków, ile tylko chcesz, a ja nie powiem na to ani słowa. Ale wiesz, nie powiem, żebym chciał się temu przyglądać.

– To zupełnie co innego – odparła Wiatr Północy, po czym jednym susem zeskoczyła z dachu i pomknęła między chmury, trzymając Diamonda pod swoim lewym ramieniem, w pobliżu serca. A chmury, jak gdyby wiedząc, że się zjawiała, buchnęły świeżą radością grzmiącego światła. Przez kilka chwil Diamondowi wydawało się, że lecą przez bezdenne ocean oślepiających płomieni, a już w następnym momencie porywy wiatru zawirowały wokół niego niczym zawierucha węży. Byli teraz pośród chmur i mgieł, które przybierały kształt wiatru – kłębiły się i splatały, w wirującym pędzie rozbryzgując się niczym strumienie czarnej i siwej wody. I wyglądało to tak, jakby sam wiatr przybrał postać, jakby siwy i czarny miotał się i ciskał szaleńczo wokół chłopca: oślepił go, uderzając po oczach, ogłuszał, wypełniając mu uszy wyciem – teraz, gdy rozległ się grom, Diamond wiedział już, że to bałwany potężnego oceanu powietrza, które zderzają się ze sobą w pędzie, by wypełnić bruzdę wyrytą w niebie przez błyskawicę – i pozbawiał oddechu, odejmując powietrze od ust mocą swojego pędu. Ale Diamond na to nie zważał: gwałtownie zaczerpnął powietrza, a potem zaczął się śmiać, ponieważ obejmowało go ramię Wiatru Północy, a on opierał się na jej piersi. Nie da się wprost opisać tego, co widział. Czy kiedykolwiek przyglądaliście się potężnej fali, która wdiera się w kręty przesmyk między skałami? Jeśli tak, to widzieliście zapewne, jak woda pędzi we wszystkich kierunkach naraz, a niektóre fale wręcz zawracają, stawiając opór reszcie żywiołu – tak wielkiego zamieszania nie można zobaczyć nigdzie indziej, chyba że w tłumie ogarniętych paniką ludzi. Cóż, wiatr wyglądał dokładnie tak, ale pędził znacznie szybciej niż woda: był o wiele dzikszy, skręcał się, miotał, wił, huczał, robił uniki i zderzał sam ze sobą z dziesięć razy większą furią niż cokolwiek innego na świecie, prócz może ludzkich namiętności. Diamond widział kosmyki włosów pięknej pani mknące wśród tego wszystkiego. Miejscami nie mógł rozróżnić, czy są to włosy, czy też czarne pasma burzy i oparu. Czasem wydawało mu się, że wszystkie te mętne i mgliste podmuchy utkane są z krzyżujących się, bezkresnych włosów Wiatru Północy, zwijających się w nieskończonych splotach. Gdy wichura porwała go za jego własne włosy – dość długie, bo jego matka nie ścinała ich na krótko – Diamond poczuł się tak, jakby sam był częścią burzy i jakby część jej mocy płynęła z niego samego. Był jednak tak dobrze ukryty w ramionach i na piersi Wiatru Północy, że tylko czasami, pod jakimś zajadlejszym naporem skłębionych bałwanów wichru, zdawał sobie na moment sprawę z tego, jak potężna jest nawałnica, która niesie go zagnieżdżonego bezpiecznie w samym centrum swojej istoty – w sercu, które nadaje burzy siłę i kształt.



Diamondowi zdawało się również, że trwają w tym centrum nieruchomo, a całe zamieszanie i wrzawa rozgrywają się dookoła nich. Rozbłysk po rozbłysku błyskawice rzucały światło na ten dziki chaos, ujawniając w mgnięciach żółceni, błękitu, szarości i przyćmionej czerwieni spowitą oparami walkę żywiołów; raz po razie grom rozdzierał nieskończoną pustkę, ale chłopcu zdawało się przez cały czas, że on i Wiatr Północy stoją nieruchomo, a poruszają się tylko jej włosy. Mylił się bardzo, bo w tym pozornym bezruchu mknęli w kierunku morza z prędkością samego wiatru.

ROZDZIAŁ VII

W KATEDRZE

Nie będę dalej opisywać czegoś, czego opisać nie można, bo nic nie męczy bardziej niż próby dokonania niemożliwego.

Zanim dotarli nad morze, Diamond poczuł, że włosy Wiatru Północy zaczynają opadać i gromadzić się wokół niego.

– Czy burza już się skończyła? – zapytał.

– Nie, Diamondzie. Zatrzymałam się tylko na chwilę, żeby cię odstawić. Nie chcesz oglądać zatapiania statku, więc zaprowadzę cię w takie miejsce, w którym będziesz mógł na mnie poczekać.

– Och, dziękuję ci, Wietrze Północy – powiedział Diamond. – Szkoda, że nie mogę iść z tobą, ale naprawdę wolałbym nie widzieć, jak ten statek tonie. Boję się, że ludzie będą krzyczeli i płakali, a ja mógłbym ich usłyszeć – dodał z westchnieniem.

– Cóż, na tym statku płynie sporo ludzi i mówiąc szczerze, ja też bym wolała, żebyś nie słyszał ich krzyku. Obawiam się, że przez długie lata nie mógłbyś go zapomnieć.

– Ale w takim razie jak ty będziesz mogła go znieść? Wiem już przecież, że jesteś dobra. Nigdy więcej w to nie zwątpię.

– Powiem ci, w jaki sposób znoszę takie rzeczy, Diamondzie. W głowie słyszę nieustannie melodię odległej pieśni, której nie jest w stanie zagłuszyć żaden hałas, nawet ten, który robię ja sama. Nie wiem, skąd ona dobiega ani co znaczy, nie słyszę jej też wyraźnie: czuję tylko jakby lekką woń melodii, przemykającą się poprzez ogromne bałwany oceanu poza tą sferą, w której rozpętałam burzę. Ale to, co słyszę, wystarczy, bym mogła znieść krzyk dochodzący z tonącego statku. Tobie też by wystarczyło, gdybyś słyszał to, co ja.

– Wcale nie – odparł Diamond stanowczo. – Ponieważ o n i by nie słyszeli tej odległej pieśni. A nawet gdyby słyszeli, nic by im to nie pomogło. M y nie musimy utonąć, więc dla nas słuchanie może być przyjemne.

– Ty nigdy nie słyszałeś owego psalmu, dlatego nie możesz wiedzieć, jak to jest. Jakimś sposobem, nie wiem nawet jak, jego melodia mówi mi, że wszystko jest dobrze i że przybywa, by pochłonąć wszystkie płacze i lamenty.

– Ale im to nic nie pomoże, tym ludziom, którzy mają utonąć – upierał się Diamond.

– Ależ musi, musi – odparła Wiatr Północy pospiesznie. – Ta pieśń nie mogłaby być tym, czym się wydaje, gdyby nie pochłonęła całego ich strachu i cierpienia i nie sprawiła, że oni sami włączą się w ów śpiew. Jestem pewna, że tak będzie. I powiem ci jeszcze, że od kiedy tylko mam włosy, to znaczy od czasu, kiedy zaczęłam wiać po świecie, ta melodia nieustannie się do mnie przybliżała. Chociaż musiały minąć setki lat, zanim ją usłyszałam.

– No to jak możesz mówić, że się przybliżała, skoro jej nie słyszałaś? – powątpiewał Diamond.

– Od chwili, gdy ją usłyszałam, robi się coraz głośniejsza, myślę więc, że przybliżała się do mnie przez cały ten czas. Nie jestem znów aż tak bardzo stara – mam kilka tysięcy lat – ale byłam jeszcze całkiem mała, gdy usłyszałam jej dźwięki po raz pierwszy i od razu wiedziałam, że musi być głosem kogoś o wiele starszego i mądrzejszego ode mnie. Nie umiem śpiewać – może czasem, tylko trochę, ale nawet wtedy nie potrafię powiedzieć, o czym będzie moja pieśń. Dowiaduję się tego dopiero wówczas, gdy już ją zaśpiewałam. Ale dość już o tym. Poczekasz na mnie tutaj?

– Nie widzę jeszcze żadnego tutaj – odparł Diamond. – Twoje włosy owijają mnie jak ciemna noc. Nic przez nie widzę, choćbym nie wiem jak wyęzał wzrok.

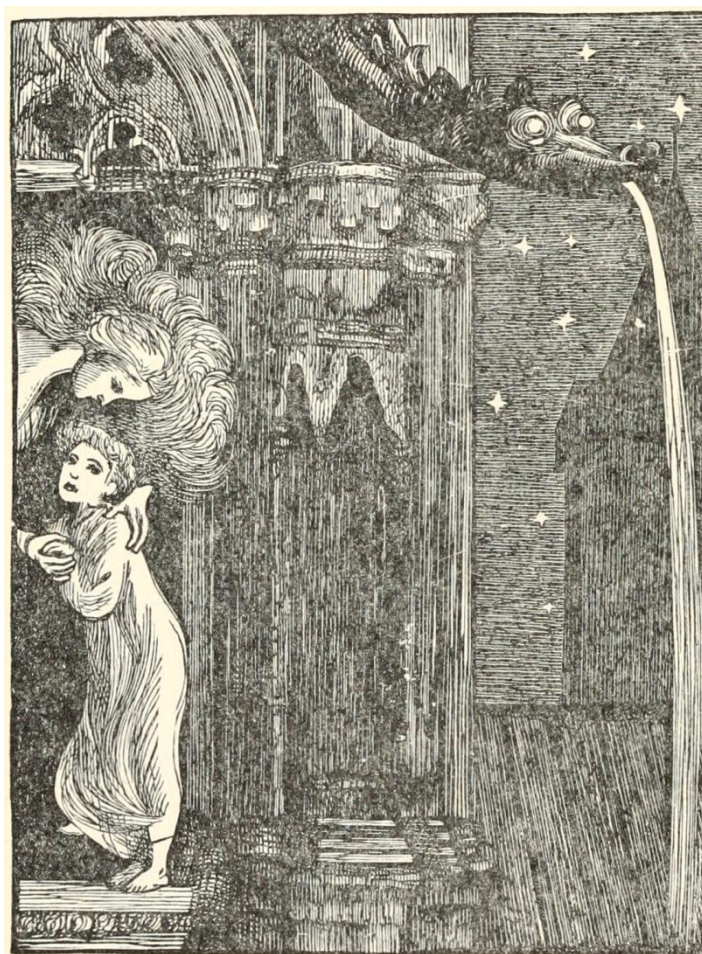
– Spójrz teraz – powiedziała Wiatr Północy i jednym ruchem potężnego białego ramienia zmiotła sprzed jego oczu grubą na jard zasłonę ciemności.

I oto ukazał mu się błękit rozgwieżdżonej nocy. Wszędzie, gdzie nie lśniły same gwiazdy, połyskiwała ich mleczna poświata, za wyjątkiem tego jednego miejsca, które znajdowało się dokładnie naprzeciwko Diamonda: tam szare wieżycy katedry czerniły się każda swoim własnym kształtem na tle nocnego, usianego gwiazdami nieba.

– Och, a co to? – zawołał chłopiec, przejęty czymś w rodzaju grozy. Nigdy wcześniej nie widział katedry, która teraz wznosiła się przed nim pośród otwartej przestrzeni i z przerażającą realnością podbijała pustkę swoim ogromem.

– To bardzo dobre miejsce do czekania – odrzekła Wiatr Północy. – Ale wejdziemy do środka, byś mógł się sam przekonać.

Weszli przez otwarte drzwi wychodzące na dach, które znajdowały się na środku jednej z wież katedry. Tam Wiatr Północy postawiła Diamonda na jego własnych nogach, a chłopiec



zorientował się, że stoi u szczytu kamiennych, spiralnych schodów, które prowadzą w dół, w ciemność. Przez drzwi wieży wpadało niewiele światła, ale ta odrobina pozwalała mu zobaczyć, że Wiatr Północy cały czas stoi obok niego. Podniósł głowę i poszukał wzrokiem jej twarzy, a wówczas zorientował się, że z pięknej olbrzymki stała się wysoką panią – taką, jaką lubił widzieć ją najbardziej. Pani wzięła go za rękę i powiodła w dół po szerszej części spiralnych schodów aż do kolejnych drzwiczek, przez które wprowadziła chłopca na wąską galerię biegnącą wzdłuż całej nawy głównej kościoła, po gzymsach okien znajdujących się w clerestorium i przez przejścia pod filarami, które oddzielały okna od siebie. Galeria była naprawdę wąska i za wyjątkiem momentów, w których przechodzili pod filarami, Diamond nie widział niczego, co mogłoby zapobiec upadkowi w czeluść kościoła. A ta rozpościerała się tuż pod jego stopami jak cicha zatoka wydrążona w kamieniu, więc wstrzymywał oddech ze strachu, gdy tylko spoglądał w dół.

– Dlaczego drżysz, mały Diamondzie? – zapytała pani, prowadząc go łagodnie wzdłuż galerii z jedną ręką wyciągniętą wstecz, gdyż nie było tyle miejsca, żeby mogli iść obok siebie.

– Strasznie się boję, że spadnę – odrzekł chłopiec. – Tu jest bardzo wysoko.

– Tak, dość wysoko – odparła Wiatr Północy. – Ale zaledwie chwilę temu byłeś sto razy wyżej.



– O, tak, ale wtedy obejmowało mnie czyjeś ramię – odpowiedział, przyciskając wargi do pięknej białej dłoni, która trzymała go za rękę.

– Twoje usteczka są takie miłe i ciepłe – powiedziała Wiatr Północy. – Tym bardziej szkoda, że opowiadasz nimi bzdury. Czy teraz też cię nie trzymam?

– Owszem, ale muszę iść na własnych nogach, a one mogą się pośliznąć. Nie mam do siebie tyle zaufania, ile mam do twoich ramion.

– Ale przecież mówię, że cię trzymam, ty niemądre dziecko.

– Wiem, ale mimo wszystko jakoś nie czuję się pewnie.

– Nawet gdybyś miał puścić moją rękę i spaść, w mgnieniu oka pospieszyłabym za tobą i złapałabym cię w locie zanim zdążyłbyś upaść na posadzkę.

– I tak mi się to nie podoba – odparł Diamond.

– O c h ! O c h ! O c h ! – wrzasnął w następnej chwili, zginając się wpół ze zgrozy, gdyż Wiatr Północy puściła jego rękę i zniknęła, zostawiając go jak wrośniętego w kamienną galerię.

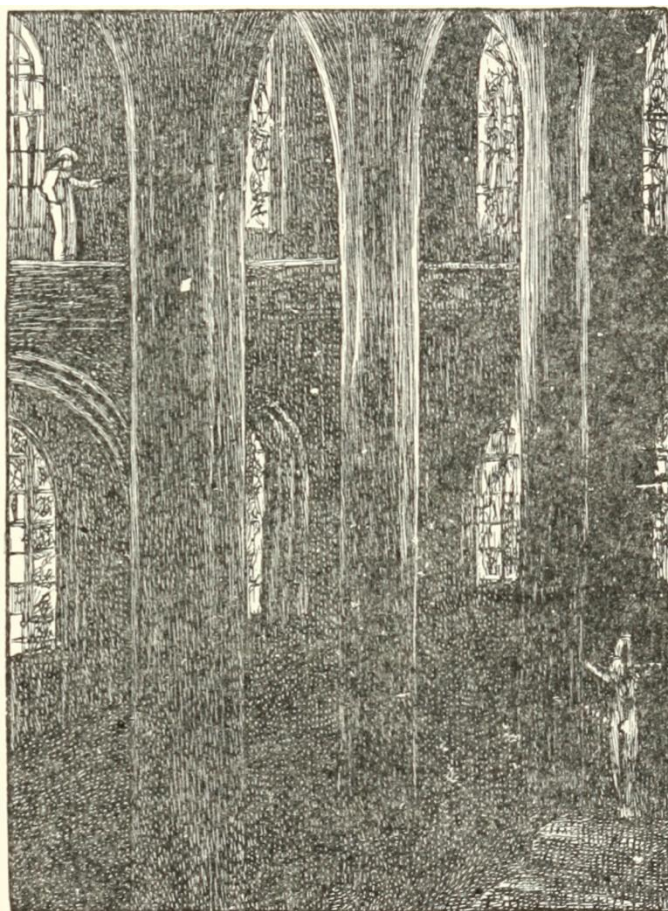
W uszach brzmiały mu tylko jej słowa: „Idź za mną”.

On jednak nie śmiał się ruszyć. Jeszcze moment, a poleciałby w dół z samego przerażenia, gdy nagle jego twarz owionął chłodny powiew i Diamond czuł, jak z każdym jego tchnieniem rozwiewają się przytłaczające go strach i słabość. Odwaga zaczęła odżywać w sercu chłopca, a tymczasem chłodzące poddmuchy lekkiego wietrzyku ciągle go ogarniały, a wietrzyk ów był tak potężny w swojej łagodności, że już wkrótce Diamond maszerował wzdłuż wąskiego gzymsu chwilowo tak nieustraszenie, jak nieustraszenie prowadziła go przed chwilą Wiatr Północy.

Szedł i szedł, mając po jednej stronie szereg wysokich okien, a po drugiej wielką, pustą nawę kościoła, która rozbrzmiewała echem jego odważnych kroków. W końcu doszedł do otwartych drzwiczek i do szerszych niż poprzednio schodów, które powiodły go w dół, w dół i w dół – tam znalazł się nareszcie w ramionach Wiatru Północy, która przycisnęła go mocno do siebie i pocałowała w czoło. Diamond wtulił się w jej piersi jak pisklę i wyszeptał:

– Dlaczego mnie zostawiłaś, droga Wietrze Północy?

– Ponieważ chciałam, żebyś szedł sam – odpowiedziała.

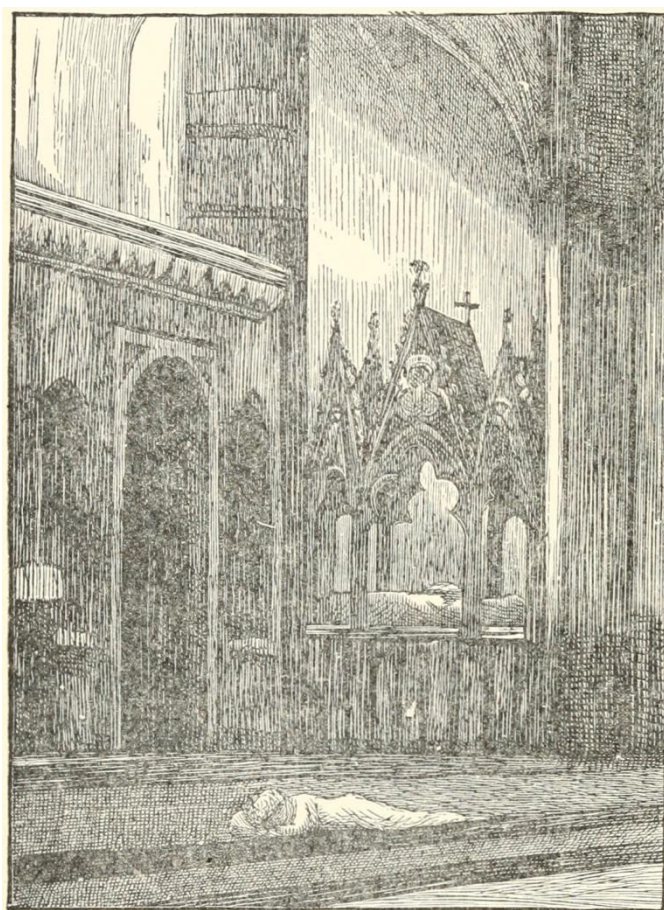


- Ale tutaj jest mi o wiele milej – rzekł na to.
- Zapewne. Lecz ja nie mogłabym przyciskać do serca małego tchórza. Przejęłoby mnie to strasznym chłodem.
- Tylko że ja nie byłem odważny sam z siebie – powiedział Diamond. Moi starsi czytelnicy i czytelniczki zorientowali się już pewnie, iż Diamond był prawdziwym dzieckiem również w tym, że chętnie zwracał się w stronę metafizyki. – Wiatr wiał mi w twarz i przez to byłem odważny. Prawda, Wietrze Północy?
- Owszem. Wiem, że tak było. Należało dopiero nauczyć cię, czym jest odwaga. A nie mogłeś jej poznać, wprawdzie nie doświadczywszy, dlatego wiatr ci ją podarował. Ale czy nie czujesz, że następnym razem mógłbyś spróbować zdobyć się na odwagę sam z siebie?
- O tak. Ale samo próbowanie to jeszcze nic...
- Wręcz przeciwnie: próba to już bardzo wiele, ponieważ od niej się zaczyna. A zacząć to najważniejsza rzecz ze wszystkich. Zdobywać się na odwagę oznacza być odważnym, a tchórz, który stara się postępować odważnie, ma większą zasługę niż ktoś, kto jest odważny, bo takim został stworzony i dlatego nie musi się starać.
- Jesteś dla mnie taka dobra, Wietrze Północy.
- Jestem tylko sprawiedliwa. Wszelka dobroć jest po prostu sprawiedliwością, do której jesteśmy zobowiązani.
- Chyba nie do końca cię rozumiem.
- Nie martw się, pewnego dnia zrozumiesz. W tych sprawach nie ma pośpiechu.
- A kto sprawił, że wiatr dmuchał na mnie i dawał mi odwagę?
- Ja.
- Ale przecież cię nie widziałem.
- Dlatego właśnie możesz mi uwierzyć.
- Tak, tak, oczywiście. Ale jakim cudem taki lekki powiew mógł być tak silny?
- Tego nie wiem.
- To nie ty dałaś mu siłę?
- Nie, ja tylko sprawiłam, że wiał. Wiedziałam, że da ci siłę, tak jak temu człowiekowi w łódce, pamiętasz? Nie wiem jednak, jak to się dzieje, że mój oddech ma taką moc. Wiem tylko tyle, że otrzymał ją w chwili, gdy ja sama zostałam stworzona. Ale teraz już naprawdę muszę zająć się moją pracą.
- Och, ten biedny statek! Tak bym chciał, żebyś tu została i pozwoliła mu odpłynąć.
- Tego nie ośmieliłabym się zrobić. Poczekasz na mnie tutaj?
- Tak. Długo cię nie będzie?
- Nie dłużej niż trzeba. Wrócisz do domu przed świtem, możesz mi zaufać.

I w mgnieniu oka zniknęła, a po chwili w kościele rozległo się zawodzenie, które następnie przerodziło się w ryk. Burza znów zaczynała przybierać na sile, a Diamond wiedział, że włosy Wiatru Północy rozsnuwają się w tym momencie po całym niebie.

W katedrze było ciemno. Przez okna – w większości bezcenne, stare witraże, które są o wiele ładniejsze od tych nowoczesnych – wpadało bardzo niewiele światła. Gwiazdy świeciły tak słabo, że Diamond nie był nawet w stanie przyjrzeć się kolorom witraży i mógł jedynie odróżnić ich zarys na tle ściany. Spojrzał w górę, lecz nie dostrzegł galerii, po której przeszedł: tylko słaba poświata okien clerestorium wskazywała, na jakiej wysokości należałoby jej szukać. Wkrótce panująca w kościele pustka sprawiła, że zaczęła mu doskwierać samotność i poczuł się jak dziecko porzucone przez matkę. Wiedział jednak, że być pozostawionym samemu nie zawsze oznacza zostać porzuconym.

Powoli, po omacku, zaczął wędrować po katedrze. Jego lekkie kroki wzbudzały delikatne echa w wielkiej budowli, która – choć była taka ogromna – nie przestała jednak zwracać na niego uwagi. Wydawało się, że kościół wie o obecności chłopca i pragnie, by ów poczuł się w nim jak w domu. Odpowiadał więc echem na każde jego stąpienie, aż w końcu Diamond poczuł chęć, by się odezwać i zobaczyć, co też kościół odpowie. Przekonał się jednak, że nie ma odwagi przemówić – nie potrafił wydobyć z siebie głosu, który tamował strach przed samotnością. Może to i lepiej, że nic nie powiedział, bo dźwięk wymówionego słowa spotęgowałby pewnie poczucie pustki i opuszczenia panującego w katedrze. Pomyślał jednak, że mógłby coś zaśpiewać. Bardzo lubił śpiewać i w domu zwykł podśpiewywać do wtóru samodzielnie wymyślonych melodii wszystkie dziecięce wierszyki, które znał. Spróbował więc zanucić *Hey diddle diddle*, ale nie udało mu się to. Potem spróbował z *Little Boy Blue*, ale poszło niewiele lepiej. *Sing a Song of Sixpence* jakoś nie chciała się zaśpiewać. *Poor Old Cockytoo* też odmówiła posłuszeństwa. Wszystkie one brzmiały teraz głupio, choć nigdy wcześniej się takie nie wydawały! Diamond zamilkł i wsłuchał się w echa swoich kroków dobiegające z mrocznych zakamarków katedry.



W końcu westchnął głęboko i powiedział „Jestem t a k i zmęczony”. Z wysokiego sklepienia odpowiedziało mu łagodne echo, którego on jednak nie usłyszał, ponieważ w tym samym momencie natknął się na najniższy z kilku stopni biegnących wzdłuż kościoła, potknął się, przewrócił i uderzył w ramię. Popłakując, na czworakach wpełzł po wyższych stopniach. Na górze posadzka była wyłożona dywanem – położył się na jego skraju i wpatrzył w szare okno majaczące jakieś sto stóp ponad jego głową.

Było to wschodnie okno katedry, a w tym właśnie momencie księżyc znalazł się na

krawędzi horyzontu. Jeszcze chwila – i już wyglądał spoza niej. I cóż to? Wraz z pojawieniem się księżycy, św. Jan, św. Paweł i inni apostołowie zaczęli świtać we wschodnim oknie w swoich ślicznych szatach i płaszczach. Diamond nie zdawał sobie sprawy, że za witrażem wschodzi cudotwórczy księżyc i sądził, że całe to światło wypływa z samego okna, a wszyscy ci dobrzy staruszkowie zjawili się właśnie po to, by mu pomóc – wyłonili się z nocy i ciemności, bo on uderzył się w ramię, bo czuje się zmęczony i samotny, bo Wiatr Północy tak długo nie wraca. Leżał więc na wznak, wpatrując się w nich z odchyłoną do tyłu głową i zastanawiając się, kiedy też zejda na dół i co zrobią potem. Apostołowie byli bardzo niewyraźni, światło księżycy nie było wystarczająco silne, by wydobyć ich kolory, i chłopiec musiał mocno wyteżać wzrok, by w ogóle rozpoznać sylwetki. Czuł, że jego oczy robią się coraz bardziej zmęczone od tego wysiłku, a powieki zaczynają ciężać i opadać. Oczy mu się zamykały – próbował je otwierać, lecz za każdym razem było to coraz trudniejsze. Dłuższa walka nie miała sensu: senność zaczęła brać nad nim górę. Czasem powieki opadały jeszcze zanim zdążył unieść je choćby do połowy, wkrótce też poddał się zupełnie i w tym samym momencie zasnął głęboko.

ROZDZIAŁ VIII

POD WSCHODNIM OKNEM

To, że Diamond zapadł w głęboki sen, jest zupełnie oczywiste, bo nagle zaczęło się mu wydawać, że wokół dzieją się dziwne rzeczy. Miał na przykład wrażenie, że słyszy szepty dobiegające z góry, od strony wielkiego okna. Próbował otworzyć oczy, lecz nie był w stanie tego zrobić – tymczasem szepty wcale nie cichły, stawały się nawet coraz głośniejsze, aż w końcu chłopiec mógł rozróżnić każde wypowiedziane słowo. Pomyślał, że to Apostołowie rozmawiają na jego temat, nadal jednak nie mógł unieść powiek.

– Piotrze, zaprawdę powiedz nam, jak on się tu znalazł? – dopytywał jeden z nich.

– Zdaje mi się, że widziałem go wcześniej na galerii, pod oknem Nikodema. Może stamtąd spadł. Co o tym myślisz, Mateuszu?

– Nie sądzę, by mógł się tutaj doczołgać po upadku z takiej wysokości. Nie przeżyłby czegoś takiego.

– Ale co z nim zrobimy? Nie możemy go przecież tak zostawić. U nas na witrażu też nie byłoby mu wygodnie: już i tak panuje na nim niezły ścisk. Co radzisz, Tomaszu?

– Zejdźmy na dół i obejrzyjmy go sobie.

Po tych słowach przez chwilę słychać było jakieś szelesty i brzęki; potem zapadła cisza, a Diamond poczuł, że wszyscy apostołowie pochylają się nad nim i bacznie się mu przypatrują. Jego powieki jednak nadal ani drgnęły.

– Co mu dolega, Łukaszu? – zapytał któryś.

– Nic a nic – odparł święty Łukasz, który w tym czasie musiał przyłączyć się do kompanii z sąsiedniego okna. – Po prostu śpi.

– Już wiem! – zawołał inny Apostoł. – To jedna ze sztuczek Wiatru Północy. Porwała go z sobą, a potem zostawiła na naszym progu jak uschnięty liść albo jak małego podrzutka. Muszę powiedzieć, że nie mam zrozumienia dla jej postępków. Mało mamy własnych wydatków, żebyśmy mieli jeszcze zajmować się cudzymi dziećmi? Nie po to nasi przodkowie budowali katedry.

Diamond nie mógł dłużej słuchać takich oskarżeń pod adresem Wiatru Północy, która nigdy przecież nie bawiła się w żadne sztuczki. Miała wystarczająco dużo pracy, by nie zajmować się podobnymi rzeczami. Ze wszystkich sił starał się więc otworzyć oczy – bezskutecznie.

– Powinna wziąć pod uwagę fakt, że kościół to nie miejsce na strojenie żartów, nie wspominając już o tym, że m y w nim mieszkamy – ozwał się inny głos.

– Z pewnością świadczy to o braku szacunku. Ale przecież ona zawsze była bezczelna. Jakim prawem waliła w nasze okna przez całą dzisiejszą noc? Dam głowę, że w kilku miejscach powybiła szyby. Moja błękitna szata jest w opłakanym stanie: najpierw lała na nią deszcz, potem sypał kurz. Czyszczenie będzie mnie słono kosztować, jak amen w pacierzu.

W tym momencie Diamond zorientował się, że ludzie, którzy tak mówią, nie mogą być apostołami. To mogli być co najwyżej jacyś kościelni lub zakrystianie, którzy wstają po nocach, by ubierać się w szaty diakonów i biskupów, a potem tytułować się nawzajem dostojnymi nazwiskami, jak ci głupi służący, o których opowiadał mu ojciec, co pod nieobecność swoich chlebobawców zwracają się do siebie „jaśnie panie” i „jaśnie pani”. Diamonda tak bardzo rozżłościły te zniewagi pod adresem Wiatru Północy, że zerwał się na równe nogi i krzyknął:

– Wiatr Północy sama wie najlepiej, co jej wolno, a co nie! Ma pełne prawo wymiatać pajęczyny z waszych okien, bo po to została posłana! Wymiata je nawet z dostojniejszych miejsc, jeśli już musicie wiedzieć. Widziałem to na własne oczy.

Gdy to mówił, oczy otwały mu się szeroko, ale – o dziwie – nigdzie nie było widać ani apostołów, ani nawet zakrystianów; nie było też okna z podobiznami świętych mężów, a tylko ciemna sterta siana wokół niego i małe szybki dachowego okienka, które migotało błękitnym światłem poranka. Poniżej w stajni stary Diamond właśnie budził się ze snu. Po chwili był już na nogach i otrząsał się z taką siłą, że łóżko małego Diamonda całe się zatrzęsło.

– Ale on się wspaniale otrząsa – powiedział do siebie chłopiec. – Też bym tak chciał. No ale za to on nie umie się umyć, a ja owszem. To by dopiero była zabawa, zobaczyć, jak Diamond myje sobie twarz przednimi kopytami. I to jeszcze w podkowach!

Tak rozprawiając, wstał i ubrał się, a potem wyszedł do ogrodu. W nocy była widać straszna wichura, bo chociaż teraz wszędzie panował spokój, ogrodowa altanka leżała w ruinie, przygnieciona potężnym wiązem, który najwyraźniej był spróchniały od środka, bo wiatr złamał go i powalił. Diamondowi zbierało się na płacz, gdy przyglądał się tej dzikiej gęstwinie liści, które zwykły zielenić się wysoko na niebie i tańczyć w łagodnych podmuchach (najbardziej lubił, gdy wiatr miotał nimi bardzo mocno), a teraz leżały niemal na samej ziemi, bez najmniejszej nadziei na to, że kiedykolwiek znajdą się znowu w górze.

– Ciekawe, ile to drzewo miało lat – zastanawiał się chłopiec. – Pewnie rosło strasznie długo, zanim dostało się tak blisko nieba.

– Owszem, na pewno tak było – odezwał się nagle ktoś obok niego, ponieważ Diamond ostatnie słowa wypowiedział na głos.

Chłopiec wzdrygnął się zaskoczony, obejrzał i zobaczył obok siebie pewnego duchownego, brata pani Coleman, który akurat przyjechał do niej z wizytą. Był to wielki uczony, który miał w zwyczaju wstawać skoro świt.

– A ty to kto, młodzieńcze? – zapytał nieznajomy.

– Mały Diamond – odparł chłopiec.

– Ach, słyszałem o tobie! Jak to się stało, że jesteś na nogach tak wcześnie?

– Bo ci fałszywi apostołowie wygadywali strasznie bzdury i mnie obudzili.

Duchowny spojrział na Diamonda zdziwiony, a chłopiec poczuł, że lepiej było trzymać język za zębami: wiedział, że zapytany nie będzie umiał niczego wyjaśnić.

– Musiało ci się coś przyśnić, mój mały – powiedział jednak tamten. – Tak, tak – ciągnął, spoglądając na drzewo – straszne rzeczy się tu działy. To robota wiatru północnego. Jaka szkoda! Chciałbym doprawdy, żebyśmy mieszkali poza nim.

– Czyli gdzie, proszę pana? – zapytał Diamond.

– Daleko w Hiperborei – odparł duchowny, uśmiechając się.

- Nigdy nie słyszałem o takim kraju – zauważył Diamond.
- Zapewne – odrzekł tamten. I dodał – Ale gdyby to drzewo tam rosło, wiatr by go nie powalił. Tam nie ma wiatru.
- Ale, proszę pana, gdyby tam rosło, nie byłoby nam go żal – powiedział chłopiec.
- Z pewnością nie.
- I tak samo nie moglibyśmy się wcześniej nim cieszyć – ciągnął Diamond.
- Masz świętą rację, mój chłopcze – odparł duchowny, spoglądając na niego z sympatią, po czym odwrócił się w stronę domu i odszedł, wbijając wzrok w ziemię. A Diamond pomyślał sobie wtedy: „Poproszę Wiatr Północy, żeby zabrała mnie kiedyś do tego kraju. Wydaje mi się, że już raz o nim wspominała”.

ROZDZIAŁ IX

JAK DIAMOND TRAFIŁ DO KRAJU POZA WIATREM PÓŁNOCNYM

Gdy Diamond wrócił do domu na śniadanie, jego rodzice siedzieli już przy stole i jedli w najlepsze chleb z masłem. Chłopiec usiadł na swoim zwykłym miejscu, a jego matka zaczęła mu się uważnie przyglądać. Po chwili odezwała się do męża:

- Coś mi się widzi, że Diamond nie wygląda najlepiej.
- Tak mówisz? Ano, sam nie wiem. Na moje oko zdrów jest jak koń. No jak tam się miewasz, synu?
 - Zupełnie dobrze, tato, dziękuję. Może tylko trochę boli mnie głowa.
 - A widzisz! Mam rację! – zawołali jego rodzice jednocześnie.
 - Dziecko jest chore – dodała matka.
 - Chłopak tryska zdrowiem – uzupełnił ojciec.
- Po czym oboje się roześmiali.
 - Wiesz, dostałam dziś list od mojej siostry z Sandwich – powiedziała ona.
 - Z tej sennej, nieruchawej miejsciny! – skwitował jej mąż.
 - Po co ją krytykujesz? Mieszkają tam porządni ludzie – odparła.
 - Już dobrze, duszko – odparł. – Po prostu coś mi się nie widzi, żeby w całej tej dziurze znalazły się więcej niż dwie pary dobrych cugowych.
 - Nie trzeba mieć powozu, by trafić do nieba. Ani woźnicy, skoro już o tym mowa, mój drogi. Nie żebym ja miała chęć obywać się bez m o j e g o woźnicy. Ale co z chłopcem?
 - Co za chłopcem?
 - Tym tutaj, który wgapia się w ciebie oczami jak spodki.
 - Mam oczy jak spodki, mamo? – zapytał Diamond, nieco skonsternowany.
 - Nie bardzo duże spodki – odparła jego matka, która była całkiem dumna z oczu swojego synka, ale nie chciała wbijać go w pychę. – Nie bardzo duże spodki, tylko nie musisz ich tak wytrzeszczać.
 - Więc co z nim? – dopytywał ojciec.
 - Mówiłam ci, że dostałam list.
 - Ano tak, od twojej siostry. Nie od Diamonda.
 - Oj, mężu, coś mi się zdaje, że wstałeś dziś z łóżka lewą nogą.



- Zawsze wstaję od razu na obie – odparł ze śmiechem.
- No to posłuchaj: moja siostra chce, żeby Diamond przyjechał do niej w odwiedziny.
- Więc próbujesz mi wmówić, że chłopak źle wygląda?
- Bo też tak jest. Myślę, że powinien jechać.
- Ano, nic mi do tego, o ile wygospodarujesz pieniądze – powiedział ojciec.
- Tak zrobię – odparła matka i tym samym zostało postanowione, że Diamond pojedzie do Sandwich.

Nie będę opisywał przygotowań, jakie Diamond poczynił przed wyjazdem – jeszcze byście pomyśleli, że wybierał się na trzymiesięczną wyprawę. Nie będę też opowiadał, jak przebiegła sama podróż, bo nas interesuje to, co zdarzyło się już na miejscu. Ze stacji odebrała go ciotka, wesoła kobieta w średnim wieku, która następnie zabrała go do sennej, nieruchawej miejsciny, jak nazywał Sandwich ojciec Diamonda. Nic dziwnego, że miasteczko było senne, było bowiem niemal zupełnie zmartwiałe ze starości.

Diamond przechadzał się po osobliwych, wiekowych uliczkach, przyglądając się sklepom i domom swoimi ślicznymi oczami jak spodki. Wszystko wokół wyglądało rzeczywiście bardzo dziwnie, bo Sandwich to miasteczko porzucone przez swoją opiekunkę – morze – jak stara ostryga wyrzucona na brzeg, która w końcu otwiera muszlę z wyczerpania i wysycha. Kiedyś było jednym z pięciu głównych portów morskich Anglii, lecz z czasem zaczęło zbytnio się wynosić, a morze coraz bardziej się od niego oddalało, wycofywało się i trzymało na dystans, by ostatecznie całkowicie je porzucić, pozostawiając na suchej wyniosłości. Miasto przestało być portem, a morze zajmowało się w oddali swoimi sprawami przyptywów i odpływów, aż w końcu zupełnie o nim zapomniało. Nic więc dziwnego, że Sandwich stało się ospałe i nie miało więcej do czynienia ze statkami. Tak właśnie dzieje się z miastami i narodami, z dziewczynkami i chłopcami, którzy mówią „Dam sobie radę b e z ciebie. Nie potrzebuję niczyjej pomocy”.



Diamond wkrótce bardzo zaprzyjaźnił się z pewną starszą panią, która prowadziła sklep z zabawkami: przed wyjazdem matka dała mu dwa pensy kieszonkowego i chłopiec wybrał się właśnie do tego sklepu, żeby sobie coś kupić, a sprzedawczyni nawiązała z nim rozmowę. Wyglądała bardzo zabawnie, bo nie miała wcale zębów, ale Diamond polubił ją i przychodził do sklepu bardzo często, choć nie miał już więcej pieniędzy do wydania.

Pewnego popołudnia poczuł się zmęczony podczas swojej codziennej włóczęgi po ulicach – dzień był upalny, a on snuł się po miasteczku już od dłuższego czasu. Gdy znalazł się przed sklepem z zabawkami, postanowił wstąpić do środka.

– Przepraszam, czy mogę posiedzieć sobie przez chwilę na tym pudle? – zapytał, myśląc, że stara sprzedawczyni kręci się gdzieś po sklepie. W końcu usiadł, nie doczekawszy się odpowiedzi. Wokół niego piętrzyło się całe mnóstwo zabawek w przeróżnych cenach: niektóre kosztowały pensa, inne nawet po kilka szylingów. Wśród tego wszystkiego chłopiec usłyszał nagle łagodny szum, który sprawił, że poderwał się z miejsca i obejrzał. Tuż za nim, niemal przy samym jego uchu, wirowały skrzydła wiatraka. W pierwszej chwili pomyślał, że to nakręcana zabawka, w której działają specjalne trybiki – ale nie, to była zwykła zabawka za pensa, wiatraczek z gwizdkiem, w który trzeba dmuchać, żeby skrzydła się kręciły. Najdziwniejsze było jednak to, że nikt nie dmuchał w gwizdek, a skrzydła mimo to wirowały – raz szybciej, raz wolniej, potem znowu szybciej.

– O co tu chodzi? – zastanawiał się głośno Diamond.

– O mnie – odparł najcichszy głosik, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się usłyszeć.

– A kim ty jesteś? – zapytał.

– No nie, tego już za wiele. Bo zacznę się za ciebie wstydzić – odrzekł głos z oburzeniem.

– Zastanawiam się, kiedy w końcu nauczysz się mnie rozpoznawać. I ile jeszcze razy cię zaskoczę, zanim zrobisz się wystarczająco bystry, by domyślić się, że to ja. Zachowujesz się jak

dziecko, które nie rozpoznaje swojej matki, gdy widzi ją w nowym kapeluszu.

– Nie jest aż tak źle, droga Wietrze Północy – odparł Diamond – bo ja wcale cię nie widziałem i nadal cię nie widzę, poznaję jednak po głosie, że to ty. Urośnij troszkę, jeśli możesz.

– Nie mogę ani o włos – odrzekł głosik tak cichy, jak tylko można sobie wyobrazić. – Co porabiasz w Sandwich?

– Przyjechałem w odwiedziny do cioci. Ale Wietrze Północy, powiedz proszę, dlaczego nie wróciłaś po mnie tamtej nocy w katedrze?,

– Wróciłam i zaniosiłam cię bezpiecznie do domu. Przez cały ten czas, gdy śniłeś o apostołach z witrażu, trzymałam cię w ramionach.



– Tak cię cieszę! – odrzekł Diamond. – Myślałem, że tak właśnie było, ale chciałem to usłyszeć od ciebie. Czy zatopiłaś tamten statek?

– Owszem.

– I utopiłaś wszystkich pasażerów?

– Niezupełnie. Uratowała się jedna szalupa, w której było sześć czy siedem osób.

– Jakim cudem łódka mogła płynąć, skoro statek utonął?

– O, miałam z tym trochę kłopotu. Musiałam wdać się w tę sprawę i nieco uciszyć fale. Kiedy się na dobre rozchukają, trzeba się porządnie namęczyć, żeby je opanować – mają wtedy głupi zwyczaj zwalania się sobie na głowy. Ale szalupa przybiła do brzegu bezludnej wyspy następnego dnia w południe.

– I co w tym niby dobrego?

– Nie wiem. Ja tylko wykonuję rozkazy. Do widzenia.

– Och, poczekaj, Wietrze Północy, nie odchodź! – zawołał Diamond, zrozpaczony tym, że skrzydła wiatraczka zaczynają się obracać coraz wolniej.

– O co chodzi, moje drogie dziecko? – zapytała Wiatr Północy, a wiatrak zaczął kręcić się znów tak szybko, że jego skrzydła zlały się niemal w jedną smugę. – Ależ ty masz głos! I jaki hałas nim robisz. Co chciałeś? Nie mam dziś wiele pracy, ale nawet ta odrobina musi zostać wykonana.

– Chciałbym, żebyś zabrała mnie do kraju poza wiatrem północnym.

– To łatwo powiedzieć – odparła, po czym zamilkła na tak długo, że Diamond pomyślał, iż naprawdę odeszła. Lecz kiedy już prawie stracił nadzieję, głos znów się odezwał.

– Że też stary Herodot nie mógł trzymać języka za zębami. Lepiej by było, żeby o tym kraju nie opowiadał, skoro tak niewiele o nim wiedział.

– Dlaczego, Wietrze Północy?

– Ponieważ wtedy tamten duchowny nigdy by o nim nie usłyszał, a ty nie nabrałbyś ochoty, żeby się tam wybrać. Ale jeszcze zobaczymy. Zobaczymy. Teraz jednak musisz iść do domu, mój drogi chłopcze, nie wyglądasz najlepiej. Ja tymczasem zobaczę, co da się dla ciebie zrobić. Nie czekaj na mnie. Muszę jeszcze zepsuć kilka zabawek starej pani Goody, bo zaczęła ostatnio zbyt wiele myśleć o swoich nowych towarach. Dwie czy trzy wystarczą. O tak, dobrze! A teraz idź już.

Diamond podniósł się ze swojego pudła z uczuciem przykrości i bez słowa wyszedł ze sklepu.

Wkrótce też okazało się, że jego matka miała rację – jeszcze tego popołudnia bardzo rozboleła go głowa i musiał położyć się do łóżka.

Zbudził się w środku nocy. Szczebelinowe okienko w jego pokoju było rozwarne na oścież, a zasłony przy jego łóżku kołysały się w podmuchach wiatru.

– Może to Wiatr Północy! – pomyślał chłopiec.

Ale w następnej chwili usłyszał, że ktoś zamyka okno, a u jego wezgłowia zjawiała się ciotka. Położyła mu dłoń na czole i zapytała:

– Jak tam głowa, kochanie?

– Chyba trochę lepiej, ciociu.

– Chciałbyś się czegoś napić?

– O tak, proszę!

Ciotka przyniosła mu nieco lemoniady, gdyż znała się dobrze na opiece nad chorymi. Napój był bardzo orzeźwiający i chłopiec znów się położył, żeby – jak mu się zdawało – zasnąć głęboko. Wkrótce rzeczywiście usnął, lecz tylko po to, by obudzić się z kolejnym silnym podmuchiem, który znów otworzył okno na oścież. W następnej chwili Diamonda ogarnął tuman włosów Wiatru Północy, spomiędzy których jej piękna twarz wychylała się jak księżyc.

– Szybko, Diamondzie! – zawołała. – Taka okazja się nie powtórzy!

– Kiedy ja jestem chory – odparł chłopiec.

– Wiem o tym, ale odrobina świeżego powietrza sprawi, że poczujesz się lepiej. Będziemy mieć mnóstwo świeżego powietrza.

– Więc chcesz, żebym poszedł?

– Tak, chcę. Nie stanie ci się żadna krzywda.

– No dobrze – zgodził się Diamond i wyskoczył z pościeli wprost w ramiona Wiatru Północy.

– Musimy się pospieszyć, żeby twoja ciotka nie zdążyła nadejść – powiedziała, wyslizgując się na zewnątrz i zostawiając za sobą rozkołysane skrzydła okienne.

Gdy tylko Diamond znalazł się w jej objęciach, od razu poczuł się lepiej. Noc była bezksiężycowa i bardzo ciemna, a gwiazdy błyskały tylko czasami spomiędzy płynących po niebie chmur.

– Kiedyś rozbryzgiwałam morskie fale tu, gdzie teraz pasą się krowy i owce – powiedziała

Wiatr Północy. – Ale zaraz znów znajdziemy się nad morzem. Spójrz, już je widać.

I Diamond, spojrzawszy w dół, rzeczywiście zobaczył białawe błyski fal załamujących się daleko pod nimi.

– Widzisz, Diamondzie – mówiła dalej Wiatr Północy – to dla mnie bardzo trudne zabrać cię do kraju poza wiatrem północnym, który leży przecież na samej północy, a ja naturalnie nie potrafię wiać w tamtym kierunku.

– Czemu nie?

– Ty głuptasie! Czy nie rozumiesz, że gdybym wiała na północ, byłabym Wiatrem Południa, a to by znaczyło tyle, ile powiedzieć, że jedna osoba może być sobą i kimś innym jednocześnie?

– Ale jak w takim razie wracasz do domu?

– Masz całkowitą rację, to jest mój dom, choć nigdy nie wchodzę dalej niż na sam próg. Siedzę pod drzwiami i wsłuchuję się w głosy, które dobiegają z wnętrza. Jestem tam nikim, Diamondzie.

– Bardzo mi przykro.

– Dlaczego?

– Że tamci w środku traktują cię jak powietrze.

– Och, wcale mi to nie przeszkadza. Mój drogi, mały Diamondzie! Ty sam będziesz się kiedyś cieszył, że możesz być jak powietrze. Teraz jednak nie potrafisz jeszcze tego zrozumieć, więc lepiej nawet nie próbuj: gdybyś zaczął próbować, przyszłyby ci na pewno do głowy jakieś wierutne bzdury, które sprawiłyby, że czułbyś się nieszczęśliwy.

– W takim razie nie będę próbował.

– Bardzo słusznie. Wszystko przyjdzie w swoim czasie.

– Ale nie powiedziałaś mi jeszcze, w jaki sposób wracasz na próg swojego domu.

– To całkiem łatwe. Wystarczy tylko, że zgodzę się być nikim, być jak powietrze: i już tam jestem. Wycofuję się w siebie i już jestem na progu. Ale bez trudu możesz się domyślić, jeśli jesteś tak rozsądny, jak mi się zdaje, że nie mogę zabrać cię ze sobą tą drogą. Przetransportowanie kogoś tak ciężkiego zajęłoby całe wieki, a ja nie mam tyle czasu.

– O, strasznie mi przykro! – zmartwił się Diamond.

– A to czemu, skarbie?

– Że jestem dla ciebie takim ciężarem. Chciałbym zrobić się lżejszy, ale nie wiem, jak.

– Ty małe głupiątko! Przecież mogłabym cisnąć tobą na sto mil, gdybym zechciała. Tylko wówczas, gdy wracam do domu, jesteś dla mnie za ciężki.

– Więc zabierzesz mnie do twojego domu?

– Oczywiście. Czy nie zjawiłam się tylko po to, żeby cię ze sobą zabrać?

– Ale przecież możesz wiać tylko na południe.

– Zgadza się, to właśnie robię.

– Jak w taki razie zabierzesz mnie na północ?

– Bardzo mądre pytanie. Zaraz zobaczysz, tylko najpierw przepędzę stąd kilka chmur. Ależ one pędzą: to jak próbować wysuszyć strumyk samym dmuchaniem. O, już. I co teraz widzisz?

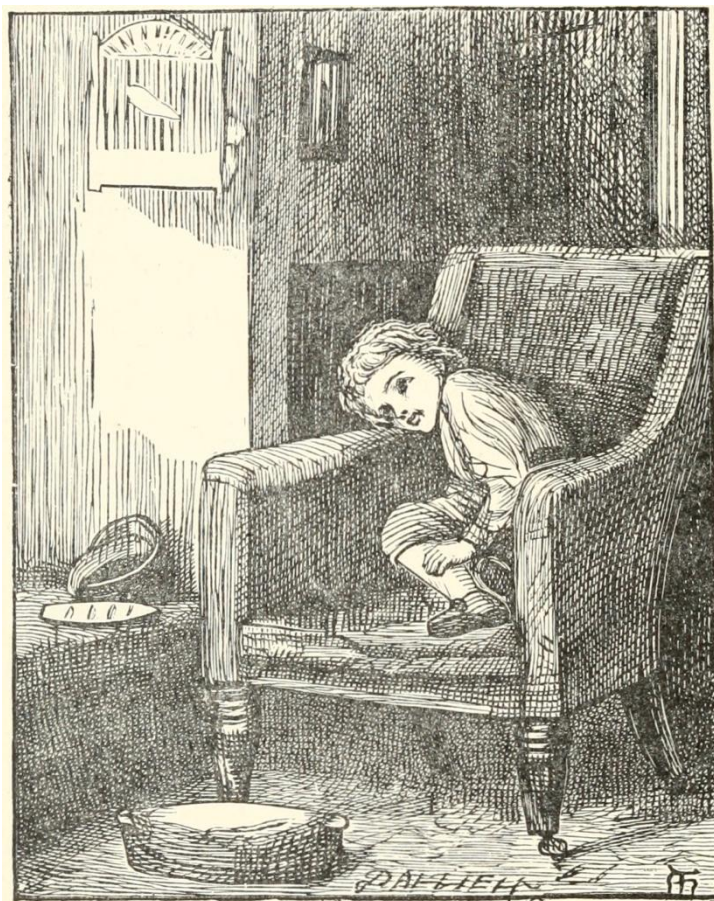
– Małą łódeczkę daleko, daleko w dole.

– Łódeczkę, też coś! Ten żaglowiec waży chyba ze dwieście ton! Jego kapitan jest moim przyjacielem: to bardzo roztropny człowiek, który umie dobrze sterować swoim statkiem. Pomagałam mu wiele razy, kiedy on nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Nieraz słyszałam, jak na mnie wyrzeka, gdy ja tymczasem robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby mu pomóc. Niosłam go po osiemdziesiąt mil dziennie, wprost na północ.

– Ale musiał się nad tym nieźle namanewrować – zauważył Diamond, który nieraz

przyglądał się statkom i widział, że czasem płyną one pod wiatr.

– Oczywiście, że musiał. Ale czy nie rozumiesz, że to najlepsze, co mogłam zrobić? Nie mogę być przecież Wiatrem Południa. A poza tym dzięki temu on też miał swój udział w rejsie. Pamiętaj, Diamondzie, że nie jest dobrze robić wszystko za tych, których kochasz, nie dając im szansy na wykazanie się. Nie ma w tym wcale dobroci – w ten sposób tylko samych siebie wysuwamy na pierwszy plan. Gdybym była Wiatrem Południa, kapitan mógłby przez cały dzień kurzyć fajkę i nic nie robić!



– Ale jak możesz mówić, że on jest roztropny, skoro wyrzekł na ciebie, gdy robiłaś wszystko, żeby mu pomóc?

– O, musisz wziąć poprawkę na wiele spraw – odparła Wiatr Północy – w przeciwnym razie nigdy nie oddasz innym sprawiedliwości. Rozumiesz już, że kapitan mógł płynąć na północ...

– ...pomimo wiatru północnego. Tak, rozumiem – uzupełnił Diamond.

– No nie, chyba jednak musisz być pełnym głuptasem – stwierdziła Wiatr Północy. – Pomyśl, co by się działo ze statkiem, gdyby wiatr północny nie wiał wcale?

– Wtedy niosłby go południowy wiatr.

– A więc uważasz, że gdy tylko cichnie wiatr z północy, zaraz zaczyna wiać z południa? Bzdura. Gdyby nie ja, kapitan nie mógłby przepłynąć swoich osiemdziesięciu mil dziennie. Wiatr Południa z pewnością niosłaby go szybciej, ale ona w tym czasie siedziała sobie na progu swojego domu i gdybym ja nie wiała, na morzu zaległaby martwa cisza. Mylisz się więc zupełnie, gdy mówisz, że kapitan może płynąć pomimo tego, że ja wieję: jego statek płynie na północ tylko i wyłącznie dzięki mojej pomocy. Rozumiesz to teraz, Diamondzie?

– Tak, Wietrze Północy. Jestem głupi, ale nie chcę być głupi.

– Dobry z ciebie chłopiec! Zabiorę cię na północ w tym stateczku, jednym z najlepszych, jakie kiedykolwiek pływały po morzach. Jesteśmy już dokładnie nad nim. Ja będę wiał naprzeciw ciębie, a ty będziesz żeglował naprzeciw mnie i wszystko będzie tak, jak sobie tego życzymy. Kapitan nie popłynie tak szybko, jak by chciał, ale będzie jednak posuwał się naprzód, a my razem z nim. Zaraz postawię cię na pokładzie. Czy widzisz miejsce przed rumplem – czyli tym, czym sternik kręci raz w jedną, raz w drugą stronę – gdzie znajduje się kłapa w kształcie denka od beczki?

– Tak – odparł Diamond.

– Pod spodem trzyma się zapasowe żagle i różne inne rzeczy. Zerwę tę pokrywę, a w tym samym momencie, kiedy postawię cię na pokładzie, ty musisz wturlać się do środka. Nie bój się, tam nie jest głęboko, a w dodatku upadniesz na zwoje płótna żaglowego. Będzie ci tam miło, sucho i ciepło – będzie też ciemno, ale każdy zwrot i podskok statku przypomni ci, że ja jestem blisko. Zwiń się w kłębek i spróbuj zasnąć. Żaglowiec będzie kołyską, a ty będziesz moim dzieciątkiem, które ukołyszę do snu.

– Dziękuję, droga Wietrze Północy. Wcale się nie boję – odrzekł Diamond.

Po chwili znaleźli się na wysokości nadburcia, a Wiatr Północy zerwała kłapę składziku i posłała ją ze szczękiem na zawietrzną okrętu. Jeszcze chwila, a Diamond wturlał się do środka, dokładnie tak, jak poleciła mu Wiatr Północy – i już kłapa zamknęła się nad jego głową, a dookoła zapadła ciemność. On sam również zaraz przetoczył się na zawietrzną, bo wiatr natychmiast przybrał na sile. Słyszał okrzyk kapitana i głośnie tupotanie marynarzy próbujących wciągnąć bom na pokład i zrefować żagiel. Chłopiec tymczasem macał wokół siebie tak długo, aż znalazł najprzytulniejsze miejsce, w którym mógł się wygodnie umościć.

Godzina płynęła za godziną, a Diamond wciąż leżał w tym samym miejscu. Nie czuł się jednak ani trochę znużony czy zniecierpliwiony, gdyż jego serce wypełniała dziwna rozkosz. Napinanie się żagli, skrzyp bomu, śpiew olinowania, stukot bloczków na statku – to wszystko harmonizowało z rykiem wiatru powyżej, naporem fal na burty i łomotem, z jakim bałwany co jakiś czas w nie uderzały. Poprzez to wszystko Diamond słyszał, jak wśród bulgotu i plusku rozszemrany nurt ociera się o deski okrętu, który sunie po powierzchni morza, przechylając się to na jedną, to na drugą stronę – jak ujarzmiony strumień powietrza płynący przez wspianą muzykę, którą Wiatr Północy wygrywa specjalnie dla niego, by nie poczuł się zmęczony długą drogą do kraju poza progiem jej domostwa.

Jak długo to trwało – Diamond nie wiedział. Zdawało mu się, że czasem zasypia, jednak przez sen dalej słyszał wszystkie te dźwięki. W końcu pogoda jakby się pogorszyła. Tupoty i zamęt na pokładzie przybrały na sile, statek przechylał się coraz mocniej i mocniej, z rykiem przedzierając się przez fale, które napierały nań i uderzały jak gdyby z wściekłością. Nagle rozległ się straszliwy rumor – kłapa składziku odskoczyła, do środka wdarł się ostry, lodowaty podmuch, a wraz z nim długie ramię, które pochwytiło chłopca i uniosło go z jego posłania. W tym samym momencie ujrzał, jak maleńki stateczek daleko w dole odzyskuje równowagę. Zrzucił wszystkie żagle i podskakiwał na falach jak morski ptak ze złożonymi skrzydłami. Nieco dalej na południe unosił się na wodzie o wiele większy okręt z postawionymi trzema czy czterema żaglami, i to ku niemu kierowała się teraz Wiatr Północy. Był to niemiecki statek, zmierzający w stronę bieguna północnego.

– Teraz on podwiezie nas kawałeczek – powiedziała do Diamonda. – A później będę sama musiała poradzić sobie, jak się da najlepiej.

Udało się jej ukryć chłopca pomiędzy flagami wielkiego statku, które leżały bezpiecznie zwinięte pod pokładem, i tak pędzili dalej w kierunku bieguna. Aż pewnej nocy Wiatr szepnęła mu na ucho „Wyjdź na górę, Diamondzie”, a gdy chłopiec wyczołgał się na pokład, zobaczył, że wszystko wygląda bardzo dziwnie. Po jednej i po drugiej stronie statku pływały olbrzymie

góry lodowe przypominające katedry, zamki i turnie, a za nimi w dali rozciągało się błękitne morze.

– To wschód czy zachód słońca? – zapytał.

– Ani jedno, ani drugie, lub jeśli wolisz: oba. Doprawdy, sama nie wiem. Jeśli teraz słońce zachodzi, to za chwilę wszędzie.

– Jakie dziwne jest to światło! – zauważył chłopiec. – Słyszałem, że w tych okolicach latem słońce w ogóle nie chodzi spać. Panna Coleman mi o tym opowiadała. Przypuszczam, że słońko jest bardzo śpiące i dlatego jego światło wydaje się takie senne.

– Takie wyjaśnienie zupełnie nam na teraz wystarczy – odparła Wiatr Północy.

Niektóre z brył lodowych płynęły w kierunku północnym, a jedna z nich przepływała tuż obok burty. Wiatr Północy złapała chłopca i jednym susem znalazła się na niej – była to potężna góra, ze spiczastymi wierzchołkami i głębokimi rozpadlinami. W tym samym momencie zerwał się wiatr z południa, a towarzyszka Diamonda, przestępując przez szczyby i bruzdy, powiodła go pospiesznie na zawietrzną stronę ich lodowego okrętu; góra, na której się znaleźli, nigdy bowiem nie dopłynęła tak daleko na południe, by promienie letniego słońca mogły ją stopić i wygładzić. Wiatr Północy zaprowadziła chłopca do jaskini tuż nad wodą, po czym weszła do środka i, wypuściwszy jego rękę, usiadła na lodowym występie jak gdyby zupełnie wyczerpana.

Diamond usadowił się obok niej i przez chwilę przejął go zachwyt nad poświatą, która wypełniała jaskinię. Powietrze zdawało się przesycone przepięknym błękitem, intensywnym i lśniącym, głębszym niż kolor najbłękitniejszego nieba. Błękit ów był jakby w nieustannym ruchu – mienił się i migotał, dokładnie jak ciemność pod powiekami, gdy zamykacie oczy i przyciśnięcie do nich dłonie. Jednak gdy chłopiec spojrział na Wiatr Północy, zdjęło go przerażenie: jej twarz była blada i znużona.

– Co ci jest, droga Wietrze Północy? – zapytał.

– Nic wielkiego. Jestem tylko bardzo słaba. Ale nie możesz się tym przejmować, ponieważ znoszę to całkiem dobrze. Wiatr Południa zawsze odbiera mi siły. Gdyby nie gruby lód, który znajduje się między mną a nią, zupełnie bym osłabła. Cóż, obawiam się jednak, że będę musiała się rozplątać.

Diamond wpatrywał się w nią ze zgrozą, gdyż zauważył, że jej twarz i postać stają się wprawdzie nie coraz mniejsze, ale coraz bardziej przezroczyste – wyglądało to tak, jakby rozpuszczały się, ale nie w wodzie, lecz w świetle. Poprzez jej pierś zaczęła prześwitywać ściana błękitnej jaskini. Wiatr Północy rozpląnęła się już niemal zupełnie – po chwili widać było tylko jej twarz, bladą jak księżyc o poranku, z wielkimi, jaśniejącymi oczami.

– Odchodzę, Diamondzie – powiedziała.

– Czy to cię boli? – zapytał.

– Nie, jest tylko bardzo nieprzyjemne – odparła – ale nie przejmuję się tym, ponieważ wiem, że wkrótce znów wydobrzeję. Myślałam, że będę mogła towarzyszyć ci do końca, ale myliłam się. Nie musisz się jednak bać: zmierzaj cały czas przed siebie, a wszystko będzie dobrze. Będę na ciebie czekać na progu.

Gdy to mówiła, jej twarz również zniknęła, choć Diamondowi wydawało się, że jeszcze przez chwilę widzi jej oczy błyszczące w błękicie. Gdy jednak podszedł bliżej, przekonał się jednak, że, to, co brał za oczy Wiatru Północy, było tylko dwoma niewielkimi wgłębieniami w lodzie. Wiatr Północy odeszła, a Diamond na pewno by się rozpląkał, gdyby nie ufał jej tak bezgranicznie. Siedział więc dalej spokojnie wśród błękitnej poświaty, przysłuchując się, jak fale obmywają z pluskiem brzegi góry lodowej, która pędziła tymczasem coraz dalej i dalej na północ, ku otwartemu morzu. Był to znakomity okręt do dryfowania z prądem, ponieważ pod wodą znajdowało się dwa razy tyle lodowej masy, ile na powierzchni. Wiał lekki południowy wiatr i dlatego góra płynęła tak szybko.

Po jakimś czasie Diamond wyszedł z jaskini, przysiadł na brzegu swojej dryfującej wyspy i zaczął przyglądać się leżącemu poniżej oceanowi. Białe ściany góry lodowej odbijały pod wodą tyle światła, że mógł zapuścić wzrok daleko w zieloną głębię. Czasem wydawało mu się, że widzi tam oczy Wiatru Północy spoglądające na niego w górę, ale wrażenia te szybko pierzchały. Czas płynął, ale on nie wiedział, ile godzin minęło, gdyż zdawało mu się, że znajduje się jakby we śnie. Gdy zmęczyła go zieleń wody, wychodził z powrotem do błękitnej jaskini, a gdy znużył się błękitem, wychodził na zewnątrz, by przyjrzeć się niebieskiemu morzu, które połyskiwało w słońcu niezachodzącym nigdy za linię widnokręgu. Przeważnie spoglądał jednak na północ, próbując wypatrzeć ład na horyzoncie. Przez cały ten czas nie poczuł się ani przez chwilę głodny. Czasami odrywał tylko małe okruchy lodu ze ścian swojego okrętu i ssał je z prawdziwą przyjemnością.

Aż nareszcie przyszedł moment, gdy chłopiec wyszedł ze swojej jaskini i zauważył daleko przed sobą połyskujący szczyt, wznoszący się wysoko na niebie jak wierzchołek jakiejś olbrzymiej góry lodowej. Jego okręt płynął wprost w tym kierunku. W miarę jak się przybliżali, szczyt ów zdawał się ogromnieć i piętrzyć coraz wyżej nad horyzontem, a za nim zaczęły majaczyć inne szczyty, połączone ze sobą ostrymi, poszarpanymi graniami. Diamond pomyślał, że to właśnie musi być miejsce, do którego zmierzał. I nie mylił się: góry ogromniały coraz bardziej, aż zobaczył linię wybrzeża rozciągniętą u ich podnóża. W końcu góra lodowa wpłynęła do małej zatoczki, do której zbiegały przepaściste żleby, ośnieżone na krawędziach i obwieszone festonami sopli po bokach. Jego dryfujący okręt przybił powoli do wystającej skały, a Diamond wyszedł na brzeg i, nie oglądając się za siebie, zaczął podążać ścieżką, która prowadziła krętymi zakosami w górę jednego ze żlebów.

Pokonawszy urwisko, chłopiec znalazł się na lodowym płaskowyżu, równym jak stół, po którym z łatwością mógł wędrować. Daleko przed nim majaczył wyniosły lodowy grzbiet, zwieńczony fantazyjnymi wieżyczkami, basztami i blankowaniami. Powietrze było mroźne i w pewien sposób wydawało się martwe, gdyż nie dało się odczuć nawet najlżejszego powiewu wiatru.

W samym środku grzbietu, dokładnie naprzeciwko Diamonda, rysowała się rozpadlina przypominająca jak gdyby wejście do doliny. Ale gdy szedł w jej kierunku, przyglądając się jej i zastanawiając, czy to może być droga, którą będzie musiał podążać, zrozumiał, że to, co wydawało mu się rozpadliną, było w istocie postacią kobiety siedzącej na czole lodowego grzbietu, pochylonej do przodu z rękami złożonymi na kolanach i włosami opadającymi aż do ziemi.

– To Wiatr Północy siedząca na progu swojego domu! – zawołał chłopiec radośnie i przyspieszył kroku.

Wkrótce dotarł do miejsca, w którym siedziała owa postać, niczym wielki posąg przy wejściu do egipskiej świątyni – nieruchoma, z opuszczoną głową i zwieszonymi ramionami. Diamond poczuł ogarniające go przerażenie, gdyż postać nie poruszyła się ani nie przemówiła. To na pewno Wiatr Północy, ale musiała chyba umrzeć – myślał. Jej twarz była biała jak śnieg, jej oczy błękitne jak poświata w jaskini, jej włosy zwieszały się prosto jak lodowe sople. Miała na sobie zielonkawą szatę w kolorze zagłębień w lodowcu, na który spogląda się z oddali.

Diamond zatrzymał się przed nią i ze strachem wpatrzył w jej oblicze – musiało minąć kilka minut, nim odważył się odezwać. W końcu z wielkim wysiłkiem i z drzeniem w głosie wyjąkał:

- Wietrze Północy!
- Tak, dziecko? – odparła postać, nie podniósłszy głowy
- Czy źle się czujesz, droga Wietrze Północy?
- Nie. Czekam tylko.

- Na co?
- Na wezwanie.
- Czy już ci na mnie nie zależy? – zapytał Diamond niemal z płaczem.
- Owszem, zależy. Tylko nie mogę tego okazać. Cała moja miłość spłynęła na dno mojego serca. Ale czuję ją, jak tam bulgocze.
- Co chciałabyś, żebym teraz zrobił? – zapytał chłopiec, pragnąc posłuszeństwem okazać jej swoje przywiązanie.
- A co ty sam chciałbyś zrobić?
- Chcę iść do kraju poza twoimi plecami.
- Musisz więc przeze mnie przejść.
- Nie rozumiem, co masz na myśli.
- Dokładnie to, co powiedziałam. Musisz iść tak, jakbym była otwartą bramą, wprost przeze mnie.
- Ale to cię zaboli.
- Ani troszeczkę. Zaboli za to ciebie.
- Tym się nie przejmuję, o ile powiesz mi, że mam to zrobić.
- A więc zrób to – powiedziała Wiatr Północy.

Diamond natychmiast ruszył ku niej. Kiedy dotarł do jej kolan, rozłożył ręce, by ich dotknąć, ale napotkał tylko dojmująco zimne powietrze. Szedł dalej. Wokół niego zrobiło się zupełnie białe, a zimno użądliło go jak ogień. Nie przerywał jednak marszu, po omacku przedzierając się przez wszechogarniającą biel, która zaczęła gęstnieć wokół niego. W końcu dotknęła jego serca i chłopiec stracił przytomność. Mógłbym powiedzieć, że zemdlał, jednak gdy ktoś mdleje, zwykle ogarnia go ciemność, a Diamond czuł, że wchłonęła go biel. W momencie, gdy dotarł do serca Wiatru Północy, zasłabł i upadł. Jednak gdy upadał, przeturlał się przez próg jej domu i w ten właśnie sposób trafił do kraju poza wiatrem północnym.

ROZDZIAŁ X

POZA WIATREM PÓŁNOCNYM

Dochodzimy teraz do najtrudniejszej części mojego opowiadania. A dlaczego najtrudniejszej? Ponieważ wiem bardzo niewiele o tym, co się wówczas zdarzyło. Czemu jednak miałbym wiedzieć mniej o tej części historii niż o którymkolwiek z innych jej fragmentów? Nie wiedziałbym oczywiście nic, gdyby nie opowiedział mi o tym Diamond – ale dlaczego w takim razie nie miałby mi opowiedzieć o kraju poza wiatrem północnym, skoro opowiedział tyle o swoich przygodach w drodze do niego? Odpowiedź brzmi: ponieważ gdy stamtąd wrócił, zapomniał wiele z tego, co się działo, a to, co pamiętał, było bardzo trudne do opowiedzenia. Wszystko jest tam takie inne niż tutaj! Chociażby to, że jego mieszkańcy nie mówią naszym językiem. Diamond twierdził nawet, że nie mówią wcale, ja jednak przypuszczam, że tak nie jest, choć jemu rzeczywiście mogło się tak wydawać. Problem w tym, że o kraju poza wiatrem północnym posiadamy zupełnie sprzeczne świadectwa, wszystkie pochodzące od ludzi jak najbardziej godnych wiary. Musimy więc przyjąć, że wywiera on odmienne wrażenie na różnych ludziach – wszyscy oni zgadzają się jednak ze sobą w sprawach podstawowych.

Opowiem wam na przykład o dwóch bardzo różnych relacjach świadków, którzy moim zdaniem wiedzieli o nim znacznie więcej, niż wiedział Herodot. Jeden z nich mówił z własnego doświadczenia, gdyż miał okazję odwiedzić ów kraj; drugi natomiast zaczerpnął wiadomości od pewnej wiejskiej dziewczyny, która wróciła stamtąd, by przez miesiąc bawić u swoich przyjaciół. Pierwszy świadek, o którym mówię, to sławny Włoch pochodzący ze szlacheckiego rodu, który żył przed ponad pięcioma wiekami; drugi to szkocki pasterz, który zmarł nie więcej niż czterdzieści lat temu.

Z relacji Włocha dowiadujemy się, że jego droga do kraju poza wiatrem północnym wiodła przez ogień tak palący, iż po przejściu przez niego chciał się ochłodzić łykiem roztopionego szkła. Doświadczenie Diamonda wyglądało zupełnie inaczej, ale musimy pamiętać, że Durante – tak brzmiało bowiem imię owego Włocha, które oznacza „Trwały”, gdyż dzieła jego będą trwałe dopóty, dopóki na świecie będą istnieć ludzie godni tego, by je czytać – był już wówczas starym człowiekiem, a Diamond zaledwie małym chłopcem, ich wrażenia mogą się zatem nieco różnić. Wiejska dziewczyna, o której wspominałem, zasnęła natomiast głęboko w lesie i obudziła się już w kraju poza wiatrem północnym.

Durante pisze, że powietrze pachniało tam słodko, a łagodny, miarowy wietrzyk, który wieje zawsze z tą samą prędkością, owiewał mu twarz i sprawiał, że wszystkie liście na

drzewach skłaniały się w jedną stronę, a jego powiewy nie tylko nie zakłócały spokoju ptaków mieszkających w koronach, lecz swoimi cichymi świstami tworzyły harmonijne tło dla ich śpiewu. Włoski poeta opisuje dalej strumyk, którego drobne fale zginały rosnące na jego brzegach trawy, wśród których rozkwitało żółte i czerwone kwiecie. Mówi też, że najczystsze wody na ziemi porównane z tym strumieniem należałoby uznać za mętne, choć przecież płynął on w cienistym lesie, gdzie nie docierały promienie słońca ani księżyca. Zdaje się też wskazywać, że w tym kraju zawsze panuje maj. Nie miałoby sensu przytaczać tutaj opisu wszystkich cudownych rzeczy, które stały się jego udziałem, ponieważ zostały one napisane w zupełnie innej tonacji niż nasza opowieść – ze wspomnień owego podróżnika dodam jeszcze tylko, że ludzie mieszkający w tym kraju są tak wolni, sprawiedliwi i zdrowi, że każdy z nich nosi koronę jak król i mitrę jak kałan.

Wiejska dziewczyna, której było na imię Kilmeny, nie wspomina o takich wspaniałościach jak Durante, ponieważ – jak mówi pasterz, który zrelacjonował jej historię, tak jak ja opowiadałem historię Diamonda –

Gdzie Kilmeny bawiła, tego nie wiedziała,
Co Kilmeny widziała, wyrzec nie umiała.
Kilmeny była w kraju, gdzie kogut nie pieje,
Gdzie deszcz nigdy nie pada, wiatr nigdy nie wieje.
Lecz zdawać się mogło, że niebiańskie grają harfy,
A rajskie powiewy orzeźwiają jej wargi,
Gdy opisywała ujrzone cudowności,
W kraju gdzie nie ma grzechu i niegodziwości.
W kraju, gdzie mieszka miłość, gdzie świeci blask złoty,
Choć nie znajdziesz tam słońca, księżyca czy nocy.
Gdzie w rzece się kołysze fala wiecznie żywa,
A światłość promienieje czysta i prawdziwa:
W tym kraju wizji, której urzeczywistnienie,
Stanowi wciąż dla nas wiekuiste marzenie.

Ostatnie dwa wersy pochodzą od samego pasterza i są wyrazem jego przekonania. Nie mam jednak wątpliwości, że Kilmeny musiała opowiadać o tym samym kraju, który odwiedził Durante, ale ponieważ nie miała jego doświadczenia, nie mogła tak dobrze jak on zrozumieć, ani opisać tego, co widziała.

Teraz muszę wam przedstawić fragmenty wspomnień, które udało się przynieść stamtąd Diamondowi.

Kiedy doszedł do siebie po upadku, zrozumiał, że znajduje się poza wiatrem północnym. Samej Wiatru Północy nigdzie nie było widać. Próżno było też szukać śladu po śniegu czy lodzie. Zniknęło również słońce, ale to nie miało znaczenia, ponieważ powietrze było przesycone osobliwym, nieruchomym i bezpromiennym światłem. Diamond nigdy się nie dowiedział, skąd to światło dochodziło, myślał jednak, że należy ono do samego kraju. Czasem wydawało mu się, że wydobywa się z kwiatów, które były niezwykle barwne, lecz nie miały żadnego wyraźnego koloru. Rzeka – wszyscy bowiem zgadzają się co do tego, że była tam rzeka – wedle jego słów płynęła nie tylko tuż obok trawistych brzegów, lecz po samej trawie: jej łożyska nie tworzyły skały, głazy, kamyki czy piaszczyste łachy, ale podwodna łąka, porośnięta niewysoką trawą. Diamond utrzymywał również, że nawet jeśli rzeka nie rozbrzmiewała melodią w ludzkich uszach, śpiewała w ludzkich umysłach, a na potwierdzenie tego dodam, że w trudnych czasach, które nastąpiły później, często można było usłyszeć, jak Diamond coś śpiewa – zapytany, odpowiadał, że „to jedna z melodii, którą nuciła rzeka w kraju

poza wiatrem północnym”. Dodam też od razu, że Diamond nie opowiedział o swoich przeżyciach nikomu poza... Nie, lepiej nie będę zdradzał, kto to był – ważne, że ów ktoś przekazał to wszystko mnie, a ja pomyślałem, że dobrze będzie opowiedzieć o tym moim dziecięcym czytelnikom i czytelniczkom.

Diamond nie mógł powiedzieć, że był tam bardzo szczęśliwy, ponieważ nie było z nim mamy ani taty – miał jednak poczucie takiego spokoju ducha, ukojenia, cierpliwości i zadowolenia, że tak długo, jak można mówić o odczuwaniu, było to coś o wiele lepszego niż zwykłe szczęście. Miał wrażenie, że poza wiatrem północnym nic nie dzieje się źle. Nie dzieje się też całkowicie w dobrze, ale wiadomo, że pewnego dnia wszystko będzie dobrze. Jego relacja nie zgadzała się ze świadectwem Durantego, ale była zgodna z opowieścią Kilmeny, gdyż Diamond twierdził stanowczo, że nie było tam w ogóle wiatru. Przypuszczam, że po prostu go nie zauważył. W każdym razie m y nie mogliśmy się obyć bez wiatru. To, czy wiatr jest dla nas za mocny czy za słaby zależy przecież od tego, jak duże są nasze płuca.

Kiedy ów ktoś, komu Diamond opowiedział swoją historię, zapytał, czy spotkał tam kogoś znajomego, chłopiec odparł: „Tylko tę córeczkę ogrodnika, co jej tata myślał, że odeszła, ale bardzo się mylił, bo ona była właśnie tam, cała i zdrowa, i pewnego dnia wróciłaby tak samo jak ja, gdyby tylko jej rodzice czekali cierpliwie”.

– Czy rozmawiałeś z nią, Diamondzie?

– Nie. Ludzie tam ze sobą nie rozmawiają. Wszyscy patrzą tylko na siebie nawzajem i wszystko rozumieją.

– Jest tam zimno?

– Nie.

– Gorąco?

– Nie.

– Więc jak?

– Tam się nie myśli o takich rzeczach.

– To musi być dziwaczne miejsce!

– To bardzo dobre miejsce.

– Chciałbyś tam wrócić?

– Nie. To znaczy nie wydaje mi się, żebym stamtąd odszedł. Czasem czuję je gdzieś tutaj, w środku.

– A ludzie tam wyglądali na zadowolonych?

– Tak, na całkiem zadowolonych, tylko trochę smutnych.

– Więc nie wyglądali, jakby byli szczęśliwi?

– Wyglądali tak, jakby czekali, aż staną się szczęśliwsi.

W taki oto sposób Diamond odpowiadał na wszystkie pytania o kraj poza wiatrem północnym. A teraz, by podjąć na nowo naszą historię, opowiem wam o tym, jak stamtąd wrócił.

ROZDZIAŁ XI

JAK DIAMOND WRÓCIŁ DO DOMU

Gdy ktoś w kraju poza wiatrem północnym chciał się dowiedzieć, co dzieje się z jego bliskimi, udawał się do pewnego drzewa, wspinał po pniu i sadowił wśród gałęzi. Po kilku chwilach, jeśli siedział spokojnie, mógł zobaczyć choć trochę z tego, co dzieje się u jego bliskich.

Pewnego dnia Diamond, siedząc na owym drzewie, zatęsknił bardzo za domem, gdyż ujrzał swoją matkę, która płakała. Durante mówi, że mieszkańcy kraju poza wiatrem północnym mogą zawsze podążać za swoimi pragnieniami, bo tam nie można chcieć niczego, co nie jest dobre. Diamond pragnął zatem wrócić do domu i rad byłby za swoim pragnieniem podążyć.

Ale jak się do tego zabrać? Gdyby tylko mógł zobaczyć się z Wiatrem Północy! Jednak z chwilą, w której znalazł się poza nią, ona sama zupełnie zniknęła mu z oczu. Nigdzie nie było widać jej pleców. Może siedziała jeszcze na swoim progu, biała, przezroczysta i niebieskooka, patrzyła na południe i czekała na wezwanie? Albo była znów potężną panią, zdolną wykonać to, co zostało jej polecone, i odleciała gdzieś daleko, żeby wypełniać swoje zadania? Gdzieś jednak musiała być. Bez niej nie będzie mógł wrócić do domu – musi więc ją odnaleźć. Nie mogła przecież zabrać go od mamy na zawsze. Gdyby istniało choć małe niebezpieczeństwo czegoś takiego, powiedziałyby mu o tym i pozwoliła zdecydować, czy nadal chce iść z nią. Wiatr Północy była wobec niego uczciwa. Teraz pytanie, jak ją znaleźć, zajmowało wszystkie myśli Diamonda.

Martwił się o swoją matkę tak bardzo, że każdego dnia wspinał się na drzewo i przesiadywał wśród jego gałęzi. Drzewo było jednak tak ogromne i rozłożyste, że bez przeszkód wystarczyłoby na nim miejsca dla wszystkich mieszkańców kraju poza wiatrem północnym; poza tym to, ile osób siedziało na nim jednocześnie, nie miało właściwie znaczenia, ponieważ każdy, kto na nie wchodził, stawał się od razu niewidzialny dla innych i w ten sposób nikt nikomu nie przeszkadzał. Czasami, przy zejściu, u podstawy pnia, spotykały się dwie lub trzy osoby, które uśmiechały się do siebie z większą słodyczą niż zwykle, tak jakby chciały powiedzieć: „Ach, ty też stamtąd wracasz!”.

Pewnego dnia Diamond siedział na jednej z zewnętrznych gałęzi i spoglądał na południe w stronę swojego domu. W oddali lśniło błękitne morze, nakrapiane połyskującymi i iskrzącymi się plamkami bieli – górami lodowymi. Nieco bliżej zobaczył pasmo przybranych śnieżnymi

czapami szczytów, a niżej, pod drzewem, śliczną łąkę porośniętą niewysoką trawą, przez którą strumyk płynął w kierunku morza. Gdy tak przyglądał się temu wszystkiemu, zaczął rozmyślać: cały kraj rozłożył się przed nim jak wielka mapa, a to, co znajdowało się tuż pod drzewem, wydawało się równie małe jak to, co oddalone było o całe mile. Łańcuch górski, który otaczał łąką krawędź mapy, zdawał się oddalony od Diamonda zaledwie o kilka jardów i nie większy niż rząd kamyków, którym dziecko wyznacza granice swojego królestwa zbudowanego w piasku nad brzegiem morza. Miał wrażenie, że potrafi rozróżnić mglistą postać Wiatru Północy, siedzącą tak, jak ją zostawił, po drugiej stronie gór. Pospiesznie zsunął się ze swojej gałęzi i ze zdumieniem spostrzegł, że mapa, czy też model krainy, wciąż rozciąga się pod jego stopami. Stał na niej. Jednym krokiem przestąpił rzekę, drugim znalazł się przy oblodzonym grzbiecie, trzecim przekroczył go i w tym samym momencie opadł znużony na kolana Wiatru Północy. Gdyż ona siedziała nadal na swoim progu, wyniosłe szczyty górskie piętrzyły się za nią tak, jak poprzednio, a kraj położony za jej plecami zniknął Diamondowi z oczu.



Wiatr Północy siedziała tak nieruchomo jak wówczas, gdy ją zostawił. Jej pobladła twarz miała barwę śniegu, a zastygłe oczy były tak błękitne, jak wydrążone w lodzie pieczary. Jednak gdy tylko Diamond dotknął Wiatru, jej twarz zaczęła się zmieniać jak u kogoś, kto budzi się ze snu. W błękitnych oczach zaczęło połyskiwać światło. Jeszcze chwila, a położyła dłoń na głowie chłopca i pozwoliła palcom igrać z jego włosami. Diamond pochwycił jej dłoń i przyłożył ją do swojego policzka. Wiatr Północy drgnęła lekko.

– Jesteś taki pełen życia, mój mały! – wyszeptała. – Chodź do mnie bliżej.

Wspiął się z trudem po leżących wokół niej głazach i u nimi obejmować, aż w końcu znalazł się w jej mocnym uścisku. Po chwili wstała, całkiem już rozbudzona, a zimno jej piersi,

które przejmowało Diamonda do szpiku kości, zniknęło zupełnie.

- Siedziałaś tu przez cały ten czas od wtedy, gdy przeszedłem przez ciebie na drugą stronę?
- Tak – odparła, spoglądając na niego ze swoją dawną dobrocią.
- I nie jesteś zmęczona?
- Nie. Wiele razy siedziałam jeszcze dłużej. Czy wiesz, jak długo cię nie było?
- Och, chyba całymi latami! – zawołał.
- Nie było cię tylko siedem dni – odrzekła.
- Myślałem, że spędziłem tam przynajmniej sto lat! – dziwił się Diamond.
- Nie wątpię – odrzekła. – Tutaj nie było cię przez siedem dni, ale to, ile czasu spędziłeś po drugiej stronie, to całkiem inna sprawa. Za moimi plecami i przed moim obliczem dzieją się zupełnie różne rzeczy. Tam i tu rządzą inne prawa.



- Cieszę się z tego – odparł Diamond po chwili namysłu.
- A to czemu? – zapytała Wiatr Północy.
- Bo byłem tam bardzo długo, ale jednocześnie tylko chwilę z dala od mamy. Przecież ona nawet nie spodziewa się jeszcze mojego powrotu z Sandwich!
- To nie tak. Ale nie możemy już dłużej rozmawiać. Otrzymałam rozkazy i za kilka minut musimy wyruszać.

Po chwili Diamond zorientował się, że siedzi na skale sam. Wiatr Północy zniknęła, za to przed jego oczami przefrunęło jakieś stworzonko przypominające wielkiego trzmieła lub chrabąszcza. Nie mógł być to jednak trzmiel ani chrabąszcz, ponieważ wśród lodowców nie przeżyłby żaden owad. Stworzenie nie przestawało krążyć wokół jego głowy, zrozumiał więc, że to musi być Wiatr Północy we własnej osobie, choć była to w tym momencie ósóbka nie

większa od Tomcia Palucha, którego matka układała do snu w wyłożonej flanelą łupince orzecha. Wiatr Północy nie była już jednak mglista i prześwitująca – była realna, choć maleńka. Po chwili przysiadła na ramieniu chłopca.

– Chodźmy, Diamondzie – powiedziała mu do ucha najwyższym i najcieńszym z sopranów. – Już czas, byśmy wyruszyli do Sandwich.

Diamond mógł ją zobaczyć tylko jednym okiem – i to w dodatku wykręcając głowę najdalej jak się dało – ponieważ widok dla drugiego oka zasłaniał mu jego własny nos.

– A nie weźmiesz mnie na ręce i nie zaniesiesz? – zapytał szeptem, gdyż wiedział, że nie lubi hałasu, gdy jest taka maleńka.

– Ty mały niewdzięczniku! – zawołała Wiatr Północy z uśmiechem. – Jak śmiesz żartować sobie ze mnie w ten sposób? No dobrze, dobrze, poniosę cię, ale najpierw, za twoją bezczelność, pomaszeryjesz trochę na własnych nogach. Chodź już.

Zeskoczyła z jego ramienia, a kiedy chłopiec popatrzył w dół, zobaczył tylko małego, długonogiego pajęczka, który biegł po lodzie, kierując się na południe. Biegł wprawdzie dość szybko jak na pajaka, ale Diamond i tak znacznie go wyprzedził i musiał zaczekać, aż się z nim zrówna. Stało się to szybciej, niż przypuszczał, a wtedy spostrzegł, że pajak urósł i nie jest już pajakiem, lecz łasicą, która pobiegła dalej tak chyżo, że ledwie mógł za nią nadążyć. Łasica rosła i rosła, aż stała się kotką. Kotka pobiegła dalej, Diamond za nią, a gdy dopędził ją po jakiejś połowie mili, zobaczył, że zwierzątko myje łapkami pyszczek, żeby nie tracić czasu. Ruszyli dalej – kotka znów go wyprzedziła, a kiedy się z nią zrównał, nie była już kotką, lecz leopardem. Leopard zmienił się w jaguara o cętkach jak oczy, a jaguar w bengalskiego tygrysa. Przed żadnym z tych stworzeń Diamond nie czuł jednak strachu, był już przecież w kraju poza Wiatrem Północy i żadna jej postać ani czyn nie mogły przejąć go zgrozą. Tygrys gnał dalej po śniegu wprost na południe, aż w końcu wyglądał tylko jak mała plamka na połaciach bieli, by po chwili całkowicie zniknąć Diamondowi z oczu. Chłopiec pomyślał wtedy, że wolałby już przestać biec, bo lodowy grunt pod jego stopami zrobił się bardziej nierówny i pobrużdżony. Poza tym znajdował się już blisko żlebów, które zbiegały się do morza, zwolnił więc kroku i powiedział głośno do siebie:

– Kierzy Wiatr Północy ukarze mnie już wystarczająco za tamte żarty, na pewno po mnie wróci, wie przecież, że bez niej nie będę mógł iść dalej.

– Mój kochany, to była tylko zabawa! Tutaj jestem! – odezwał się za jego plecami głos Wiatru Północy.

Diamond obejrzał się i zobaczył ją taką, jaką lubił najbardziej: wysoką, piękną panią stojącą obok niego.

– A gdzie tygrys? – zapytał, bo znał nazwy wszystkich zwierząt z książki, którą podarowała mu panna Coleman. – Zaraz, przecież to ty byłaś tygrysem. Zaskoczyłaś mnie i zapomniałem. Widziałem go tak daleko przed sobą, a tu nagle zjawiłaś się tuż za mną. To takie dziwne, wiesz?

– Wiem, że tobie musi się to wydawać dziwne, ale dla mnie to tak zwyczajne, jak złamanie starej sosny.

– Ha, to też jest trochę dziwne – odparł Diamond.

– No tak! Zapomniałam. Cóż, dla mnie żadna z tych rzeczy nie jest dziwniejsza, niż dla ciebie zjedzenie kromki chleba z masłem.

– Ale kiedy sobie o tym pomyślę, to też jest dziwne – upierał się Diamond. – Zjadłbym sobie trochę chleba z masłem. Aż boję się powiedzieć, od jak dawna nic nie jadłem – to znaczy tak mi się wydaje, że to było dawno.

– Choć więc – powiedziała Wiatr Północy, wyciągając do niego ramiona. – Niedługo dostaniesz chleba z masłem. Cieszę się, że wraca ci apetyt.

Diamond wyciągnął ku niej rękę i wkrótce znalazł się bezpieczny na jej piersi. Wiatr Północy wzbijała się w górę. Jej sploty zaczęły się unosić, wzlatywać i rozpościerać po niebie, trzepocząc i powiewając w powietrznych nurtach. Wśród ryku wiatru, przy wtórze huku jednego ze znajdujących się pod nimi lodowców, którego powolne ruchy posłały do morza dwie lub trzy góry lodowe na raz, Wiatr Północy i Diamond pomknęli na południe.

ROZDZIAŁ XXXVI

DIAMOND ZADAJE PYTANIA

Moi czytelnicy i czytelniczki nie będą się więc dziwić, że po tym wszystkim dołożyłem wszelkich starań, żeby zaskarbić sobie przyjaźń Diamonda. Nie było to zresztą wcale trudne, tak bardzo ufnym był dzieckiem. Na jeden tylko temat nie mówił zbyt wiele – mianowicie o historii tego, co łączyło go z Wiatrem Północy. Wydaje mi się, że sam nie był do końca pewny, co o niej sądzić. W każdym razie minęło trochę czasu, nim zaufał mi również w tym względzie i opowiedział o wszystkim. I nawet jeśli nie mogłem postrzegać tych wydarzeń w taki sam sposób jak on, w pełni z nim współodczuwałem, będąc jednocześnie wolnym od wszelkiej obłudy, a on był zadowolony i nie wymagał ode mnie żadnych teorii na temat niełatwych kwestii tej opowieści. Wskazałem mu również jasno, że niezależnie od tego, jakie wyjaśnienie owego cudownego doświadczenia by nie było, ja sam oddałbym wiele, żeby przeżyć coś podobnego.

Pewnego wieczoru, wkrótce po burzy, w porze późnego zmierzchu, gdy sierp księżycy zawisł wysoko na niebiosach, natknąłem się na Diamonda, który wspinał się po swojej drabince na buk.

– Czemu ciągle tam włączysz? – usłyszałem pytanie Nanny (dość niegrzeczne, jak mi się zdawało).

– Czasem z tego, a czasem z innego powodu – odpowiedział Diamond, spoglądając ku niebu i wspinając się wyżej.

– Kiedyś skręcisz sobie kark – rzuciła.

– Dziś wchodzę do góry, żeby popatrzeć na księżyc – dodał, nie zwracając uwagi na jej słowa.

– Z dołu widać go całkiem tak samo – zaperzyła się.

– Nie wydaje mi się.

– Tam na górze wcale nie będziesz miał do niego bliżej!

– Właśnie że tak! Będę! A muszę być bliżej, sama rozumiesz. Chciałbym śnić o nim tak śliczne sny, jak ty, Nanny.

– Jaki z ciebie głuptas! Ciągle gadasz o tym śnie. A mnie to się wysnił tylko ten jeden, i do tego całkiem bez sensu.

– To nie był sen bez sensu. On był piękny i do tego zabawny, dwa w jednym.

– Ale co niby przyjdzie z takiego gadania o nim, jeśli wiesz, że to był tylko sen? Sny wcale nie są prawdziwe.

– Ten był prawdziwy, Nanny. Wiesz, że tak. Czy sama nie żałowałaś, że zrobiłaś w nim to, czego ci nie było wolno? I czy to właśnie nie jest prawdziwe?

– Nijak nie mogę mu przemówić do rozumu – zawołała Nanny z wyrazem łagodnej rozpacz. – Naprawdę wierzysz, że na księżycu jest domek, a w środku piękna pani, sękaty staruszek i skurczawki?

– Jeśli ich tam nie ma, jest coś lepszego – odpowiedział chłopiec i zniknął wśród listowia nad naszymi głowami.

Poszedłem w stronę domu, ponieważ wieczorami często zaglądałem tam z wizytą. Gdy wychodziłem, wiał lekki wietrzyk, niezmiernie miły po całodziennej spiekocie – bo choć lato miało się już ku końcowi, dni wciąż były upalne. Wierzchołki drzew kołysały się w łagodnych powiewach. Wybrałem drogę biegnącą w pobliżu buka, by sprawdzić, czy jeszcze znajdę Diamonda w jego gnieździe w rozkołysanej koronie.

– Jesteś tam, Diamondzie? – zapytałem.

– Tak, proszę pana – nadpłynął w odpowiedzi jego czysty głos.

– Czy aby nie robi się zbyt ciemno, byś mógł zejść bezpiecznie?

– Ależ nie, jeśli tylko będę schodził powoli. Znam drogę bardzo dobrze, a poza tym nigdy nie wypuszczam gałęzi z jednej ręki, dopóki nie chwycę się czegoś drugą.

– Bądź ostrożny – nalegałem, całkiem niemądrze, ponieważ chłopiec był tak ostrożny, jak tylko się dało.

– Już idę – powiedział. – Na dziś wieczór mam tyle księżycy, ile chciałem.

Liście zaszeleściły, a ich szelest było słychać coraz bliżej i bliżej. Minęły trzy lub cztery minuty, aż w końcu chłopiec się pojawił, zsuwając się po drabince. Wziąłem go na ręce i postawiłem na ziemi.

– Dziękuję panu – powiedział. – To wieje północny wiatr, prawda?

– Nie wiem – odrzekłem. – Jest chłodny i miły, więc myślę, że to rzeczywiście może być północny wiatr, ale musiałby powiać trochę mocniej, żeby można mieć pewność. Łagodny wietrzyk może kręcić się pomiędzy pniami drzew we wszystkich kierunkach.

– Dowiem się, gdy będę już na górze, w moim pokoju – powiedział Diamond. – Zdaje mi się, że pani właśnie na mnie dzwoni. Dobranoc panu.

I pobiegł w stronę domu, a ja poszedłem do siebie.

Pani dzwoniła tylko po to, by posłać go zaraz do łóżka – bardzo się o niego troszczyła i uważała widocznie, że chłopiec nie wygląda najlepiej. Gdy Diamond dotarł do swojego pokoju, otworzył okna na oścież – jedno z nich wyglądało na północ, drugie na wschód – by sprawdzić, skąd wieje wiatr. Wpadał wprost przez północne okno. Diamond ucieszył się bardzo, bo pomyślał, że być może Wiatr Północy przybędzie teraz we własnej osobie: prawdziwy wiatr z północy nie wiał jeszcze ani razu od czasu, gdy opuścił Londyn. Ale ponieważ ona zjawiała się zawsze wyłącznie z własnej woli, a nigdy wtedy, gdy jej szukał i niemal nigdy, gdy o niej myślał, chłopiec zamknął wschodnie okno i poszedł spać. Zapewne niektórzy moi czytelnicy i czytelniczki zdziwią się, że mógł zasnąć w takim oczekiwaniu – w rzeczy samej, ja również dziwiłbym się temu bardzo, gdybym go nie znał – ale była to jedna z osobliwych cech jego charakteru, która nie wydawała się u niego niczym niezwykłym. Był tak przepełniony spokojem, że mógł zasnąć niemal w każdym momencie, jeśli tylko wyciszył się i pozwolił, by sen na niego spłynął. I tym razem również zasnął tak szybko, jak zwykle.

Przebudził się wśród przyćmionej, niebieskiej nocy. Księżycy nie było widać, a Diamond pomyślał, że słyszy pukanie. „Ktoś mnie woła”, powiedział do siebie, po czym wyskoczył z łóżka i pobiegł, by otworzyć drzwi. Ale za drzwiami nie było nikogo. Zamknął je, ale kołatanie nie ustawało, a wtedy zorientował się, że dochodzi od strony innych drzwi. Drzwi do szafy – pomyślał – tych, których wcześniej nigdy nie mógł otworzyć. To wiatr wpadający przez okno

musi nimi łomotać. Pójdzie więc i zobaczy, czy rzeczywiście tak jest.

Drzwi otwarły się teraz całkiem łatwo, ale ku swojemu zaskoczeniu Diamond nie znalazł za nimi wnętrza szafy, lecz długą, wąską izbę. Promienie księżyca, który tonął już za zachodnim horyzontem, wpadały przez otwarte okno, znajdujące się na przeciwległym krańcu pomieszczenia. Izba była niska, z krytym sufitem, i zajmowała całą górną część domu bezpośrednio pod dachem. Było w niej zupełnie pusto. Żółta poświata księżyca rozlewała się po ciemnej podłodze. Chłopiec był tak zachwycony odkryciem tego dziwnego, odludnego i księżycowego miejsca tuż obok swojego zacisznego pokoiku, że zaczął tańczyć i podskakiwać. Wiatr wpadł do środka przez otwarte drzwi i powiewał wokół niego, gdy chłopiec tańczył, a Diamond wciąż obracał się tak, by jego podmuchy owiewały mu twarz. W myślach odmalowywał sobie te wszystkie miejsca, cudne i odludne, zbocza wzgórz i wiejskie podwórka, wierzchołki drzew i łąki, ponad którymi przebiegał wiatr w drodze do posiadłości Mound. A gdy tak tańczył, coraz bardziej zachwycał się ruchem i wiatrem – jego stopy nabierały siły, ciało lekkości, aż zaczęło mu się zdawać, że unosi się w powietrzu i może niemal pofrunąć. Uczucie to stało się tak przemożne, że w końcu zaczął wątpić, czy nie znajduje się przypadkiem w jednym z tych złotych snów, które tak często mu się śniły i w których mógł płynąć w powietrzu, jeśli tylko tego zapragnął. Lecz coś sprawiło, że podniósł wzrok, a wtedy, ku swej niewypowiedzianej radości, ujrzał, że jego uniesione ręce spoczywają w dłoniach Wiatru Północy, która tańczy razem z nim, kręcąc się w koło po długiej, pustej izbie – jej włosy to spływały na podłogę, to znów wypełniały łukowe sklepienie, oczy lśniły nad nim jak dwie myślące gwiazdy, a najśłodszy z jej wspaniałych uśmiechów błędził zwiewnie po pięknych ustach. Była, tak jak wiele razy wcześniej, wzrostu wysokiej kobiety. Nie pochylała się do niego w tańcu, ale trzymała jego ręce uniesione wysoko w swoich. Zobaczywszy ją, Diamond wystrzelił w górę w podskoku, a jego ramiona oplotły szyję Wiatru, ona natomiast przytuliła go do piersi i w tym samym momencie wymknęła się z nim przez otwarte okno, przez które świecił księżyc, zatoczyła krąg jak ptak, który ma za chwilę wylądować i usadowiła się w jego gnieździe na wierzchołku wielkiego buka. Potem wzięła go na kolana i zaczęła kołysać, jak gdyby był jej własnym dzieckiem, a Diamond był tak szczęśliwy, że nie odzywał się ani słowem. W końcu jednak zorientował się, że zasypia, a zasnąć oznaczałoby stracić tak wiele – i choć było mu tak błogo, nie mógł na to pozwolić.

– Proszę cię, Wietrze Północy – powiedział. – Jestem tak szczęśliwy, że boję się, czy to przypadkiem nie jest sen. Skąd mogę wiedzieć, że to nie jest sen?

– A jakie to ma znaczenie? – zapytała Wiatr Północy.

– Gdyby to był sen, chyba bym się rozplakał – rzekł Diamond.

– Ale dlaczego miałbyś płakać? Ten sen, jeśli to rzeczywiście sen, jest przecież przyjemny, prawda?

– I właśnie dlatego chcę, żeby był prawdziwy.

– Czy już zapomniałeś, co mówiłeś Nanny o jej śnie?

– Nie chodzi mi tylko o sam sen, to znaczy o przyjemność, bo ją mam i tak, wszystko jedno, czy to sen, czy nie – odpowiedział Diamond. – Chodzi o ciebie, Wietrze Północy: nie mogę znieść tego, że to wszystko miałoby być tylko snem, ponieważ wtedy musiałbym cię utracić. Wtedy byłabyś nikim, a tego właśnie nie mógłbym znieść. Nie jesteś snem, prawda, Wietrze Północy? Proszę, powiedz, że nie, bo inaczej się rozplaczę i obudzę, a ty znikniesz na zawsze. Nie ośmieliłbym się śnić o tobie znowu, gdybyś była nikim.

– Albo nie jestem snem, albo istnieje coś lepszego, co snem nie jest, Diamondzie – odparła Wiatr Północy tonem, który wydał mu się pełen smutku.

– Ale ja nie chcę czegoś lepszego. Chcę ciebie, Wietrze Północy – upierał się chłopiec, zanosząc się lekkim łkaniem.



Nie odpowiedziała, ale uniosła się w powietrze, nadal trzymając go w ramionach, i popłynęła ponad wierzchołkami drzew, aż dotarli do łąki, na której pasło się stadko owiec.

– Czy pamiętasz, co piosenka, którą śpiewałeś tydzień temu, mówi o małej pasterce Bo-Peep? O tym, jak zgubiła wszystkie owce, ale odzyskała dwa razy więcej jagniątek? – zapytała Wiatr Północy, sadwając się na trawie i sadzając go sobie na kolanach, tak, jak przednio.

– O tak, pamiętam całkiem dobrze – odpowiedział Diamond – ale nigdy nie lubiłem tej piosenki.

– Czemu nie, moje dziecko?

– Bo ona zdaje się mówić, że jedna rzecz jest tak samo dobra jak druga, albo że dwie nowe rzeczy są lepsze niż ta jedna, która się zgubiła. Dużo o tym myślałem i wydaje mi się, że chociaż jedna sześciopensówka jest tak samo dobra jak każda inna sześciopensówka, nawet dwadzieścia jagniątek nie zastąpi jednej owcy, której pyszczek dobrze się znało. To jest jakoś tak, że kiedy spojrzysz w czyjeś oczy, ale tak naprawdę głęboko, nikt nigdy już tego kogoś nie zastąpi. Nikt, nieważne jak piękny czy dobry, nie wypełni miejsca tego kogoś, kto znika nam z oczu. Więc nic nie poradzę na to, że tak się boję pomyśleć, że może tylko śnię, a ciebie tak naprawdę nie ma. Wietrze Północy, proszę cię, powiedz mi, że jesteś moja własna, prawdziwa i piękna!

Znów uniosła się i rzuciła w powietrze, jak gdyby niespokojna, że nie może mu odpowiedzieć; a Diamond leżał cicho w jej ramionach, czekając na to, co powie. Próbował spojrzeć jej w twarz, bo okropnie się bał, że nie odzywa się dlatego, że nie może powiedzieć, iż nie jest snem. Ale ona pozwoliła, by włosy zakryły ją tak, że nie mógł nic zobaczyć. To przeraziło go jeszcze bardziej.

– Powiedz coś, Wietrze Północy – poprosił w końcu.

– Nigdy się nie odzywam, kiedy nie mam nic do powiedzenia – odparła.

– A więc myślę, że musisz być prawdziwym Wiatrem Północy, a nie żadnym snem –

powiedział Diamond.

– Ale ja przecież cały czas szukam tego, co mogłabym powiedzieć.

– Ale ja nie chcę, żebyś mówiła coś, co trudno jest znaleźć. Gdybyś miała powiedzieć choć jedno słowo na pociechę, które nie byłoby prawdą, wiedziałbym od razu, że musisz być snem, bo taka wspaniała i piękna pani jak ty nie mogłaby przecież kłamać.

– Ale mogłaby nie wiedzieć, jak rzec to, co musi rzec w taki sposób, by mały chłopiec mógł ją zrozumieć – odparła Wiatr Północy. – Chodź, zejdziemy na dół i spróbuję ci powiedzieć, co myślę. Nie możesz jednak sądzić, że znam odpowiedzi na wszystkie twoje pytania. Jest wiele spraw, o których wiem równie mało, co ty.

Zniżyła się na trawiasty pagórek pośrodku dzikich, pokrytych janowcem błoni. Poniżej znajdowała się królikarnia; niektóre króliki wychyliły się z norek i przycupnęły w księżycowej poświacie – poważne i mądre, niczym patriarchowie stojący u wejścia do swoich namiotów i rozglądający się po okolicy przed spoczynkiem. Gdy zobaczyły Wiatr Północy, zamiast odwrócić się szybko i zniknąć w norach z głuchym tupaniem, przykicały powoli i zaczęły kręcić się dookoła niej, posapując i unosząc długie górne wargi, którymi poruszał na wszystkie strony. W ten sposób ją całowały – a Wiatr Północy, rozmawiając z Diamondem, gładziła od czasu do czasu ich puszyste grzbiety lub bawiła się ich długimi słuchami. Chłopiec pomyślał, że króliki na pewno wskoczyłyby jej na kolana, gdyby on nie zajął im tego miejsca wcześniej.



– Myślę – odezwała się Wiatr Północy po dłuższej chwili, którą spędzili w milczeniu – że gdybym była tylko snem, nie potrafiłbyś kochać mnie tak bardzo. A kochasz mnie również wtedy, gdy mnie z tobą nie ma, prawda?

– O tak – odparł Diamond, gładząc jej rękę. – Już rozumiem! Rozumiem! Jak mógłbym cię kochać, tak jak kocham, gdyby wcale cię nie było? Poza tym nie potrafiłbym wyśnić niczego

tak pięknego wyłącznie z mojej głowy. A nawet gdybym to zrobił, nie mógłbym przecież pokochać tak mojego własnego wyobrażenia, prawda?

– Myślę, że nie. Mógłbyś kochać mnie we śnie, senną miłością, i zapomnieć o wszystkim zaraz po przebudzeniu, ale nie mógłbyś kochać mnie jako istoty realnej, a tak właśnie przecież mnie kochasz. A nawet jeśli, to nie sądzę, że byłbyś w stanie śnić o czymkolwiek, co nie byłoby podobne do żadnej realnej rzeczy. Ale ty, Diamondzie, widziałeś mnie przecież pod wieloma postaciami. Pamiętasz, jak kiedyś byłam wilkiem, prawda?

– Och, tak! Dobrym wilkiem, który nastraszył niegrzeczną, pijaną niańkę.

– Więc przypuścimy, że zrobiłabym się nagle brzydka. Czy i wtedy wolałbyś, żebym nie była snem?

– Tak, bo przecież wiedziałbym, że w środku jesteś nadal tak samo piękna. Kochałabym mnie, a ja kochałbym cię zupełnie tak samo. Wiesz, nie chciałbym, żebyś była brzydka. Ale też nie wierzyłbym w to ani trochę.

– Nawet gdybyś to zobaczył?

– Nie, nawet gdybym zobaczył to na własne oczy.

– Oto mój Diamond! Powiem ci zatem wszystko, co wiem o tych sprawach. Myślę, że nie jestem tym, co sobie wyobrażasz. Muszę przybierać różne postaci względem różnych osób, ale moje serce jest prawdziwe. Ludzie nazywają mnie okropnymi imionami i sądzą, że wiedzą o mnie wszystko. Ale tak nie jest. Czasem nazywają mnie Niepowodzeniem, czasem Złym Losem, czasem Klęską. Mają też jeszcze jedno imię, które uważają za najgorsze ze wszystkich.

– Jak ono brzmi? – zapytał Diamond, spoglądając jej w twarz z uśmiechem.

– Tego ci nie powiem. Czy pamiętasz, jak musiałeś przejść przeze mnie, by dostać się do kraju położonego poza moimi plecami?

– O tak, pamiętam. Byłaś taka zimna, Wietrze Północy. I taka biała – cała, za wyjątkiem twoich ślicznych oczu! Moje serce zrobiło się wtedy jak bryłka lodu, a potem na chwilę o wszystkim zapomniałem.

– Wtedy znajdowałeś się bardzo blisko tego, żeby się dowiedzieć, jak brzmi owo imię. Czy bałbyś się mnie, gdybyś musiał przejść przeze mnie jeszcze raz?

– Nie. Czemu miałbym się bać? Tak naprawdę bardzo bym się ucieszył, nawet gdyby to miało być tylko po to, aby chociaż na chwilę zobaczyć znowu kraj poza twoimi plecami.

– Ty wcale jeszcze go nie widziałeś.

– Jak to, Wietrze Północy? Ojej, jaka szkoda! Myślałem, że tak. Ale co w takim razie widziałem?

– Tylko jego obraz. Prawdziwy kraj leżący za moimi plecami jest o wiele piękniejszy niż ono. Pewnego dnia go zobaczysz, może nawet już niedługo.

– A czy śpiewa się tam piosenki?

– Nie pamiętasz już swojego snu o małych chłopcach, którzy wykopują gwiazdy?

– O tak, to pamiętam. Myślałem sobie, że musiałaś mieć z tym snem coś wspólnego, bo był taki piękny.

– Tak. To ja zesłałam ci ten sen.

– Och, dziękuję! Czy zesłałaś również sen Nanny, ten o księżycu i o pszczołach?

– Owszem. Byłam tą panią, która siedziała w okienku księżycy.

– Och, dziękuję ci. Byłem niemal pewny, że z nim też miałaś coś wspólnego. A czy to ty opowiedziałaś panu Raymondowi historię o Królowie Jutrzence?

– Zdaje mi się, że miałam z tym coś wspólnego. W każdym razie pan Raymond wymyślił tę opowieść pewnej nocy, gdy nie mógł zasnąć. Ale chciałam zapytać cię o coś innego: czy pamiętasz piosenkę, którą anielscy chłopcy śpiewali w tamtym śnie o gwiazdach?

– Nie. Nie mogłem jej zapamiętać, choćby nie wiem co, a przecież próbowałem.

– To była moja wina.

– Ale jak to, Wietrze Północy?

– Sama nie znam jej dobrze, więc nie mogłam cię nauczyć. Mogłam jedynie próbować zgadnąć, jakie byłoby jej brzmienie, a przez to nie mogłam sprawić, by przyśniła ci się wystarczająco wyraźnie, żebyś ją zapamiętał. Nie zrobiłabym tego zresztą nawet wtedy, gdybym mogła, bo to byłoby niewłaściwe. Sprawiałam jednak, że przyśniło ci się jej echo. Ale usłyszysz tę piosenkę na własne uszy, gdy przybędziesz do kraju poza...

– Wiatrem Północy, która jest moja własna i najdroższa – powiedział Diamond, kończąc za nią zdanie i całując jej ramię, którym przytrzymała go przyciśniętego do piersi.

– A zatem wszystko sobie wyjaśniliśmy. Przynajmniej na ten moment – powiedziała.

– Ale ja nie czuję się zupełnie przekonany – odparł Diamond.

– Na to musisz jeszcze chwilę poczekać, a w międzyczasie miej nadzieję i zadowolaj się tym, że nie jesteś zupełnie przekonany. Teraz zabiorę cię z powrotem do domu, bo nie ma potrzeby męczyć cię ponad miarę.

– Och, nie, nie, nie. Wcale nie jestem zmęczony – bronił się chłopiec.

– Mimo wszystko tak będzie lepiej.

– No dobrze, skoro sobie tego życzysz – poddał się z westchnieniem.

– Jesteś kochanym chłopcem – powiedziała Wiatr Północy. – Zjawię się znów jutro w nocy, by zabrać cię ze sobą na dłużej. Wybierzemy się razem w małą podróż: wyruszymy wcześniej, a ponieważ księżyc wzejdzie trochę później niż dziś, jego światło będzie nam towarzyszyło przez całą drogę.

Po tych słowach uniosła się w przestworza, przemknęła nad łąką oraz wierzchołkami drzew, a już po chwili pojawiły się pod nimi dachy posiadłości Mound. Wiatr Północy opadła lekko i wsunęła się przez okno do pokoju Diamonda. Tam położyła go na posłaniu i okryła kołdrą – w następnej chwili chłopiec pogrążył się w głębokim śnie bez marzeń.

ROZDZIAŁ XXXVII

PO RAZ OSTATNI

Następnej nocy Diamond siedział przy otwartym oknie i, oparłszy głowę na dłoni, czekał na obiecaną wizytę. Był trochę zmęczony, ale obawiał się, że z przejścia nie będzie mógł zasnąć. W pewnym momencie jednak wzdrygnął się i zorientował, że już prawie zapadł w sen. Wstał, a gdy się podniósł i wyrzął przez okno, zobaczył, że coś bieleje na tle buka. To była Wiatr Północy, która jedną ręką trzymała się jego najwyższych gałęzi. Jej włosy i suknia odpływały w dal, poza drzewo, którego korona kołysała się lekko na wietrze, choć pozostałe gałęzie trwały w bezruchu.

– Czy jesteś gotów, Diamondzie? – zapytała.

– Tak, całkiem gotów – odparł chłopiec.

Gdy to powiedział, ona natychmiast znalazła się przy jego oknie, wyciągając po niego rękę, a w następnej chwili pofrunęli tak szybko, że Diamond mógł dostrzec tylko chmury mknące ponad ich głowami i przyćmioną ziemię, nad którą lecieli. Wkrótce jednak zobaczył, że niebo jest prześliczne, usiane nakrapianymi obłoczkami, które – przepływając przed księżycem – zabarwiały się lekkim odcieniem masy perłowej i opalu. Noc była ciepła, a w ramionach pięknej pani Diamond nie czuł wiatru, który poniżej kołysał łanami dojrzałej kukurydzy i drobną fałą marszczył powierzchnie rzek i tafle jezior. W końcu zniżyli lot nad nagim zboczem wzgórza, gdzie spod kamienia tryskało źródło.

– Zabiorę cię wzdłuż tego strumyka – powiedziała Wiatr Północy. – Nie muszę dziś wypełniać żadnych innych zadań, więc mogę sprawić ci tę przyjemność.

Zawisła ponad wodą i, trzymając Diamonda tuż nad jej powierzchnią, zaczęła sunąć w dół zbocza razem z biegiem strumienia. Jego śpiew wypełnił uszy chłopca, z każdym zakrętem zmieniając się i przybierając na sile, a Diamondowi wydawało się, że w ten sposób strumyk opowiada mu historię swojego życia. I tak było rzeczywiście. Na początku usłyszał melodyjne brzęczenie, które przerodziło się w gaworzenie, a później w łagodny szum pędzącej wody. Czasami piosenka zamierała niemal zupełnie, by po chwili wybuchnąć na nowo, wszystkimi tymi dźwiękami jednocześnie. U stóp wzgórza natrafili na rzeczkę, do której strumień wpływał ze stłumionym, lecz wesołym bulgotaniem. Podążali dalej z jej biegiem, a jej powierzchnia lśniąca w świetle księżyca ciemnym blaskiem. W miejscu, gdzie rzeka tworzyła niewielkie jezioro, zatrzymali się nad łanem lilii wodnych i przyglądali się przez chwilę, jak stulone w śnie kwiaty kołyszą się łagodnie na wodzie poruszonej obecnością Wiatru Północy; to znów przypatrywali się rybom uspionym wśród ich łodyg i korzeni. Czasem unosili się nad bystrzynami w zakolach, a Wiatr Północy trzymała Diamonda tak, by mógł zapuścić wzrok w

chłodną głębię. Czasem też porzucali rzekę i przelatywali nad polem kończyny – nie było tam jednak pszczoł, a kwiaty spały, więc po chwili wracali znowu nad wodę. Rzeką stawała się tymczasem coraz szersza – na jej przeciwnych brzegach stały równe zastępy pszenicy i owsa, to znów wierzby zanurzały swoje wiotkie gałązki w spokojnym nurcie, który innym razem wiódł ich wśród majestatycznych drzew i porośniętych murawą brzegów pięknego ogrodu, gdzie spały lilie i róże ze zwiniętymi pąkami, z których tylko kilka czuwało, wysyłając w nocne powietrze swoją słodką, silną woń. Rzeką zaś ciągle się poszerzała, aż w końcu na jej brzegach zobaczyli zacumowane łódki, które tańczyły lekko na wodzie poruszonej szatą Wiatru Północy. Później pojawiły się domy, stojące na zadbanym trawnikach, w cieniu okazałych drzew. W niektórych miejscach rzeka wzbierała tak wysoko, że trawa i korzenie drzew znajdowały się pod wodą, a Diamond, w miarę jak przesuwali się między pniami, widział trawę rosnącą na dnie rzeki. Potem zostawili rzekę za sobą i polecili nad domami – pięknymi, bogatymi domami – które, tak jak drzewa, rosną przez całe wieki. Nigdzie nie było światła, żadnego ruchu ani dźwięków – wszyscy mieszkańcy spali głębokim snem.



– Jak dużo snów musi im się śnić! – powiedział Diamond.
– Tak – odparła Wiatr Północy. – One wszystkie nie mogą być chyba kłamstwem, prawda?
– Myślę, że to troszkę zależy od tego, kto je śni – podsunął chłopiec.
– Owszem. Ludzie, którzy myślą kłamstwa i czynią kłamstwa, będą najpewniej śnić kłamliwe sny. Ale ludziom, którzy kochają prawdę, od czasu do czasu może przyśnić się coś prawdziwego. Trochę też zależy od tego, czy są to sny wyhodowane u siebie, czy też ich nasiona zostały przywiane z cudzego ogrodu. Ale spójrz! W tym domu ktoś nie śpi!

Przelatowali teraz nad domem, w którym paliło się światło. Diamond usłyszał jęk i zaniepokojony poszukał wzrokiem twarzy swojej towarzyszk.

- To pewna kobieta, której ból nie pozwala zasnąć – powiedziała Wiatr Północy.
- Czy nie mogłabyś czegoś dla niej zrobić? – zapytał chłopiec.
- Ja nie. Ale ty byś mógł.
- Ja? Niby co ja mógłbym zrobić?
- Mógłbyś zaśpiewać jej jakąś piosenkę.
- Przecież mnie nie usłyszysz.
- Zabiorę cię do środka i wtedy usłyszysz.
- Ale to byłoby niegrzeczne. Ty oczywiście możesz wchodzić, gdzie tylko zechcesz, ale ja nie powinienem wpraszać się do jej pokoju.
- Możesz mi zaufać, Diamondzie. Zaopiekuję się tą panią tak dobrze, jak tobą. Okno jest otwarte. Chodźmy.

W pokoju, przy osłoniętej lampie, siedziała kobieta otulona białą chustą. Próbowwała czytać, lecz co jakiś czas z jej ust wyrывały się jęki. Wiatr Północy podleciała za jej krzesło, postawiła Diamonda na podłodze i powiedziała mu, by zaśpiewał jej jakąś piosenkę. Chłopiec był trochę przestraszony, ale pomyślawszy chwilę, zaczął śpiewać:

Słońko się już schowało,
Na niebie księżyc jasny,
Lecz słońce wszędzie znowu
A księżyc wtedy zaśnie.

Śpi kwiatek snem głębokim,
Lecz martwy wcale nie jest:
Gdy wszędzie ranek złoty,
Na nowo się zaśmieje.

Lecz kiedy przyjdzie zima
Umrze – nie, nic z tych rzeczy!
Gdy mróz i śnieg przeminą
Z ukrycia się podniesie.

Lato przyjdzie na pewno,
Na pewno wszędzie słońce:
zimę i noc przemieni
W cienie precz pierzchające.

Kobieta nie uniosła oczu znad książki, nie podniosła też głowy wspartej na dłoni. Gdy tylko Diamond skończył śpiewać, Wiatr Północy zabrała go i wyfrunęła z pokoju.

- Czy ta pani mnie nie słyszała? – zapytał chłopiec, gdy znów znaleźli się nad rzeką.
- Wręcz przeciwnie, słyszała cię bardzo dobrze – odparła Wiatr Północy.
- I przestraszyła się?
- Ależ nie, wcale.
- Więc czemu się nie rozejrzała, żeby zobaczyć, kto to?
- Nie wiedziała, że tam jesteś.
- Więc jak mogła mnie słyszeć?
- Nie słyszała cię uszami.
- A czym?
- Sercem.
- I myślała, że słowa dobiegają skąd?

– Z książki, którą czytała. Jutro przewertuje ją całą, żeby je odszukać, i nie będzie mogła zrozumieć, dlaczego nigdzie ich nie ma.

– O, ale śmiesznie! – ucieszył się Diamond. – I co w t e d y zrobi?

– Mogę ci powiedzieć, czego nie zrobi: nigdy nie zapomni znaczenia tych słów, choć nie będzie mogła sobie przypomnieć, jak dokładnie brzmiały.

– A jeśli kiedyś zobaczy je w książce pana Raymonda, będzie bardzo zdziwiona, prawda?

– Z pewnością. Nie będzie mogła pojąć, jak to się stało.

– Dopóki nie trafi do kraju poza wiatrem północnym? – podsunął chłopiec.

– Dopóki nie trafi do kraju poza wiatrem północnym – przytaknęła pani.

– Och! – wykrzyknął nagle Diamond. – Wiem już, gdzie jesteśmy. Och, pozwól mi pójść do naszego starego ogrodu, i do pokoiku mamy i do przegrody Diamonda! Ciekaw jestem, czy w deskach za moim łóżkiem ciągle jeszcze jest ta dziura. Chciałbym tu zostać przez resztę nocy. Droga do domu stąd nie zajmie ci dużo czasu, prawda, Wietrze Północy?

– Nie – odparła. – Możesz zostać tak długo, jak tylko zechcesz.

– O, jak wspaniale! – zawołał Diamond, gdy Wiatr Północy przefrunęła nad domem i postawiła go na rozciągającej się z tyłu murawie.

Przez chwilę chłopiec biegał po zalanym księżycową poświatą trawniku. Zauważył, że w niektórych miejscach wykopano grządki kwiatowe, a potężny wiąz i mała altanka z kolorowymi szybkami zniknęły. Nie spodobało mu się to, pobiegł więc do stajni, ale nie było w niej ani jednego konia. Wbiegł na górę. Izdebki były puste. Jedyną rzeczą, która miała dla niego jakąkolwiek wartość, była niewielka szpara w ścianie, przy której kiedyś stało jego łóżko, ale nawet ona nie sprawiła, że chciał się zatrzymać. Diamond zbiegł znów po schodach i wybiegł na trawnik. Tam rzucił się na ziemię i rozplakał. Wszystko było takie posępne i opuszczone!

„Wydawało mi się, że lubię to miejsce tak bardzo – myślał – ale teraz widzę, że przestało mi na nim zależeć. To chyba ludzie sprawiają, że lubi się jakieś miejsce, bo kiedy oni odejdą, wszystko w nim umiera i nie zostaje nic, na czym mogłoby nam zależeć. Wiatr Północy powiedziała, że mogę tu zostać, ile tylko chcę, ale ja myślę, że byłem tu nawet za długo”.

– Wietrze Północy! – zawołał, unosząc twarz ku niebu.

Księżyc skrył się za chmurami, wszystko wyglądało smętnie i ponuro. Wtem z nieba spłynęła gwiazda i upadła w pobliską trawę, a momencie, gdy rozblęsnęła, obok chłopca zjawiała się Wiatr Północy.

– Och! – zawołał Diamond uradowany. – Czy to ty byłaś spadającą gwiazdą?

– Tak, moje dziecko.

– I słyszałaś, jak cię wołam?

– Owszem.

– Tam, wysoko?

– Tak, słyszałam cię całkiem wyraźnie.

– Proszę, zabierz mnie do domu.

– Masz już dość swojego dawnego domu?

– Tak, więcej niż dość. To już wcale nie jest dom.

– Przypuszczałam, że tak będzie – powiedziała Wiatr Północy. – Wszystko, sny i cała reszta, muszą mieć duszę, inaczej nie są nic warte i przestaje nam na nich zależeć. Niektóre nasze myśli nie są nic warte, ponieważ nie mają duszy. Mózg wkłada je do naszego umysłu, a powinno być odwrotnie – umysł powinien wkładać myśli do mózgu.

– Ale skąd możesz o tym wiedzieć, Wietrze Północy? Nie masz przecież ciała.

– Gdybym nie miała ciała, nic byś o mnie nie wiedział. Żadne stworzenie nie może poznać drugiego bez pomocy ciała. Ale nie chcę o tym mówić. Czas, byś wrócił do domu.

To mówiąc, Wiatr Północy uniosła Diamonda i odplynęła z nim w dal.

ROZDZIAŁ XXXVIII

POZA WIATREM PÓŁNOCNYM

Później przez jakiś tydzień nie widziałem Diamonda, a gdy go zobaczyłem, opowiedział mi to wszystko, o czym teraz opowiadam wam. Powinienem być właściwie zdumiony tym, że chłopiec w ogóle był w stanie przekazać mi treść swoich rozmów z Wiatrem Północy, gdybym od dawna nie uważał, że niektóre dzieci potrafią zagłębiać się w metafizykę. Boję się tylko tego, bym opowiadając o moim małym przyjacielu nie sprawił, że ludzie wezmą go za jednego z tych zarozumiałych, nadętych potworków, które próbują ciągle się mądrzyć i sprawdzają, czy inni doceniają ich popisy. Kiedy takie dziecko umiera, zamiast pisać o nim jakieś głupie książeczki, powinno się je raczej wypchać jak jedną z tych wielkogłowych ryb, które można zobaczyć w muzeum. Diamond nigdy jednak nie zaprzętał sobie głowy tym, co myślą o nim inni ludzie. Najmądrzejsze rzeczy mówił wtedy, gdy prosił kogoś o pomoc w rozwiązaniu jakiejś swojej trudności. Nie obrażał się nawet na to, że Nanny i Jim nazywali go głuptasem. Podejrzewam, że przyczyniło się do tego częściowo inne przezwisko, które wymyślili, wołali bowiem na niego również „Boże dzieciątko”.

Miałem szczęście, że sam interesowałem się metafizyką na równi z Diamondem. Dzięki temu, gdy już opowiedział mi o swoich rozmowach z Wiatrem Północy, nie poczułem się jak ryba bez wody, choć rzeczywiście nie często udawało mi się dojrzeć dno i byłem wręcz przekonany, że znajduje się ono całe mile przede mną.

– Jak pan myśli, czy to m o g ł o być tylko snem? – pytał mnie Diamond z przejęciem.

– Trudno mi powiedzieć – odparłem. – Ale jednego możesz być pewien: istnieje jeszcze wspanialsza miłość, niż pochodząca od tej istoty, którą nazywasz Wiatrem Północy. Nawet jeśli ona jest tylko snem, sen kimś tak pięknym nie mógł nawiedzić cię przez przypadek.

– Tak, wiem – odrzekł. – Wiem.

Zamilkł, lecz przyznam, że wyglądał bardziej na zamyślonego niż usatysfakcjonowanego moją odpowiedzią.

Gdy zobaczyłem go znowu, wyglądał na bledszego niż zwykle.

– Czy widziałeś swoją przyjaciółkę? – dopytywałem.

– Tak – zapewnił poważnie.

– Zabrała cię gdzieś ze sobą?

– Nie. Nie odezwała się do mnie. Obudziłem się nagle, jak to zwykle się zdarza, gdy mam ją zobaczyć, a ona była tam, przy drzwiach do dużego poddasza i siedziała dokładnie tak, jak wtedy na progu swojego domu: biała jak śnieg, z oczami błękitnymi jak wewnątrz góry lodowej. Patrzyła na mnie, ale nie powiedziała ani słowa.

– Nie bałeś się? – zapytałem.

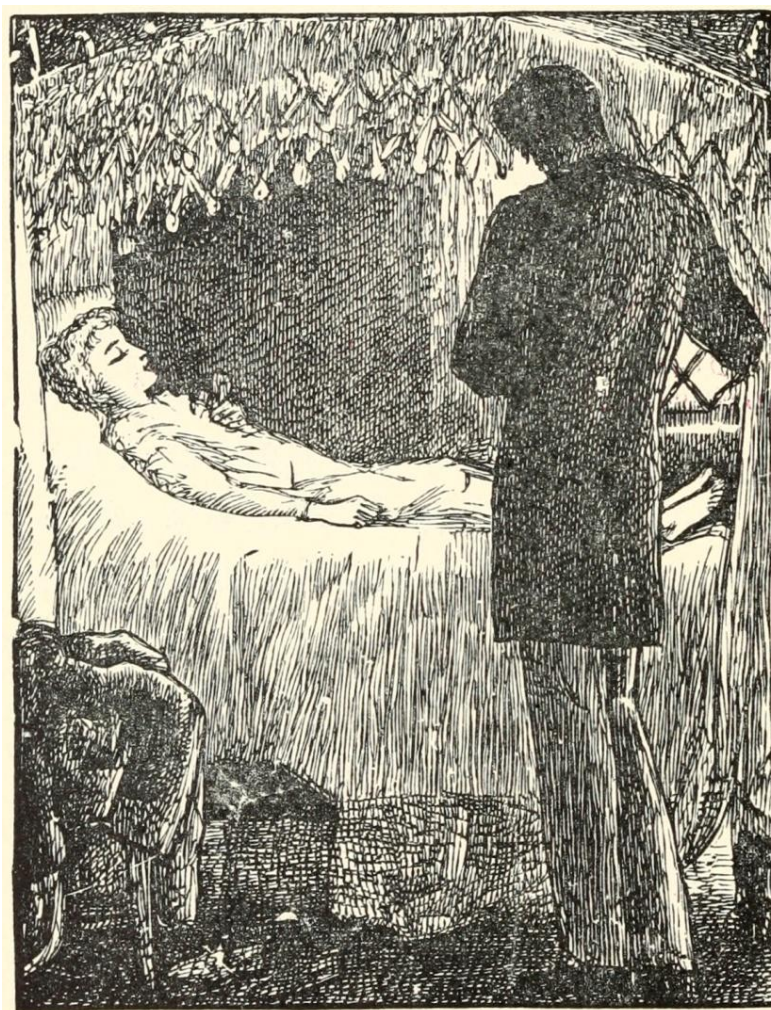
– Nie, skądże. Czemu miałbym się bać? – zdziwił się. – Zrobiło mi się tylko trochę zimno.

– Długo tak siedziała?

– Nie wiem, bo znowu zasnąłem – odparł. – Ale wydaje mi się, że od tamtej chwili ciągle jest mi zimno – dodał z lekkim uśmiechem.

– Nie podobało mi się to wcale, ale nic nie powiedziałem.

Cztery dni później zjawiłem się znowu w Mound. Pokojówka, która mi otworzyła, miała poważny wyraz twarzy, ale ja nadal niczego nie podejrzewałem. Kiedy wszedłem do bawialni, zobaczyłem, że pani Raymond płacze.



– Nie słyszał pan jeszcze? – zapytała, widząc moje zdziwione spojrzenie.

– O czym? – odparłem.

– Tego ranka znaleźliśmy naszego małego Diamonda leżącego na podłodze dużego poddasza, tuż za drzwiami do jego własnego pokoiku. Wydawało nam się, że śpi sobie spokojnie. Ale kiedy go podnieśliśmy, zrozumieliśmy, że nie śpi. Zrozumieliśmy, że...

I w tym momencie ta kobieta o dobrym sercu znowu zaniósła się płaczem.

– Czy mogę iść go zobaczyć? – zapytałem.

– Tak. Zna pan drogę do pokoiku na wieży.

Wspiąłem się na górę krętymi schodami i wszedłem do jego izdebki. Śliczna figurka, biała i niemal tak czysta jak alabaster, leżała na łóżku. Wszyscy myśleli, że umarł. Ja wiedziałem jednak, że odszedł tylko do kraju poza wiatrem północnym.

KONIEC

J.M. Barrie

PIOTRUŚ PAN

ALBO

CHŁOPIEC, KTÓRY NIE CHCIAŁ DOROSNAĆ

przeł. Aleksandra Wiczorkiewicz

CALEJ PIĄTCE

Dedykacja

Ponieważ sztuka *Piotruś Pan* ukazuje się nareszcie drukiem, wypada mi uczynić na jej temat kilka niepokojących wyznań, wśród nich zaś to, iż nie pamiętam, bym kiedykolwiek ją napisał. O tym jednak później, gdyż w pierwszej kolejności pragnę ofiarować jąCALEJ PIĄTCE, bez której nigdy by nie powstała. Tuszę, moi drodzy panowie, że przez wzgląd na to, czym dla siebie byliśmy, przyjmiecie tę dedykację wraz z wyrazami miłości Waszego przyjaciela. W sztuce o Piotrusiu wciąż jest Was pełno, choć tylko my – nikt inny – możemy to zauważyć. Niejeden akt musiał zostać z niej wykreślony – i w każdym z nich również Was nie brakowało. Przecież chyba po raz pierwszy ustrzeliliśmy Piotrusia w Ogrodach Kensingtonskich, za pomocą strzały o tępym grocie? Zdaje mi się, że byliśmy wówczas przekonani, że go zabiliśmy – a on tylko na chwilę stracił oddech – i po krótkim wybuchu euforii wobec naszych łowieckich zdolności ci wrażliwsi z nas zaczęli pociągać nosem, a wszyscy bez wyjątku pomyśleli o policji. I nie było wśród Was takiego, który nie zgodziłby się zeznawać pod przysięgą jako naoczny świadek owych wydarzeń. Bez wątpienia ja byłem prowodyrem w tej opowieści, lecz to Wy nieustannie dostarczaliście mi świeżych dowodów na potwierdzenie jej prawdziwości – dowodów, których ja nigdy Wam nie podsuwałem. Jeśli natomiast chodzi o mnie, zdaje się, że od początku wiedziałem, iż stworzyłem Piotrusia Pana, mocno pocierając Was wszystkich o siebie, tak jak tubylcy pocierają dwa drewnianki, żeby skrzesać ogień. Piotruś jest właśnie tym: iskrą, którą z Was wykrzesałem.

Mieliśmy z nim niezłą zabawę, zanim przycięliśmy go i zmniejsziliśmy tak, żeby zmieścił się na scenie. Kiedy nasza opowieść się zaczynała, niektórych z Was nie było jeszcze na świecie, a tymczasem zdążyliście powyrastać na krzepkich młodzianów, gdy zorientowaliśmy się, że oto zabawa skończona. Czy pamiętacie pewien ogród w Burpham i ceremonię wtajemniczenia Numeru 4, która odbyła się tam, gdy miał on sześć tygodni, a Wasza pozostała trójka zżymała się, że przypuszczamy go do spółki w tak młodym wieku? A Ty, Numerze 3, czy zapomniałeś już białe fiołki w opactwie cystersów, gdzie nakładaliśmy habity naszym pierwszym wróżkom i elfom (małym przyjaciołom św. Benedykta), oraz Twoje wołanie wzniesione ku niebiosom: „Czy ja ciągle zabijam tylko jednego pirata?”? Pamiętacie jeszcze Szałas Rozbitków w nawiedzonych zagajnikach Waverley, psa bernardyna w masce tygrysa, który ciągle Was atakował, i literackie opisanie tamtego lata, pt. *Mali rozbitkowie*, które jest jak dotąd najlepszym i najrzadszym dziełem autora niniejszych słów? Co ostatecznie skłoniło nas do tego, żeby oddać w ręce publiczności – i to w formie cienkiej sztuki – opowieść, która tak długo snuła się wyłącznie dla nas? Niestety! Wiem, co to było: zaczęliście mi się po prostu wymykać. Jeden po drugim, kierując się małą mądrością, przeskakiwaliście z gałęzi na gałąź w lesie-na-niby, by w końcu dotrzeć do drzewa wiadomości. Czasem zdarzało Wam się wrócić – niczym zamyśleni wędrowcy, którzy obierają znajomą ścieżkę, choć ona nie prowadzi już do

domu. Lub ostentacyjnie i tylko po to, by sprawić mi przyjemność, siadywaliście na gałęziach na skraju lasu, udając, że wciąż jeszcze jesteście jego częścią. Wkrótce stał się on dla Was tylko znikającym lasem, bo on zawsze pierzcha przed tymi, którzy muszą go wypatrywać. W końcu nadszedł ten dzień, gdy zorientowałem się, że Numer 1 – ów najbardziej galantny z Was – przestał wierzyć w to, iż nocami przedziera się przez knieję zboczony szkarłatem i, zerkając na mnie przepraszająco, wyszydził wiarę, która tliła się jeszcze w Numerze 2; dzień, gdy nawet Numer 3 z ponurą miną podał w wątpliwość to, że nie spędza nocy w swoim własnym łóżku. Wciąż byli jeszcze dwaj z Was, którzy nie pojedli wszystkich rozumów, ale ich czas miał dopiero nadejść. W tych to właśnie okolicznościach, jak mniemam, zacząłem spisywać sztukę o Piotrusiu. Zdarzyło się to jakieś ćwierć wieku temu, więc teraz, marszcząc brew, na próżno staram się przypomnieć, czy była to z mojej strony ostatnia desperacka próba, by zatrzymać Was przy sobie choć odrobinę dłużej, czy też po prostu wykalkulowana na chłodno decyzja, by zarobić na Was trochę grosza.

To z kolei kieruje nas ponownie ku mojemu kłopotliwemu wyznaniu, iż nie pamiętam, bym kiedykolwiek napisał sztukę o Piotrusiu Panie, która ukazuje się drukiem tak wiele lat od momentu, gdy jej główny bohater skłonił się przed publicznością po raz pierwszy. Bawiliście się nią dopóty, dopóki się Wam nie sprzykrzyła, a potem cisnęliście ją w powietrze, wzięliście na rogi i rozdarliście na sztuki, po czym zostawiliście porzuconą w błocie – i poszliście swoją drogą, podśpiewując jakieś inne piosenki. A wtedy ja zakradłem się do niej po cichu i pozszywałem niektóre z zakrwawionych strzępów stalówką mojego pióra. Tak właśnie musiało to wyglądać, choć nie pamiętam, żebym to robił. Pamiętam doskonale, jak pisałem opowieść pod tytułem *Piotruś Pan i Wendy* kilka lat po premierze sztuki, choć mogłem też po prostu przepisać ją z jakiegoś maszynopisu scenariusza. Mogę przywołać wspomnienie pracy nad niemal każdym z moich dramatów, jakkolwiek zapomniane przez miłą publiczność by one nie były; ale sztuki o Piotrusiu Panie – nie, tego nie potrafię. Pamiętam na przykład każdy szczegół komponowania owego szlachetnego łamańca pod tytułem *Bandyta Bandelero*, gdy stawiałem pierwsze kroki jako dramaturg-amator jeszcze w czasach szkolnych spędzonych w Dumfries. Nie mniej żywo staje mi przed oczyma moja pierwsza drobna sztuczka, wyprodukowana przez pana Toole'a, która nosiła tytuł *Duch Ibsena* i była parodią dzieł najpotężniejszego mistrza, jaki kiedykolwiek pisał dla naszych życzliwych przyjaciół zasiadających przed proscenium. Żeby zmniejszyć koszty produkcji, sam przepisywałem na maszynie poszczególne „role” – kiedy już się dowiedziałem, czym one są – i wciąż przypominam sobie pierwsze słowa, wypowiedziane płaczącym tonem przez sławną dziś aktorkę: „Uciec od drugiego męża tak samo, jak uciekałam od pierwszego – to po prostu jak za dawnych, dobrych czasów”. Podczas premiery pewien widz na parterze poczuł się tak rozbawiony spektaklem, że dostał histerii i musiano go wyprowadzić z sali. Później, jak się zdaje, wszyscy o tym zapomnieli. Ale taki widz – co to za wspaniała zapowiedź dla dramaturgów na późniejsze lata! Jakie to też dziwne, że podobne błahostki trzymają się pamięci, która nie potrafi przywołać długich dni pracy nad *Piotrusiem*. Wydawać się to może niemal podejrzanym, tym bardziej, że nie posiadam oryginalnego manuskryptu *Piotrusia Pana* (prócz kilku luźnych kartek) na potwierdzenie moich praw do niego. Dysponuję wprawdzie innym manuskrytem, spisany całkiem niedawno, ale to „niczego nie dowodzi”. Nie wiem, czy tamten oryginalny gdzieś zgubiłem, zniszczyłem, czy może beztrąsko komuś wydałem. Napisałem, że dedykuję Wam tę sztukę, ale jak mogę dowiedzieć, że ona jest moja? Jak miałbym się zachować, gdyby ktoś inny, kto również mógł przepisać manuskrypt, postanowił zadać sobie trud zakwestionowania moich bezdusznych praw? Bo one stały się dla mnie bezduszne – jak Wasz śmiech, z którego Piotruś Pan narodził się na długo przed tym, zanim został pochwycony i uwięziony na papierze. Nadal jest to Piotruś – lecz dla mnie leży on zatopiony głęboko na dnie jeziora Black Lake.

Każdy z Waszej piątki ma większe prawa do autorstwa *Piotrusia Pana* niż ja i nie ośmieliłbym się oponować, gdybyście postanowili ich dochodzić. Powinniście byli jednak wytoczyć mi sprawę już dawno, w czasach, gdy najbardziej mnie podziwialiście, a było to w pierwszym roku grania *Piotrusia*, gdy doszły Was słuchy, że zarabiam szylinga i sześć pensów na jednym spektaklu. To była nieprawda, ale dzięki niej zyskałem wśród Was pewne poważanie. Bacznie wyglądaliście mojej kolejnej sztuki, lecz nie dlatego, że zachciało Wam się scenicznych rozrywek, lecz na wypadek gdyby znalazło się w niej jakieś Wasze powiedzonko,

które dałoby się zakwalifikować jako współtwórstwo. I zdaje mi się, że rzeczywiście mam gdzieś nadal dokument, pełen urzędowych sformułowań typu „wyżej wymieniony” i „niniejszym uznaje się za Współautora”, w którym za takie drobne podebranie zostałem skazany na wypłacanie Numerowi 2 półpensówki codziennie przez cały sezon, gdy owa sztuka była na afiszach.

Podczas prób do *Piotrusia Pana* (to, że mnie na nie wpuszczano, stanowi dowód przemawiający na moją korzyść) od czasu do czasu, w mrocznym pierwszym rzędzie, pojawiał się obok mnie pewien zdesperowany człowiek w kombinezonie roboczym, z kubkiem herbaty lub puszką farby w ręku, by ogłosić, że „chłopcy na galerii tego nie zdzierzą”. Po tych słowach znikał tajemniczo, jak gdyby był samym duchem teatru. Jego desperacja była dokładnie tym, co w podobnych momentach odczuwa każdy dramatopisarz, być może więc to właśnie on był autorem. Również całe mnóstwo dzieci, które widziałem, jak grają *Piotrusia* w swoich domach z beztrudną wirtuozerią, za każdym razem używając lepiej dobranych słów, mogło machnąć tę sztukę na poczekaniu, bez najmniejszego trudu. To właśnie ze względu na takie dzieci musiałem po premierze dopisać jedną kwestię – na specjalne życzenie rodziców (którzy tym samym pokazali, że uznają mnie za głównego odpowiedzialnego) – a mianowicie, że nikt nie może latać, dopóki nie posypie się go pyłkiem wrózek i elfów. Sporo małych widzów po powrocie do domu próbowało bowiem wyfrunąć z własnych łóżek i potem potrzebowało pomocy lekarza.

Niezależnie od wszystkiego sędzę jednak, że to ja napisałem *Piotrusia Pana*, a skoro tak, musiało się to stać w zwyczajny atramentowy sposób. Lubię też myśleć, że choć trochę z tego pisania odbyło się w moim domu rodzinnym, który jest dla mnie najdroższym miejscem na ziemi – nawet jeśli moje serce zabije po raz ostatni w samotnym, ukochanym Londynie, do którego droga była taka trudna. Musiałem wówczas siedzieć przy stole z tym olbrzymim psem, który czekał aż skończę – ale bez narzekania, wiedział bowiem, że w ten sposób zarabiamy na chleb – i spojrzał na mnie spode łba, gdy zorientował się, że on sam również wystąpi w tej sztuce, ale jako suczka. Kiedy po latach aktor grający Nanę musiał pójść na wojnę, nauczył najpierw swoją żonę całej psiej roli, żeby mogła go zastępować, dopóki nie wróci, a ja bardzo się cieszę, że nie widzę w tym nic śmiesznego – dla mnie jest to po prostu część sztuki. I właśnie to moje dyletanctwo oferuję jako pierwszy dowód na to, że jestem autorem *Piotrusia Pana*.

Niektórzy mówią, że w różnych okresach życia stajemy się różnymi ludźmi, zmieniając się nie poprzez wysiłek woli – co wymaga pewnego heroizmu – lecz poprzez poddanie się naturalnemu biegowi rzeczy, mniej więcej co dziesięć lat. Przypuszczam, że ta teoria pozwoliłaby rozwiązać mój obecny dylemat, gdyby nie to, że się z nią nie zgadzam. Myślę, że pozostajemy tą samą osobą przez całe życie, a wraz z upływem czasu przechodzimy tylko – by tak rzec – z jednego pokoju do drugiego, pozostając cały czas w tym samym domu. Gdybyśmy uchylili drzwi pokojów z odległej przeszłości, moglibyśmy zajrzeć do środka i zobaczyć nas samych, pilnie pochylonych nad stawaniem się sobą. Jeśli zatem rzeczywiście jestem autorem, o którym była tu mowa, zapowiedź tego powinna ujawnić się już w mieszkańcu mojego pierwszego pokoju, na którego teraz pozwolę sobie zerknąć. Oto on, mniej więcej siedmioletni, wraz ze swoim współpiskowcem Robbem, obaj w szkockich furażerkach. Urządzają właśnie przedstawienie w maleńkiej pralni, która stoi do dzisiaj. Za wstęp płaci się błyskami, duniami lub innymi betkami (nauczyłem Was całkiem sporo szkockiego, więc powinniście wiedzieć, o co chodzi), zaś kulminacyjny moment spektaklu następuje wtedy, gdy próbujemy wrzucić się nawzajem do kotła, choć niektórzy mówią, że ja wygłaszałem przemowę do oczarowanej publiczności. Ta mała pralnia była nie tylko sceną mojej pierwszej sztuki, ale posiada jeszcze bliższe związki z *Piotrusiem Panem*: stanowiła mianowicie pierwowzór małego domku, który *Zgubieni Chłopcy* budują dla Wendy na *Nigdylandii*, a główna różnica polegała na tym, że pralnia nigdy nie przywdziała smolistego cylindra Johna jako komina. Gdybyśmy z Robbem posiadali taki cylinder, z pewnością wsadzilibyśmy go na daszek pralni.

A tu znowu ów chłopiec, starszy o jakieś cztery lata, gorączkowo pożerający książki o bezludnych wyspach, które nazywa rozbitymi wyspami. Kupuje te swoje krwawe opowieści po kryjomu, w pisemkach za pensa. Widzę teraz moment, w którym następuje w nim przemiana: blednie, czytając w poważnym magazynie „*Chatterbox*” artykuł ciskający gromy na podobne

lektury i dociera do niego, że o ile nie powściągnie swojego apetytu na bezludne wyspy, będzie zgubiony na wieki. O zmierzchu wymyka się więc z domu z całą swoją biblioteczką, którą upchnął pod kołającą się z przejścia kamizelkę. Podążam za nim krok w krok, jak cień, którym w istocie jestem, i przyglądam się, jak kopie dziurę na polu przy farmie Pathhead, po czym grzebie w niej swoje wyspy. I choć zdarzyło się to całe lata temu, mógłbym teraz pójść prosto do tej dziury, by rozpocząć wykopaliska w poszukiwaniu szczątków moich niegdysiejszych lektur. Zaglądam do następnego pokoju. To znowu on, tym razem o dziesięć lat starszy: świeżo upieczony absolwent pałający pragnieniem, by być prawdziwym odkrywcą, kimś, kto naprawdę czegoś dokonuje, a nie tylko o tym gada – lecz poza tym niezmienny. Można by go takiego sportretować: dwudziestoletni, na szczycie masztu, z lunetą w dłoni, przeczesuje wzrokiem horyzont w poszukiwaniu niewyraźnej smużki łądu. Przechodzę z pokoju do pokoju: teraz jest dorosłym mężczyzną, który porzucił marzenia o karierze odkrywcy (ale tylko dlatego, że nikt nie chciał przyjąć go na statek). Wkrótce zaczyna wysmażać kolejne sztuki, drżąc ze strachu na myśl, że ktoś mógłby kiedyś policzyć, ile wysp się w nich znalazło. Zauważam też, że wraz z upływem lat jego wyspy stają coraz bardziej mroczne, ale to tylko dlatego, że teraz musi pisać lewą ręką, ponieważ prawa odmówiła mu posłuszeństwa, a w sposób oczywisty lewą ręką pisze się bardziej ponure rzeczy. Podejdźcie teraz po ciuchu do pokoju, w którym ja i on zlewamy się w jedno, i zajrzyjcie przez dziurkę od klucza: zobaczycie, jak zastanawiamy się, czy uszłaby nam na sucho jeszcze jedna wyspa. Ta wędrówka po domu o wielu pokojach może nikogo nie przekonać co do tego, że to ja napisałem *Piotrusia Pana*, ale z pewnością wskazuje na mnie jako na dość prawdopodobnego kandydata. I teraz się właśnie zacząłem zastanawiać, czy przypadkiem nie było tak, że przeczytałem znowu artykuł w „Chatterboksie” i – raz jeszcze przeżywszy te same katusze – zakopałem ów zaginiony manuskrypt *Piotrusia* w tamtej dziurze na polu.

To wszystko jest oczywiście trochę przesadzone. Być może rzeczywiście się zmieniamy – poza tą odrobiną, czymś nie większym od pyłku, co tańczy przed naszymi oczyma, zniewalając nas na całe życie. Nie potrafię oderwać włoska, na którym ów pyłek zawisł.

Najdobitniejszy dowód tego, że jestem autorem *Piotrusia Pana*, znajduje się w spowitym dziś melancholią i wspomnianym już tomie *Mali rozbitkowie*, musicie mi więc wybaczyć, że go tutaj zademonstruję. Woźny sądowy, wezwając na salę rozpraw *Małych rozbitków!* Świadek staje przed trybunałem i okazuje się, że to książka, którą pamiętacie doskonale, choć wiele lat upłynęło od chwili, kiedy widzieliście ją po raz ostatni. Wyciągnąłem ją właśnie z biblioteczek z niemałym trudem, ponieważ jej zadaniem było ostatnio podpieranie wyższej półki. Przypuszczam, choć nie jestem pewien, że to ja – a nie Wy – wtłoczyłem ją na to miejsce użyteczności publicznej. Jest nieco wygięta i sponiewierana, jak wszyscy, którym przyszło dźwigać ciężkie brzemie, i powinna przypominać nam (o wstydzie!) więźniów, których wypuszcza się z celi na godzinę po to, by mogli świadczyć przed Wysokim Trybunałem. Powiedziałem wcześniej, że jest to najbardziej unikatowe z moich dzieł i tak musi być w istocie, ponieważ jego jedyne wydanie ograniczało się do dwóch egzemplarzy, z których jeden natychmiast zgubił się w pociągu (we wszystkich sprawach związanych z Piotrusiem kryły się jakieś diabelskie sztuczki). Ten, który trzymam przed sobą, to ostatni niedobitek. Sądowi gapie mogli się wcześniej spodziewać, że będzie to tylko spisana odręcznie rozprawka i teraz zdumiewają się jego objętością. Tom wydrukowany został przez oficynę Constable’a (naprawdę elegancko to zrobiłeś, drogi Blaikie), zawiera trzydzieści pięć ilustracji i oprawiony jest w bordowe płótno, a na okładce wytłoczono wizerunek trójki najstarszych z Was, „wyruszających, żeby rozbić się na wyspie”. Zapis ten miał rzekomo zostać sporządzony przez najmłodszego z Was, któremu musiałem przyznać ów zaszczyt jako zadośćuczynienie za to, że bardzo często bywał wynoszony z samego środka przygód przez piastunkę, która wciniała się w nasze zabawy, by zabrać go na popołudniową drzemkę. Numer 4 podrzemywał w owych czasach tak dużo, że mógł zostać jedynie honorowym członkiem naszej szajki, który machał Wam stópką na szczęście, gdy wyruszaliście w knieję uzbrojeni w łuk i strzały, by upolować dla niego obiad. Natomiast Numeru 5 próżno byłoby jeszcze szukać na kartach tej opowieści. Oto jest jej strona tytułowa, z tą różnicą, że zamiast imion nosicie na niej numery:

MALI
ROZBITKOWIE
Z WYSPY NA BLACK LAKE

czyli zapis Straszliwych
Przygód Trójki Braci
latem Roku 1901
wiernie podane przez
Numer 3

LONDYN
Nakładem J.M. Barriego
Gloucester Road
1901

Później następuje długi wstęp autorstwa Numeru 3, z którego można wyczytać, w jakim wieku wyruszaście na tę pierwszą eskapadę. „Numer 1 liczył sobie osiem wiosen i jeden miesiąc, Numerowi 2 szło na siódme *lustrum*, a ja miałem już grubo ponad cztery lata”. W swoich dwóch starszych braciach autor chwali nieustrasżoność ducha, lecz gani to, że chcieli ciągle sami strzelać i nosili wszystkie strzały ukryte za pazuchą. Do siebie samego podchodzi z ujmującą skromnością: „O Numerze 3 wolałbym nie mówić, mając nadzieję, że w miarę rozwoju opowieści pokaże się, iż był on chłopcem czynów raczej niż słów” – cecha, która, jak sugeruje, nie zdobyła czoł Numerów 1 i 2. Wstęp kończy się w podniosłej tonacji: „Powiniennem jeszcze nadmienić, że dzieło to zostało pierwotnie sporządzone dla zachowania naszych wspomnień, zaś teraz wydane zostaje ku pożytkowi Numeru 4. Jeśli dzięki niemu damy mu przykład hartu ducha oraz męznego znoszenia przeciwności losu, będziemy mogli powiedzieć, iż nie rozbiliśmy się na próżno”.

Wydane dla zachowania Waszych wspomnień. Czy rzeczywiście je zachowuje? Czy słyszycie znowu – jak owo z dawna zapomniane pogwizdywanie pod oknem (Robb wzywający mnie o poranku na ryby!) – te nie do końca śmiertelne porywy, które rozbrzmiewają echem w tytułach niektórych rozdziałów? „ROZDZIAŁ II. Numer 1 daje Wilkinsonowi (swojemu belfrowi) Ostrą Szkołę – Uciekamy na morze. ROZDZIAŁ III. Przerażający Huragan – Katastrofa Różowej Anny – Odchodzimy od zmysłów z Głodu – Pada Propozycja, żeby zjeść Numer 3 – Ahoj, łódź na Horyzoncie!”. To tytuły trzech rozdziałów z szesnastu. Czy to znów Wasze oszczepy ze śpiewnym jękiem przecinają błękitną mgiełkę sosnowego lasu? Czy złani potem pniecie się znowu na zbocza straszliwej Doliny Spadających Głazów, a dłonie powalane krwią piratów wycieracie beztrząsowo Matkę Ziemię? Czy potraficie nadal skrzesać ogień, pocierając o siebie dwa drewnianki (kiedyś umieliście, bo pan Seton-Thompson pokazał nam, jak to się robi, gdy byliśmy razem w – cóż, może to i dziwne miejsce na takie rzeczy – Klubie Reformatorów)? Czy to właśnie harówka przy budowaniu szałasów podsunęła później Piotrusiowi myśl, żeby poszukać „podziemnego domu”? Flaszki i blaszane kufle na upiornej ilustracji zatytułowanej „Ostatnia noc na Wyspie” wskazują, że ze Zgubionych Chłopców zamieniliście się w piratów, ku czemu zresztą Piotruś zawsze przejawiał niepokojące skłonności. Wsłuchajcie się ponownie w terkot naszego skradzionego tartaku, wynalazku, z którego ludzkość może być najbardziej dumna – bo kiedy człowiek po raz pierwszy zbudował tartak, zagłuszył leśne ptaki i tym samym pokonał je w konkursie śpiewaczym.

Ilustracje (każda na całą stronę) to wszystko fotografie wykonane przeze mnie osobiście – część z nich przedstawia sytuacje, które trzeba było wymyślić dopiero później, ponieważ zawsze, gdy naciskałem migawkę, robiliście akurat nie to, co trzeba. Widzę teraz, że łączyliśmy pouczenie z rozrywką – być może zresztą złożyliśmy wcześniej uroczystą przysięgę, że tak właśnie będziemy robić. Bo jak inaczej wytłumaczyć na przykład takie opisy: „Mamy tu bez wątplenia – mówi Numer 1 usadowiony na jodle, do której przed chwilą przywiązaliśmy jakiś dziwny owoc – okaz *Cocos nucifera*. Przypatrzcie się tylko tym smukłym kolumnom

podpierającym koronę opadającą z wdziękiem, którego nie jest w stanie oddać żadna sztuka”. „Zaiste – ciągnie na innej ilustracji, opierając się na swojej niezawodnej rusznicy pod takim samym drzewem, ale w innym lesie – choć terminy w tej przygodzie są ciężkie, radbym przetrzymać większe nawet niedostatki, skoro nagrodą za nie są tak wspaniałe studia Natury”. Prędko powraca jednak do spraw praktycznych, „rozpoznając mango (*Magnifera indica*) po lancetowatych liściach i owocach przypominających ogórki”. Numer 1 był z pewnością typem podróżnika, z którym warto było rozbić się na bezludnej wyspie, choć – o ile mnie pamięć nie zawodzi – Numer 2, do którego skierowane były owe napuszone uwagi, wyrzekał czasami, że jemu nigdy podobne znaleziska się nie trafiają. Numer 3, jako autor, uwieczniony został na zaskakująco niewielu fotografiach, ale to dlatego, że pewna osoba, do której zrobiłem już jedną mroczną aluzję, porywała go spomiędzy nas i unosiła na sjęstę regularnie o dwunastej w południe, czyli w porze, gdy było najlepsze światło do zdjęć. Z niemałym kunsztem, za który nigdy go nie skomplementowano, fotografowi udawało się uwzględnić czasem Numer 3 na zdjęciu ukazującym życie wśród dzikiej przyrody, gdy tymczasem tak naprawdę wierzgał on wtedy nóżkami na kanapie w swoim nudnym domu. I tak oto pod fotografią, na której Numery 1 i 2 siedzą u wejścia do szałasów z gniewnymi minami, znajduje się nieprawdziwy opis głoszący, że za gniewne miny tej dwójki winę ponosi „ich brat schowany w szałasie, który śpiewa i muzykuje na barbarzyńskim instrumencie”. „Melodia – mówi dalej niewidoczny Numer 3 (ewidentnie uprzedzając opinię Numeru 1) – jest prymitywna i dla wysmakowanego słuchu pełna zgrzytów, lecz słowa pieśni przypominają te śpiewane przez Arabów i pełne są poetycznych wizji”. Tyle zapewne wolno mu było powiedzieć wśród dąsów na kanapie.

Na treść *Małych rozbitków* składają się tytuły szesnastu rozdziałów, po których nie następuje żaden dalszy tekst. Ów brak mógłby rozczarować potencjalnych nabywców, trzeba jednak pamiętać, że z całą pewnością istnieją o wiele gorsze sposoby pisania książek. Tytuły rozdziałów zapowiadają znaczną część akcji *Piotrusia Pana*, choć nie zostały w nich ujęte nasze liczne przygody z czasów Ogrodów Kensingtonskich, jak na przykład wyprawa na Antarktydę, kiedy to wyprzedziliśmy naszego przyjaciela kapitana Scotta w zdobywaniu bieguna i wycieliśmy tam nasze inicjały, by mógł je sobie potem przeczytać – przedziwna zapowiedź tego, co miało się wkrótce wydarzyć naprawdę. W *Małych rozbitkach* pojawia się już Kapitan Hak, ale nazywany jest tam Kapitanem Smągłym i po obrazkach wnioskuje, że musiał być to człowiek czarnoskóry. Wtajemniczeni utrzymują, że jest to postać autobiograficzna, o czym zresztą nie muszę Was przekonywać. Stoczyliście z nim niejedną potyczkę (choć zdaje mi się, że nigdy nie udało się Wam odciąć mu prawej ręki) zanim doszliście do owego przejmującego grozą rozdziału (który mógł się tu przedostać ze sztuki) pod tytułem *O świcie Zakradamy się na statek Piratów – Hultajski Okręt – Numer 1 Rąb-Ich-Na-Sztuki i Numer 2 Krwawy Tomahawk – Masakra Piratów – Na ratunek Piotrusiowi*. (Halo, a to co? Piotruś ratowany, zamiast pędzący na ratunek? Wy i ja dobrze wiemy, o co tu chodzi, ale nie będziemy przecież zdradzać wszystkich naszych sekretów.) Scena Masakry rozgrywała się nad Black Lake (później, kiedy dopuściliśmy do komitywy dziewczynki, w Lagunie Syren), ale kapitan piratów nie dokonał żywota w paszczy krokodyla, choć krokodyle mieliśmy na podorędziu („W czasie, gdy Numer 2 oczyszczał strumień z krokodyli, Numer 1 ustrzelił kilka papug – z rodziny *Psittacidae* – na naszą wieczerzę”). Obawiam się, że biedny kapitan miał dość różnorodną śmierć, spowodowaną Waszymi niesmacznymi przepychankami, bo każdy chciał zbić go własnoręcznie. W szczególnych okolicznościach – jak wtedy, kiedy na przykład Numer 3 sam wyrwał sobie ruszający się ząb – przyznawaliście mu zaszczyt dokonania owego czynu, lecz odbieraliście mu go natychmiast, gdy szedł na popołudniową drzemkę. Tylko dwie ilustracje w książce przedstawiają marny los Smągłego: na jednej z nich, opisanej krótko „Wieszamy go”, Numery 1 i 2, surowi jak sam Atos, wciągają swego wroga na drzewo za pomocą liny – jego twarz szczerzy się w strasznym uśmiechu jak jakaś dziwna maska (którą w istocie była), zaś odzienie bardzo przypomina moje własne ubrania wypchane paprociami. Drugie zdjęcie przedstawia identyczną scenę następnego dnia, a podpis pod nim – „Sępy oskubały go do czysta” – mówi sam za siebie.

Pies występujący w *Małych rozbitkach* nie wabił się jeszcze wprawdzie Nana, ale zdecydowanie przechodził już szkolenie na to stanowisko. Należał pierwotnie do Kapitana Smągłego (a może do Kapitana Marrayata?), zaś pierwsza przedstawiająca go fotografa – na

której widać, jak skulony, przyczajony i przygarbiony (jakim cudem udało mi się uzyskać taki efekt?) „patroluje wyspę” na zlecenie swojego potwornego pana – w niczym nie wskazuje na to, że wkrótce stanie się wzorem wszelkich cnót domowych. Udało się nam jednak skłonić go do porzucenia łotrowskiego życia i w dalszej części książki znajduje się wzruszająca fotografia – wyraźna zapowiedź pokoju dzieciennego państwa Darlingów – zatytułowana „Nauczyliśmy psa, żeby czuwał nad nami, kiedy śpimy”, na której on sam również smacznie chrapie, i to w pozie stanowiącej wierną kopię ułożenia jego podopiecznych. Rzeczy samej, jedynym kłopotem, jaki nam sprawiał, było to, że zorientowawszy się, iż znajduje się w opowieści, uznał, że najbezpieczniej będzie we wszystkim Was naśladować. Tak bardzo się starał, żeby pokazać, że rozumie naszą zabawę! I jaki był wielkoduszny – o wiele bardziej niż Wy – w tym, że nigdy nie udawał, że to on zabił Kapitana Smagłego. Nie chciałbym jednak sugerować, iż był zupełnie pozbawiony inicjatywy, ponieważ to on wpadł na pomysł, żeby szczekać za minutę czy dwie dwunasta, ostrzegając Numer 3, że jego strażniczka z pewnością jest już w drodze (Zniknięcie Numeru 3). Przyzwyczał się tak bardzo do życia w świecie Na-niby, że kiedy rankiem docieraliśmy do szafasu, on już tam czekał – wyglądał, to prawda, trochę głupawo – i witał nas nowym rodzajem szczekania, które wymyślił specjalnie na tę okazję: dość długo zajęło nam domyślenie się, że domaga się od nas hasła. Zawsze był też chętny do wykonywania różnych dodatkowych prac, takich jak na przykład udawanie tygrysa w specjalnej masce – i kiedy po krwawym boju ponieśliście ową maskę triumfalnie do domu, siedł za Wami w pochodzie dumnym krokiem i niczym się nie zdradził, że to trofeum należało kiedyś do niego. Dużo później obejrzał sztukę o Piotrusiu, siedząc ze mną w łoży teatralnej, a w miarę jak przed jego oczami rozgrywały się znajome sceny, zaczął zdradzać takie przejęcie, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem u psa. Podczas jednego ze spektakli pozwoliliśmy mu nawet na chwilę zająć miejsce aktora grającego rolę Nany i nie sądzę, żeby ktokolwiek na widowni zauważył tę zamianę, choć nie obyło się oczywiście bez pewnych psich „inwencji”, które my znaliśmy aż za dobrze, nawet jeśli dla publiczności były one nowością. A to dopiero, zdaje się, że w tych wspominkach pomieszałem go z jego następcą, który w końcu musiał się pojawić – oddany Nowofunlandczyk, który w kolejnym roku zaczął, że tak powiem, ubiegać się o gażę, przynosząc do szafasu upolowane jeże jako dary na nasz wieczorny posiłek. Jego pysk i kolor sierści posłużyły później za wzór do kostiumu Nany.

Wszyscy oni – osoby dramatu w miniaturze – zdają się wyłaniać z naszej wyspy, nie sądzicie? Wszyscy, poza tym jednym szelmą, głównym bohaterem, który ucieka coraz głębiej w las, w miarę, jak próbujemy go doścignąć. Tak bardzo nie lubi, kiedy się go tropi – jak gdyby było w nim coś dziwnego, co można by wtedy odkryć – że kiedy umrze, zamierza wstać wkrótce potem, żeby rozsytać na wietrze drobinki swoich prochów.

Wendy jeszcze wówczas nie było, ale próbowała się zjawić od czasu, gdy wspomniana już lojalna niania rzuciła na scenę naszych przygód ucieszny, niewieści cień i przekonała nas, że wpuszczenie do nich podobnego niespokojnego ducha może być całkiem zabawne. Być może zresztą Wendy wierciłaby nam dziurę w brzuchu dopóty, dopóki nie pozwolilibyśmy jej wejść, niezależnie od tego, czy byśmy tego chcieli czy nie. Bardzo możliwe również, że nawet Piotruś Pan nie zabrał jej do Nigdylandii z własnej, nieprzymuszonej woli, ale dlatego, że nie miał innego wyjścia. Cynowy Dzwoneczek zdążyła też przybyć na wyspę, zanim my ją opuściliśmy. Stało się to pewnego wieczoru, kiedy, niosąc na rękach Numer 4, pięliśmy się po lesistym zboczach, by pokazać mu, jak wygląda trop o zmierzchu. Płomyki naszych latarni migotały wśród zarośli, gdy Numer 4 zobaczył nagle, jak jedno mignięcie przez chwilę staje nieruchomo, machnął na nie nóżką i w ten sposób powołał do życia Dzwonkę. Nie należy jednak myśleć, że pomiędzy nim a Dzwonką dochodziło później do jakichś innych sentymentalnych nonsensów. Powiem więcej: gdy tylko lepiej ją poznał, zaczął podejrzewać, że zakrada się do szafasu, żeby sprawdzić, co mamy na kolację i uszczknąć coś dla siebie – i od tego czasu ścigał ją z uporem godnym lepszej sprawy.

Bezpiecznym, choć może trochę oschłym sposobem przywoływania przeszłości, jest zmuszenie zaciętej szuflady do tego, by się otworzyła. Jeśli akurat szukacie czegoś konkretnego, na pewno tego nie znajdziecie, ale często zdarza się, że z mrocznej głębi wypadnie coś, co okaże się nawet bardziej interesujące. W ten właśnie sposób zdobywam moje przypadkowe lektury, a wśród nich owe luźne kartki manuskryptu *Piotrusia Pana*, o których

wspominałem – a jednak nawet one, gdy włożyłem je z powrotem do szuflady, zniknęły znów w tajemniczy sposób, jak gdyby tliła się w nich jeszcze odrobina diabelstwa. Można się było z nich dowiedzieć, że na początku całkiem sporo scen wykreślałem i dodawałem. W tej samej szufladzie znalazłem jeszcze kilka strzępów partytury z uroczą muzyką pana Crooka oraz kilka innych oderwanych drobiazgów związanych z Piotrusiem Panem. Oto na przykład zapisałem odpowiedź chłopca, którego uhonorowałem miejscem w mojej łoży, a po spektaklu byłem na tyle nieostrożny, żeby zapytać, co mu się najbardziej podobało: „Najbardziej mi się podobało – odparł – skubanie programu i zrzucanie papierków ludziom na głowy”. Bardzo często bywałem w ten sposób rozkładany na łopatki. W szufladzie leży też ciągle mój ulubiony program *Piotrusia*. W pierwszym czy drugim sezonie Numer 4 zachorował i nie mógł przybyć do teatru, więc zawieźliśmy spektakl do niego, do jego pokoju dzieciennego w domu daleko na wsi, a scenografię, sprzęty i aktorów wiozł korowód wehikułów, który wyglądały niemal tak wspaniale, jak przejazd wędrownego cyrku. Główne role zagrały najmłodsze dzieci z londyńskiej obsady, zaś pięcioletni Numer 4 oglądał przedstawienie ze swojego łóżka z wielką powagą i nie uśmiechnął się ani razu. Wtedy po raz pierwszy i ostatni pojawiłem się na prawdziwej scenie, a egzemplarz tego programu udowodnia, jak marnym byłem aktorem, skoro moje nazwisko zostało wydrukowane najmniejszymi literkami ze wszystkich.

Powiedziałem tu dotychczas bardzo niewiele o Numerach 4 i 5, a już najwyższa pora, by zmierzać ku końcowi. Beztrąsko trwały ich długie, letnie dni, ale wystarczyło, bym odwrócił się tylko na chwilę, a oni już szykowali się do szkoły. Wydawałoby się, że jeszcze w poniedziałek odprowadzałem Numer 5 na przyjęcie dla dzieci i w przedpokoju przeczesałem mu zwichrzoną czuprynkę, a już w czwartek on ustawiał mnie pod ścianą na stacji metra ze słowami: „Idę teraz po bilety. Nie ruszaj się stąd, dopóki po ciebie nie wrócę, bo jeszcze się zgubisz”. Numer 4 w jednej chwili łowi ryby, siedząc u mnie na barana – ja stoję po kolana w strumieniu – by już w następnej zeskoczyć i stać się, jeszcze jako uczeń, najsurowszym z moich krytyków. Zarzucałem bowiem wszystko, nad czym z dezaprobatą pokręcił głową, pozbawiając być może świat kilku prawdziwych arcydzieł. Była sobie na przykład pewna mała tragedia, która bardzo mi się podobała, dopóki nie wpadłem na głupi pomysł opowiedzenia o niej Numerowi 4. Zmarszczył brwi i powiedział, że może będzie lepiej, jeśli się jej przyjrzy. Przeczytał, a potem poklepał mnie po plecach w sobie tylko i Numerowi 1 właściwy sposób, po czym powiedział: „Wiesz przecież, że nie możesz wyprawiać takich rzeczy”. Koniec tragika. Czasami jednak Numer 4 doceniał moje wysiłki twórcze – w dzień, w którym zwrócił mi maszynopis sztuki *Drogi Brutusie* ze słowami „Nieźle to”, chodziłem wprost w nimbie glorii. Kiedyś, gdy miał dziesięć lat, dałem mu do przeczytania maszynopis *Margaret Ogilvy*. „O, dzięki” – powiedział niemal natychmiast, po czym dodał: „Tylko że moje biurko jest teraz strasznie zawałone”. Odrzekłem mu, że może wybrać sobie niektóre z zabawniejszych fragmentów. „Czytałem je w książce” – odpowiedział. To była dla mnie nowość i poczułem się w duchu uszczęśliwiony, ale nadmieniałem jeszcze, że ludzie zbierają czasem takie rzeczy jako osobliwości. „O” – usłyszałem znów w odpowiedzi. Odparłem cierpko, że jeśli nie chce manuskryptu, nie musi go brać. „Pewnie, że chcę, tylko że moje biurko...” – zaczął znowu, po czym wymknął się z pokoju. Wrócił, ciągnąc za sobą Numer 5 i ogłaszając triumfalnie: „Numer 5 weźmie.”

Ile to razy bywałem przez Was odrzucany! Najwięcej bólu sprawiało mi to w owych dawnych czasach, kiedy jeden po drugim wyrastaliście z wiary we wróżki i elfy i spoglądaliście na mnie z pogardą jako na oszusta. Moim największym triumfem, a zarazem najwspanialszą rzeczą w *Piotrusiu Panie* (choć w sztuce tego nie ma) było to, jak wiele lat od momentu, gdy Numer 4 przestał wierzyć, sprawiłem, że uwierzył znowu przynajmniej na dwie minuty. Płynęliśmy właśnie na Hebrydy, żeby powędkować (tam przecież złowiliśmy *Mary Rose*), a chociaż podróż trwała kilka dni, on przez cały czas trzymał na ramieniu swój koszyk wędkarski, żeby móc zacząć łowić od razu. Jedyną rzeczą, która go gnębiła, była nieobecność Johnny’ego Mackaya, uwielbianego pomocnika z zeszłorocznej wyprawy, który nauczył go wszystkiego, o czym warto wiedzieć (a co dotyczy przynęty), ale w tym roku nie mógł do nas dołączyć, bo w tym celu musiałby przejechać całą Szkocję tam i z powrotem. Gdy łódź zaczęła przybliżać się do pomostu w Kyle of Lochalsh, powiedziałem Numerom 4 i 5, że molo słynie z mocy spełniania życzeń, więc czegokolwiek sobie zażyczą, to się im spełni. Numer 5 uwierzył

natychmiast i wyraził życzenie, że chciałby spotkać siebie samego (znalazłem go potem na molo, jak z miną pełną przekonania przyglądał się twarzom mijanych ludzi), ale Numer 4 uznał to za jedną z moich niewczesnych głupot i zawzięcie odmawiał sprawienia mi tej przyjemności. „Kogo chciałbyś teraz zobaczyć najbardziej?” – zapytałem go, a on odparł: „Ma się rozumieć, że Johnny’ego Mackaya”. „A więc wymów życzenie.” „Bujdy.” „To na pewno nie zaszkodzi.” Tonem pełnym pogardy wymówił życzenie, a z chwilą, gdy cumy zostały rzucone na pomost, ujrzał Johnny’ego, który czekał na nas obładowany sprzętem wędkarskim. W życiu nie widziałem kogoś mniej przypominającego wróżkę niż Johnny Mackay, lecz przez dwie minuty Numer 4 bujał na powrót w innym świecie. Gdy doszedł do siebie, rzucił mi spojrzenie mówiące, że w pełni się rozumiemy i przez następny miesiąc spędzał cały czas wyłącznie z Johnnym, całkowicie mnie ignorując. Jak już wspomniałem, owego epizodu nie znajdziecie w sztuce – więc choć dedykuję *Piotrusia Pana* Wam, sobie zachowuję uśmiech wraz z kilkoma innymi potłuczonymi odłamkami nieśmiertelności, które trafiły mi się po drodze.

AKT I

POKÓJ DZIECINNY

Sypialnia pokoju dzieciennego państwa Darlingów, w którym rozgrywa się pierwszy akt naszej sztuki, znajduje się na najwyższym piętrze domu stojącego przy dość przygnębiającej uliczce w dzielnicy Bloomsbury. Mamy pełne prawo go tam umieścić, zaś powód, dla którego wybraliśmy właśnie Bloomsbury, jest taki, że kiedyś mieszkał tam pan Roget. I my mieszkaliśmy tam również, w czasach, gdy jego *Tezaurus* był naszym jedynym londyńskim towarzyszem – zawsze też chcieliśmy jakoś mu się odwdziżyć za to, że był dla nas w życiu drogowskazem. A zatem Darlingowie mieszkali w Bloomsbury.

Dom stoi na rogu ulicy, a jego najwyższe okno, które będzie dla nas bardzo ważne, wychodzi na zielony skwer, z którego Piotruś zwykł podfruwać w stronę okna ku uciesze trójki mieszkańców dzieciennego pokoju oraz niewątpliwej irytacji przechodniów. Uliczkę można ciągle odwiedzić, chociaż nie znajdziecie już na niej sklepu z ciepłymi kiełbaskami; dziś, tak jak i wówczas, nad niektórymi drzwiami wiszą te same tabliczki zapraszające bezdomnych, by weszli do środka i zatrzymali się u gościnnych gospodarzy. Od czasów rodziny Darlingów coś niecoś jednak odmalowano – w szczególności nasz narożny dom, który zdążył od owych dni połknąć swojego sąsiada, rozkwita okropną świeżością barw, jak gdyby farbę lano nań ze strażackiej sikawki. Tabliczka nad jego drzwiami głosi dziś wyraźne „Żadnych dzieci”, co może oznaczać, że wybryki Wendy i jej braci przyprawiły dom o złą sławę. Jeśli chodzi o nas, nie byliśmy w środku od czasu, gdy poszliśmy tam, żeby zabrać nasz *Tezaurus*.

Nazywamy go tu więc domem Darlingów, ale możecie ustawić go wszędzie, gdzie wam się żywnie podoba, i jeśli myślicie, że tak naprawdę to był wasz dom, najprawdopodobniej macie rację. Ten dom wędruje bowiem po całym Londynie, szukając kogoś, komu może się przydać, tak jak mały domek na Nigdylandii.

Zasłona (którą Piotruś nazwałby pewnie kurtyną teatralną, gdyby miał okazję kiedykolwiek takową widzieć) idzie w górę i naszym oczom ukazuje się pokój na poddaszu który byłby dość smętny, gdyby pani Darling nie uznała go za pole do popisu i nie ozdobiła tak, by odpowiadał jej kochającemu sercu i pustawej portmonetce. Drzwi po prawej stronie prowadzą do dziennego pokoju dzieci, na który właściwie nie było jej stać, ale który urządziła sama, z gwoździami w ustach i puszką kleju w ręce. Przez te drzwi za chwilę wejdą dzieci. W sypialni, po lewej stronie, stoją dwa łóżka i (co może trochę dziwne) duża psia buda, trzecie łóżko stoi zaś na prawo. Narzuty (rozkładane, gdy mają zjawić się goście) pani Darling uszyła ze swojej sukni ślubnej, która była tak wytworna, że przez nią rodzina nadal musi zaciskać pasa. Nad każdym łóżeczkiem stoi porcelanowy domek wielkości gniazda makolągwy, w którym ustawiono nocną lampkę. Ogień na kominku – który znajduje się po naszej prawej stronie – pali się tak dyskretnie, jak gdyby był pod strażą, co poniekąd jest prawdą, ponieważ półkę nad kominkiem podpierają dwaj żołnierze wystrugani z drewna, zaczęci przez pana Darlinga, ukończeni przez panią Darling i przemalowani (niestety) przez Johna Darlinga. Na osłonie kominka wiszą rozmaite sztuki dziecięcej bielizny nocnej. Drzwi, przez które wejdą rodzice, znajdują się po lewej stronie. W głębi widać drzwi do łazienki, nad którymi wisi zegar z kukułką, zaś na środku jest okno, które teraz wydaje się całkiem stateczne i godne szacunku, lecz już za pół godziny (dokładnie o wpół do siódmej wieczorem), będzie mogło opowiedzieć policji bardzo dziwną historię.

W tej chwili w pokoju znajduje się jedynie Nana, czyli piastunka usadowiona wygodnie nie na wyściełanym krześle, jak moglibyście przypuszczać, ale na podłodze. Nana jest nowofundlandzką suczką, co może zbulwersować zamożnych, lecz ci, którzy nie opływają w luksusy, pewno przymkną na to oko. Prawda jest taka, że państwa Darlingów nie było stać na niańkę – właściwie nie stać ich było również na dzieci, teraz więc już wiecie, jak się sprawy mają. Nana przeszła oczywiście szkolenie pod czujnym okiem pani Darling, ale jak wszystkie nianie, które są nazywane „prawdziwymi skarbami”, była po prostu urodzoną piastunką. W tej sztuce zobaczymy ją przede wszystkim w domu, ale sprawowała się wzorowo również na zewnątrz, jak na przykład wtedy, gdy odprowadzała do szkoły dwoje starszych dzieci, niosąc w pysku parasolkę i zaganiając je z powrotem do szeregu, jeśli zdarzyło im się gdzieś zamarudzić.

Zegar z kukułką wydzwania godzinę szóstą i Nana zrywa się na równe łapy. Ten pierwszy moment w przedstawieniu jest bardzo ważny, bo jeśli aktor grający Nanę nie zerwie się odpowiednio, możemy podarować sobie całą resztę. Nanę będzie grał pewnie jakiś sprytny chłopak – o ile uda się takiego znaleźć – który nie powinien nigdy stawać na dwóch łapach, za wyjątkiem tych rzadkich okazji, w których prawdziwa piastunka chodziłaby na czworakach. Nana musi krzątać się wokół swoich obowiązków w sposób tak naturalny, byście po prostu czuli, że wykonuje je codziennie o godzinie szóstej wieczorem. Naturalność musi być jej pasją – a w istocie powinna być też dążeniem każdego aktora w naszej sztuce, dla której Nana wyznacza teraz odpowiednie tempo. Wszystkie postaci, niezależnie od tego, czy są to dorośli czy dzieci, muszą przyjąć dziecięcy sposób widzenia świata jako swoją jedyną ozdobę. Jeśli nie potrafią nie być zabawni, lepiej, żeby sobie poszli. Dobrym mottem dla wszystkich byłoby: „Trochę mniej, ale jak dużo”.

Nana, robiąc użytek ze swojego pyska, ścieli łóżka i przynosi rozmaite sztuki bielizny z osłony kominka. Potem popycha drzwi do łazienki i widać, jak majstruje przy kurkach od wanny, przygotowując kąpiel dla Michaela. Po chwili widzimy ją znowu, jak wkracza do sypialni przez drzwi wiodące z dziennego pokoju dzieci, niosąc na grzbiecie najmłodszego członka rodziny.

MICHAEL (*czupurnie*) Nie chcę do łóżka, nie chcę i nie! Jeszcze nie ma szóstej, Nana. Jeszcze dwie minuty, błagam, chociaż minutka? Nana, mówię ci, że nie idę do wanny. Nie idę do wanny i już!

(Drzwi do łazienki zamykają się za nimi i w tym momencie do pokoju wchodzi pani Darling, która najwidoczniej usłyszała krzyki Michaela. To najśliczniejsza pani w całym Bloomsbury, której usta mają zawsze uroczy, lekko przekorny wyraz, a ponieważ wybiera się dziś na proszoną kolację, ubrana jest już w swoją wieczorową suknię, ponieważ wie, że dzieci bardzo lubią, kiedy im się w niej pokazuje. Jest to przepyszna kreacja, którą uszyła sobie sama z niczego oraz z cudzych pomyłek. Na proszone kolacje wybiera się nieczęsto, gdyż wieczorami woli przesiadywać przy łóżkach swoich śpiących dzieci, robiąc porządki w ich główkach, dokładnie tak, jakby to były szuflady. Gdyby Wendy i chłopcy mogli w takim momencie nie spać, zobaczyliby, jak upycha na właściwych miejscach różne różności, które zawieruszyły się gdzieś w ciągu dnia, jak śmiesznie pochyla się nad niektórymi z nich, zastanawiając się, skąd też mogli je wytrzasnąć, odkrywa rzeczy miłe i mniej miłe, co jakiś czas przytula coś do policzka, a coś innego chowa szybko w najgłębszym zakamarku. Gdy dzieci budzą się rano, cała niegrzeczność, z którą kładły się spać, nie jest wprawdzie (niestety) wywietrzona, ale znajduje się na samym dnie szuflady; na wierzchu zaś, starannie ułożone, czekają najładniejsze myśli gotowe do użytku na nowy dzień.

Pani Darling wchodzi do sypialni i wzdryga się ze strachu, ponieważ za szybą widzi dziwną dziecięcą twarzyczkę oraz rączkę, która obmacuje ramę okna, jak gdyby chciała je otworzyć)

PANI DARLING Kto tam? (*Tajemnicza postać znika; pani Darling podbiega do okna*) Nikogo nie ma. A jednak jestem pewna, że widziałam twarz. Dzieci! (*Otwiera na oścież drzwi do łazienki, a wesola buzia Michaela pojawia się nad krawędzią wanny. Chłopiec rozbryzguje wodę, a pani Darling posyła mu kilka pocałunków, po czym zamyka drzwi. „Wendy, John!” – woła – a z dziennego pokoju dobiegają uspokajające odpowiedzi.*

Przysiada z ulgą na krawędzi łóżka Wendy, a wtedy do sypialni wchodzi Wendy i John, którzy wydają jej się nagle bardzo mali, jak dzieje się zawsze w momentach, gdy matki boją się o swoje dzieci)

JOHN (*teatralnie*) Robimy przedstawienie. Bawimy się w ciebie i tatę. (*Naśladuje jedyne go ojca, który zasłużył na jego szczególniejszą uwagę*) Trochę ciszej tam.

WENDY A teraz udawajmy, że mamy dziecko.

JOHN (*dobrodusznie*) Pani Darling, bardzo miło mi cię powiadomić, że właśnie zostałam matką. (*Wendy szaleje z radości*) Zapomniałaś o najważniejszym. Nie zapytałaś „Chłopiec czy dziewczynka?”.

WENDY Tak się cieszę, że w ogóle mamy dziecko, że mnie to nie obchodzi.

JOHN To właśnie jest różnica między panami i paniami. Teraz ty powiedz do mnie.

WENDY Panie Darling, bardzo miło mi obwieścić, że został pan ojcem.

JOHN Chłopiec czy dziewczynka?

WENDY (*demonstrując samą siebie*) Dziewczynka.

JOHN Pfy!

WENDY Ty brzydalu.

JOHN No dalej, jeszcze raz.

WENDY Panie Darling, bardzo miło mi obwieścić, że znowu został pan ojcem.

JOHN Chłopiec czy dziewczynka?

WENDY Chłopiec. (*John promienieje*) Mamusiu, on się okropnie zachowuje. (*Michael wychodzi z łazienki ubrany w starą piżamę Johna i ostatni raz przeciera buzię rącznikiem*)

MICHAEL (*wspinając się na palce*) John, teraz urodźcie mnie.

JOHN To było nasze ostatnie.

MICHAEL (*opadając na pięty*) Czyli mam się w ogóle nie urodzić?

JOHN Dwójka zupełnie nam wystarczy.

MICHAEL (*przymilnie*) No dalej, John, powiedz, że chłopiec. (*Zbulwersowany*) Nikt mnie nie chce!

PANI DARLING Ja chcę.

MICHAEL (*z nadzieją w głosie*) Chłopiec czy dziewczynka?

PANI DARLING (*idąc za jedną ze swoich szczęśliwych myśli*) Chłopiec. (*Triumf Michaela, konsternacja Johna. Wchodzi pan Darling, na nieszczęście nie w humorze, by napawać się tą domową scenką. Jako żywicielowi rodziny nie można mu niczego zarzucić i ma naprawdę pecha, że musiał wejść do sypialni akurat teraz, bo gdybyśmy wpuścili go kilka minut wcześniej lub później, na pewno zrobiłby lepsze wrażenie. W biurze, w którym pracuje przez cały dzień przyklejony do stołka jak znaczek pocztowy do koperty, jest tak podobny do innych panów na stołkach, że nie poznalibyście go po twarzy, ale właśnie po siedzeniu. Dlatego, gdy wraca do domu, najlepszy sposób, by mu to wynagrodzić, to powiedzieć, że jest wybitną osobistością. Jest też bardzo skrupulatny i w czasach, gdy pani Darling zaczęła robić błędy w domowych rachunkach i zamiast liczb wyrysowywać w nich obrazki (które pan Darling nazywał jej zgadywankami) wyszukiwał za nią wszystkie chochliki, trzymał ją za rękę i podliczał, czy stać ich na Wendy, przy czym zawsze mu wychodziło, że nie. Z prawdziwym żalem przedstawiamy go więc teraz jako tajfun wpadający do sypialni w wyjściowym stroju, ale bez płaszcza, i wymachujący białą muszką odporną na wszelkie próby zawiązania).*)

PANI DARLING (*sugerując, że szukał swojej żony po całym domu i że sypialnia dzieci to zaiste nie miejsce, w którym można by się jej spodziewać*) No nareszcie, Mary. Wszędzie cię szukam.

PANI DARLING (*orientując się od razu, o co chodzi*) O co chodzi, George, kochanie?

PANI DARLING (*jak gdyby samo to słowo było okropne*) Chodzi! Ta muszka – nie da się zmusić. Do zawiązania. (*Ze wzrastającym sarkazmem*) Nie pod moją brodą. Na słupku od łóżka – o tak, że dwadzieścia razy zawiązała się na słupku, ale pod moją brodą za nic w świecie, nie i koniec, mowy nie ma.

MICHAEL (*w radosnym uniesieniu*) Jeszcze raz! Tato, powiedz to jeszcze raz!

PAN DARLING (*tonem miazdzącej pogardy*) Dziękuję bardzo. (*Sprowokowany podejrzliwie przekornym uśmiechem na twarzy pani Darling*) Ostrzegam cię, Mary, że jeśli ta muszka nie zawiąże się pod moją brodą, nie pójdziemy na kolację, a jeśli nie pójdziemy na kolację, nie mam po co wracać do biura, a jeśli nie będę miał po co wracać do biura, nie będziemy mieli co do garnka włożyć, a nasze dzieci pójdą na bruk.
(*Twarze dzieci bledną, w miarę jak dociera do nich powaga sytuacji*)

PANI DARLING Pozwól, że ja spróbuję, kochanie.
(*W mroźnej krew w żyłach ciszy latorośle kupią się dookoła swoich rodziców. Czy jej się uda? Od tego zależą ich dalsze losy. Nie udało się – ale nie, poradziła sobie! W następnej chwili roznosi ich dzika radość i dokazują po całym pokoju, wskakując sobie na plecy. Tata to nawet lepszy konik niż mama. Michael zostaje zrzucony na swoje łóżko, Wendy wychodzi, żeby się przebrać, a John umyka przed Naną, która znów wyszła z łazienki z ręcznikiem*)

JOHN (*buńczucznie*) Nie idę do wanny. Nie myśl sobie.

PAN DARLING (*z władczyim gestem*) Ale już, marsz do mycia, mój panie.
(*John ze zwieszoną głową podąża za Naną do łazienki. Pan Darling pęcznieje z dumy*)

MICHAEL (*spod kołdry*) Mamo, jak my się poznaliśmy?

PAN DARLING Trochę ciszej tam.

MICHAEL (*poważniejąc*) O której się urodziłem, mamo?

PANI DARLING O drugiej w nocy, kochanie.

MICHAEL Ojej, mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

PANI DARLING Oni są tacy słodcy, nie uważasz, George?

PAN DARLING (*z uwielbieniem*) Na całym świecie nie znajdziesz im równych. I są nasi, nasi!
(*Na nieszczęście w tym momencie Nana wychodzi z łazienki po gąbkę i przypadkiem ociera się o jego spodnie – pierwsze w jego życiu spodnie z galonami*)

PAN DARLING No nie, Mary, spójrz no na to. Cały oblażłem sierścią. Fajtlapa, fajtlapa!
(*Nana wychodzi z oklapniętymi uszami*)

PANI DARLING Pozwól, że je wyszczotkuje, kochanie.
(*Znowu jej się udaje. Stoją teraz przy kominku, a tymczasem Michael wyczynia w łóżku jakieś wariactwa z pluszowym misiem*)

PAN DARLING (*przygnębiony*) Czasem myślę, Mary, że popełniamy błąd, zatrudniając psa jako piastunkę.

PANI DARLING George, przecież Nana to skarb.

PAN DARLING Bez wątpienia. Ale mam niepokojące wrażenie, że zdarza jej się traktować dzieci jak szczeniaki.

PANI DARLING (*dość słabym głosem*) Ależ nie, kochanie, jestem pewna, że zdaje sobie sprawę, że one mają dusze.

PAN DARLING (*głęboko zamyślony*) Oby, oby.
(*Nadarza się świetna okazja, by powiedzieć mu o czymś, co ją gnębi*)

PANI DARLING George, nie możemy pozbyć się Nany. Zaraz ci powiem, dlaczego. (*Jej powaga robi na nim wrażenie*) Gdy weszłam dziś tu do sypialni, zobaczyłam za oknem czyjaś twarz.

PAN DARLING (*z niedowierzaniem*) Twarz za oknem na trzecim piętrze? Pfy, też coś!

PANI DARLING To była twarz małego chłopca, który próbował wejść do środka. George, i to nie był pierwszy raz, kiedy go widziałam.

PAN DARLING (*zaczynając myśleć, że to sprawa dla mężczyzny*) Oho!

PANI DARLING (*upewniwszy się, że Michael nie słyszy*) Pierwszy raz zobaczyłam go tydzień temu. Nana miała akurat wychodne, a ja drzemałam tutaj przy kominku, gdy nagle poczułam przeciąg, jak gdyby okno było otwarte. Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam tego chłopca – tu w środku, w pokoju.

PAN DARLING W pokoju?

PANI DARLING Krzyknęłam i w tej samej chwili wróciła Nana, która od razu się na niego rzuciła. A on wyskoczył przez okno. Nana szybko je zatrzasnęła, ale nie zdążyła go złapać.

PAN DARLING (*przekonany, że on by zdążył*) No oczywiście!

PANI DARLING Zaczekaj, to nie wszystko. Chłopiec uciekł, ale jego cień nie zdążył się wymknąć i gdy okno się zatrzasnęło, odcięło go równiutko na łączeniu.

PAN DARLING (*wzdychając ciężko*) Oj Mary, Mary, no i czemu wyrzuciłaś ten cień?

PANI DARLING (*zdobytą punkt*) Ależ nie wyrzuciłam, George. Zwinęłam go tylko. Jest tutaj. (*Wyciąga cień z szuflady. Rozwijają go i oglądają pod światło cieniutką materię, która wydaje się równie namacalna, jak obłoczek dymu. Gdyby wypuścić ją z ręki, najprawdopodobniej poszybowałaby pod sufit, nie rzucając nań cienia. Ma jednak kształt ludzkiej istoty. Gdy pan i pani Darling potrząsają tak nad nią głowami, przedstawiają najmiłszy widok na świecie – widok dwójki szczęśliwych rodziców, spiskujących razem w trosce o dobro swoich dzieci*)

PAN DARLING To nikt, kogo bym znał, ale wygląda mi na hultaja.

PANI DARLING George, myślę, że on wraca po to, żeby odzyskać swój cień.

PAN DARLING (*mając na myśli to, że nikczemnik będzie miał od teraz z ojcem do czynienia*) Ano ba. (*Już widzi, jak opowiada całą historię innym stołkom w biurze*) Na tym można zarobić, duszko. Jutro zaniosę cień do Muzeum Brytyjskiego, żeby nam go wycenili. (*Cień zostaje ponownie zwinięty i schowany do szuflady*)

PANI DARLING George, nie powiedziałam ci jeszcze wszystkiego. Za bardzo się boję.

PAN DARLING (*który wie doskonale, w których momentach kobietę należy traktować jak kochane dziecko*) Tchórzliwa galareta!

PANI DARLING (*nadąsana*) Wcale, że nie!

PAN DARLING Wcale, że tak!

PANI DARLING George, wcale, że nie.

PAN DARLING No to dalej, mów. (*Zachęcona w ten przemyślny sposób, pani Darling kontynuuje opowieść*)

PANI DARLING Tamtego pierwszego razu chłopiec nie był sam. Towarzyszyło mu coś w rodzaju... Sama nie wiem, jak to opisać – coś w rodzaju świetlnej piłeczki nie większej niż moja zaciśnięta dłoń. To coś fruwało wte i wewte po pokoju, jak jakieś żywe stworzenie.

PAN DARLING (*dowodząc otwartości umysłu*) Nadzwyczajne. I ta piłka uciekła razem z chłopcem?

PANI DARLING Tak. (*Chwytając go za rękę*) George, co to wszystko może znaczyć?

PAN DARLING (*zawsze gotów do akcji*) No właśnie, co!
(*Kres tej nastrojowej sceny kładzie powrót Nany, która wchodzi do sypialni z buteleczką w pysku*)

PAN DARLING (*przywołując się do porządku*) Co tam, Nana? Ach, oczywiście. Michael, pora na twój syrop.

MICHAEL (*z miejsca*) Nie chcę.

PAN DARLING (*wspominając swoją młodość*) Bądź mężczyzną!

MICHAEL Nie.

PANI DARLING (*uległe*) Jak wypijesz, przyniosę ci troszeczkę pysznej czekoladki.
(*Wychodzi z pokoju, choć mąż za nią woła*)

PAN DARLING Mary, przestań go rozpieszczać! Michael, kiedy ja byłem w twoim wieku, zażywałem lekarstwo bez szemrania. Mówiłem tylko: „Dziękuję wam, kochani rodzice, że dajecie mi leki, bym poczuł się lepiej”.
(*Wendy, która właśnie weszła do sypialni ubrana w koszulę nocną, słyszy to i wierzy*)

WENDY Ten syrop, który musisz czasami wypijać, jest o wiele gorszy, prawda, tato?

PAN DARLING (*doceniając jej wsparcie*) Ma się rozumieć, o wiele gorszy. I żeby dać ci przykład, Michael, zażyłbym go teraz (*z ulgą*) gdybym tylko nie zgubił buteleczki.

WENDY (*zawsze gotowa do pomocy*) Ja wiem, gdzie on jest! Zaraz przyniosę.
(*Wychodzi, zanim udaje mu się ją powstrzymać. Pan Darling próbuje szukać wsparcia u Johna, który właśnie wyszedł z łazienki przebrany do spania*)

PAN DARLING John, ale to najohydniejsze ze wszystkich paskudztw. Takie słodkie i lepkie.

JOHN (*który widocznie nadal bawi się w rodziców*) Ale tam. Łyczek i będzie po sprawie.
(*Cień urazy wobec syna przebiega po twarzy pana Darlinga i znika. Wraca Wendy, zdyszana*)

WENDY Już mam, tato. Biegłam najszybciej, jak się dało.

PAN DARLING (z sarkazmem, którego ona zupełnie nie wyczuwa) Byłaś wspaniale szybka, wprost cudownie szybka.
(*Stoi teraz w nogach łóżka Michaela, a obok Nana w znaczący sposób trzyma w pysku łyżkę do syropu*)

WENDY (z dumą, nalewając do szklanki syrop dla pana Darlinga) Michael, zaraz zobaczysz, jak tata wypija.

PAN DARLING (próbując się wykręcić) Michael pierwszy.

MICHAEL (pełen niegodnych podejrzeń) Tata pierwszy.

PAN DARLING Przecież wiecie, że robi mi się od niego niedobrze.

JOHN (*lekko*) No już, tato.

PAN DARLING Tylko nie tym tonem, synu.

WENDY (*skonstronowana*) Myślałam, że wypijasz go bez problemu i tylko mówisz „Dziękuję wam, kochani rodzice, że...”

PAN DARLING Nie o to chodzi. Chodzi o to, że w mojej szklance jest więcej niż na łyżce Michaela. A to nie w porządku – choćby to miały być moje ostatnie słowa, przysięgam, że to nie w porządku.

MICHAEL (*zimno*) Tato, ja czekam.

PAN DARLING Łatwo ci mówić, że czekasz. Ja też czekam.

MICHAEL Tata jest tchórzliwą galaretą.

PAN DARLING Sam jesteś tchórzliwą galaretą.
(*Obaj łypią teraz na siebie z gniewem*)

MICHAEL Ja się wcale nie boję.

PAN DARLING Ja też nie.

MICHAEL No to łykaj syrop.

PAN DARLING No to sam łykaj.

WENDY (*znów się wtrącając*) Może wypijecie na trzy-cztery?

PAN DARLING (*wyniośle*) Oczywiście. Michael, jesteś gotów?

WENDY (*jak gdyby nigdy nic*) Trzy-cztery!
(*Michael połyka lekarstwo, ale pan Darling ucieka się do taniej sztuczki*)

JOHN Tata nie wypił!
(*Michael wyje*)

WENDY (*niewypowiedzianie zbolałym tonem*) Och, tato!

PAN DARLING (*który cały czas trzyma swoją szklankę ukrytą za plecami*) O co ci chodzi z tym „Och, tato!”? Michael, skończ ten raban. Chciałem wypić, ale... ale mi się omsknęło.
(*Nana potrząsa smutnie głową i wychodzi do łazienki. Cała trójka patrzy na niego tak, jak gdyby go nie podziwiała, a nic tak bardzo nie rozstraja tego krewkiego człowieka*)
Zaraz, właśnie wpadł mi do głowy świetny pomysł na żart! (*Twarze dzieci się rozjaśniają*) Wleję mój syrop do miseczki Nany, a ona go wypije, bo pomyśli, że to mleko! (*Pomysł nie przypada dzieciom do gustu, ale pan Darling i tak robi po swojemu, czekając na wyrazy uznania z ich strony*)

WENDY Biedna, kochana Nana.

PAN DARLING Dalej, głuptaski, migiem do łóżek. Wstyd mi za was.
(*Dzieci wślizgują się pod kołdry, a pani Darling wraca z czekoladą*)

PANI DARLING I jak poszło?

MICHAEL Tata nie – (*Ojciec łypie na niego groźnie*)

PAN DARLING Już po wszystkim, duszko, bez najmniejszego kłopotu. (*Wraca Nana*) Nana, dobry piesek, chodź no tutaj. Nalałem ci trochę mleka do miseczki. (*Miska stoi obok budy i Nana zaczyna z niej chleptać. Po kilku liźnięciach wpelza do budy*)

PANI DARLING Nana, co ci jest?

PAN DARLING (*niespokojnie*) O, nic, na pewno nic.

PANI DARLING (*wąchając płyn w miseczce*) George, przecież to twój syrop!
(*Dzieci wybuchają płaczem. Pan Darling patrzy na żonę błagalnie, próbując wyżebrać choćby jeden uśmiech. Nie udaje mu się i przez to ze złego humoru wpada w jeszcze gorszy*)

PAN DARLING To był tylko żart. Tyle pożytku z tego, że człowiek wypruwa sobie żyły, żeby być zabawnym we własnym domu.

WENDY *(klęcząc przy budzie)* Tato, Nana płacze.

PAN DARLING Tak, tak, cackajcie się z nią dalej. Nikt nie cacka się ze mną. Co to, to nie. W końcu ja jestem tylko żywicielem rodziny, więc czemu ktoś miałby się ze mną cackać? No czemu, czemu, czemu?

PANI DARLING George, nie tak głośno. Jeszcze służba usłyszy.
(W domu jest tylko jedna, śmiesznie mała pokojówka, ale jakoś tak się przyjęło, że zaczęli ją nazywać „służką”)

PAN DARLING *(wzywając)* A nich słyszą, niech cały świat się dowie. *(Teraz ów desperat, który od tygodni nie wychodził na świeże powietrze, całkowicie traci nad sobą panowanie)* Nie pozwolę, żeby ten pies panoszył się dłużej w moim pokoju dziecięcym! *(Nana patrzy na niego błagalnie)* Nic z tego, nic z tego, twoje miejsce jest na podwórku i zaraz cię tam zaprowadzę.
(Nana powtórnie wpełza do budy, a dzieci dołączają się do jej błagania)

PANI DARLING *(która wie, że jej mąż będzie za chwilę żałował swojej porywczosci)* George, George, pamiętaj, co ci mówiłam o tamtym chłopcu.

PAN DARLING Kto rządzi w tym domu – ja czy ten pies? *(Z gniewem do Nany)* No już, wyłaż! *(Grzmi nad nią, ale ona daje mu do zrozumienia, że ze względów, którymi nie chce mu zawracać głowy, wolałaby zostać tu, gdzie jest. Pan Darling ucieka się do podszytej fałszem dobroduszości)* No co to, biedna Nana myślała, że pan jest na nią zły? *(Nana kiwa potakująco)* Dobra Nana, śliczna Nana. *(Nanie bardzo rzadko zdarza się słyszeć podobny komplement, który teraz wywiera zamierzone wrażenie. Przebiera łapami, co u psa oznacza, że się rumieni)* Przyjdzie do swojego kochanego pana, prawda, że przyjdzie? *(Nana wysuwa się z budy, chowa z powrotem, kiwa łbem, merda ogonem i ostatecznie wychodzi. Pan Darling chwyta ją za obrozę żelaznym uściskiem i wśród lamentów swoich latorośli wywleka z sypialni. Teraz słyhać skargi Nany, która bynajmniej nie daje się wyprowadzić w ciszy)*

PANI DARLING Kochani, musicie być dzielni.

WENDY Tata przypina Nanę na łańcuch!
(Na nieszczęście to właśnie robi, chociaż my go nie widzimy. Miejmy nadzieję, że w następnej kolejności pójdzie do swojej pracowni, sprawdzi w „Tezaurusie” słowo „porywcz” i pod wpływem tej zbawiennej książki stanie się lepszym człowiekiem. Tymczasem dzieci zostają położone do spania w niezwyklej jak na siebie ciszy, a pani Darling zapala nad ich łózkami nocne lampki)

JOHN *(wsluchując się w dobiegające z dołu szczekanie)* Jest strasznie smutna.

WENDY Nana tak nie szczeka, kiedy jest smutna. Tak szczeka tylko wtedy, gdy węszy niebezpieczeństwo.

PANI DARLING *(pamiętając o chłopcu)* Niebezpieczeństwo? Jesteś pewna, Wendy?

WENDY *(jedyna osoba w rodzinie – bo w każdej rodzinie jest ktoś taki – której można w podobnych sprawach zaufać)* O, tak.
(Jej mama wychyla się przez okno i rozgląda na wszystkie strony)

JOHN Coś tam jest?

PANI DARLING Ależ nie, cisza i spokój. Och, że też musimy iść na tę kolację właśnie dzisiaj.

MICHAEL Mamo, czy może nas spotkać coś złego, kiedy palą się lampki?

PANI DARLING Oczywiście, że nie, skarbie. Nocne lampki to oczy, które mama zostawia, żeby czuwały nad dziećmi.
(Niemniej możemy być pewni, że zamierza powiedzieć Lizie, małej pokojówce, żeby pod jej nieobecność często zaglądała do sypialni. Swoim zwyczajem przechodzi od łóżka do łóżka, otulając dzieci kołderkami i nucąc kołysankę)

MICHAEL *(sennie)* Mamo, cieszę się z ciebie.

PANI DARLING *(rzucając na pokój ostatnie spojrzenie i gasząc światło)* Kochane nocne lampki czuwające nad moimi dziećmi – palcie się dziś jasno i spokojnie.
(Sypialnia ciemnieje, a pani Darling wychodzi, celowo zostawiając drzwi uchylone. Domyślamy się, że za chwilę wydarzy się coś niesamowitego, ponieważ przez pokój

przebiegło drzenie, wystarczająco mocne, by zakołysać płomykami nocnych lampek. Mrugają trzykrotnie i jedna po drugiej gasną, dokładnie w momencie, gdy dzieci (do których lampki upodobniły się w imię długiej zażyłości) zasypiają. W sypialni pojawia się teraz inne światelko, nie większe niż zaciśnięta dłoń pani Darling, a w czasie, w którym my wypowiedzieliśmy te słowa, ono zdążyło już przetrząsnąć szuflady, szafę i wyrzucić na wierzch kieszenie, a teraz rzuca się po całym pokoju, szukając pewnego cienia. W następnej chwili okno otwiera się na oścież – zapewne za sprawą najmniejszej, a przez to najpóźniejszej z gwiazd – i do sypialni wlatuje Piotruś Pan. O ile w ogóle można powiedzieć, że jest w coś ubrany, ma na sobie strój z pajęczyn i jesiennych liści)

PIOTRUŚ (szepcem) Cynowy Dzwoneczku, Dzwonko, gdzie jesteś? (Dzbanek rozjaśnia się jak lampa) No dalej, wyłaż z tego dzbanka. (Dzwonka błyska tu i tam) Wiesz już, gdzie go schowali? (W odpowiedzi słychać dzwonięcie dzwoneczków – to język wróżek i elfów. Piotruś potrafi nim mówić, ale szybko się tym nudzi) W którym wielkim pudle? Tutaj? Ale w której szufladzie? Tak, pokaż mi. (Dzwonka wskakuje do szuflady, gdzie schowany jest cień, ale zanim Piotrusiowi udaje się tam dotrzeć, Wendy porusza się przez sen. Piotruś podlatuje na półkę nad kominkiem, żeby się schować. Następnie, ponieważ Wendy śpi dalej, przemyka nad łózkami, przyglądając się leżącym w nich dzieciom, cicho zamyka okno, po czym frunie do szuflady i zaczyna rozrzucać jej zawartość po podłodze, jak królowie, którzy w dzień swoich zaślubin ciskają w tłum poddanych garściami półpensówek. Z radości, że odnalazł swój cień, zapomina, że zamknął Dzwonkę w szufladzie. Siada na podłodze, przekonany, że on i cień zleją się w jedno jak dwie kropelki wody. Gdy tak się nie dzieje, próbuje przykleić cień za pomocą mydła przyniesionego z łazienki. Ale gdy i ten sposób zawodzi, opada przygnębiony na podłogę, co budzi Wendy, która siada na łóżku mile zaskoczona obecnością nieznanego)

WENDY (uprzejmie) Czemu płaczesz, chłopczyku?

(Piotruś zrywa się na równe nogi, przechodzi przez pokój, staje w nogach jej łóżka i kłania się zgodnie z dworską etykietą wróżek i elfów. Wendy, pod wrażeniem, odwzajemnia ukłon na siedząco)

PIOTRUŚ Jak ci na imię?

WENDY (zadowolona z siebie) Wendy Moira Angela Darling. A tobie?

PIOTRUŚ (orientując się, że jego imię jest żałośnie krótkie) Piotruś Pan.

WENDY I więcej nic?

PIOTRUŚ (przygryzając wargę) Nic.

WENDY (grzecznie) Bardzo mi przykro.

PIOTRUŚ Nieważne.

WENDY Gdzie mieszkasz?

PIOTRUŚ Druga na prawo, a potem cały czas prosto, aż do rana.

WENDY Ale śmieszny adres!

PIOTRUŚ Wcale nie.

WENDY Na ten adres dostajesz listy?

PIOTRUŚ Nie dostaję listów.

WENDY Ale twoja mama dostaje?

PIOTRUŚ Nie mam mamy.

WENDY Ależ Piotrusiu!

(Wyskakuje z łóżka i próbuje go przytulić, ale on się odsuwa; nie wie dlaczego, wie jednak, że musi się odsunąć)

PIOTRUŚ Nie możesz mnie dotykać.

WENDY Czemu?

PIOTRUŚ Nikt nie może mnie dotykać.

WENDY Czemu?

PIOTRUŚ Nie wiem.

(W całej sztuce ani razu nikt go nie dotyka)

WENDY Nic dziwnego, że płakałeś.

PIOTRUŚ Wcale nie płakałem. Ale nie mogę przykleić z powrotem mojego cienia.

WENDY Odkleił się! Okropne. (*Spoglądając na miejsce, w którym przed chwilą siedział Piotruś*) Piotrusiu, próbowałeś przykleić go mydłem!

PIOTRUŚ (*opryskliwie*) No i?

WENDY Trzeba go przyszyć.

PIOTRUŚ Co to znaczy „przyszyć”?

WENDY Jesteś okropnym nieukiem.

PIOTRUŚ Wcale nie.

WENDY Ja ci go przyszyję, mój mały. Ale potrzebuję do tego więcej światła. (*Dotyka czegoś w ścianie i ku jego zdumieniu w sypialni robi się jasno*) Usiądź tutaj. Obawiam się, że będzie troszkę bolało.

PIOTRUŚ (*który wciąż gryzie się jej poprzednią uwagą*) Ja nigdy nie płaczę. (*Wygląda na to, że Wendy udaje się przyszyć cień. Piotruś sprawdza, czy dobrze trzyma*) Jest jeszcze trochę nieswój.

WENDY Może trzeba było go wcześniej wyprasować. (*Cień budzi się i jest równie zadowolony z tego, że wrócił do Piotrusia, jak Piotruś z tego, że go odzyskał. Tańczą razem. Teraz Piotruś zaczyna się popisywać. Pieje jak kogut. Zacząłby latać po pokoju, żeby zrobić na Wendy jeszcze większe wrażenie, gdyby tylko myślał, że w lataniu jest coś niezwykłego*)

PIOTRUŚ Wendy, patrz, patrz! Och, ale ze mnie spryciarz!

WENDY Chwalipięta! Bo niby ja to nic nie zrobiłam, co?

PETER Troszkę pomogłaś.

WENDY (*urazona*) Troszkę! Jeśli tak, to zawsze mogę sobie pójść. (*Jednym wyniosłym susem wskakuje z powrotem do łóżka i nakrywa głowę kołdrą. Tymczasem ów spryciarz pojawia się po drugiej stronie łóżka i zaczyna się przymilać*)

PIOTRUŚ Wendy, nie idź sobie. Nie mogę się powstrzymać od piania, kiedy jestem z siebie zadowolony. Wendy, jedna dziewczynka jest warta więcej niż dwudziestu chłopców.

WENDY (*wyglądając spod kołdry*) Naprawdę tak myślisz, Piotrusiu?

PIOTRUŚ No pewnie.

WENDY Uważam, że to strasznie słodkie z twojej strony i dlatego znowu wstanę. (*Siadają razem na krawędzi łóżka*) Jeśli chcesz, mogę ci dać całusa.

PIOTRUŚ Owszem, poproszę. (*Wyciąga rękę*)

WENDY (*zaskoczona*) Nie wiesz, co to jest całus?

PIOTRUŚ Będę wiedział, jak mi go dasz. (*Żeby nie zranić jego uczuć, Wendy wręcza mu swój napałstek*) Czy teraz ja też mam ci dać całusa?

WENDY (*sztwno*) Owszem, jeśli łaska. (*Piotruś odrywa żółdziowy guzik od swojego ubrania i wręcza go Wendy. Dziewczynka jest zaskoczona, lecz taktownie nie robi uwagi*) Zawieszę go sobie na szyi na łańcuszku. Piotrusiu, powiedz, ile masz lat?

PIOTRUŚ (*beztrosko*) Nie wiem, Wendy, ale jestem dość młody. Uciekłem dokładnie tego dnia, kiedy się urodziłem.

WENDY Uciekłeś? A czemu?

PIOTRUŚ Bo słyszałem, jak mama i tata rozmawiają o tym, kim zostanę, kiedy będę dorosłym mężczyzną. A ja chcę być zawsze małym chłopcem i bawić się, dlatego uciekłem do Ogrodów Kensingtonskich i zamieszkałem razem z wróżkami i elfami.

WENDY (*robiąc wielkie oczy*) Widziałeś wróżki i elfy?

PIOTRUŚ (*zdziwiony, że to jest dla niej czymś niezwykłym*) Tak, ale one już prawie wymarły. (*Tonem wyjaśnienia*) Widzisz, Wendy, kiedy pierwsze dziecko zaśmiało się po raz pierwszy, jego śmiech rozsypał się w miliony drobinek, a wokół zaroiło się od wróżek i elfów. Stąd się właśnie wzięły. I teraz też, gdy jakieś nowo narodzone dziecko się roześmieje, z jego śmiechu powstaje wróżka albo elf. Więc powinno ich przybywać z każdym nowym dzieckiem.

WENDY (*wstrzymując oddech*) Powinno? A nie przybywa?

PIOTRUŚ O, nie. W dzisiejszych czasach dzieci szybko zjadają wszystkie rozumy i wkrótce przestają wierzyć. A za każdym razem, gdy jakieś dziecko mówi „Nie wierzę we wróżki i elfy”, gdzieś tam jakaś wróżka albo elf pada trupem. (*Mówiąc to, ów chłopiec bez serca skacze sobie wesoło po pokoju*)

WENDY Biedactwa!

PIOTRUŚ (*któremu ten okrzyk przywodzi na myśl zapomnianą przyjaciółkę*) A gdzie ona się podziała? Cynowy Dzwoneczku, Dzwonko, gdzie jesteś?

WENDY (*z przejęciem*) Piotrusiu, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że tu w pokoju jest wróżka?

PIOTRUŚ (*śmigając po sypialni w poszukiwaniu*) Przyleciała ze mną. Nie słyszysz jej przypadkiem?

WENDY Słyszę tylko... Jedne co słyszę, to jakby dzwonienie dzwoneczków.

PIOTRUŚ To język wrózek i elfów. Też go słyszę.

WENDY Wydaje mi się, że dobiega stamtąd.

PIOTRUŚ (*z bezwstydnym rozbawieniem*) Wendy, coś mi się widzi, że zamknąłem ją w szufladzie!
(Uwalnia Dzwonkę, która z wściekłością ciska się po całej sypialni, używając takiego słownictwa, że może lepiej, że jej nie rozumiemy)
 No już przestań. Bardzo mi przykro, ale skąd miałem wiedzieć, że siedzisz w tej szufladzie?

WENDY (*wodząc wzrokiem za rozkoszną istotką*) Och, Piotrusiu, gdyby tylko zatrzymała się na chwilę i pozwoliła mi się obejrzeć!

PIOTRUŚ (*obojętnie*) One prawie nigdy się nie zatrzymują.
(By pokazać, że to dla niej żaden problem, Dzwonka zatrzymuje się na jedno tyknięcie zegara z kukulką)

WENDY Widzę ją, śliczności! Ale gdzie jest teraz?

PIOTRUŚ Za zegarem. Dzwonko, ta pani chce, żebyś została jej wróżką. *(Odpowiedź rozlega się natychmiast)*

WENDY Co ona mówi?

PIOTRUŚ Nie jest zbyt uprzejma. Mówi, że jesteś wielka brzydka dziewczucha, a ona jest moją wróżką. Dzwonko, wiesz przecież, że nie możesz być moją wróżką, bo ja jestem chłopcem, a ty dziewczynką.
(Dzwonka odpowiada)

WENDY I co powiedziała?

PIOTRUŚ Powiedziała „Ty głupi osłe”. Wiesz, to dość pospolita wróżka. Nazywa się Cynowy Dzwoneczek, bo naprawia cynowe garnki i kociołki innym wróżkom i elfom.
(Siadają na krześle, Wendy w normalny sposób, a Piotruś przeciskając się przez poręcz)

WENDY Gdzie teraz mieszkasz?

PIOTRUŚ Ze zgubionymi chłopcami.

WENDY A kto to?

PIOTRUŚ To dzieci, które wypadły z wózków, kiedy ich nianie na chwilę się odwróciły. Jeśli nikt nie zgłosi się po nie w ciągu tygodnia, odsyła się je na Nigdylandię. Ja jestem ich kapitanem.

WENDY Ależ tam musi być zabawa.

PIOTRUŚ (*przebiegle*) Tak, ale czujemy się trochę samotni. Widzisz, Wendy, brakuje nam damskiego towarzystwa.

WENDY Nie ma wśród was dziewczynek?

PIOTRUŚ O, nie. Dziewczynki są za mądre, żeby wypadać z wózków.

WENDY Piotrusiu, strasznie mi się podoba to, jak mówisz o dziewczynkach. John całkowicie nami pomiata.
(Piotruś po raz pierwszy przygląda się Johnowi uważniej. Potem gracko zwala go z łóżka)
 Ty złośniku! Zapamiętaj sobie, że tu nie jesteś kapitanem! *(Wendy pochyla się nad śpiącym bratem, który leży wygodnie na podłodze)* Na szczęście się nie obudził, a ty miałeś dobre intencje. *(Spełniwszy swój siostrzany obowiązek, zapomina o Johnie, który leży dalej pogrążony w błogim śnie)* Piotrusiu, możesz dać mi całusa.

PIOTRUŚ (*cynicznie*) Wiedziałem, że będziesz go chciała z powrotem.
(Chce zwrócić jej naparstek)

WENDY (*reflektując się sprytnie*) Ojej, Piotrusiu, nie chodziło mi o całusa. Chodziło mi o naparstek.

PIOTRUŚ (*tylko częściowo udobruchany*) A co to takiego?

WENDY Coś takiego. *(Pochyla się ku niemu, żeby mu pokazać, lecz coś uniemożliwia zetknięcie się ich twarzy)*

PIOTRUŚ *(zadowolony)* Czy teraz ja mam ci dać naparstek?

WENDY Owszem, jeśli łaska. *(Zanim w ogóle Piotruś zdąży się przysunąć, Wendy zaczyna krzyczeć)*

PIOTRUŚ Co się stało?

WENDY Chyba ktoś pociągnął mnie za włosy!

PIOTRUŚ To pewnie Dzwonka. Nigdy przedtem nie była taka nieznośna.
(Dzwonka odzywa się. Znowu siedzi w dzbanku)

WENDY Co ona mówi?

PIOTRUŚ Mówi, że będzie tak robić za każdym razem, kiedy będę chciał ci dać naparstek.

WENDY Ale czemu?

PIOTRUŚ *(również zdziwiony)* Dzwonko, czemu? *(Musi przetłumaczyć odpowiedź)* Znowu powiedziała „Ty głupi ośle”.

WENDY Jest naprawdę bezczelna. *(Ona i Piotruś siedzą teraz na podłodze)* Piotrusiu, czemu zjawiłeś się po naszym oknem?

PIOTRUŚ Próbowałem podsłuchiwać bajki. My nie znamy żadnych bajek.

WENDY To straszne!

PIOTRUŚ Wiesz, dlaczego jaskółki budują gniazda pod okapami dachów? To dlatego, że lubią słuchać bajek. Wendy, wasza mama opowiadała wam taką śliczną bajkę.

WENDY A o czym?

PIOTRUŚ O księciu, który nie mógł znaleźć pani, która nosiła szklany pantofelek.

WENDY Czyli o Kopciuszku. Piotrusiu, książę ją odnalazł i żyli razem długo i szczęśliwie.

PIOTRUŚ Ale się cieszę! *(W międzyczasie znacznie się do siebie zbliżyli, ale teraz Piotruś zrywa się na równe nogi)*

WENDY Dokąd idziesz?

PIOTRUŚ *(idąc w stronę okna)* Opowiedzieć chłopcom.

WENDY Nie odchodź! Znam całe mnóstwo bajek! O, jakie piękne bajki mogłabym wam opowiadać!

PIOTRUŚ *(promieniejąc)* To chodź! Lecimy!

WENDY Lecieć? Umiesz latać!
(O, jak bardzo chciałby wydrzeć jej te wszystkie bajki. Zrobił się teraz naprawdę niebezpieczny)

PIOTRUŚ Wendy, chodź ze mną.

WENDY Ojej, nie mogę. Pomyśl o mamie. Poza tym nie umiem latać.

PIOTRUŚ Nauczę cię.

WENDY Och, jak cudnie byłoby latać!

PIOTRUŚ Nauczę cię wskakiwać na grzbiet wiatru – i hop, lecimy w dal. Wendy, zamiast spać w tym swoim głupim łóżku mogłabyś latać ze mną i opowiadać śmieszne rzeczy gwiazdom. I są tam syreny, Wendy, z długimi ogonami. *(Wendy niemal unosi się w powietrze)* O, Wendy, tak bardzo byśmy cię wszyscy szanowali!
(Tym pokonuje ją ostatecznie)

WENDY To wszystko jest strasznie fas-cy-nu-ją-ce! Johna i Michaela też byś nauczył latać?

PETER *(obojętnie)* Jeśli chcesz.

WENDY *(wygrywając marsza na Johnie)* John, wstawaj! Jest tu pewien chłopiec, który nauczy nas latać!

JOHN Naprawdę? No to wstanę. *(Podnosi głowę z podłogi)* Halo, już wstałem!

WENDY Michael, obudź się! Ten chłopiec nauczy nas latać.
(Oba śpiochy stają od razu zwarci i gotowi, z uwagą wyostrzoną jak brzytwa ich ojca. Lecz zanim zdążą o cokolwiek zapytać, z dołu rozlega się szczekanie Nany)

JOHN Gasić światło, migiem, kryć się!
(Do pokoju wchodzi Liza – która jest tak malutka, że trudno uwierzyć, gdy mówi, że pewno nie przetrzymie kolejnej dekady – dzierżąc mocno łańcuch, do którego przywiązana jest zaniepokojona Nana. Ale sypialnia pogrążona jest teraz w zupełnej ciemności)

LIZA No i co, sama widzisz, ty bydlę podejrzliwe, że nic im nie grozi? Trzy małe aniołeczki śpią sobie smaczno. Posłuchaj, jak spokojnie oddychają. *(Wyostrzony węch Nany zwiększa jeszcze jej zaniepokojenie, zamiast je uśmierzyć. Wie, że dzieci są w pokoju. Michael siedzi schowany za firaną i – zachęcony ostatnią uwagą Lizy – zaczyna oddychać trochę za głośno. Nana zna ten rodzaj oddychania aż za dobrze i próbuje wyrwać się z rąk pokojówki)* Nana, spokój natychmiast. *(Liza grozi jej palcem)* Oszczegam cię, że jeśli jeszcze raz szczekniesz, idę prosto po pana i panią, a wtedy zobaczysz, jak pan ci złoł skórę. No już, ty psie utrapiony.

(Nieszczęśliwa Nana zostaje wyprowadzona z pokoju. Dzieci wyskakują radośnie ze swoich kryjówek. Przez tę chwilę, gdy nie było ich na scenie, działały się z nimi różne dziwne rzeczy. Ale nie do nas należy zdradzanie teatralnych sekretów. W każdym razie wyglądają nadal tak samo)

JOHN Słuchaj, naprawdę umiesz latać?

PIOTRUŚ Patrz! *(Jest teraz nad ich głowami)*

WENDY Och, jak słodko!

PIOTRUŚ Jestem słodki! Och, jaki jestem słodki!

(Latanie wygląda tak łatwo, że próbują najpierw wystartować z podłogi, a potem ze swoich łóżek – bez zadowalających efektów)

JOHN *(rozcierając stłuczone kolana)* Jak ty to robisz?

PIOTRUŚ *(opadając niżej)* Po prostu musisz myśleć o różnych cudownie miłych rzeczach, a one unoszą cię w powietrze. *(Znów wzlatuje)*

JOHN Robisz to strasznie szybko. Mógłbyś pokazać trochę wolniej? *(Piotruś wzlatuje powoli)* Wendy, już wiem jak. *(Próbuje. Nie, okazuje się, że jednak nie wie – biedny mały domator, chociaż potrafi wymienić nazwy wszystkich hrabstw Anglii, a Piotruś nie zna żadnej z nich)*

PIOTRUŚ Muszę posypać was najpierw pyłkiem wrózek i elfów. *(Na szczęście całe jego ubranie jest nim oprószone, więc bez trudu sypie trochę pyłku na każde z dzieci)* Teraz spróbujcie, najlepiej z łóżka. Poruszacie ramionami, o tak, i dalej do góry.

(Michael, ów galanty mikrus, pierwszy idzie w górę i przelatuje przez pokój)

MICHAEL *(z wrzaskiem, który powinien zaniepokoić Lizę)* Poleciałem!

(W górę idzie teraz John i wpada na Wendy w pobliżu drzwi do łazienki, chociaż każde z nich zamierzało polecieć w przeciwnym kierunku)

WENDY O, jak cudnie!

JOHN *(przejawiając skłonność do koziołkowania)* Ale klawo!

MICHAEL *(wpadając na krzesło)* Podoba mi się!

CAŁA TRÓJKA Patrzcie na mnie, na mnie, na mnie!

(Nie mają ani połowy tej gracji, z jaką lata Piotruś, ale stuknęli głowami w sufit, a nic na świecie nie może się równać z tak wielką rozkoszą)

JOHN *(który potrafi nawet latać do tyłu)* Słuchajcie, a może wylecimy na dwór?

PIOTRUŚ Tam są piraci.

JOHN Piraci! *(Chwyta swój wyjściowy cylinder)* Lećmy natychmiast!

(Dzwonka nie jest tym zachwycona. Ciągnie ich za włosy. Widziane z ulicy, rozświetlone okno sypialni musi przedstawiać niecodzienny widok, bo sylwetki dzieci wirują na jego tle jak na karuzeli. Być może to właśnie widzą państwo Darlingowie, którzy spieszenie wracają do domu z przyjęcia, zaalarmowani przez Nanę, która – chyba w to nie wątpiliście – zerwała się z łańcucha. Psotna gwiazdka, mała pomocnica Piotrusia, widzi, jak nadbiegają i znów otwiera okno na oścież)

PIOTRUŚ *(jak gdyby usłyszał szept gwiazdki „Uwaga!”)* Teraz, w drogę!

(Wylamuje się z kręgu i wyfruwa przez okno, po czym leci nad wierzchołkami drzew i ponad dachami domów, a reszta podąża za nim niczym stadko ptaków. Zrozpaczeni ojciec i matka wpadają do pokoju tylko po to, by dostać prztyczka w nos od Dzwonki, która zaraz potem również wyrusza w drogę do Nigdylandii)

AKT II

NIGDYLANDIA

Kiedy kurtyna idzie w górę, jest nadal tak ciemno, iż ledwie widzicie, że naprawdę się uniosła. Bo gdyby wyspa wybuchła na waszych oczach (jak powiedziała by Piotruś), mogłaby porazić wasz wzrok. Może gdybyście przyszli do teatru w specjalnych okularach, moglibyście zobaczyć, jak wybuchła – szkoda byłoby jednak wprowadzać takie środki ostrożności na stałe. Najpierw zauważacie tylko jakieś białawe punkciki, które brną przez trawę, a po tym, jak podzwaniają, zgadujecie, że to najpewniej wróżki i elfy niższego stanu, które wracają pieszo do domu z przyjęcia i po drodze wdają się w wesołe sprzeczki. Teraz gwiazda Piotrusia budzi się, a w momencie, gdy mruga – co robi o wiele silniej niż nasze gwiazdy – możecie rozróżnić masy drzew i wydaje wam się również, że widzicie dzikie bestie przekradające się do wodopoju, chociaż to, co widzicie, to tak naprawdę nie same bestie, a tylko ich cienie. Bestie wyszły, żeby powitać Piotrusia w sposób, w który, jak sądzą, chciałby zostać powitany; z tego samego powodu syreny wygrzewające się za drzewami w lagunie starannie rozczesują włosy; i z tego samego powodu piraci przybijają niezauważeni do brzegu w swoim barkasie – niezauważeni przez was, lecz nie przez Indian, których nikt nie widzi i nie słyszy, ponieważ znajdują się na wojennej ścieżce. Krótko mówiąc, na całej wyspie, która leniuchowała pod nieobecność Piotrusia, panuje teraz wielkie poruszenie, nadeszły bowiem wieści, że on jest już w drodze, a wszystko i wszyscy wiedzą, że nieźle by im się dostało, gdyby nie spełnili jego oczekiwań. W czasie, gdy słuchaliście tego opisu, słońce (kolejny poddany Piotrusia) również drgnęło i rozpoczęło swoją wędrówkę po niebie. Ci z was, którzy uznali, że bezpieczniej będzie jednak zacząć ten akt w okularach, mogą je już teraz zdjąć.

Przed wami Nigdylandia. Wcześniej wiele razy widywaliście ją w połowie lub nawet w trzech czwartych, w porze, gdy zapalają się nocne lampki – moglibyście wówczas nawet przybić do jej brzegów swoimi korakłami, gdybyście zawsze nie zasypiali akurat w tym kluczowym momencie. Twierdzą nawet, że zdarzało wam się zostawiać na niej różne rzeczy, których rano nie mogliście nigdzie znaleźć. W ciągu dnia zdaje wam się, że Nigdylandia istnieje tylko na niby – i tak właśnie jest dla wam podobnych – lecz tutaj przed wami rozciąga się wyspa urzeczywistniona. Scena rozgrywa się na wolnym powietrzu, widać las, dalej piękną lagunę, ale nie za daleko, ponieważ Nigdylandia jest bardzo zwarta – nie wielka i rozlazła, z przydługimi odległościami między jedną przygodą a drugą, ale przyjemnie zatłoczona. Wśród drzew i w lagunie panuje lato, lecz rzeka jest skuta lodem, co nie stanowi niczego nadzwyczajnego na wyspie Piotrusia, gdzie wszystkie pory roku mogą minąć, gdy wy napełniacie dzbanek u studni. Dom Piotrusia znajduje się właśnie w pobliżu rzeki, ale na pewno nie udałoby się wam go znaleźć, nawet gdyby ktoś pokazał wam wejście, ani nawet wtedy, gdyby powiedział, że wejście jest siedem. Zauważacie go tylko dzięki temu, że przed chwilą zobaczyliście jednego ze zgubionych chłopców, który wyszedł na zewnątrz. Dziuple w siedmiu wielkich, wydrążonych drzewach to „drzwi” prowadzące do domu Piotrusia, który zrobił ich aż

siedem, ponieważ – mimo całego swojego sprytu – sądził, że siedmiu chłopców potrzebuje siedmiu wejść.

Chłopiec, który właśnie wyszedł przez jedno z nich, to Nieco, zapewne wygnany z domu przez swoich nieco mniej muzykalnych kompanów. Ten niedoceniony wirtuoz ma przy sobie własnoręcznie wystruganą piszczalkę, na której gra urzekająco, mając za całą publiczność tylko pewnego Nigdystrusia, który także jest melomanem. Niezdolny do tego, by z powodzeniem naśladować muzyczne wyczyny Nieco, ptak ów popada w tak zły humor, że zaczyna go parodiować i zostaje przepędzony ze sceny. Pojawiają się teraz pozostali zgubieni chłopcy, którzy włączają na drzewa lub zeskakują z ich gałęzi na ziemię – teraz widzimy całą szóstkę, ubraną w zwierzęce skóry (chłopcom wydaje się, że te zwierzęta sami upolowali), w których są tak grubiućcy i futrzani, że kiedy się przewrócą, zaczynają się turlać. Następny jest Świstek, wprawdzie nie najmniej odważny, ale z pewnością najbardziej pechowy z całej galantnej bandy. Świstek przeżył mniej przygód niż pozostali, ponieważ najlepsze rzeczy dzieją się zawsze wtedy, kiedy on akurat znika za rogiem – jakąś spokojną porą wybiera się na przykład do lasu, żeby nazbierać chrustu, a kiedy wraca, reszta chłopców kończy właśnie wycierać zakrwawioną broń. Lecz zamiast wprawić go w zgorzknienie, podobne wydarzenia przydały tylko słodczy jego naturze, tak, że jest on teraz najpokorniejszym z bandy. Przytyk jest weselszy i wytworniejszy, zaś Nieco bardziej pyszałkowaty, bo wydaje mu się, że pamięta czasy, zanim się zgubił, wraz ze wszystkimi ówczesnymi obyczajami i ceregielami. Kędzior to niezły ancymon, który tyle razy musiał występować z szeregu, gdy Piotruś mówił „Niech wystąpi ten, który to zmalował”, że teraz występuje niezależnie od tego, czy faktycznie coś zmalował czy nie. Dwaj kolejni to Pierwszy i Drugi Bliźniak, których nie będziemy tu opisywać, ponieważ najpewniej opisywalibyśmy nie tego, co trzeba. Chłopcy przykucają na ziemi lub wyglądają ze swoich dziupli i bardzo przypominają w tym momencie gromadkę wiejskich kumoszek, które spotkały się przy pompie na plotki.

ŚWISTEK Nieco, czy Piotruś już wrócił?

NIECO (*z powagą pasującą jego zdaniem do sytuacji*) Nie, Świstku, nie.

(*Są jak psy, które czekają na swojego pana, żeby powiedział im, że pora zacząć dzień*)

KĘDZIOR (*jak gdyby sądził, że Piotruś go słyszy*) Tak bym chciał, żeby już wrócił.

ŚWISTEK Zawsze boję się piratów, kiedy nie ma z nami Piotrusia, żeby nas bronił.

NIECO Ja się nie boję piratów. Niczego się nie boję. Ale chciałbym, żeby Piotruś już wrócił i powiedział nam, co było dalej z Kopciuszkiem.

DRUGI BLIŹNIAK (*nieśmiało*) Nieco, mi się wczoraj śniło, że księżę odnalazł Kopciuszka.

PIERWSZY BLIŹNIAK (*który jest bardziej rozgarnięty niż ten drugi*) Wydaje mi się, Bliźniaku, że nie powinno ci się to śnić, bo mi się nic takiego nie śniło. A wiesz, co Piotruś może powiedzieć: że jako bliźniaki nie powinniśmy mieć różnych snów.

ŚWISTEK Strasznie się martwię o Kopciuszka. Chodzi o to, że ponieważ nie wiem nic a nic o mojej mamie, lubię sobie myśleć, że ona była trochę podobna do Kopciuszka.

(*To wyznanie zostaje wyśmiane*)

PRZTYK Jeśli chodzi o moją mamę, to pamiętam tylko tyle, że mówiła często do taty: „Och, tak bym chciała mieć własną książeczkę czekową”. Nie wiem, co to jest książeczka czekowa, ale bardzo bym chciał ją podarować mojej mamie.

NIECO A moja mama była do mnie bardziej przywiązana niż wasze mamy do was. (*Oburzenie*) A właśnie że była! Wam Piotruś musiał wymyślić imiona, a moja mama zapisała moje na karteczce i przywiązała ją do fartuszka, w którym się zgubiłem. „Nieco Pobrudzony”, tak się nazywam.

(*Reszta rzuca się na niego z wojowniczym wyciem – nie dlatego, że choć w najmniejszym stopniu przejmują się swoimi matkami, które obchodzą ich tyle, co zeszłoroczny śnieg, ale dlatego, że każdy pretekst do bijatyki jest dobry. Basarunek nie trwa jednak długo, ponieważ rozlegają się dźwięki, które posyłają chłopców z powrotem do dziupli i w dół wydrążonych pni. Po sekundzie scena robi się całkowicie wyludniona. Dźwięki, które przepłoszyły chłopców, to dobiegające z pobliza słowa okropnej szanty, którą piraci na Nigdylandii cichcem obwieszczają swoje przybycie:*

Jo-ho-ho! To piracki los,
Na czarnej banderze trup.
Uciechy wór, konopny sznur
I „Ahoj, imć Davy Jones”!

Na zamrożonej rzece pojawiają się piraci ciągnący tratwę, na której na poduszkach spoczywa ów mroczny i budzący grozę człek – Kapitan Jak. Hak. Bardziej wisielcza zgraja nigdy jeszcze nie zatańczyła na szubienicach w Doku Straceń. Oto jako pierwszy, z obnażonymi muskulami i z hiszpańskimi talarami w uszach, kroczy urodziwy Cecco, który wyciął swoje imię na grzbiecie naczelnika więzienia w Gao. Dalej w zaprzęgu postępuje zwalisty Maur znany pod wieloma budzącymi grozę imionami – na dźwięk pierwszego z nich drżały wszystkie śniade dzieci nad brzegami rzeki Guidjo-mo. Następny idzie Bill Jukes, na którym próżno szukać choćby cala niewytatuowanej skóry, ten sam Jukes, który na Koniu Morskim, starej krypie Flinta, wziął od niego sześć tuzinów batogiem. Za nim podąży Cookson, o którym mówią, że jest bratem Czarneho Murphy’ego (choć nigdy mu tego nie udowodniono), dalej Dżentelmen Starkey, niegdyś woźny szkolny, Światlik (z załogi Morgana), Noodler z rękami wykręconymi do tyłu, Smee w binoklach, który w załodze Haka jest jedynym wyznawcą doktryny nonkonformizmu, oraz inne osławione zbiry od lat siejące postrach jak Morze Karaibskie długie i szerokie.

Najokrutniejszym klejnotem w tej mrocznej oprawie jest Jakub Hak we własnej osobie, smagłolicy i trupioblady, o włosach ufryzowanych w długie pukle, które wyglądają jak czarne świece mające się za chwilę roztopić. Jego oczy, błękitne jak niezapominajki, to dwa oceany obojętności – za wyjątkiem chwil, w których kogoś rozszarpuje, ponieważ wtedy zapalają się w nich czerwone błyski. Zamiast prawej ręki ma żelazny hak i to właśnie za jego pomocą rozdziera wrogów na strzępy. Najgroźniejszy bywa wówczas, gdy jest najbardziej uprzejmy, zaś jego wyszukana dykcja i arystokratyczna postawa świadczą, iż pochodzi ze sfer wyższych niż reszta jego załogi – zaiste, jest jak samotna wyspa pośród morza swoich nieokrzesanych kamratów. Dworne maniery Kapitana robią wrażenie nawet na ofiarach jego morskich rozbojów: wszyscy przyznają bowiem jednogłośnie, iż zawsze, nim strąci kogoś za burtę, mówi „Proszę wybaczyć”. Mąż to nieustraszony, który wdryga się jedynie na widok własnej krwi, podobno gęstej i w osobliwym kolorze. W elitarniej szkole, do której uczęszczał, mówiono, że „krwawi na żółto”. Stylem ubioru kreuje się na dandysa z epoki Karola II, a czyni to od czasu, gdy na wcześniejszym etapie jego kariery ktoś mu powiedział, że bardzo przypomina owego nieszczęsnego monarchę z dynastii Stuartów. W ustach trzyma cygarniczkę własnego pomysłu, dzięki której może palić dwa cygara jednocześnie. Jednak ci, którzy mieli okazję widzieć go „we własnej osobie” – wyrażenie zupełnie nieoddające charakteru jego cielesnej powłoki – zgodni są co do tego, że najbardziej ponure wrażenie wywiera jego żelazny hak.

Piraci wychodzą na ląd, dalej śpiewając swoją obrzydliwą piosenkę:

Na deku klar i trzymaj ster,
Tak płynie piracki czas.
A kiedy śmierć rozdzieli nas
Spotkamy się znów na dnie.

W tym momencie Prządek, jedyny z chłopców, który nie schronił się w swoim pniu na odgłos przybycia piratów, pojawia się po stronie laguny, a Starkey wznosi króciwą do strzału. Kapitan Hak wbija w Starkeya żelazny szpon)

STARKEY (potulnie) Kapitanie, puść!

HAK Najpierw schowaj króciwą.

STARKEY Kiedy to jeden z tych chłopców, co ich pan nie cierpi. Mogłem go zastrzelić na śmierć.

HAK Ay, a odgłos wystrzału sprowadziłby nam na karki czerwonoskórych Tygrysię Lili. Spieszno ci, by postradać skalp?

- SMEE (*wywijając szarmancko swoim kordelasem*) Racja, Kapitanie! Czy mam popędzić za nim i połaskotać go Johnnym Korkociągiem? Johnny upora się z tym po cichutku.
- HAK Nie teraz. On jest sam, a ja chcę zgnieść całą siódmkę. Rozdzielić się i poszukać ich! (*Smee przekazuje jego rozkazy i banda rozpierzcha się na niebezpieczne poszukiwania. Pozostawszy jedynie w towarzystwie swojego bosmana, Hak nabiera chęci do zwierzeń*) Najbardziej zależy mi na ich kapitanie, Piotrusiu Panie. To on pozbawił mnie ręki. Długo czekałem, by uściskać mu prawicę tym miłym haczykiem. (*Rozkoszując się*) Och, rozerwę go na strzępy!
- SMEE (*zawsze chętny na pogawędkę*) Ale przez często mawiasz, Kapitanie, że twój hak wart jest więcej niż z tuzin rąk, bo bardzo wygodnie przeczesywać nim włosy i nadaje się też do innych robót domowych.
- HAK Gdybym był matką, modliłbym się, by moje dziatki rodziły się z hakami zamiast rąk. (*Nerwowo ukrywa lewą rękę za plecami. Nachodzi go bolesne wspomnienie*) Ale Smee, Pan cisnął moją rękę na pożarcie pewnemu krokodylowi, który akurat przepływał w pobliżu.
- SMEE Zauważyłem, że jakoś dziwnie boi się Kapitan krokodyli.
- HAK (*nadąsany*) Nie krokodyli, tylko tego jednego krokodyla. (*Otwiera przed bosmanem swoje zbolate serce*) Tej bestii tak bardzo zasmakowało moje ramię, że od owego czasu podąża za mną krok w krok, z morza na morze i z lądu na ląd, oblizując paszczę na myśl o reszcie mojej osoby.
- SMEE (*starając się znaleźć dobrą stronę tej sytuacji*) Można by powiedzieć, że to swego rodzaju komplement.
- HAK (*z godnością*) Nie życzę sobie takich komplementów. Życzę sobie za to Piotrusia Pana, który pozwolił tej bestii we mnie zakosztować. Smee, ów krokodyl już dawno by mnie dopadł, ale szczęśliwym trafem połknął zegarek, który tyka mu w brzuchu, tik-tak, tik-tak. Więc gdy krokodyl się zbliża, słyszę tykanie i mam czas, żeby czmychnąć. (*Zanosi się pustym śmiechem*) Raz słyszałem, jak wybił w nim godzinę szóstą.
- SMEE (*złowieszczo*) Pewnego dnia zegar stanie i wtedy krokodyl pana dopadnie.
- HAK (*głosem człowieka złamanego na duchu*) Ay, to właśnie widmo, które mnie prześladowe. (*Zrywa się*) Smee, to coś, na czym siedzę, jest gorące. Chłody, tropiki, buchy i szkwały, palę się!
(*Hak sądził, że siedzi na jednym z nigdylandzkich grzybów, które dorastają do olbrzymich rozmiarów. Lecz tak się złożyło, że grzyb, na którym usiadł, był ręcznie malowaną imitacją, w chwilach niebezpieczeństwa ustawianą tutaj przez chłopców, żeby zamaskować komin. Hak i Smee zdejmują nakładkę i w tym momencie spod ziemi zaczyna wydobywać się wiele mówiąca smuzka dymu oraz – na nieszczęście – odgłosy dziecięcych śmiechów*)
- SMEE Komin!
- HAK (*żarliwie*) Słuchaj, Smee! To jasne jak słońce, że oni mieszkają tutaj, pod ziemią. (*Zakłada grzyb z powrotem. Jego mózg aż skręca się z wysiłku*)
- SMEE Kapitanie, wyjaw swój plan!
- HAK Wrócimy na okręt i upieczemy wielki tort z tłustym kremem i grubą warstwą lukru – zielonego lukru! Pod ziemią musi być tylko jedna izba, bo komin mają też tylko jeden. Tym tępym kretom nie starczyło rozumu, by wykoncypować, że nie potrzebują siedmiu osobnych wejść. Więc podrzucimy tort na brzeg laguny syren. Ci chłopcy pływają tam w nieskończoność, próbując złapać syreny za ogon. Znajdą tort, a ponieważ nie mają matki, spałaszują go natychmiast w całości, bo nie wiedzą, że bardzo niebezpiecznie jest zjeść wilgotny i ciężki tort. I wymrą co do jednego!
- SMEE To najpotworniejszy i najcudowniejszy plan, o jakim kiedykolwiek słyszałem.
- HAK (*nie mając nic złego na myśli*) Przypieczętuźmy go uściskiem dłoni.
- SMEE Nie, Kapitanie, tylko nie to.
(*Musi jednak chwycić żelazny hak, ale za to nie przyłącza się do piosenki*)
- HAK

Jo ho ho, gdy mówię „łapa”
To kiszki im skręca strach!

Naga kość zostanie, rach-ciach,
Gdy uścisk poznasz Haka!

(Przerażony kluciem w dłoni, Smee przylacza się do refrenu, gdy nagle do ich uszu dociera jakiś inny dźwięk. To ciche „tyk, tyk”, którego znaczenie jako pierwszy rozpoznaje oczywiście Hak. „Krokodyl!” wrzeszczy i chwiejnym krokiem schodzi ze sceny. Smee podąży za nim. Olbrzymi krokodyl, nakręcany tylko jedną myślą, przecina scenę i – tykając i śliniąc się – wychodzi za nimi. W lesie jest teraz tak cicho, że możecie być pewni, iż roi się w nim od Indian. Pierwsza pojawia się Tygrysia Lilia. To najpiękniejsza róża plenięcia Pikaninów, którą wszyscy wojownicy pragnęliby pojąć za skwaw, lecz ona przed zalotami ogania się tomahawkiem. Indianka przykłada ucho do ziemi, nasłuchuje, po czym skinieniem przywołuje pozostałych: Wspaniałą Wielką Małą Panterę i resztę wojowników plemienia, którzy gromadzą się wokół niej, dokładnie zaścielając poszycie lasu. Gdzieś w oddali słychać, że ktoś nadepnął na suchy liść)

TYGRYSIA LILIA Piraci! *(Indianie nie wyciągają noży – noże same wskakują im w dłonie)* Czy moi bracia zabiorą im skalpy? Co rzekną?

PANTERA Skalpy, howgh! Niech wojownicy się spieszą!

WOJOWNICY Uff, uff, uff.

(Rozniecają ogień i tańczą wokół niego tak długo, aż sami zaczynają przypominać podrygujące płonienie. Tygrysia Lilia przyzywa Wielkiego Manitou, fajka pokoju zostaje przełamana i Indianie odpelzają niczym długi wąż, który głodował całymi miesiącami. Świstek wychyla się z dziupli, patrzy, jak węzowy ogon znika w zaroślach, po czym przywołuje resztę chłopców, którzy wyskakują ze swoich pni)

ŚWISTEK Poszli sobie.

NIECO *(niemal tracąc pewność siebie)* Chciałbym, żeby Piotruś tu był.

PIERWSZY BLIŹNIAK Sza! A to co? *(Patrzy w kierunku laguny, po czym aż cofa się ze strachu)*
Wilki ścigają Prztyka!

(Wśród dzikiego wycia, wataha wilków naciera na nich z taką szybkością, że nie mają nawet czasu ukryć się w wydrążonych pniach)

PRZTYK *(wpadając między swoich kompanów)* Ratunku, pomocy!

DRUGI BLIŹNIAK Co zrobiliby Piotruś?

NIECO Piotruś spojrzalby na wilki spomiędzy nóg. Zróbmy tak, jak zrobiliby Piotruś!

(Chłopcy idą tyłem, spoglądając spomiędzy nóg w czerwone ślepia wrogów, którzy pierzchają jak niepyszni)

PIERWSZY BLIŹNIAK *(pyszałkowato)* Prztyk, uratowaliśmy ci skórę. Widziałeś piratów?

PRZTYK *(prostuje się z przyjemną świadomością, że uwaga wszystkich skupia się teraz na nim)*
Nie, Bliźniaku, ale widziałem inne cudowne zjawisko. *(Wszystkie buzie rozdziawiają się szeroko, jakby chciały połknąć te frapujące wieści)* Wysoko nad wodami laguny ujrzałem wielkiego białego ptaka. Leci w naszym kierunku. *(Chłopcy przeczesują wzrokiem firmament)*

ŚWISTEK Jak myślisz, co to za gatunek?

PRZTYK Nie wiem, ale wyglądał na strasznie zmęczonego i kiedy nade mną przelatywał, słyszałem, jak jęczy „Biedna Wendy!”

NIECO Teraz sobie przypominam, że są takie ptaki z gatunku Wendy.

PIERWSZY BLIŹNIAK *(który w tym czasie wleciał na najwyższą gałąź)* Patrzcie, ten Wendy leci prosto na nas. *(Teraz widzą go wszyscy)* Jest strasznie biały! *(Punkcik światła ściga ptaka zawzięcie)*

ŚWISTEK Tam jest Cynowy Dzwoneczek. Stara się zrobić temu Wendy krzywdę *(Zwija dłonie w tubę i woła)* Halo, Dzwonko! *(Słychać odpowiedź w języku wrózek)* Ona mówi, że Piotruś by chciał, żebyśmy zastrzelili tego Wendy.

PRZTYK Zróbmy tak, jak chce Piotruś.

NIECO Ay, zastrzelmy go! Łuki i strzały, migiem!

ŚWISTEK *(pierwszy nadbiega z łukiem)* Z drogi, Dzwonko! Zastrzelę go! *(Jego strzała trafia i Wendy, która dotychczas trzepotała wśród wierzchołków drzew w swojej białej koszuli nocnej, spada prosto na ziemię. Nikt nigdy nie odczuwał większej dumy niż Świstek w tej*

chwili) Zabiłem tego Wendy! Piotruś będzie zachwycony. (Z drzewa, na którym przysiadła Dzwonka, dobiega ciche dzwonięcie, które potrafimy już teraz przetłumaczyć jako „Ty głupi ośle”. Świstek zatrzymuje się niepewnie) Dlaczego tak mówisz? (Pozostali czują, że Świstek najprawdopodobniej strzelił gafę i zaczynają się od niego odsuwać)

NIECO (dokładniej przyglądając się leżącej postaci) To nie żaden ptak. Myślę, że to musi być jakaś pani.

PRZTYK (który wolałby, żeby to jednak był ptak) A Świstek ją zabił.

KĘDZIOR Teraz rozumiem! To Piotruś ją do nas sprowadził. (Wszyscy zastanawiają się, po co)

DRUGI BLIŹNIAK Żeby się nami zaopiekowała? (Albo w jakimś równie śmiesznym celu)

WSZYSCY (choć wcześniej każdy z nich sam chciał strzelić do Wendy) Och, Świstku!

ŚWISTEK (głośno przelękając ślinę) Tak, ja to zrobiłem. Kiedy różne panie przychodziły do mnie w snach, mówiłem do nich „Śliczna mamó”, ale kiedy jedna przyszła naprawdę, zastrzeliłem ją! (Rozumie, że teraz może czekać go tylko wygnanie) Żegnajcie, druhowie!

KILKU (bez entuzjazmu) Nie odchodź.

ŚWISTEK Muszę. Strasznie się boję Piotrusia.
(Zdołał jednak postąpić zaledwie krok ku błogiemu zapomnieniu, gdy zatrzymuje go pianie wydane jak gdyby przez triumfującego koguta)

WSZYSCY Piotruś!

(Ustawiają się w szeregu, zasłaniając Wendy, a Piotruś, musnąwszy wierzchołki drzew, ląduje przed nimi)

PIOTRUŚ Witajcie, chłopcy! (Ich milczenie go irytuje) Wróciłem. Czemu nie wiwatujecie? Mam świetne wieści – w końcu udało mi się dostać dla nas matkę.

NIECO (niemrawo) Ay, ay.

PIOTRUŚ Leciała w tym kierunku. Żaden z was jej nie widział?

DRUGI BLIŹNIAK (widząc, że Piotruś ewidentnie uważa ją za kogoś ważnego) O, nieszczęsna godzino!

ŚWISTEK (występując z szeregu) Chodź, Piotrusiu, pokażę ci ją.

POZOSTALI (zasłaniając lukę) Nie, nie!

ŚWISTEK (podniosłym tonem) Rozstąpcie się i pozwólcie Piotrusiowi zobaczyć.
(Szereg się rozstępuje i Piotruś widzi Wendy leżącą na ziemi)

PIOTRUŚ Wendy ze strzałą w sercu! (Wyciąga strzałę) Wendy umarła. (Jest tym raczej zaskoczony niż zasmucony)

KĘDZIOR Myślałem, że tylko kwiaty umierają.

PIOTRUŚ Może ona boi się tego, że umarła? (Nikt nie potrafi mu na to odpowiedzieć) Czyja to strzała? (Nikt nie patrzy w kierunku Świstka)

ŚWISTEK Moja, Piotrusiu.

PIOTRUŚ (wznosząc strzałę do ciosu jak sztylet) O, ręko niktzemna!

ŚWISTEK (kłękając przed nim i obnażając pierś) Dźgaj, Piotrusiu. Dźgaj z całej siły.

PIOTRUŚ (doświadczając dziwnego uczucia) Tyle że nie mogę dźgnąć. Coś mnie powstrzymuje.
(Widać, że Wendy podniosła rękę)

PRZTYK To ona, to ta Wendy pani. Spójrzcie na jej rękę. (By wesprzeć przyjaciela) Wydaje mi się, że właśnie powiedziała „Biedny Świstek”.

PIOTRUŚ (pochylając się nad nią) Ona żyje!

NIECO (stanowczo) Ta Wendy pani żyje.
(Ogarnia ich rozkoszne uczucie, że byli mądrzejsi, niż im się wydawało, i wszyscy zaczynają sobie gratulować)

PIOTRUŚ (podnosząc swój guzik z żółdźcia, który Wendy miała zawieszony na łańcuszku) Widzicie, strzała utkwiała w tym czymś. To całus, który jej dałem, i to on ocalił jej życie.

NIECO Pamiętam całusy. Pozwól, że obejrzę (Wyjmuje go Piotrusiowi z ręki) Ay, to rzeczywiście jest całus.

PIOTRUŚ Wendy, musisz szybko wyzdrowieć, a wtedy pokażę ci syreny. Ona strasznie chce zobaczyć syrenę.
(Cynowy Dzwoneczek, która w tym czasie mogła odwiedzać swoich krewnych, wraca do lasu i – przekonana, że pozbyła się Wendy raz na zawsze – pogwizduje sobie wesolutko

jak kanarek. Nie jest zupełnie bez serca, ale w tak małej istotce jak ona mieści się tylko jedno uczucie na raz)

KĘDZIOR Posłuchajcie, jak Dzwonka triumfuje, bo myśli, że Wendy nie żyje! *(Nie przejmując się, że popsuje jej humor)* Dzwonko, Wendy wcale nie umarła!
(Dzwonka jest wściekła)

DRUGI BLIŹNIAK *(skarżąc na Dzwonkę)* To ona powiedziała, że chcesz, żebyśmy zastrzelili Wendy.

PIOTRUŚ Tak powiedziała? Więc słuchaj, Dzwonko, koniec z naszą przyjaźnią. *(W odpowiedzi Dzwonki słysząc jakieś zgryźliwe tony – może mówić na przykład „A kto by tam chciał się z tobą przyjaźnić?”)* Nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy. *(Teraz podzwanianie wydaje się jakby mokre)*

KĘDZIOR Ona płacze.

ŚWISTEK Mówi, że jest twoją wróżką.

PIOTRUŚ *(który wie, że wróżkami nie warto się za bardzo przejmować)* No dobrze, nie nigdy, ale przez cały tydzień.
(Dzwonka odlatuje naburmuszona, zamierzając zapewne opowiedzieć wszystkim znajomym, że Wendy jest straszną brzydulą)
Co teraz zrobimy z Wendy?

KĘDZIOR Zanieśmy ją do naszego domu.

NIECO Ay, tak się właśnie robi z paniami.

PIOTRUŚ Nie, nie możemy jej dotykać. To byłoby traktowanie bez szacunku.

NIECO Tak właśnie przed chwilą pomyślałem.

ŚWISTEK Ale jeśli ją tu zostawimy, ona umrze.

NIECO Ay, umrze i nie ma na to rady.

PIOTRUŚ Ależ jest. Zbudujmy dom wokół niej! *(Znów wznoszą wiwaty, oznaczające, że nie ma takiej biedy, której Piotruś nie umiałby zaradzić)* Zostawcie to mnie. Przynieście, co tam mamy najlepszego. Wywróćcie nasz dom do góry nogami, migiem! *(Chłopcy pędem zjeżdżają w dół swoich pni)*
(Gdy Piotruś jest pochłonięty mierzeniem Wendy, tak, by domek dobrze na nią pasował, chwiejnym krokiem nadchodzą John i Michael, którzy najprawdopodobniej wylądowali na wyspie z hukiem, a teraz są tak padnięci i wycieńczeni, że gdybyście zapytali Michaela, czy już śpi czy jeszcze nie, odpowiedziałby pewnie „Nie wiem, nie sprawdzałem”)

MICHAEL *(oszołomiony)* John, John, obudź się. Gdzie Nana?

JOHN *(z jednym okiem otwartym, choć to nie zawsze jest to samo oko)* Naprawdę lataliśmy! *(Z ulgą)* Tu jest Piotruś. Piotrusiu, czy jesteś na miejscu?
(Piotruś zdążył niestety już o nich zapomnieć i być może wkrótce zapomni również o Wendy. Pierwszą rzeczą, którą Wendy powinna zrobić po przybiciu na Nigdylandię, jest uszycie mu chustki do nosa i zawiązanie na niej supelka, żeby o niej pamiętał)

PIOTRUŚ *(oschle)* Tak.

MICHAEL Gdzie jest Wendy? *(Piotruś mu pokazuje)*

JOHN *(który ciągle ma na głowie cylinder)* Ona śpi.

MICHAEL John, chodź, obudzimy ją i powiemy, żeby zrobiła nam kolację. *(Pojawia się kilku zgubionych chłopców, Michael szczypie jednego z nich)*

PIOTRUŚ *(nadal zajęty mierzeniem)* Kędzior, dopilnujesz, żeby ci dwaj pomogli przy budowie domu.

JOHN Budowie domu?

KĘDZIOR Dla Wendy.

JOHN *(przekonany, że musiała tu zająć jakaś pomyłka)* Dla Wendy? Przecież to tylko dziewczynka.

KĘDZIOR Dlatego jesteśmy jej niewolnikami.

JOHN *(osłupiały)* Jesteście niewolnikami Wendy?

PIOTRUŚ Tak, i wy również. Zabrać ich. *(Już po chwili obaj zostają drwalami ścinającymi drzewa pod nadzorem Kędziora).* Nieco, sprowadź doktora. *(Nieco obraca się na pięcie i*

odchodzi. Po chwili wraca, przywdziany profesjonalnie w wysoki kapelusz Johna)
 Przepraszam pana, czy jest pan doktorem?
 NIECO *(który drży z pragnienia, żeby dobrze się spisać)* Owszem, mój mały.
 PIOTRUŚ Proszę wejść, panie doktorze, tu leży pewna bardzo chora pani.
 NIECO *(próbując się o nią nie potknąć)* Ojjoj, gdzie też to ona jest?
 PIOTRUŚ Tam, na onej polanie. *(To cytat wyjęty z innej zabawy, w którą często się bawią)*
 NIECO Włożę jej teraz do buzi szklaną rurkę *(Udaje, że wkłada Wendy do ust termometr, czeka chwilę, żeby naciągnął, po czym strząsa go i sprawdza temperaturę)*
 PIOTRUŚ I jak się czuje?
 NIECO Ojjoj, źle bardzo, ale to ją wyleczyło.
 PIOTRUŚ *(podskakując z radości)* Ale się cieszę!
 NIECO Przyjdę znowu wieczorem. W międzyczasie trzeba jej podawać bulion z filiżanki z dzióbkiem, ojjoj.
(Chłopcy biegną tam i z powrotem, przynosząc różne najdziwniejsze meble)
 PIOTRUŚ *(mając jeszcze przed oczami blade wspomnienie pokoju dzieciennego w domu państwa Darlingów)* One nie przypadną Wendy do gustu. Tak bym chciał, żeby powiedziała, jaki domek by się jej spodobał!
 PIERWSZY BLIŹNIAK Piotrusiu, Wendy rusza się przez sen.
 ŚWISTEK *(otwierając Wendy usta i zaglądając przez nie do środka)* Ale ona śliczna!
 PIOTRUŚ Och, Wendy, gdybyś tylko mogła zaśpiewać, jaki domek chciałabyś mieć.
(Wygląda na to, że go usłyszała)
 WENDY *(nie otwierając oczu)*

Chciałabym mieć leśny domek,
 Tak śliczny i malutki,
 Co ściany całe ma czerwone
 A z mchu dach zieloniutki.

(Gdy Wendy śpiewa tę i dwie kolejne zwrotki, chłopcy pracują tak zawzięcie pod cichymi, lecz niecierpiącymi zwłoki rozkazami Piotrusia, że zdążyli w tym czasie ściąć drzewa, położyć fundamenty, wznieść ściany i wykończyć dach, tak, że teraz Wendy jest już ukryta przed naszym wzrokiem. „Okna!” – woła Piotruś, i Kędzior wstawia je pośpiesznie; „Róże!” – i Świstek nadbiega zdyszany, niosąc kwitnącą girlandę do zawieszenia nad drzwiami. W ten sposób powołany zostaje do życia najbardziej rozkoszny ze wszystkich domków dla początkujących)

PIERWSZY BLIŹNIAK Myślę, że jest gotowy.
 PIOTRUŚ Przecież nie ma jeszcze kołatki. *(Niecico zawiesza na drzwiach zelówkę)* Brakuje komina. Musimy mieć komin. *(Z niepokojem czekają na wynik jego deliberacji)*
 JOHN *(z niemądrym krytycyzmem)* Z całą pewnością nie obędzie się bez komina.
(Założył znowu swój cylinder, który teraz Piotruś zrywa z jego głowy, wybija mu denko i kładzie go na dachu. Z cylindra natychmiast zaczyna wydobywać się przyjazna smużka dymu)
 PIOTRUŚ *(z dłonią na kołatce)* Wszyscy macie prezentować się bez zarzutu. Pierwsze wrażenie jest strasznie ważne. *(Kołacze, a po chwili okropnego napięcia, podczas której nie mogą przestać myśleć, że może nikogo nie ma w domu, drzwi się otwierają i staje w nich nie kto inny, jak Wendy! Widać, że właśnie robiła małe sprzątanie. Jest trochę zaskoczona, dowiadując się, że ma aż dziewiątkę dzieci)*
 WENDY *(dystygowanie)* Gdzie ja jestem?
 NIECO Wendy pani, dla ciebie zbudowaliśmy ten domek.
 PRZTYK i ŚWISTEK Och, powiedz, że ci się podoba.
 WENDY *(pieszczotliwie gładząc śliczne ściany)* Uroczy, kochany domeczek.
 PIERWSZY BLIŹNIAK A my jesteśmy twoimi dziećmi.
 WENDY *(udając zdumienie)* Ach tak?
 WSZYSCY *(kłękają, wyciągając ku niej ręce)* O, Wendy pani, zostań naszą mamą! *(Teraz, kiedy wiedzą już, że to tylko zabawa, przyjmują jej obecność z prawdziwą zachłannością)*

WENDY (*nie chcąc wydać się zbyt przystępna*) Ale czy powinnam? To oczywiście strasznie fascynujące, ale wiecie przecież, że jestem tylko małą dziewczynką. Nie mam odpowiedniego doświadczenia.

WSZYSCY To nieważne. Potrzeba nam po prostu miłej i macierzyńskiej osoby.

WENDY Ojej, wydaje mi się, że jestem kimś właśnie takim.

WSZYSCY O tak, tak, wiedzieliśmy o tym od razu!

WENDY No więc dobrze, postaram się najlepiej, jak umiem. (*Rozradowani chłopcy zaczynają wycinać wokół domu hałaśliwe holubce, więc Wendy widzi, że będzie musiała być dla nich dobrą, lecz jednocześnie stanowczą matką*) Natychmiast wchodźcie do domu, wy niegrzeczne brzdące, jestem pewna, że macie mokre nogi. Ale zanim położę was spać, zdążymy jeszcze dokończyć bajkę o Kopciuszku.

(*Wszyscy gromadzą się w uroczym domku, którego nie najmniej osobliwą cechą jest to, że starcza w nim dla nich miejsca. Przez scenę przemyka się niewyraźna postać Lizy, nie dlatego, żeby mała pokojówka miała prawo się tu znaleźć, ale dlatego, że jest taka młoda i ma w życiu tak niewiele przyjemności, że pozwoliliśmy jej rzucić okiem na leśny domek. Po jakimś czasie na zewnątrz wychodzi Piotruś, który zaczyna maszerować tam i z powrotem z obnażonym mieczem w dłoni, ponieważ z oddali, od strony laguny, dobiegają odgłosy pirackiej biesiady, a wilki wyruszyły właśnie na żer. Mały domek wygląda teraz tak przytulnie i bezpiecznie – ze swoimi czerwonymi ścianami, mszystym dachem, światłem przeświecającym wesoło zza zasłony, pierwszorzędnie dymiącym kominem i Piotrusiem na warcie. Rzucamy na Piotrusia ostatnie spojrzenie, ale jest już tak ciemno, że domyślamy się tylko, iż jest on tą małą figurką, która zasnęła oparta o drzwi. Przed nim wędrują tam i z powrotem jasne punkciki. To ciekawskie wróżki i elfy, które przyszły obejrzeć domek. Gdyby jakiegokolwiek inne dziecko stanęło im na drodze, na pewno jakoś by mu dokuczyły, ale Piotrusia szczypią tylko w nos i przechodzą dalej. Bo widzicie, wróżki i elfy mogą go dotykać*)

AKT III

LAGUNA SYREN

W lagunie kończy się właśnie długi, wypełniony zabawą dzień. Promyczki ubłagały słońce, by pozwoliło im jeszcze przez pięć minut pościgać się po powierzchni wody, zanim zbierze je wszystkie do domu, żeby zrobić miejsce księżycowi. W wodach laguny widać całe mnóstwo syren, które chlapią plusk-plusk – ktoś mógłby się nawet pokusić o policzenie ich ogonów, gdyby tylko nie wywijały nimi tak szybko i nie chowały ich co chwila pod wodę. Co jakiś czas śliczna wodna panna wypryskuje w powietrze, żeby pozbyć się nadmiaru łusek – otrząsa się, a one opadają jak kropelki srebrzystego deszczu. Z koralowych grot w głębinach, gdzie znajdują się komnaty syren, dobiegają dźwięki urywanej melodii.

Jedna z tych najbardziej urzekających niebieskookich piękności wyleguje się leniwie na Skale Rozbitków, rozczesując długie sploty i co jakiś czas sprawdzając efekt w zwierciadélku z przezroczystej muszli. Piotruś i jego banda znajdują się w wodzie, ukryci za skałą, dokąd dopłynęli, tropiąc syrenę, jak gdyby była pstrągiem. Na dany sygnał dziesięć par rąk wyciąga się, żeby ją pochwycić. Niestety, nie udaje im się to, ponieważ syrena również słyszy sygnał (którym jest pianie koguta) i, wymykając się z ich rąk, wskakuje do wody. Tym razem byli już jednak tak blisko sukcesu, że dłonie kilkorga z nich srebrzą się od łusek. Zawiedzeni, gramolą się na skałę.

WENDY (*odklejając i chowając swoje łuski tak ostrożnie, jak gdyby to były unikatowe znaczki pocztowe*) Tak bardzo chciałam złapać syrenę.

PIOTRUŚ (*pozbywając się beztrąsko swoich łusek*) Strasznie trudno je złapać.

(Syreny uważają z kolei, że to Piotrusia trudno złapać, choć czasem przyłącza się do jednej z ich zabaw, która polega na leniwym wydmuchiowaniu wodnych baniek i sprawdzaniu, komu uda się je pochwycić. O, za niejedną taką bańką Piotruś poszybował w powietrze! Kiedy nastają chłody, syreny odpływają na drugi koniec świata, a pewnego razu Piotruś odprowadził nawet jedną syrenią ławicę aż do połowy drogi)

Są bardzo okrutne, Wendy, i czasem próbują wciągnąć małych chłopców albo dziewczynki takie jak ty do wody, żeby ich utopić.

WENDY (*która zdążyła się już nauczyć, że lepiej go nie pytać, co rozumie przez „takie jak ty”, chociaż bardzo chciałaby się tego dowiedzieć*) Okropne!

(Wendy wygląda teraz nieco inaczej, jest bardziej zaokrąglona, podczas gdy John i Michael wydają się trochę szczuplejsi niż wcześniej. To dlatego, że kiedy do podziemnego domu przybywają nowe dzieci, Piotruś znajduje dla nich nowe drzewa, którymi mogą wchodzić i wychodzić, ale zamiast dopasowywać drzewa do dzieci, dopasowuje je do drzew. Czasem można to zrobić, zakładając lub zdejmując dodatkowe sztuki odzieży, ale jeśli macie wyboistą sylwetkę, albo wasze drzewo ma dziwny kształt, Piotruś zabiera się do was z wałkiem i potem już pasujecie.

Pozostali chłopcy bawią się teraz w „króla na zamku”, zrzucając się nawzajem ze skały, grzmocąc po głowach i tak dalej; ta dwójka kontynuuje jednak rozmowę)

PIOTRUŚ Wiesz, Wendy, to jest strasznie ważne miejsce, ta skała. Nazywa się Skałą Rozbitków. Marynarze zostają rozbitkami wtedy, kiedy kapitan porzuca ich na tej skałe i odpływa w siłą dal.

WENDY Porzuca ich, żeby utonęli?

PIOTRUŚ (*lekko*) No, za długo to nie pożyją. Mają związane ręce, więc nie mogą pływać. Kiedy nadchodzi przypyływ, skałę zalewa woda i taki marynarz się topi.

(Wendy z niepokojem przygląda się skałe – jedynej, która wystaje ponad wodami laguny, a w dodatku nie jest większa od stołu. Od chwili, gdy rozglądała się po okolicy po raz ostatni, sceneria wydaje się dziwnie zmieniona. Słońce zaszło, ale księżyc się jeszcze nie pojawił. Nadciągnął natomiast chłodny podmuch, który zmarszczył taflę wody i sprawił, że mądre syreny pochowały się w swoich koralowych komnatach – syreny wiedzą bowiem, że nad lagunę zakradło się coś złego. Z chłopców jako pierwszy wyczuwa tę zmianę Piotruś, który zrywa się na równe nogi jeszcze zanim uszu dzieci zdąży dobiec słowa:

A jeśli śmierć rozdzieli nas,
Spotkamy się znów na dnie.

Zabawa zostaje przerwana tak nagle, że kilku z nurkujących chłopców zawisa w powietrzu i w tej postawie czeka na rozkazy Piotrusia. Otrzymałszy je, wszyscy wskakują do wody jednocześnie i w mgnieniu oka skała robi się tak pusta, jak gdyby wiatr wymiótł ją do czysta. Taką właśnie zastają ją piraci, których łódka przybija do skały, nieomal się o nią roztrzaskując)

SMEE Ostrz, do diaska, ostrz na wiatr! (*To Smee i Starkey razem z Tygrysią Lilią, która siedzi w pętach, pojmana przez piratów*) Naszym zadaniem jest wysadzić tę dzikuskę na skałę i zostawić ją, żeby utonęła.

(Dla wszystkich Indian jest to los o wiele gorszy od śmierci w płomieniach czy przy palu męczarni, ponieważ pradawne prawa Pikaninów mówią wyraźnie, że żadna ścieżka do krainy wiecznych łowów nie prowadzi przez wodę. A jednak twarz wojowniczkę jest jak wykuta ze spiżu – jest córką wodza, więc umrze jak córka wodza, ot, wszystko)

STARKEY (*rozczarowany, ponieważ ich ofiara nie skomli*) Żadnego skomlenia. To jest twoja nagroda za czajenie się w pobliżu statku z nożem w zębach.

TYGRYSIA LILIA (*ze stoickim spokojem*) Dość już o tym.

SMEE (*który wolałby nieco bardziej rozwlekłe pożegnanie*) No dobra. Na skałę z nią, brachu.

STARKEY (*doświadczając być może po raz ostatni w swym życiu czegoś w rodzaju odruchu człowieczeństwa*) Nie tak brutalnie, Smee. To znaczy brutalnie, ale nie aż tak.

SMEE Takie są rozkazy kapitana.

(W skałę została kiedyś wbita żerdź – być może dla oznaczenia miejsca, gdzie ukryto skarby – do której teraz piraci przycumowują łódkę)

WENDY (*w wodzie*) Biedna Tygrysia Lilia!

STARKEY Co to było? (*Dzieci podskakują na falach jak piłki*)

PIOTRUŚ (*naśladując głos Haka tak udatnie, że nawet autor niniejszych słów ma niepokojące wrażenie, iż tak naprawdę Piotruś czasami był Hakiem*) Ahoj tam, miernoty!

STARKEY To kapitan. Chyba do nas płynie.

SMEE (*odkrzykując*) Wysadziliśmy ją na skałę, Kapitanie!

PIOTRUŚ Uwolnić ją natychmiast.

SMEE Ale Kapitanie...

PIOTRUŚ Przeciąć jej pęta, albo nadzieję was na hak!

SMEE Bardzo to dziwne.

STARKEY (*rozbrajająco potulnie*) Lepiej zróbmy, co każe kapitan.

(Przecinają rzemienie krępujące Indiankę, która natychmiast przemyka się między ich nogami i ześlizguje do wody. W pośpiechu zapomina jednak o swoim wojennym okrzyku, więc Piotruś wydaje go za nią, a robi to tak naturalnie, że nawet zgubieni chłopcy dają się oszukać. W tym właśnie momencie rozlega się głos prawdziwego Haka)

HAK Łódź, ahoj!

SMEE (*z ulgą*) To kapitan.
(Hak pod pływa, a oni pomagają mu wydostać się na skałę. Kapitan jest w dość ponurym nastroju)

STARKEY Kapitanie, wszystko gra?

SMEE Westchnął.

STARKEY Znowu westchnął

SMEE (*licząc*) A teraz westchnął po raz trzeci. (*Pelen złych przeczuć*) Co tam, Kapitanie?

HAK (*który zapewne znalazł swój wilgotny i ciężki tort nietknięty*) Już po zawodach. Ci chłopcy przygruchali sobie matkę.

STARKEY O, feralna godzino!

SMEE A co to jest matka?

WENDY (*z przerażeniem*) On nie wie!

HAK (*ostro*) Co to było?
(Piotruś naśladuje pluśnięcie syreniego ogona)

STARKEY To tylko któraś z tych syren.

HAK Smee, czyżbyś nie wiedział? Matka to – (*Okazuje się, że wyjaśnienie nie jest wcale takie proste, jak przypuszczał, rozgląda się więc dookoła w poszukiwaniu jakiegoś przykładu dla ilustracji. Jako takowy nasuwa mu się wielki ptak, który przepływa obok skały, usadowiony w dryfującym gnieździe rozmiarów sporej balii*) Oto macie lekcję macierzyństwa! Gniazdo musiało spaść do wody, ale czy ptasia matka porzuciła swoje jajka? (*Piotruś, który z nudów zaczyna już trochę tracić wyczucie, udaje przeczącą odpowiedź ptaka. Gniazdo odpływa i znika nam z oczu*)

STARKEY Może ta matka kręci się gdzieś w pobliżu, żeby chronić Piotrusia?
(Twarz Haka chmurzy się jeszcze bardziej, a Piotruś z ledwością powstrzymuje się, żeby nie krzyknąć, że nie potrzebuje niczyjej ochrony)

SMEE (*który raczej rzadko wpada na dobre pomysły*) Kapitanie, a czy nie moglibyśmy porwać matki tych chłopców i zrobić, żeby została naszą matką?

HAK Tuczniki i krosty, toż to przednia myśl. Wyłapiemy dzieci, chłopców strącimy za burtę, a Wendy zostanie naszą matką!

WENDY Nigdy! (*kolejne pluśnięcie Piotrusia*)

HAK Cóż wy na to, bratki?

SMEE Oto moja ręka, Kapitanie.

STARKEY I moja.

HAK A oto mój hak. Przysięgnijcie. (*Wszyscy składają przysięgę*) Ale byłbym zapomniał. Gdzie dzikuska?

SMEE (*wstrząśnięty*) Wszystko w porządku, Kapitanie. Wypuściliśmy ją.

HAK (*straszonym głosem*) Wypuściliście?

SMEE Przeż takie były rozkazy.

STARKEY (*placźliwie*) Zawołałeś do nas z wody, żebyśmy ją wypuścili, Kapitanie.

HAK Saletry i żółcie, czy próbujecie mnie tu oszkapić? (*Zbity z tropu szczerym wyrazem ich twarzy*) Chłopcy, ja nie wydałem takich rozkazów.

SMEE To już przechodzi wszelką dziwność.

HAK (*zwracając się do bezmiaru wód*) Duchu, co tę mroczną lagunę nawiedzasz – słyszyszli mnie?

PIOTRUŚ (*głosem Haka*) Chłody, tropiki, buchy i szkwały, słyszę cię!

HAK (*chwytnąjąc się żerdzi, by nie upaść*) Kim jesteś, wyjaw, o nieznajomy!

PIOTRUŚ (*nieco zbyt skory do odpowiedzi*) Jam jest Jak. Hak, Kapitan Wesołego Rogera.

HAK (*blednąc aż po czubki uszu*) Nie, nie, nie możesz nim być.

PIOTRUŚ Saletry i żółcie, powiedz to jeszcze raz, a cisnę w ciebie kotwicą.

HAK Jeśli ty jesteś Hakiem, to kim w takim razie jestem ja?

PIOTRUŚ Wątluszem, zwykłym wątluszem.

HAK (*osłupiały*) Wątluszem?

SMEE (*odsuwając się od niego*) I przez cały ten czas naszym kapitanem był zwykły wątlusz?

STARKEY To uwłacza naszemu honorowi.

HAK (*czując, że wymyka mi się jego własne ja*) Bratki, nie zostawiajcie mnie!

PIOTRUŚ (*bez wyczucia*) Pfuj, ryba, pfuj!

(*W Haku, jak we wszystkich osławionych piratach, drzemie odrobina kobiecości, która każe mu teraz spróbować zabawy w zgadywanki*)

HAK A masz jakieś inne imię?

PIOTRUŚ (*połykając haczyk*) Ay, ay.

HAK (*łapczywie*) Warzywo?

PIOTRUŚ Nie.

HAK Mineral?

PIOTRUŚ Nie.

HAK Zwierzę?

PIOTRUŚ (*po szybkiej naradzie ze Świstkiem*) Tak.

HAK Mężczyzna?

PIOTRUŚ (*z pogardą*) Nie.

HAK Chłopiec?

PIOTRUŚ Tak.

HAK Zwyczajny chłopiec?

PIOTRUŚ Nie!

HAK Nadzwyczajny chłopiec?

PIOTRUŚ (*ku rozpacz* Wendy) Tak!

HAK Czy jesteś w Anglii?

PIOTRUŚ Nie.

HAK Czy jesteś tutaj?

PIOTRUŚ Tak.

HAK (*poddaje się, chociaż ma wrażenie, że był już tak blisko*) Smee, teraz ty go zapytaj.

SMEE (*wywracając mózg na nice*) Nic mi nie przychodzi do głowy.

PIOTRUŚ Nie mogą zgadnąć, nie mogą! (*Zapamiętując się w swoim zarozumiałstwie*) Poddajecie się?

HAK (*ochoczo*) Owszem.

PIOTRUŚ Wszyscy?

SMEE i STARKEY Ay.

PIOTRUŚ (*piejąc*) No więc ja jestem Piotruś Pan!

(*Teraz go mają*)

HAK Pan! Do wody, Smee. Starkey, pilnuj łodzi. Brać żywego lub umarłego!

PIOTRUŚ (*który ciągle ma wszystkie mleczaki*) Chłopcy, huzia na piratów!

(*Przez chwilę jedyna para walczących, którą widzimy, to ta znajdująca się w łodzi, gdzie John rzucił się na Starkeya. Starkey próbuje wymknąć się do wody, ale John wyskakuje za nim tak szybko, że znajduje się w wodzie prędzej od niego, przez co Starkey ma wrażenie, że zaatakowały go Bliźniaki. Błękit laguny zabarwia się szkarlatem. Łódź odplywa z prądem. Tu i tam wynurza się czyjaś głowa, a raz jest to łeb krokodyla. W gęstniejącym mroku walczący atakują swoich przyjaciół – Nieco wbija Świstkowi sztych pod czwarte żebro, podczas gdy sam zostaje draśnięty przez Kędziora. Wygląda na to, że chłopcy przegrywają, co być może w tym momencie nie jest wcale takie złe, ponieważ Piotruś, który ostatecznie zawsze przesądza o wyniku walki, ma dokuczliwy zwyczaj zmieniania stron, jeśli znajduje się akurat po tej, której zwycięstwo przychodzi zbyt łatwo. Żelazny szpon Haka tworzy wokół niego pierścień czarnej wody, z którego wrogowie pierzchają jak płotki. Jest tylko jeden śmiałek, gotów, by wkroczyć w ów straszliwy krąg. Imię jego – Pan. To dziwne, lecz nie spotykają się w wodzie. Hak wydostaje się na skałę, żeby złapać oddech, a w tym samym momencie Piotruś zaczyna wchodzić na nią z przeciwnej strony. Skała jest teraz mokra i śliska jak węgorz, pełną więc po niej raczej, niż się wspinają. I nagle stają ze sobą twarzą w twarz. Piotruś zgrzyta swoimi ślicznymi ząbkami z radości i właśnie gotuje się do skoku, gdy zauważa, że znalazł się wyżej na skale niż jego przeciwnik. Rycerskim obyczajem czeka, aż ów się z nim zrówna. Hak pojmuje jego intencję i wykorzystuje to, by dwa razy uderzyć szponem. Nie udaje mu się dosięgnąć chłopca, lecz ponieważ niesprawiedliwość jest czymś, do czego Piotruś nie potrafi się przyzwyczaić, zdumienie zwała go z nóg i ze skały. Krokodyl, którego tykanie utonęło w*)

ogólnym zamęcie, rozdziawia paszczę – Hakowi cudem udaje się w nią nie wpaść, po czym odpływa w kierunku łądu ścigany przez bestię. W lagunie robi się zupełnie cicho, nie słychać nic poza łagodnym pluskaniem fal uderzających o skałę, która jest teraz mniejsza, niż gdy patrzyliśmy na nią ostatnio. Dwóch chłopców nadpływa w łódce piratów, a reszta, pomimo ran, gramoli się do środka. Po wodzie niesie się wołanie „Piotrusiu – Wendy!”, ale znikąd nie słychać odpowiedzi)

PRZTYK Pewnie płyną już do domu.

JOHN Albo lecą.

PIERWSZY BLIŹNIAK Otóż to. Ruszajmy, a po drodze będziemy ich nawoływać.

(Łódka odpływa wraz ze swoją załogą. Gdyby tylko chłopcy wiedzieli, w jak wielkim niebezpieczeństwie znaleźli się teraz Wendy oraz ich kapitan, ich serca zrobiłyby się tak ciężkie, że szalupa w mgnieniu oka poszłaby na dno. Z oddali i z bliska rozlegają się jeszcze wołania „Piotrusiu – Wendy!”, które za chwilę milkną zupełnie.

Na Skale Rozbitków widać dwie drobne figurki, leżące bez zmysłów. Syrena, która zachęcona spokojem panującym w lagunie, odważyła się wynurzyć, wyciąga ręce i zaczyna delikatnie wciągać Wendy do wody, żeby ją utopić. Wendy budzi się w ostatniej chwili)

WENDY Piotrusiu!

(Piotruś podnosi się i rozgląda dookoła)

Piotrusiu, gdzie my jesteśmy?

PIOTRUŚ Jesteśmy na skale, która robi się coraz mniejsza. Za chwilę woda zupełnie ją zaleje. Posłuchaj!

(Do ich uszu dobiega łagodny, lecz nieubłagany szmer fal)

WENDY Musimy stąd uciekać.

PIOTRUŚ Tak.

WENDY Popłyniemy czy polecimy?

PIOTRUŚ Wendy, myślisz, że potrafiłabyś sama dolecieć albo dopłynąć do wyspy?

WENDY Wiesz, że nie, Piotrusiu. Dopiero się uczę.

PIOTRUŚ Hak zranił mnie dwukrotnie. *(Sam w to wierzy. Tak bardzo zapamiętał się w zabawie, że naprawdę czuje ból, a jego ręce zwisają bezwładnie)* Nie mogę ani pływać ani latać.

WENDY To znaczy, że oboje musimy utonąć?

PIOTRUŚ Popatrz, jak się woda podnosi.

(Zastaniają twarze dłońmi. Wtem coś dotyka policzka Wendy miękko jak pocałunek)

PIOTRUŚ *(bez specjalnego zainteresowania)* To pewnie ogon latawca, którego zrobiliśmy dla Michaela. Pamiętasz, że wyrwał się nam i odfrunął. *(wzrok spogląda w górę i widzi, że latawiec unosi się nad ich głowami)* Latawiec! Dlaczego nie miałby unieść ciebie? *(Chwyta za koniec ogona i ciągnie, a latawiec się nie sprzeciwia)*

WENDY Nas razem!

PIOTRUŚ Dwójki nie uniesie. Michael i Kędzior próbowali.

(Wendy wie doskonale, że jeśli uniesie ją, mógłby unieść również i jego, ponieważ chłopcy zdradzili jej w wielkim sekrecie, że jedną z osobliwości Piotrusia jest to, że nie waży nic a nic. Ale to temat zakazany)

WENDY Bez ciebie nie polecę. Ciągnijmy losy o to, które z nas ma zostać.

PIOTRUŚ Przenigdy. Jesteś przecież damą! *(Wendy trzyma już w dłoni koniec latawca, który ciągnie ją mocno w górę. Podaje Piotrusiowi usta do pocałunku, ale on wie, że nic z tego)* Teraz, Wendy!

(Latawiec unosi ją ponad lagunę i Wendy znika nam z oczu.

Fale zamknęły się niemal nad wierzchołkiem skały i Piotruś wie, że już niedługo będzie po wszystkim. Błada poświata miesza się z płynącymi po niebie obłokami, a z koralowych grot w głębinach dobiega dźwięk przepelniony bezbrzeżną melancholią i zarazem najbardziej melodyjny na całej Nigdylandii – to syreny wzywają księżyc, by wynurzył się zza horyzontu. Piotruś nareszcie zaczyna się bać, a przez jego ciało przebiega dreszcz, niczym fala przez wody laguny. Lecz na lagunie za falą podąża kolejna fala i w końcu są ich tysiące, Piotruś zaś czuje tylko to jedno, jedyne drżenie)

PIOTRUŚ (w którego piersi biją teraz werble, jak gdyby nareszcie był prawdziwym chłopcem)
Umrzeć – to dopiero będzie strasznie wielka przygoda.

(Kurtyna unosi się znowu i widzimy lagunę zalaną księżycowym blaskiem. Piotruś wciąż stoi na skale, ale woda sięga mu już do kostek. W tym momencie podpływa do niego gniazdo, a ptasia matka – zagruchawszy w swoim języku – porzuca je i wzbija się w powietrze. Piotruś, który zna mowę ptaków, wyjmując najpierw z gniazda oba jajka i wkłada je do kapelusza Starkeya, którego ów zapomniał zabrać z żerdzi wbitej w skałę, po czym wsiada do gniazda jak do łodzi. Kapelusz odpływa z prądem, a Piotruś wylamuje ze skały żerdź i robi z niej maszt. Wiatr niesie go ku pełnemu morzu. Zdejmuje więc koszulę, której zapomniał ściągnąć przed kąpielą w lagunie, i rozpina ją na maszcie jak żagiel. Jego okręt zaczyna halsować pod wiatr, po czym Piotruś znika nam z oczu, nagi i zwycięski. Ptak wraca i sadowi się w kapeluszu)

AKT IV

PODZIEMNY DOM

W tym momencie widzimy jednocześnie wewnątrz podziemnego domu i siedzące w nim dzieci oraz znajdujący się powyżej las, w którym zalegli Indianie. Dzieci pałaszują kolację, a zawinięci w koce wojownicy koczują w pobliżu małego domku, żeby bronić mieszkańców podziemia przed piratami. Obie grupy mogą porozumiewać się ze sobą wyłącznie za pomocą wydrążonych drzew.

W podziemnym domu zamiast podłogi jest klepisko, co przydaje się szczególnie wtedy, kiedy chcecie wykopać dołek, żeby połowić ryby. Nie ma też zbyt wiele miejsca na ścianach, a to dlatego, że znajduje się w nich tak dużo wyjść na powierzchnię. Stół, przy którym siedzą zgubieni malcy, to blat położony na ściętym pniu drzewa, które jednak ma nadal takie bóle wzrostowe, że rośnie nawet wtedy, kiedy dzieci jedzą, przez co czasami muszą przerywać posiłki, żeby trochę przyciąć stołową nogę. Za krzesła służą im dynie albo kolorowe grzyby sporych rozmiarów, jak ten, którego imitację widzieliśmy wcześniej na kominie. W izbie jest też olbrzymie palenisko – tak duże, że znajdziecie je wszędzie tam, gdzie akurat chcecie napalić. Nad nim Wendy porozciągała sznury skręcone w włókien, na których wiesza pranie. Poza tym wszędzie w pokoju jest pełno rozmaitych pierdółek, nieprzydatnych absolutnie do niczego.

Kosz, w którym sypia Michael, przywieszony jest wysoko na ścianie, jak gdyby dla ochrony przed zakusami kota, w tym momencie jednak trudno się zorientować, gdzie sypiają pozostałe dzieci. Z tyłu, pomiędzy dwoma pniami drzew, stoi kamień szlifierski z korbą, a obok widać śliczną wnękę wielkości pudła na kapelusze, która zasłonięta jest popielatą kotarą, tak, że nie sposób zobaczyć, co jest w środku. To buduar, a zarazem sypialnia Dzwonki, i nawet dobrze się składa, że nie możecie tam zajrzeć, bo wystrój wewnątrz jest tak wykwintny, a rozłożone na łóżku sztuki odzieży tak wymyślne, że pewnie nie moglibyście się powstrzymać, żeby czegoś nie zwędzić. Dzwonka jest w środku, czego domyślacie się po blasku przeświecającym przez szpary między ścianami a kotarą. To jej własne światło, bo Dzwonka oczywiście sama oświetla swoją rezydencję, a żyrandol na suficie wisi tylko dla ozdoby. W tym momencie najprawdopodobniej marnuje cenny czas, deliberując, czy lepiej założyć suknię w kolorze przydymionego błękitu czy może kwiatu jabłoni.

W domu są teraz wszyscy chłopcy, oprócz Piotrusia Pana, a Wendy siedzi na szczycie stołu i uśmiecha się z zadowoleniem, obserwując ich urocze wybryki, a zarazem pilnując, by przestrzegali zasad typu „łokcie-ze-stołu”, „nie-wchodzić-sobie-w-słowo” i tak dalej. Ubrana jest w romantyczny leśny przyodziewek, który uszyła sobie sama, a we włosy wpięła jakieś czerwone owocki, które znakomicie podkreślają jej karnację, o czym zresztą wie doskonale; prawdę rzekłszy, Wendy wybrała się na poszukiwanie tych owoców zaraz po przybyciu na wyspę. Chłopcy ubrani są w malownicze stroje jej pomysłu i wykonania, a jeśli poszczególne sztuki odzieży nie zawsze dobrze pasują, noszący sami są sobie winni, bo ciągle ubierają nie swoje rzeczy – o ile w ogóle coś ubierają. Michael buja się w swojej podwieszanej kołysce.

Pierwszy Bliźniak siedzi osobno na wysokim stołku, który jest „oślą ławką” – to kolejny wynalazek Wendy, nie całkiem jednak skuteczny, ponieważ teraz wszyscy chcą być osłem i siedzieć w oślej ławce.

Tego wieczoru kolację mają na niby, więc na stole jest zupełnie pusto – ani jednego kubka, łyżki czy okruszka. Jedzą w ten sposób często i przy różnych okazjach, natomiast kiedy jedzą w drugi sposób, na ich posiłki składają się kromki chlebowca, przetwory z chińskiej papierówki, konfitury z mamei, sos pochrzynowy i puree z bananów, popijane kolokazjowym sokiem poe-poe nalewanym prosto z kalabasy. Posiłki na niby nie należą do pomysłów Wendy – trzeba wręcz powiedzieć, że po przybyciu na Nigdylandię była nieco zdezorientowana tym, że Piotruś nie zna innego sposobu odżywiania się i nadal nie jest do końca pewna, czy potrafi jeść normalnie, chociaż spośród wszystkich chłopców właśnie on zdaje się pałaszować z największym zapamiętaniem. Piotruś przykładą wielką wagę do tego, by posiłki na niby zadane były z apetytem i teraz właśnie możemy się przekonać, że jego banda stara się wypełniać te rozkazy najlepiej, jak umie.

WENDY (*zatykając uszy, bo wrzask i wrzawa przy stole są nie do wytrzymania*) Ci-sza! Nieco, chcesz dolewkę?

NIECO (*który na pewno odpowiedziałby inaczej, gdyby miał przed sobą prawdziwy kubek*) Nie, dziękuję, jeszcze trochę mi zostało.

PRZTYK Mamusiu, on nawet nie zaczął pić swojego poi-poi.

NIECO (*korzystając z okazji, bo to podpada pod skarżypoctwo*) Prztyk skarży!
(*John podnosi rękę*)

WENDY Tak, Johnie?

JOHN Mogę usiąść na miejscu Piotrusia, póki go nie ma?

WENDY Na krześle waszego ojca? Wykluczone.

JOHN Ale on tak naprawdę wcale nie jest naszym ojcem. Nawet nie wiedział, jak się udaje ojca, dopóki mu nie pokazałem.

(*To już jest jawny przejaw niesubordynacji*)

DRUGI BLIŹNIAK Skarżę na Johna!

(*Nieśmiały Świstek podnosi rękę*)

ŚWISTEK (*który ma o sobie jak najniższe mniemanie*) Michael, nie zgodzisz się, żebym teraz ja był na trochę niemowlakiem?

MICHAEL Nie.

ŚWISTEK A mogę być osłem?

PIERWSZY BLIŹNIAK (*ze swojego stolka*) Nie. Bycie osłem jest strasznie trudne.

ŚWISTEK Skoro nie mogę być nikim ważnym, może chcielibyście, żebym pokazał wam sztuczkę?

WSZYSCY Nie.

ŚWISTEK (*zrezygnowany*) Tak myślałem.

(*Skarżypoctwo wybucha z nową siłą*)

PRZTYK Nieco kaszle na stół.

KĘDZIOR Bliźniaki zaczęły od papierówek.

NIECO Prztyk znowu skarży!

PRZTYK To Nieco skarży!

WENDY Ojej, czasem mi się wydaje, że jest czego zazdrościć starym pannom!

MICHAEL Wendy, jestem już za duży na kołyskę.

WENDY Jesteś najmniejszy, a kołyska w domu wygląda tak przytulnie. Chłopcy, możecie już sprzątać ze stołu. (*Siada na dyni w pobliżu paleniska i – jak co dzień wieczorem – zabiera się za cerowanie*) Na każdej pięcie dziura!

(*Chłopcy sprawnie sprzątają ze stołu, myjąc nieistniejące naczynia w nieistniejącym zlewie i układając je w nieistniejącym kredensie. Dzisiaj, zamiast spłowywać stołową nogę, wciskają ją w ziemię jak harmonijkę, po czym są już gotowi do zabawy i zaczynają wesóło dokazywać.*)

Jakieś poruszenie w obozie Indian przyciąga teraz naszą uwagę do sceny na górze. Dotychczas wszyscy wojownicy – za wyjątkiem Pantery, który trzyma straż na dachu

małego domku – kulili się okutani w koce, milczący, lecz bardzo malowniczy. Teraz zrywają się i stają w pokornej postawie przed majestatyczną postacią Piotrusia, który kroczy przez las z przewieszoną przez ramię sakwą na zwierzyńcę oraz rusznicą, która właściwie nie jest tak do końca rusznicą. Często wybiera się z tą bronią na samotne polowania, a kiedy wraca, nigdy nie możecie być pewni, czy spotkała go jakaś przygoda czy nie. Może być tak, że po prostu o niej zapomniał i dlatego o niej nie mówi, ale kiedy wychodzicie na zewnątrz, natrafiacie na zwłoki. Albo może być tak, że Piotruś bardzo długo rozwodzi się nad jakąś przygodą, ale wy nigdzie nie możecie znaleźć zwłok. Czasami wraca do domu z zadrapaniami na twarzy i mówi Wendy, jak gdyby nigdy nic, że zrobiły mu to wróżki i elfy, które wyzwał w czasie wesela, na które go zaprosiły. A Wendy słucha uprzejmie, ale wiecie – nigdy nie jest tak całkiem pewna, jak to było. Tak naprawdę jedyna osoba na wyspie, która jest czegokolwiek pewna, to Piotruś Pan)

PIOTRUŚ Wielki Biały Ojciec cieszy się, że mężczyźni wojownicy Pikaninów ochraniają jego wigwam przed atakami piratów.

TYGRYSIA LILIA Wielki Biały Ojciec ocalił księżniczkę indiańską. Ona jest jego przyjaciółką i nie pozwoli piratom go skrzywdzić.

WOJOWNICY Uff, uff, uff!

TYGRYSIA LILIA Tygrysia Lilia przemówiła. Howgh!

PANTERA Howgh! Howgh! Wspaniała Wielka Mała Pantera przemówił.

PIOTRUŚ I bardzo dobrze. Wielki Biały Ojciec przemówił.

(W tych słowach pobrzmiewa nutka ostateczności oraz sugestia w rodzaju „A teraz możecie się zamknąć”, co nie odbiega wcale od uprzejmych powitań, które przywódcy narodów kierują do swoich prostodusznych poddanych. Piotruś wchodzi do swojego drzewa i zsuwa się pod ziemię, a Wendy słyszy, że nadchodzi)

WENDY Dzieci, zdaje się, że wraca wasz ojciec. Chodźcie, on zawsze bardzo lubi, gdy witacie go przy wejściu. *(Piotruś udaje, że rozdziela między nich orzechy, po czym pilnie obserwuje, czy chrupią je ze smakiem)* Piotrusiu, ależ ty ich rozpieszczasz, no naprawdę!

JOHN *(który najchętniej brzmiałby sceptycznie, gdyby miał dość odwagi)* Jak tam łowy, Piotrusiu?

PIOTRUŚ Dwa tygrysy i pirat.

JOHN *(bezcześnie)* A gdzie ich łby?

PIOTRUŚ *(marszcząc swoje delikatne brewki)* W sakwie.

JOHN *(nie, nie mówi tego. Wycofuje się)*

WENDY *(zaglądając do sakwy)* O, prawdziwe cudenka! *(Nauczyła się już, co do niej należy)*

PIERWSZY BLIŹNIAK Mamusiu, my chcemy potańczyć!

WENDY Co? Matka takiej gromadki ma tańcować?

NIECO Przecież dzisiaj sobota wieczór!

(Już dawno stracili rachubę czasu, ale zawsze, kiedy chcą zrobić coś niezwykłego, mówią, że jest sobota wieczór i wtedy to robią)

WENDY Oczywiście, że jest sobota wieczór, prawda, Piotrusiu? *(Piotruś obojętnie kiwa głową na znak zgody)* Ale najpierw założcie koszule nocne.

(Chłopcy znikają w różnych zakamarkach pokoju, a Piotruś i Wendy – nadal zajęta cerowaniem – zostają przy palenisku, żeby pogwarzyć po rodzicielsku. Dla podkreślenia atmosfery Wendy zaczyna nucić szkocką piosenkę o starym dobrym małżeństwie „John Anderson, my Jo”, co jednak wywiera efekt odwrotny do zamierzonego. Ona kocha za bardzo, by nie zauważyć, że on kocha za mało, pyta więc z wahaniem, jak ktoś, kto zna odpowiedź na swoje pytanie)

Co się stało, Piotrusiu?

PIOTRUŚ *(przestraszony)* Ale to wszystko jest tylko na niby, prawda? To, że jestem ich ojcem?

WENDY *(upadając na duchu)* O, tak.

(Piotruś oddycha z ulgą, zupełnie nieświadomy jej uczuć)

Ale oni są nasi, Piotrusiu, moi i twoi.

PIOTRUŚ *(zdeterminowany, by ustalić fakty – jedyne rzeczy, które wprawiają go w zakłopotanie)*

Ale nie naprawdę?

WENDY Jeśli nie chcesz, to nie.

PIOTRUŚ Nie chcę.

WENDY (*czując, że nie powinna dociekać, ale zmuszona do tego przez jakiś wewnętrzny głos*)

Piotrusiu, co ty tak właściwie do mnie czujesz?

PIOTRUŚ (*jak na egzaminie*) Synowskie przywiązanie, Wendy.

WENDY (*odwracając się od niego*) Tak myślałam.

PIOTRUŚ Jesteś bardzo dziwna. A Tygrysia Lilia jest taka sama. Chce czymś dla mnie być, ale mówi, że nie moją matką.

WENDY (*gorąco*) Pewnie, że nie.

PIOTRUŚ Więc czym?

WENDY Damie nie wypada o tym mówić.

(Kotara zastaniająca buduar wróżki lekko się uchyla, a Dzwonka, która bez wątpienia podsłuchiwała, pobrzękuje pogardliwym śmiechem)

PIOTRUŚ (*zapędzony w kozi róg*) Przypuszczam, że ona chce być moją matką.

(Dzwonka na to: „Ty głupi ośle.”)

WENDY (*która podłapała już trochę języka wrózek i elfów*) Prawie się z nią zgadzam!

(Zjawiają się chłopcy w nocnych koszulach, co kieruje uwagę Wendy w stronę spraw praktycznych, bo dzieci trzeba teraz ustawić w szeregu i sprawdzić, czy zaliczyły test czystości. Najgorzej wypadł Nieco. W końcu dowiadujemy się też, gdzie śpią chłopcy, ponieważ ich łóżko – w ciągu dnia postawione na sztorc i oparte o ścianę – zostaje teraz wśród okropnego rozgardiaszu zwolnione ze swojego stanowiska i opuszczone na ziemię. Łóżko jest sporych rozmiarów, ale liczna gromadka i tak ledwie się w nim mieści, więc Wendy wymyśliła zasadę, że nie ma żadnego wiercenia się we własnym zakresie, dopóki jeden z chłopców nie da umówionego sygnału, na który wszyscy przewracają się na drugi bok równocześnie.

Pierwszy Bliźniak jest najlepszym tancerzem, wycina więc siarczyste hołubce na łóżku, w łóżku, nad łóżkiem i poza nim przy akompaniamencie bitwy na poduszki, toczonej przez tych mniej roztańczonych. Potem wszyscy tłoczą się wokół Wendy)

PRZTYK A teraz bajka, którą obiecałaś nam opowiedzieć, gdy będziemy w łóżku!

WENDY (*surowo*) Jak na razie to nie wiem, żebyście w nim byli.

(Chłopcy gramolą się do łóżka, które w efekcie wygląda jak puszka sardynek)

WENDY (*przysuwając bliżej swój stół*) No więc był sobie kiedyś pewien pan...

KĘDZIOR Wolałbym, żeby był panią.

PRZTYK Albo białym szczurem.

WENDY Cicho! Była też pani. On nazywał się pan Darling, a ona pani Darling...

JOHN Kiedyś ich widziałem!

MICHAEL (*któremu pozwolono przyłączyć się do kręgu słuchających*) Zdaje mi się, że ich widziałem.

WENDY No więc ci państwo byli mężem i żoną. I jak myślicie, co oni mieli?

PRZTYK Białe szczury?

WENDY Nie, mieli za to troje potomków. Białe szczury też są potomkami. Prawie wszystko na świecie jest potomkami. A tych troje dzieci miało oddaną piastunkę, która nazywała się Nana.

MICHAEL (*o zgrozo*) Śmieszne imię!

WENDY Tylko że pan Darling... (*niepewnie*) A może to była pani Darling?... Strasznie się na Nanę rozzłościł i przypiął ją na łańcuchu na podwórku. Więc dzieci odleciały sobie hen, daleko. Poleciały do Nigdylandii, gdzie mieszkają zgubieni chłopcy.

KĘDZIOR Byłem pewien. Nie wiem, czemu, ale po prostu byłem pewien.

ŚWISTEK Och, Wendy, a czy jeden z tych chłopców miał na imię Świstek?

WENDY Tak, dokładnie tak.

ŚWISTEK (*oszołomiony*) Jestem w bajce? Prztyk, ja jestem w bajce!

PIOTRUŚ (*który siedzi przy palenisku i wycina nożem fletnię Pana, ale uparł się, że Wendy będzie miała swoją bajkę, niezależnie od tego, jak bardzo paskudna by mu się ona nie wydawała*) Trochę ciszej tam.

WENDY (*rozptylając się w urokach opowieści, ale bez jakichś szczególnych wyrzutów sumienia*) A teraz zastanówmy się przez chwilę, co musieli czuć ci nieszczęśliwi rodzice,

kiedy zobaczyli, że ich dzieci odleciały. Pomyślcie tylko – O! pomyślcie o tych pustych łóżeckach! (*Malcy bez serca myślą o nich wśród radosnych śmiechów*)

PIERWSZY BLIŹNIAK (*wesoło*) To strasznie smutne.

WENDY Ale nasza mała bohaterka wiedziała, że jej mama będzie zawsze zostawiała okno otwarte dla swoich dzieci, żeby kiedyś mogły wrócić. Zostali więc na Nigdylandii przez długie lata i świetnie się bawili.

(*Piotruś w końcu wydaje się zainteresowany*)

PIERWSZY BLIŹNIAK I co, wrócili kiedyś do domu?

WENDY (*uspokajającym tonem*) A teraz zobaczmy, co działo się w przyszłości. Lata mijały – aż nagle spojrzcie, co to za wytworna dama w nieokreślonym wieku ląduje na dworcu w Londynie!

(*Napięcie sięga zenitu*)

PRZTYK Och, Wendy, kto to taki?

WENDY (*peczęjąc z dumy*) Czy to naprawdę może być...? Tak! Nie! Tak! Tak, to nasza piękna Wendy!

ŚWISTEK Ale się cieszę.

WENDY A cóż to za dwaj szacowni i postawni panowie, którzy jej towarzyszą? Czy to nie aby John i Michael? Tak, to oni. (*Michael pęka z dumy*) „Spójrzcie, drodzy bracia – mówi Wendy, wskazując palcem w górę – okno jest cały czas otwarte”. Więc unoszą się w powietrze i lecą do swoich kochających rodziców, a żadne pióro nie opisze tej sceny pełnej szczęścia, na którą teraz spuścimy zasłonę milczenia. (*Jej triumf psuje jęk Piotrusia; Wendy podbiega do niego przestraszona*) Piotrusiu, co ci jest? (*Myśli, że jest chory i patrzy na jego brzuch*) Gdzie cię boli?

PIOTRUŚ To nie ten rodzaj bólu. Wendy, mylisz się całkowicie, jeśli chodzi o matki. Ja też myślałem tak jak ty, że okno będzie zawsze otwarte. Więc zwlekałem przez wiele słońc i księżyców, a potem poleciałem z powrotem do domu, ale okno było zakratowane. Mama o mnie zapomniała, a w moim łóżku spał już jakiś inny chłopczyk.

(*To wyznanie spada na nich jak grom z jasnego nieba*)

JOHN Wendy, wracajmy do domu!

WENDY Piotrusiu, jesteś pewny, że matki takie są?

PIOTRUŚ Tak.

WENDY John, Michael! (*Przygarnia ich do siebie*)

PIERWSZY BLIŹNIAK (*zaniepokojony*) Wendy, chyba nas nie zostawisz?

WENDY Muszę.

PRZTYK Ale nie dzisiaj?

WENDY Natychmiast. Mama mogła już prawie nas odżalować! Piotrusiu, czy wydasz odpowiednie rozkazy?

(*Pyta o to tonem nieugiętej decyzji, który kobiety przyjmują, kiedy w sekrecie spodziewają się oporu*)

PIOTRUŚ (*chłodno*) Jeśli sobie tego życzysz.

(*Wychodzi przez swoje drzewo, żeby wydać polecenia Indianom. Zgubieni chłopcy zaczynają w niepokojący sposób gromadzić się wokół Wendy*)

KĘDZIOR Nie wypuścimy cię!

WENDY (*kierując się jedną z tych szczęśliwych kobiecych intuicji, by w chwilach krytycznych odwołać się do mężczyzny, który w przeciwnym razie nie mógłby na to liczyć*) Świstku, odwołuję się do ciebie!

ŚWISTEK (*jeśli trzeba, gotowy, by rzucić się w paszczę lwa*) Ja jestem Świstek i nikt się mną nie przejmuje, ale kto by się ośmielił źle zachować wobec Wendy, tego ostro pokiereszuję!

(*Wraca Piotruś*)

PIOTRUŚ (*ze straszliwym spokojem*) Wendy, rozkazałem wojownikom, żeby poprowadzili cię przez las, latanie tak cię przecież męczy. Potem Cynowy Dzwoneczek poprowadzi cię nad morzem. (*Piskliwe podzwanianie dochodzące z buduaru ma najpewniej oznaczać „I cię w nim utopi”.*)

PRZTYK (*dźgając palcem w kotarę, której nie wolno mu odsuwać*) Dzwonko, masz zabrać Wendy w podróż, słyszysz? (*Wytrzeszczając oczy*) Ona mówi, że nic z tego!

PIOTRUŚ (*postępując w stronę buduaru*) Dzwonko, jeśli nie wstaniesz i natychmiast się nie ubierzesz... O, już wstaje!

WENDY (*z drżeniem, bo oto nadszedł moment rozstania*) Moi kochani, gdybyście polecieci z mną, prawie na pewno udałoby mi się przekonać mamę i tatę, żeby was przygarnęli.
(*To zostaje przyjęte z ogólną radością – nie dlatego, że zależy im na rodzicach, ale dlatego, że są wyznawcami nowości*)

PRZTYK A czy nie pomyśla, że jest nas trochę za dużo?

WENDY (*podliczając szybko*) Och, nie! Będzie pewnie trzeba wstawić kilka łóżek do bawialni, ale zawsze można je zasłonić parawanem, kiedy przyjdą goście.
(*Wszystko zależy teraz od Piotrusia*)

WSZYSCY Piotrusiu, możemy lecieć?

PIOTRUŚ (*beztrosko znad fletni, której właśnie nadaje ostateczny kształt*) Czemu nie.
(*Rozbiegają się na wszystkie strony, żeby przebrać się odpowiednio do przygody*)

WENDY (*z naciskiem*) Piotrusiu, spakuj swoje rzeczy.

PIOTRUŚ (*pląsając wokół i grając na fletni melodię wrózek i elfów – jedyną, jaką zna*) Nie lecę z wami, Wendy.

WENDY Ależ lecisz, Piotrusiu!

PIOTRUŚ Nie.
(*Zgubieni chłopcy nadbiegają wesolo, każdy z nich trzyma tobolek zawieszony na kiju*)

WENDY Piotruś nie leci.
(*Zaskoczenie na wszystkich twarzach*)

JOHN (*nawet John!*) Piotruś nie leci!

PIOTRUŚ (*muzyka jego fletni robi się przenikliwsza niż zwykle*) Ja po prostu chcę być zawsze małym chłopcem i bawić się.
(*Panuje atmosfera ogólnego niepokoju, że być może popełniają największy błąd swojego życia*)

No już, już – bez dąsów i mazgajenia! (*Z okropnym cynizmem*) Mam nadzieję, że spodobają się wam wasze nowe matki. Dzwonko, jesteś gotowa? Jeśli tak, to w drogę!
(*Dzwonka jako jedyna mknie w górę wydrążonego pnia. W tym momencie na górze wybucha wrzawa, słychać wrzaski i zgrzyt stali. Chłopcy, chociaż nie mogą tego zobaczyć, wiedzą, że Hak i jego załoga napadli na Indian. Wszyscy otwierają usta i zamierają w błagalnej pozie, kierując wzrok na Piotrusia. On jako jedyny spośród nich stoi wyprostowany, w dłoni ściska szablę (tę samą, którą zgładził pirata Patelnię), a w oczach ma żądzę walki.*)

My tymczasem możemy obserwować rzeź, której nie widzą dzieci. Hak w podły sposób złamał dwa z indiańskich praw wojennych, a mianowicie to, które mówi, że Indianie atakują pierwsi, oraz to, że atak musi nastąpić o świcie. Wojownicy znali dokładnie pozycje bojowe piratów od momentu, kiedy wczesnym wieczorem bosmanowi Smee coś chrupnęło w krzyżu. Za indiańskimi zwiadowcami szeleszczące chruśniaki zamykały się tak cicho, jak piasek sypiący się za drążącym w ziemi kretem. Przez długie godziny naśladowali wycie samotnego kojota. Żadna z taktyk wojennych nie została zaniedbana, lecz – niestety! Wierzyli w prawość bladej twarzy, która nakaże im czekać z atakiem do świtu, gdy, jak wiadomo, białych opuszcza wszelka odwaga. I oto Hak napada ich nagle zniecka, tak, że aż trudno powstrzymać się od niechętnego podziwu dla umysłu, który wykoncypował tak misterny plan, oraz upadłego geniuszu, który przeprowadził go tak sprawnie. Gdyby wojownicy zerwali się z ziemi od razu, mieliby jeszcze szansę na skalpowanie, ale właśnie tego zakazuje im odwieczne prawo ich rasy, które jasno stanowi, że nie wolno im okazać zdziwienia w obecności bladej twarzy. Przez chwilę trwają więc w bezruchu, na spizowych twarzach nie drgnie ani jeden mięsień, jakby gdyby wróg zjawiał się na ich specjalne zaproszenie. I tak właśnie ginie kwiat wojowników z plemienia Pikaninów, lecz mężowie ci nie umierają niepomszczeni. Wraz z Wątlym Wilkiem pada Alf Mason i Robb Kanarek, a po nich gryzą ziemię Czarny Gilmour i Alan Herb, ten sam Herb, którego wciąż wspominają w Manaus, jak grał w kręgle z pierwszym oficerem Różgi, a stawką były ich własne głowy. Chay Turley, który śmiał się niewłaściwą stroną ust (bo innej nie miał) ginie pod tomahawkiem Pantery, który w

końcu razem z Tygrysią Lilią i niedobitkami plemienia wycina sobie drogę wśród całego zamieszania.

Wrzawa wojenna przechodzi i cichnie jak gwałtowny podmuch wichru. Zwycięzcy ocierają zakrwawione kordelasy i zerkają koso na swojego dowódcę. On tymczasem pozostaje niewzruszony, tak na ciele, jak na duchu. Daje im znak, żeby zjechali pod ziemię wydrążonymi pniami, przekonany, że Piotruś jest w domu – bo skoro wykurzył pszczoły, chce się teraz dobrać do miodu. W Piotrusiu tkwi bowiem coś takiego, co doprowadza tego nadzwyczajnego człeka do pasji – tym czymś jest chłopięca zarozumiałość, która kąsa Haka niczym insekt. Jeśli kiedyś widzieliście lwa w klatce, który na próżno usiłował pochwycić wróbelka, wiecie, o czym mówię. Piraci starają się wykonać polecenia kapitana, ale dziuple okazują się dla nich za małe. Nie pomagają nawet usiłowania Haka, by wtłoczyć ich do środka za pomocą kija. Hak podkrada się więc do otworu w jednym z drzew i nadstawia uszu)

PIOTRUŚ (*przedwcześnie*) Już po wszystkim!

WENDY Ale kto zwyciężył?

PIOTRUŚ Sza! Jeśli zwyciężyli Indianie, to zaraz zabrzmią ich wojenne bębny. Zawsze obwieszczają tak swoje zwycięstwo.

(Słyszac to, Hak oblizuje wargi i daje znak Smee, żeby podsunął mu bęben, na którym bosman dotychczas siedział, po czym uderza w niego swoim szponem i nasłuchuje odzewu)

ŚWISTEK Bębny!

PIOTRUŚ (*chowając miecz do pochwy*) Zwycięstwo Indian!

(Płynące z dołu wiwaty są jak miód na mroczne serca przyczajonych piratów)

Wendy, będziesz teraz całkiem bezpieczna. No, to do widzenia, chłopcy. *(Znowu zaczyna grać na swojej fletni)*

WENDY Piotrusiu, będziesz pamiętać, żeby zmieniać kalessony, prawda?

PIOTRUŚ Och, czemu nie!

WENDY A tutaj jest twój syrop.

(Nalewa jakiegoś płynu do muszli i kładzie ją na występie skalnym między dwoma drzewami. To tylko zwykła woda, ale odmierza ją w kropelkach)

PIOTRUŚ Będę pamiętał.

WENDY Piotrusiu, powiedz jeszcze, kim jesteś dla mnie?

PIOTRUŚ (*przez fletnię*) Twoim synkiem, Wendy.

WENDY Ach, więc do widzenia!

(Wędrowcy ruszają w drogę, nie domyślając się nawet, że Hak wydał tymczasem ciche rozkazy: przy każdej dziupli czai się pirat, a reszta załogi stanęła w szeregu między drzewami a małym domkiem. Gdy dzieci wychodzą na zewnątrz, zostają wyłuskane ze swoich dziupli i skrępowane, po czym piraci przerzucają je między sobą jak bele bawełny, aż w końcu w małym domku gromadzi się całkiem spory stosik chłopców. Tylko Wendy zostaje potraktowana inaczej – Hak podaje jej ramię i osobiście, z paskudną uprzejmością, eskortuje do małego domu. Teraz daje swoim psom znak do wymarszu – banda rozpoczyna wędrówkę przez knieję, unosząc ze sobą domek z jego osobliwą zawartością i śpiewając przy tym sprośną piracką szantę. Komin na dachu dymi spazmatycznie, niepewny tego, jak właściwie powinien się zachować.

Hak i Piotruś zostają teraz niejako sami na wyspie. Poniżej Piotruś leży na łóżku, pogrążony we śnie i całkowicie bezbronny; powyżej Hak, uzbrojony po zęby, bezszelestnie szuka pnia, którym mógłby zsunąć się pod ziemię wraz z całą swą niegodziwością. Ale nie przerażajcie się zbyt – dokładnie w ten sposób tę scenę zaplanowałby Piotruś. Prawdę rzekłszy, gdyby to wszystko było tylko na niby... Ale oto leży teraz z jedną ręką zwieszoną poza krawędź łóżka, nogę ma ugiętą w kolanie, a wargi nie aż tak zacisnięte, byśmy nie mogli dostrzec tych jego perełek. Śni mu się sen, w którym próbuje doścignąć pewnego chłopca – chłopca, którego nigdy nie było ani tutaj, ani nigdzie indziej; jedyne go chłopca, który potrafiłby go pokonać.

Hak znajduje odpowiedni pień. Okazuje się nim ten przeznaczony dla Świstka, który – ponieważ latem uzależniony jest od picia wody i mocno pęcznieje – potajemnie go trochę

poszerzył , by móc wygodnie wchodzić i wychodzić. Przez ten to właśnie pień pirat wwierca się do środka. W otworze pod ziemią pojawia się teraz jego twarz, która aż zielenieje na widok śpiącego dziecka. Czyż żaden płomyczek współczucia nie rozpala się w tej mrocznej piersi? Człek ów nie jest wszak do szczętu zły: w swojej kajucie trzyma „Tezaurus” i ponoć wielce udatnie improwizuje na flecie. Tak naprawdę rozsierdza go przekonanie, że z góry skazany jest na porażkę. I ma z tym pewnie coś wspólnego błogi uśmiech igrający na ustach uśpionego chłopca, którego zaklinowany w wydrążonym pniu Hak nie może osiągnąć. Dostrzega jednak muszlę z syropem, która znajduje się na wyciągnięcie ręki, więc do mikstury Wendy dolewa z flakonika pięć kropli trucizny wydestylowanej ze swoich własnych łez w chwili, w której plakały czerwone błyski w jego oczach. Z wyrazu twarzy Piotrusia można by sądzić, że dzieją się jakieś niebiańskie rzeczy. Hak wypelza z powrotem na powierzchnię, po czym – owijając się szczelnie płaszczem, jak gdyby chciał ukryć się przed nocą, której sam jest najmroczniejszą częścią – przekrada się ponuro w stronę laguny.

Obok niego przelatuje mały punkcik światła i mknie w dół najbliższego drzewa, w poszukiwaniu Piotrusia – tylko Piotrusia, bo co ją obchodzą inni, jeśli Piotruś jest bezpieczny)

PIOTRUŚ (przebudzając się) Kto tam? (Dzwonka zdaje mu teraz relację z wydarzeń w jednym długim i niegramatycznym zdaniu) Indianie pokonani? Chłopcy i Wendy porwani przez piratów? Uratuję ją, uratuję! (Chwyta swój sztylet i przyskakuje do kamienia szlifierskiego, żeby go naostrzyć. Dzwonka łąduje tuż obok muszli z syropem i podzwania ostrzegawczo) Och, to tylko mój syrop. Co? Zatruty? A kto mógłby go zatruć? Obiecałem Wendy, że go wypiję i zrobię to zaraz, jak tylko skończę ostrzyć sztylet. (Dzwonka widzi, że syrop zabarwiony jest na czerwono i rozpoznaje tę samą barwę, którą widziała w oczach Haka. Ze szlachetnym poświęceniem wypija lekarstwo, zanim Piotruś zdąży po nie sięgnąć) Ależ Dzwonko, czemu wypitaś mój syrop? (Dzwonka fruwa teraz po pokoju jakoś dziwnie i odpowiada mu tylko cichutkim brzęczeniem) Był zatruty, więc wypitaś go, żeby ocalić mi życie! Dzwonko, moja Dzwonko, czy ty umierasz? (Nigdy wcześniej nie nazywał ją „swoją Dzwonką”, więc wróżka przez chwilę jest szczęśliwa. Przysiada mu na ramieniu, pieścizotliwie gryzie w podbródek, szepce „Ty głupi osle”, po czym opada na swoje łóżko. Buduar zaczyna niepokojąco migotać. Piotruś klęczy teraz na ziemi i zagląda do środka)

Jej światełko robi się coraz słabsze, a jeśli zgaśnie, to znaczy, że umarła. Mówi teraz tak cicho, że ledwie mogą ją zrozumieć. Mówi... Mówi, że chyba mogłaby wyzdrowieć, gdyby dzieci uwierzyły we wróżki i elfy! (Piotruś zrywa się i wyciąga ręce, sam nie wie do kogo – być może do tych wszystkich chłopców i dziewczynek, z którymi nigdy nie będzie mieć nic wspólnego) Czy wierzycie we wróżki i elfy? Powiedzcie szybko, że tak! A jeśli wierzycie, zaklaszczcie! (Wiele dzieci klaszcze, niektóre nie, jeszcze inne posykują lekceważąco. Być może zaraz potem liczne Nany pędzą do pokoióv dziecinnych, żeby sprawdzić, co się tam u licha dzieje. Ale Dzwonka jest uratowana) Och, dziękuję, dziękuję, dziękuję wam! A teraz na ratunek Wendy!

(Dzwonka tymczasem jest już znowu harda i wesola jak świerszczyk, a o tych, którzy ją uratowali, nawet nie pomyśli. Piotruś wylatuje przez swoje drzewo jak wystrzelony z procy. „Tym razem Hak albo ja!” – rozbrzmiewa w jego głowie. Jest przerażająco szczęśliwy. Szybko wpada na trop, ponieważ dym z małego domku tu i tam się jeszcze utrzymał i teraz służy mu za przewodnika. Piotruś zrywa się do lotu)

AKT V

SCENA 1 STATEK PIRATÓW

Didaskalia do otwarcia sceny: 1. Reflekt. Bursztyn. na obwodzie zredukować do 80. Wszystkie Bursztyny na sztankietach zredukowane, 3 latarnie na statku zapalone. Łuki: rampa górna nad suflerem poz. 1. Otworzyć ciemny Bursztyn dla oświetlenia tyłu, naprzec. sufl. rampa górna – otworzyć ciemny Bursztyn dla oświetlenia górnego pokładu. Łuki skierowane na wysokie schodki na tyłach kajuty doświetlają prospekt. Otworzyć ciemny Bursztyn. Uwaga na obsunięcia. Deska za burtą w gotowości. Wezwać Haka.

W tak opisanym przedziwnym świetle widzimy to, co dzieje się na pokładzie Wesołego Rogera, który, przysiadłszy cicho na falach, powiewa czarną banderą z czaszką i skrzyżowanymi puszczelami. Nie ma potrzeby wzywać Haka, bo on już tu jest i zaiste, na całym statku nie ma takiego, który odważyłby się go zawezwać. Zresztą większość załogi oddaje się właśnie hulankom pod pokładem, a na rufie wydać tylko Mullinsa, który – z lunetą w dłoni, odziany w swoje palto, jedyne takie na całym okręcie – przeczesuje wzrokiem monstrialne skały, które mającą u wyjścia z laguny. Takie środki ostrożności są całkowicie zbędne, gdyż piracki okręt płynie przez nikogo nieniekoszony w budzącej grozę glorii własnego imienia.

Z kajuty Haka na tyłach wychodzi Starkey, który teraz przechyla się przez nadburcie i w milczeniu spogląda w posępną głębię. Ma odkrytą głowę i być może rozmyśla właśnie z goryczą o swoim kapeluszu, który czasami widuje, jak unosi się na falach z usadowionym weń Nigdyptakiem. Na pokładzie śpi czarnoskóry pirat, który nawet przez sen usuwa się odruchowo z drogi Haka, gdy ten się doń zbliża. W ciszy słychać jedynie terkotanie maszyny do szycia bosmana Smea, które przydaje nocnej scenie posmaku domowości.

Hak tymczasem już to podpira maszt, już to wałęsa się po pokładzie, cały czas z podwójnym cygarem w ustach. My, którzy dobrze wiemy, jak wielkiej pychy przybytkiem bywa człowiek, nie zdziwilibyśmy się może, widząc go pyszniącego się swoim triumfem, teraz, gdy raz na zawsze udało mu się usunąć z swej drogi Piotrusia Pana – niczego takiego jednak nie dostrzegamy. Haka dręczy nadal jakiś niepokój, który każe mu rzucać długie, puste spojrzenia na znajome przedmioty – na dzwon okrętowy czy błyszczącą lufę Długiego Toma – jak ktoś, komu już niedługo dane będzie je oglądać. Jest tak, jak gdyby straszliwa przysięga Piotrusia „Tym razem Hak albo ja!” zdążyła się już zaokrętować na pirackim statku.

HAK (*zwracając się do własnego ja*) O, jakże cicha jest noc i zdaje się, że życia w niej nie masz. Teraz wybija godzina, gdy dzieci w swoich łóżkach śpią snem spokojnym – ich usteczka luskają brunatnie, umazane dobranocną czekoladą, a języki wysuwają się sennie w poszukiwaniu słodkich okruszków przyklejonych do błyszczących policzków. Weźże teraz i porównaj je z dziećmi na tym statku, które za chwilę strącone zostaną za burtę. Niech mnie odmienny bezokolicznik świśnie, jeśli to nie jest właśnie godzina mego triumfu! (*Czepiając się tej myśli, zaczyna tańczyć z entuzjazmem, ale jego występ wypada gorzej niż zwykle*) A jednak, jakiś przekorny duch każe mi już teraz wygłosić moją mowę pożegnalną, na wypadek gdyby w trakcie umierania miało nie starczyć na nią czasu. Choć

bowiem zazdrozczą mi wszyscy śmiertelni, lepiej byłoby przecie dla Haka, gdyby serce jego nie było tak ambitnym. O, sławo, sławo! Tyś mydlną bańką blichtrzem pokrytą – cóż, jeśli nawet... (*Smee, pochłonięty szyciem na maszynie, oddziera kawalek perkalu, a odgłos darcia sprawia, że Samotna Postać sądzi przez chwilę, iż to jej odzienie spotkał jakiś nagły wypadek*) Nie kocha mnie żadne małe dziecko. Mówiono mi, że kiedy dzieci bawią się w Piotrusia Pana, najsilniejsze z nich zawsze chce być Piotrusiem. Wolą być nawet Bliźniakiem – byle tylko nie Hakiem! W końcu zmuszają do tej roli niemowlaka. Niemowlaka! W tym miejscu tkwi zgorzel, tu zżera mnie rak! (*W zamysleniu przygląda się pracowitemu bosmanowi*) Chodzą słuchy, że uważają Smee za słodkiego. Nie minęła godzina od chwili, gdy widziałem go, jak pozwala najmłodszemu dziecku przymierzyć swoje okulary. Żałosny Smee, bogobojny pirat, którego twarz jaśnieje radosnym uśmiechem, bo myśli, że dzieci się go boją. I jak ja mam mu teraz powiedzieć, że nazywają go słodkim? Nie, do kroćsetwęglanu sodu, nie i jeszcze raz nie, nawet jeśli... (*Odgłos dartej tkaniny ponownie odwraca jego uwagę, po czym następuje krótka narada ze Starkeyem, który najwidoczniej upewnia go, że wszystko jest w porządku. Finisz oracji przepadł jednak na wieki, bo w tym momencie dzwon okrętowy bije osiem razy na zmianę warty, a spod pokładu w orgiastycznym korowodzie wynurza się reszta załogi. Hak z rufy przygląda się ich harcom, dopóki ów widok nie przyprawia go o krańcowe przygnębienie*) Milczeć, wy psy jedne, bo cisnę w was kotwicą! (*Schodzi na dolny pokład i staje przy bezce, na której rozłożone są karty do gry, a jego załoga, jak zawsze w postawie zbitych kundli, zastyga w oczekiwaniu*) Czy wszyscy więźniowie zostali porządnie skuci, żeby nie mogli odfrunąć?

JUKES Ay, ay, Kapitanie.

HAK To dawać ich tutaj.

STARKEY (*podnosząc pokrywę wjazdu ładowni*) Wytaczać się, wy szczury ładowe.

(*Przerażeni chłopcy toczą się po pokładzie wśród kuksańców i poszturchiwań. Hak zdaje się o nich nie pamiętać – nadal siedzi przy bezce do gry w karty*)

HAK (*zniechęca*) No! Więc sześcioro z was, bratki, ląduje dziś za burtą, ale w kajutach mam jeszcze wolne koje dla dwóch chłopców okrętowych. Którzy chcą zostać? (*Wraca do tasowania kart*)

ŚWISTEK (*licząc, że ugłaska pirata, zwalając winę na kogoś, kogo ledwie pamięta, ale kto zawsze był skory do przyjmowania na siebie wszystkich ciosów*) Bo widzi pan, myślę, że moja mama by nie chciała, żebym został piratem. Nieco, czy twoja mama by chciała, żebyś był piratem?

NIECO Raczej nie. Bliźniaku, a czy twoja mama...

HAK Dość tych bzdur. (*Zwracając się do Johna*) No chłopcze, ty mi wyglądasz na takiego, co ma trochę ikry. Czyżbyś nigdy nie marzył o karierze pirata, cny kamracie?

JOHN (*oszołomiony tym wyróżnieniem*) Czasem, jak byłem w szkole, to... Michael, co o tym myślisz?

MICHAEL (*występując z szeregu*) A jakie bym dostał imię, gdybym się zaciągnął?

HAK Czarnobrody Joe.

MICHAEL John, co o tym myślisz?

JOHN Chwilunia. A czy nadal bylibyśmy wiernymi poddanymi króla Jerzego?

HAK Musielibyście zakląć „Do diabła z królem Jerzym”.

JOHN (*uroczyście*) A zatem odmawiam.

MICHAEL No to ja też.

HAK Więc przypieczętowaliście swój los. Przeprowadzić ich matkę.

(*Wendy zostaje wyciągnięta z ładowni i pchnięta w stronę Haka. Na pierwszy rzut oka dostrzega, że pokład od lat nie widział szczotki*)

A więc, moja śliczna, za chwilę ujrzysz, jak twoje dzieci lecą za burtę.

WENDY (*z dostojnym spokojem*) Czy mają umrzeć?

HAK I owszem. Wszyscy cisza, matka przemówi teraz po raz ostatni do swoich dzieci.

WENDY Oto moje ostatnie słowa. Kochani chłopcy, wydaje mi się, że powinnam wam przekazać wiadomość od waszych prawdziwych matek. Brzmi ona: „Mamy nadzieję, że nasi synowie zginą jak na angielskich dżentelmenów przystało”.

(Chłopcy zapalają się do tej wizji)

ŚWISTEK Ja zamierzam spełnić nadzieje mojej matki. A ty, Bliźniaku, co zamierzasz?

PIERWSZY BLIŹNIAK Spełnić nadzieje mojej matki. A ty, John, co...

HAK Przywiązać ją. I przygotować deskę.

(Wendy zostaje przywiązana do masztu, ale nikt na nią nie zważa, bo oczy wszystkich zwrócone są teraz w kierunku deski sterczącej z rufy ponad burtą. Jednak w czasie, w którym Hak podnosi szpon, by wskazać na owo śmiercionośne narzędzie, na statku zachodzi gwałtowna zmiana. Teraz nikt już nie patrzy na deskę – z boku daje się bowiem słyszeć ciche tik-tak krokodyla. To nie ku niemu kierują się jednak spojrzenia, bez wyjątku utkwione teraz w osobie Haka. Zarówno ofiary, jak i oprawcy, stoją w całkowitym bezruchu, jak aktorzy dramatu, postawieni nagle na scenie w momencie, który ich zupełnie nie dotyczy. Nawet żelazny szpon zwiśł bezwładnie, jak gdyby świadom, że nie o niego tu idzie. Wprawdzie to nie przywiązanie do kapitana – który teraz kuli się za czymś i znika nam z oczu – dało Hakowi władzę nad jego załogą, lecz w miarę jak tykanie się przybliża, piraci z szacunkiem zamykają oczy.

Nie ma żadnego krokodyla. To Piotruś, który okrąża w locie statek, tykając przy tym o niebo lepiej niż jakikolwiek prawdziwy zegarek. Piotruś opada do wody, po czym wspina się po burcie na pokład i, wznosząc ostrzegawczo palec (ale nie przerywając tykania), daje więźniom znak, by powstrzymali się od wszelkich słyszalnych wyrazów oczywistego uznania. Zauważa go tylko jeden pirat, Whibbles Jedno Oko, który wyszedł właśnie spod pokładu. W tym momencie jednak John zatyka mu usta, by stłumić jego okrzyk, czterech chłopców podtrzymuje, by zapobiec upadkowi, a Piotruś zadaje cios, po czym zwłoki zostają wyrzucone za burtę. „Raz!” mówi Nieco, rozpoczynając odliczanie.

Starkey jako pierwszy otwiera oczy. Statek zdaje się wyglądać dokładnie tak, jak wyglądał w momencie, gdy je zamykał. Nie dostrzega iskierek w oczach więźniów, którzy rozsądnie udają okropnie przestraszonych. Nie domyśla się też wcale, że drzwi mrocznej kajuty zamknęły się właśnie za jeszcze jednym chłopcem. Mówiąc prawdę, Starkey rozgląda się tylko za Hakiem i jest lekko zaskoczony tym, że go widzi)

STARKEY *(ochryple)* Już sobie poszedł, Kapitanie! Nic nie słychać.

(Cielesna powłoka, która jest Hakiem, gwałtownie łapie oddech i przychodzi do siebie)

HAK *(który zaczyna wierzyć, że czuwa nad nim jakiś duch opiekuńczy)* A więc dalejże z nimi na Kamrata Deskę!

Na deku klar, angielski bryg
Pośtali my raz na dno:
Załoga zaś – zgadnijcie, co?! –
Po desce się przeszła w mig!

(Śpiewając tę piosenkę, Hak podskakuje obrzydliwie na wymyślonej desce, a jego papugi go naśladują, przyłączając się do refrenu)

Jo ho ho, deska to na schwał,
Bo krocysz po niej jak szach.
Aż nagle hop! I bęc! I bach:
I wnet porywa cię szkwał!

(Dzielne dzieci, próbując przerwać to upiorne wycie, zaczynają śpiewać hymn narodowy)

STARKEY *(blednąc)* To mi się nie podoba, brachy!

HAK Przymknij się, Starkey! A wy, chłopcy, chcecie, żeby na drogę połaskotał was po plecach kot o dziewięciu ogonach? *(Od kiedy uwierzył, że jego życia strzeże jakaś siła wyższa, jest bardziej bezlitosny niż kiedykolwiek)* Jukes, przynieś kota. Jest w kajucie.

JUKES Ay, ay, sir. *(To typowa odpowiedź Jukesa, która została tu upamiętniona tylko dlatego, że ów nie wypowie jej już nigdy więcej. Didaskalia „Jukes wychodzi” mają w tym*

wypadku szczególny sens. Ale jak na razie tylko dzieci wiedzą, że w kajucie ktoś oczekuje na nieszczęśnika; Hak miażdży ich natomiast kolejną zwrotką swojej pioseneczki:)

Jo ho ho, nasz drapiący kot
Ogonów ma sześć plus trzy:
A kiedy ci ozdobią grzbiet
Nadasz się tylko na —

To ostatnie słowo już na zawsze pozostanie dla nas tajemnicą, bo w tym momencie z mrocznej kajuty dobiega mrożący krew w żyłach wrzask, który przetacza się po pokładzie i po chwili zamiera. Następnie rozlega się dźwięk w danych okolicznościach jeszcze bardziej upiorny, który można porównać tylko z pianiem koguta)

HAK Co to było?

NIECO (z pełną powagą) Dwa!

(Cecco wślizguje się do kajuty i po chwili wraca bladym ze strachu)

HAK (z wysiłkiem) Co tam słyhać z Billem Jukesem, psie ty jeden?

CECCO Słyhać z nim to, że jest martwy, zakłuty na śmierć.

PIRACI Bill Jukes martwy!

HAK (cedząc słowa) Cecco, wracaj tam i wyciągnij tu tego kogutka.

CECCO (rozstrojony) Nie, Kapitanie, mowy nie ma. *(Pada na kolana, lecz jego pan zbliża się ku niemu nieubłagane)*

HAK (swoim najbardziej przesłodzonym głosem) Mówiłeś, że pójdziesz, czy się przesłyszałem, Cecco?

(Cecco idzie. Wszyscy nasłuchują. Najpierw wrzask. Potem pianie)

NIECO (jakby był bijącym dzwonem) Trzy!

HAK Na lite buchty, kto mi tu przyprowadzi tego kogutka?

(Nikt się nie zgłasza)

STARKEY (bezmyslnie) Poczekajmy, aż wróci Cecco.

(Mroczne spojrzenia kamratów dodają mu odwagi)

HAK Starkey, czyżbym słyshał, że zgłaszasz się na ochotnika?

STARKEY (z emfazą) Ależ nie, do diaska!

HAK (znów tym przesłodzonym tonem, który byłby z pewnością bardziej ujmujący przy akompaniamencie fletu) Mój hak uważa, że jednak się zgłaszasz. Tak sobie myślę, Starkey, że może lepiej byłoby mu się tym razem nie sprzeciwiać, co?

STARKEY Prędeż zadyndam, niż wejść do kajuty.

HAK (promieniejąc) Czy to bunt? Czyżbyś był prowodyrem? Dawaj łapę, Starkey.

(Starkey cofa się przed żelaznym szponem. Ten podąża za nim dopóty, dopóki pirat nie wypada za burtę)

Czy jeszcze któryś z dżentelmenów życzy się zbuntować?

(Piraci dają do zrozumienia, że nigdy nawet nie słysheli o świętej pamięci Starkeyu)

NIECO Cztery!

HAK Sam wyciągnę tego kogutka.

(Dobrywa garłacza, po chwili jednak odrzuca go z groźnym gestem, który ma oznaczać, że bardziej ufa swojemu szponowi. Z zapaloną latarnią wchodzi do kajuty. Na statku panuje cisza jak makiem zasiał – nie słyhać absolutnie nic, prócz może tego, jak Nieco oblizuje sobie wargi, szykując się do wymówienia słowa „Pięć”. Po chwili Hak wychodzi z kajuty chwiejnym krokiem)

HAK (niepewnie) Coś zdmuchnęło płomień latarni.

MULLINS (złowieszczo) Coś – czy ktoś?

NOODLER A Cecco? Co z nim?

HAK Martwy, tak samo jak Jukes.

(Są przesądni, jak wszyscy marynarze, a Mullins zasiał w ich umysłach przerażające podejrzenie)

COOKSON Powiadają, że okręt jak amen w pacierzu przeklęty, jeśli na pokładzie jest taki, co się go nie idzie doliczyć.

NOODLER Ja słyszałem, że on w końcu zawsze się okrętuje na pirackiej krypie. *(Ze śmiertelną powagą)* Czy miał ogon, Kapitanie?

MULLINS Powiadają też, że kiedy się zjawia, przybiera postać największego łajdaka z tych, co już są na deku.

COOKSON *(przesądzając sprawę)* Czy miał hak, Kapitanie?
(Dobrywają noży i pistoletów, rozlega się gromadny okrzyk „Łajba jest przeklęta!”. Ale Jak. Hak nie z tych, co to się lękają swoich psów. Słyszac coś jakby wiwat dochodzący od strony chłopców, odwraca się gwałtownie, a wyraz jego twarzy sprawia, że dzieci padają na kolana)

HAK A więc świetnie się bawicie, co? Na Waleriusza Flakkusza, mam pomysł, bratki: otworzymy drzwi kajuty i wpędźmy tam tych chłopców. Niech walczą z kogutkiem o życie. Jeśli go zabiją, tym lepiej, a jeśli on zabije ich, to też nic na tym nie tracimy. *(To mistrzowskie posunięcie przywraca piratom pewność siebie: chłopcy, którzy udają przerażenie, zostają wpędzeni do kajuty. Załoga to zbieranina samych straceńców, ale ponieważ kilku z nich też kiedyś było dziećmi, wszyscy odwracają się teraz plecami do drzwi kajuty, nasłuchując i wyciągając ręce do tyłu, jakby chcieli się odgrodzić od rozgrywającej się tam makabry.*
Tymczasem chłopcy, wyswobodzeni przez Piotrusia z kajdan i uzbrojeni w co tylko wpadło im w ręce, sypią się na pokład cichutko jak płatki śniegu, po czym, kierując się szeptanymi rozkazami swojego kapitana, wynajdują sobie kryjówki na rufie. Piotruś uwalnia Wendy. Teraz wszyscy mogliby po prostu odlecieć, gdyby nie to, że tym razem ma być Hak, albo on. Piotruś daje znak Wendy, żeby dołączyła do pozostałych, po czym z przerażająco ponurą miną owija się jej peleryną, nasuwa kaptur na oczy, zajmuje jej miejsce przy maszcie i pieje jak kogut)

MULLINS Kogutek wszystkich wykończył!

KILKU Łajba jest zaczarowana.
(Zaczynają znowu warczeć na Haka)

HAK Przemyslałem to wszystko, chłopcy. Mamy na statku jakiegoś Jonasza.

KILKU *(zbliżając się do niego)* Ay, i jest nim człek z hakiem.
(Gdyby cofnął się chociaż o krok, natychmiast zatopiliby w nim ostrza swych noży, ale on nawet nie drgnie)

HAK *(grając na zwłokę)* Nie, chłopcy, nie. To ta dziewczyna. Baba na krypie to diabli balast, wiecie, co o tym mówią. Statek będzie jak nowy, kiedy się jej pozbędziemy.

MULLINS *(opuszczając kordelas)* Zawsze można spróbować.

HAK Wyrzucić dziewczynę za burtę!

MULLINS *(szyderczo)* No i kto ci teraz pomoże, pannico?

PIOTRUŚ Jest taki jeden.

MULLINS Kto zacz?

PIOTRUŚ *(odrzucając pelerynę)* Piotruś Pan mściciel!
(Stoi nadal przy maszcie, żeby zrobić na nich głębsze wrażenie)

HAK *(rzucając propozycję)* Może przebijemy mu mostek i przytwierdzimy go do masztu?
(Gdzieś na samym dnie gnębi go jednak przeczucie, że ten chłopiec nie ma mostka)

NOODLER Łajba jest przeklęta!

PIOTRUŚ Dalej na nich, chłopcy!
(Chłopcy wyskakują ze swoich kryjówek i po całym statku niesie się szcęk broni. W starciu jeden na jednego piraci byłiby silniejsi, ale ten nagły szturm wytrącił ich zupełnie z równowagi, tak, że rozproszyli się po pokładzie, co pozwala chłopcom polować w parach, wyszukując sobie odpowiednią zwierzynę. Część piratów zostaje wyrzucona za burtę i ginie w odmętach, reszta zostaje wyciągnięta z różnych mrocznych zakamarków statku. Wśród chłopców nie ma takiego, którego broń nie dymiłaby od krwi – tylko Nieco nie walczy i biega wszędzie z latarnią, licząc, ciagle licząc)

WENDY *(natykając się na Michaela w momencie chwilowego uspokojenia)* Och, Michael, zostań tu ze mną i broń mnie!

MICHAEL *(pląsając wesoło)* Wendy, zabiłem pirata!

WENDY To straszne, straszne!

MICHAEL Wcale nie! Podoba mi się, podoba!

(Rzuca się w grono chłopców, którzy otaczają Haka. Raz po raz próbują się do niego zbliżyć, ale on za każdym razem wyrąbuje sobie wśród nich wolną przestrzeń)

HAK Cofnąć się, szcurki! Oto Hak – podoba wam się? *(Unosi w górę Michaela zawieszzonego na haku i zasłania się nim jak puklerzem. Nagle odzywa się jakiś straszliwy głos)*

PIOTRUŚ Precz z bronią, chłopcy. On do mnie należy.

(Hak strząsa Michaela ze szponu, jak gdyby był kroplą wody. Teraz dwóch głównych przeciwników staje nareszcie twarzą w twarz i gotuje się do ostatecznego boju. Obaj wyciągają szable na długość ramienia, wywijają nimi młyńca, a następnie wbijają ostrza w deski pokładu i opierają dłonie na rękojeściach)

HAK *(krzywiąc wargi)* A zatem, Piotrze Panie, to wszystko twoja sprawka!

PIOTRUŚ Ay-ay, Jak. Haku, wszystko to moja sprawka.

HAK Butny i zuchwały młodziku, gotuj się na śmierć!

PIOTRUŚ Cłecze mroczny i grzeszny, sam się gotuj!

(Są i tacy, którzy powiadają, że Piotruś musiał najpierw skonsultować się ze Świsikiem, czy właściwym słowem będzie tutaj „grzeszny” czy „greczny”).

Tym razem Hak albo Piotruś! Obaj przyskakują do siebie bez dalszego trwonienia słów. Piotruś jest szermierzem pierwszej wody i paruje ciosy z oszalamiającą szybkością, czasem nawet jeszcze zanim przeciwnik zdąży je zadać. Hak nie jest może tak lotny w obracaniu ostrzem, ma za to z jard czy dwa przewagi w zasięgu – jednak choć nacierają na siebie bez ustanku, nie może jakoś ugodzić swoim szponem, który co rusz zdaje się trafiać w pustkę. Co jakiś czas, szczególnie w momentach najbardziej zażartej walki, Hak przestaje wyraźnie widzieć Piotrusia, i teraz jego oczom – zamglonym, lecz tak naprawdę po raz pierwszy otwartym i pozbawionym huski – jawi się on nie tyle jako chłopiec, ile raczej jako drobny pyłek tańczący w słońcu. Jakimś niepojętym sposobem szabla Haka wysuwa się z jego dłoni, a kiedy pirat pochyla się, żeby ją podnieść, ostrze przydeptywa dziecięcą stópkę. Na ciele Haka nie ma żadnej głębokiej rany, ale cierpi on katusze jakby od tysięcy ukłuć)

CHŁOPCY *(w euforii)* Teraz, Piotrusiu, teraz!

(Piotruś podnosi szablę Haka za ostrze i – skłaniając głowę z ruchem, który jest tylko odrobinę przesadzony – podsuwa jej rękojeść wrogowi)

HAK Walczy ze mną chyba jakiś szatan! Piotrze Panie, kim i czym-że jesteś?

(Dzieci w napięciu czekają na odpowiedź, a żadne z nich nie czeka tak niecierpliwie, jak Wendy)

PIOTRUŚ *(na chybił trafił)* Jestem młodością, jestem radością, jestem ptaszkiem, co się wykluł z jajka.

HAK Dalejże znowu, walcz!

(Ogarnia go teraz duszne przekonanie, że ten chłopiec będzie mieczem, który zgladzi go z krainy żyjących, jego wielki umysł nie poddaje się jednak i Hak – wierny tradycjom swojej bandery – młóci powietrze niczym człowiek-cep. Piotruś fruwa wokół, wskroś i wspank tych młyńców, jak gdyby towarzyszące im podmuchy wywiewały go poza strefę zagrożenia, przy czym co chwilę rzuca się w ów wir i kłuje ostrzem swojej szabli)

HAK *(przywiedziony do szaleństwa)* Wysadzę prochnię! *(Znika nie wiadomo gdzie)*

DZIECI Piotrusiu, ratuj nas!

(Piotruś, na nieszczęście, leci w złym kierunku i w tym czasie Hak powraca)

HAK *(sadowiąc się na ładowni z ponurą satysfakcją)* Za dwie minuty łajba wyleci w powietrze.

(Dzieci padają przed nim na kolana i wołają błagalnie)

DZIECI Litości, litości!

HAK Precz, ty skrzeku śliniacy się z wrzaskiem! Zaraz ci wskażę drogę do prochów mogiły. Zagłada dzieci, tak, w tym koncepcie jest pewna wielkość!

(Piotruś powraca z dymiącą bombą i wyrzuca ją za burtę. Hak, który tak naprawdę nie robił sobie wielkich nadziei, szarżuje teraz na resztę swoich prześladowców z opuszczoną głową, jak podrażniony do ostateczności byk na corridzie. Lecz oni drocą się z nim tylko i wśród wesółych okrzyków umykają mu z łatwością, fruując pośród takielunku.)

Ale gdzie jest Piotruś? Ten nadzwyczajny chłopiec zapomniał najwyraźniej o całej sprawie, przysiadł bowiem na beczce i gra na swojej fletni. To może zdumiewać innych, ale nie jest w stanie zaskoczyć Haka. Unosi garłacz i pali z niego rozpaczliwie, ale nie do chłopca, tylko do beczki, która, popchnięta kulą, przelatuje przez cały pokład. Ale Piotruś siedzi nadal w powietrzu, grając ciągle na fletni. Na ten widok pęka męzne serce Haka: człek ów, niepozbawiony całkiem heroizmu, wspina się na nadburcie i mrucząc pod nosem zawołanie swojej dawnej szkoły, „Floreat Etona”, rzuca się w morze, gdzie czeka już krokodyl z rozdziawioną paszczą. Hak wie, jakie są zamiary tej ziejącej czeluści, jednak po tym, co przeszedł przed chwilą, wstępuje w nią tak, jak gdyby witał starego przyjaciela.

Kurtyna się unosi i widzimy Piotrusia jako Napoleona na swoim statku. Lepiej jednak, żeby już więcej się nie podnosiła, bo jeszcze byśmy zobaczyli, jak Piotruś przechadza się po rufie w kapeluszu Haka, z jego cygarami w ustach i żelaznym haczykiem zamiast ręki)

SCENA 2

POKÓJ DZIECINNY I KORONY DRZEW

Naszym oczom ukazuje się ta sama sypialnia dzieci, którą widzieliśmy na początku sztuki – nic się tu nie zmieniło, prócz może tego, że nigdzie nie widać psiej budy, a okno jest otwarte na oścież. A zatem Piotruś mylił się jednak co do matek; prawdę powiedziawszy, nie sądzę, żeby na jakikolwiek inny temat mógł się mylić bardziej.

Pani Darling drzemie na krześle w pobliżu okna, znużona ciągłym przepatrywaniem firmamentu. Nana leży na podłodze, pogrążona w apatii. Jej wrodzony cynizm sprawia, że spogląda na wiszące przed kominkiem sztuki dziecięcej odzieży – które rozwiesza nadal z przyzwyczajenia – nie z nadzieją, lecz z pogardą dla samej siebie.

PANI DARLING (*budząc się gwałtownie, jak gdybyśmy szepnęli jej na ucho, że jej trzy male niecnoty są już w drodze do domu*) Wendy, John, Michael! (*Nana ze współczuciem kładzie jej łapę na kolanach*) Och, Nano, widzę, że rozwiesiłaś ich ubranka przed kominkiem. Tak mnie to wzrusza, że nadal robisz to codziennie wieczorem. Ale oni nigdy już do nas nie wrócą.

(*Nieszczęście zacierá różnice w pozycjach społecznych, więc wcale nas nie dziwi, że obie używają tej samej chusteczki do nosa. Wchodzi Liza, która w ostatnich czasach, gdy pani Darling trzyma domowe stery jeszcze łagodniej niż kiedyś, poczyna sobie nieco bardziej po pańsku*)

LIZA (*w poczuciu, że to obwieszczenie jej uwłacza*) Dla Nany podano do stołu.

(*Nana, która świetnie zdaje sobie sprawę z uczuć Lizy, wychodzi do jadalni z powolnym dostojeństwem, a nie biegiem, jak zrobilibyśmy my wszyscy, gdybyśmy tylko dali posłuch naszym instyktom*)

LIZA I pomyśleć, że mój pan zamienił się miejscami ze swoim psem!

PANI DARLING (*łagodnie*) Lizo, to przez wyrzuty sumienia.

LIZA (*z pewnością przesadzając*) Też jestem mężatką, a nie widzi mi się to przyzwoite, żeby jeździć do pracy w psiej budzie, z ulicznikami, co to biegną za dorożką i pokrzykują. (*Nawet to nie skłania jej pani do wstania, co mogło być przecież szlachetnym zamiarem Lizy*) No tak, właśnie zajechała dorożka i przywiozła pana z pracy! (*Z ulicy dobiegają pełne zainteresowania wiwaty; przy ich wtórze buda zostaje wniesiona na swoje dawne miejsce przez dorożkarza i jego pomocnika, po czym pan Darling wyczołguje się z wnętrza, ubrany jak do biura*)

PAN DARLING (*podając Lizie kapelusz wyniosłym gestem*) Lizo, gdybyś była tak uprzejma. (*Znów słyhać wiwaty*) Nie powiem, to całkiem satysfakcjonujące.

LIZA (*pogardliwie*) Hordy małych chłopców.

PAN DARLING (*ze słodyczą osoby, która obiecała nigdy więcej nie stracić nad sobą panowania*) Dzisiaj było też kilku dorosłych.

(Liza wychodzi, zabierając kapelusz i okazując ogólną pogardę, za nią podąża dorożkarz i jego pomocnik. Pan Darling nie robi jednak służącej wymówek. Teraz powinien wzruszyć nas wyraz pokornej wdzięczności, z jaką przyjmuje pocałunek swojej żony, wiedząc, że wcale nań nie zasłużył. Można oczywiście uważać, że cały pomysł z budą nie jest zbyt szczęśliwy, ale zmartwienie nauczyło pana Darlinga, że zalicza się do tego rodzaju ludzi, którzy – jeśli już okazują skruchę – muszą to robić do przesady, bo w przeciwnym razie nie zrobią tego wcale)

PANI DARLING *(która wie o tym od dawna)* Jak ci dziś minął dzień, George?

(On siedzi tymczasem na podłodze obok psiej budy)

PAN DARLING Za dorożką biegła dziś przynajmniej setka wiwatujących, a kiedy przejeżdżaliśmy obok giełdy, maklerzy wyszli na zewnątrz, żeby nam pomachać.

(Jest uradowany, ale jednocześnie niepewny siebie i jedno jej słowo mogłoby całkowicie zgasić jego zapał)

PANI DARLING *(dzielnie)* Jestem z ciebie taka dumna, George.

PAN DARLING *(ta pochwała, płynąca z najukochańszych ust, uderza mu do głowy)* I umieścili moje zdjęcie na pocztówkach!

PANI DARLING *(wspaniałomyślnie)* Niemożliwe!

PAN DARLING *(nieopatrznie)* Och, Mary, gdyby dzieci nie uciekły, nigdy byśmy się nie stali tacy sławni!

PANI DARLING *(przestraszona)* George, jesteś pewien, że się tym nie napawasz?

PAN DARLING *(zaniepokojony)* Napawam? Przecież życie w tej budzie to kara za moje grzechy!

PANI DARLING Wybacz mi, kochanie.

PAN DARLING To ja potrzebuję przebaczenia – zawsze ja, nie ty. Ale teraz nagle poczułem się senny. *(Wchodzi do budy)* Czy nie zagrałabyś mi jakiejś kotysanki na pianinie? I zamknij okno, Mary, bo mi tu wieje.

PANI DARLING Och, George, tego nie zrobię i nigdy więcej mnie o to nie pros. Okno musi być dla nich zawsze otwarte, zawsze!

(Wychodzi do pokoju dziennego, z którego po chwili zaczynają dobiegać dźwięki melodii o pięknej Margaret. Pani Darling nawet się nie domyśla, że jej ostatnie słowa zostały podслuchane przez pewnego chłopca zaczajonego tuż przy oknie, który teraz wślizguje się do pokoju; za nim podąża świetlista piłeczka)

PIOTRUŚ Dzwonko, gdzie jesteś? Szybko, zamknij okno. *(Okno się zamyka)* A teraz spuść kratę. *(Krata opada z trzaskiem)* Kiedy Wendy przyleci, pomyśli, że jej mama jej nie chce i będzie musiała wrócić za mną! *(Dzwonka się dąsa)* No dobrze, Dzwonko, będziemy musieli wydostać się drzwiami. *(Jednak tych, którzy przyzwyczajeni są do korzystania z okien, drzwi mogą wprawić w pewne zakłopotanie, i kiedy Piotruś je otwiera, jest bardzo zdziwiony, że nie prowadzą na wolną przestrzeń. Otwiera kolejne drzwi i jego oczom ukazuje się postać siedząca przy pianinie)* To matka Wendy! *(Dzwonka przysiadła mu na ramieniu i razem zerkają do pokoju)* Nawet ładna z niej pani, ale nie taka ładna, jak moja mama. *(To oczywiście czyste domysły)* Ona robi, żeby to pudło śpiewało „Wróć, Wendy, wróć”. Nic z tego, proszę pani, już nigdy nie zobaczysz Wendy, bo kratka w oknie jest zatrzaśnięta! *(Fruwa po pokoju wesoło jak ptaszek, ale ostatecznie znów wraca do drzwi)* Teraz położyła głowę na pudle. A na jej policzkach widać coś mokrego. *(Słychać, jak pani Darling szepce „Wendy, Wendy, Wendy”)* Ta pani chce, żebym otworzył okno! Nic z tego! Ona strasznie lubi Wendy. Ale ja też ją lubię. I nie możemy jej mieć jednocześnie! *(Ogarnia go śmieszne uczucie)* Chodź, Dzwonko. Wcale nam nie trzeba do szczęścia tych głupich matek.

(Otwiera okno i wylatuje przez nie razem w wróżkę.)

I w ten oto sposób mali wagarowicze, którzy lądują teraz na parapecie, zastają drogę do domu stojącą otworem; John, trzeba mu oddać sprawiedliwość, niesie zmęczonego Michaela na barana. Ale to jedyne, co można powiedzieć na ich usprawiedliwienie: nie ma w nich bowiem ani cienia skruchy, nawet odrobinki strachu, że może ich oczekiwać zasłużone lanie. Najmłodszy jest oszołomiony, ale pozostała dwójka jaśniej zadowolonym, jak para świętych, którzy mają właśnie zamiar obsypać swymi łaskami dwoje śmiertelników)

MICHAEL (*rozglądając się*) Chyba już tu kiedyś byłem.

JOHN To twój dom, głuptasie.

WENDY Zobacz, Michael, tu jest twoje stare łóżko.

MICHAEL Prawie zapomniałem.

JOHN Patrzcie no, buda!

WENDY Może jest w niej Nana?

JOHN (*zaglądając do środka*) Śpi tam jakiś pan.

WENDY (*rozpoznając go po łysinie*) To tata!

JOHN Faktycznie!

MICHAEL Dajcie mi go zobaczyć. (*Rozczarowany*) Nie jest taki wielki, jak ten pirat, którego zabiłem.

JOHN (*zakłopotany*) Wendy, ale dawniej tata nie sypiał w budzie, prawda?

WENDY (*z niepokojem*) Może jednak nie pamiętamy dawnego życia tak dobrze, jak nam się zdawało?

JOHN (*zdegustowany*) To straszne niedbalstwo ze strony mamy, że jej tu nie ma, żeby nas przywitać.
(*Znów słyhać dźwięki pianina*)

WENDY Ciii! (*Podchodzi do drzwi i zagląda do pokoju dziennego*) To ona gra na pianinie!

MICHAEL Co to za pani?

WENDY Ciii! To mama!

MICHAEL Więc ty wcale nie jesteś naszą mamą, Wendy?

WENDY (*z przekonaniem*) Ojej, to już był najwyższy czas, żeby wracać.

JOHN Chodźcie, zakradniemy się i zasłonimy jej oczy rękami.

WENDY (*wykazując się większą wrażliwością*) Nie, lepiej pozwólmy, żeby zorientowała się stopniowo.
(*Wślizguje się do swojego łóżka, a pozostali rozumieją od razu, w czym rzecz i idą za jej przykładem. Kiedy muzyka cichnie, wszyscy chowają głowy pod kołdrę. Na łóżkach widać teraz trzy spore górkę. Pani Darling wchodzi do pokoju i dostrzega je natychmiast, ale nie może uwierzyć, że są tam naprawdę*)

PANI DARLING Tak często mi się śni, że widzę ich śpiących w łóżeczkach, że zaczęło mi się też tak wydawać na jawie! Nie będę patrzyła w tym kierunku. (*Siada i odwraca się plecami do górek na łóżkach, chociaż oczywiście w myślach nadal je widzi*) Tak często wydaje mi się też, że słyszę, jak wołają mnie swoimi srebrzystymi głosikami – moje dzieci, których już nigdy więcej nie zobaczę!
(*Srebrzyste głosiki – a to dobre, szczególnie w przypadku Johna. Ale głowy dzieci wyskakują spod kołder*)

WENDY (*możliwe, że nawet dość srebrzyście*) Mamo!

PANI DARLING (*nie poruszając się*) Słyszę Wendy.

JOHN (*raczej szorstko*) Mamo!

PANI DARLING A teraz Johna.

MICHAEL (*można to nazwać tylko piskiem*) Mamo!

PANI DARLING I Michaela. Zawsze, kiedy mnie wołają, wyciągam do nich ręce, ale oni nie przychodzą, nigdy nie przychodzą!
(*Tym razem jednak przychodzą i do domu państwa Darlingów powraca radość. Mały chłopiec zaczajony przy oknie rozumie żart z górkami w łóżkach, ale nie potrafi pojąć całej reszty.*)

Następuje zmiana scenografii i zamiast wnętrza domu widzimy teraz to, co dzieje się na zewnątrz, a mianowicie pana Darlinga dokazującego wesoło przy drzwiach razem ze zgubionymi chłopcami, którzy ciągną go za poły płaszcza. Możemy się domyślać, że Wendy kazała chłopcom poczekać na zewnątrz, dopóki nie wyjaśni wszystkiego swojej mamie, która następnie musiała pewnie posłać pana Darlinga na dół, żeby powiedział chłopcom, że zostali przygarnięci. Mogliby oczywiście wlecieć do domu przez okno jak chmara ptaszków, ale uważają, że o wiele śmieszniej będzie wejść przed drzwi.

Zamieszanie robi się tylko wokół Nieco, któremu drzwi przez przypadek zatrzasnęły się przed nosem. Na szczęście znajduje go Liza)

LIZA A co to się stało, chłopczyku?

NIECO Oni wszyscy mają matkę, tylko nie ja.

LIZA (*zawracając i podchodząc do niego*) A nie masz przypadkiem na imię Nieco?

NIECO Tak, psze pani.

LIZA No to ja jestem twoją mamą.

NIECO A skąd pani wie?

LIZA (*zacna dusza*) Bo tak czuję w kościach.

(Wchodzą razem do domu i nikt nie jest teraz tak szczęśliwy jak Nieco – no chyba że Nana, paradująca w glorii piastunki, która już nigdy w życiu nie dostanie wychodnego. Wendy wygląda przez okno i dostrzega w dole chłopca, który szybuje nad głowami przechodniów i strąca z nich nogą kapelusze. Ale oni go nie widzą – są na to za starzy. Bo nikt nie może zobaczyć Piotrusia, jeżeli jeśli jest na to za stary. Więc przechodnie myślą, że to tylko wiatr zawiewa na rogu ulicy)

WENDY Piotrusiu!

PIOTRUŚ (*zerkając w górę od niechcenia*) Cześć, Wendy!

(Wendy sfruwa do niego – ku przerażeniu swojej mamy, która podbiega do okna)

WENDY (*podejmując ostatnią próbę*) Piotrusiu, czy nie masz takiego poczucia, że chciałbyś porozmawiać z moimi rodzicami na pewien bardzo miły temat?

PIOTRUŚ Nie, Wendy.

WENDY O mnie, Piotrusiu?

PIOTRUŚ Nie. (*Wyjmuje swoją fletnię, a Wendy wie, że to bardzo zły znak. Wyciąga więc błagalnie ręce do mamy, która najprawdopodobniej myśli teraz o tym, że dzieci będzie trzeba przywiązywać na noc do łóżek*)

PANI DARLING (*z okna*) Piotrusiu, gdzie jesteś? Pozwól, że ciebie też przygarnę.

(Jest w uroczym wieku jak na kobietę, ale i tak jest już zbyt stara, by widzieć Piotrusia wyraźnie)

PIOTRUŚ A musiałbym iść do szkoły?

PANI DARLING (*uprzejmie*) Owszem.

PIOTRUŚ A potem do pracy?

PANI DARLING Zapewne.

PIOTRUŚ I niedługo musiałbym zostać mężczyzną?

PANI DARLING Bardzo niedługo.

PIOTRUŚ (*z pasją*) Nie chcę chodzić do szkoły i uczyć się poważnych rzeczy. Nie, proszę pani, nikt mnie nie złapie i nie zrobi ze mnie mężczyzny. Ja chcę być zawsze małym chłopcem i bawić się.

(Możliwe, że tak mu się właśnie wydaje, ale tak naprawdę to po prostu największe udawanie w jego życiu)

PANI DARLING (*drżąc za każdym razem, gdy Wendy ściga go w powietrzu*) A gdzie będziesz mieszkał, Piotrusiu?

PIOTRUŚ W domku, który zbudowaliśmy dla Wendy. Wróżki i elfy zaniosą go wysoko w korony drzew, gdzie mają swoje sypialnie.

WENDY (*z zachwytem*) Ale cudownie!

PANI DARLING Myślałam, że wróżki i elfy wymarły.

WENDY (*niemal z wyrzutem*) Wcale nie! Wróżkowe mamy wrzucają swoje dzieci do gniazd Nigdyptaków, żeby chowały się z jajkami. Liliowe niemowlęta to chłopcy, czyli małe elfy, a białe to dziewczynki, czyli małe wróżki, a dzieci w innych kolorach to takie, które same nie wiedzą, czym są. W porze kąpieli wszczynają z pisklętami taki raban, że po prostu można ogłuchnąć.

PIOTRUŚ Wtedy rzucam w nie różnymi rzeczami.

WENDY Piotrusiu, ale wieczorami będziesz czuł się trochę samotnie.

PIOTRUŚ Będę miał Dzwonkę.

WENDY (*podlatując do okna*) Mamo, mogę lecieć z Piotrusiem?

PANI DARLING (*łapiąc ją szybko z gestem ostateczności*) Oczywiście, że nie. Nareszcie mam cię znów w domu i zamierzam cię tutaj zatrzymać.

WENDY Ale on tak bardzo potrzebuje matki.

PANI DARLING I ty też jej potrzebujesz, kochanie.

PIOTRUŚ Och, no dobrze już, dobrze.

PANI DARLING (*wielkodusznie*) Piotrusiu, ale pozwolę jej polecieć do ciebie raz w roku, na tydzień Wiosennych Porządków.

(Wendy triumfuje, ale Piotruś, który nie ma pojęcia, co to są Wiosenne Porządki, kiwa dość niedbale w geście podziękowania)

PANI DARLING Wendy, powiedz już Piotrusiowi dobranoc.

WENDY A czy nie mogłabym polecieć do niego jeszcze na chwilkę?

PANI DARLING Nie.

WENDY Dobranoc, Piotrusiu!

PIOTRUŚ Dobranoc, Wendy!

WENDY Piotrusiu, a nie zapomnisz o mnie zanim przyjdą Wiosenne Porządki?

(Na to pytanie nie ma jednak odpowiedzi, bo Piotruś szybuje już wysoko na niebie. Jeszcze przez chwilę po jego odlocie słychać dźwięki fletni. Pani Darling zamyka okno i zasłania kratę)

Teraz śnimy o tym, co działo się na Nigdylandii rok później. Na wyspie nastąpiła właśnie pora kładzenia się spać i gdy kurtyna idzie w górę, słyszymy delikatne poszepty Nigdylandzkiej muzyki. Błękitnawa mgiełka, która w ciągu dnia sprawia, że las tam w dole wygląda jak zaczarowany, wieczorami kładzie się spać wysoko w koronach drzew i to właśnie przez nią widzimy teraz niezliczone ptasie gniazda, w których palą się światełka, a także wróżki, elfy i ptaki, z których część wyklóca się o różne drobiazgi, inne fruwać tu i tam dla czystej uciechy, a jeszcze inne zakładają się o to, w którym miejscu pojawi się dzisiaj mały domek. Wieczorami domek zawsze przychodzi i sadowi się wygodnie na którymś z drzew, ale nigdy nie można przewidzieć, gdzie to będzie. O, spójrzcie, już tu jest: widzicie najpierw kapelusze Johna, który wynurza się jako pierwszy, a za nim cały domek podąża tak cichutko, że strąca z gałęzi kilka plotkujących wrózek i elfów. Gdy umości się już wygodnie, zapala się w nim światło i z wnętrza wychodzą Piotruś i Wendy.

Wendy wygląda na trochę starszą, ale Piotruś nie zmienił się nic a nic. Ona ubrana jest w pelerynę podróżną i trzeba też ze smutkiem stwierdzić, iż lata teraz tak źle, że musi używać do tego miotły.

WENDY (*która tym razem wie, że lepiej powstrzymać się od wylewnych pożegnań*) Do widzenia, Piotrusiu. I pamiętaj, żeby nie obgryzać paznokci.

PIOTRUŚ Do widzenia, Wendy.

WENDY Opowiem mamie o małym domku i o Wiosennych Porządkach.

PIOTRUŚ (*który czasem zapomina, że Wendy nie jest tu po raz pierwszy*) Czyli podoba ci się domek?

WENDY Naturalnie jest trochę mały. Ale większość ludzi naszego wzrostu w ogóle nie ma jeszcze własnych domów. (*Nie powinna była wspominać o wzroście, ponieważ Piotruś już wcześniej odniósł się z niesmakiem do tego, że zrobiła się większa. Kolejną rzeczą, której on wprawdzie nie zauważył, ale która niepokoi Wendy, jest to, że przestała go widzieć tak wyraźnie jak kiedyś*) Kiedy przylecisz po mnie w przyszłym roku... Bo przecież przylecisz, prawda?

PIOTRUŚ Tak. (*Triumfalnie*) Żeby posłuchać bajek o Piotrusiu Panie!

WENDY To takie dziwne, że twoje ulubione bajki to te, które są tobie.

PIOTRUŚ (*zaperzając się*) No i co z tego?

WENDY I pomyśleć, że zapomniałeś już o zgubionych chłopcach, a nawet o Kapitanie Haku!

PIOTRUŚ No i co z tego?

WENDY A poza tym nigdzie nie widziałam Dzwonki.

PIOTRUŚ Kogo?

WENDY Ojej! Przypuszczam, że to dlatego, że masz tak dużo przygód.

PIOTRUŚ (z ulgą) Pewnie, że dlatego.

WENDY Gdyby jakaś inna mała dziewczynka... Gdyby ktoś młodszy ode mnie... (*Nie jest w stanie mówić dalej*) Och, Piotrusiu, tak bym chciała podnieść cię i przytulić! (*Piotruś odsuwa się*) Tak, wiem. (*Siada na miotle*) Do domu! (*Miotła unosi ją daleko, ponad korony drzew.*)

W jakimś sensie Piotruś rozumie, co miała na myśli, gdy powiedziała: „Tak, wiem”, ale w większości innych sensów nie ma pojęcia, o co jej chodziło. To musi mieć coś wspólnego z zagadką jego istnienia. Gdyby tylko mógł się w tym połapać, zawołałby może: „Życie – to dopiero byłaby strasznie wielka przygoda!”, ale jakoś nigdy nie może się połapać, i dlatego nikt nie jest tak wesoły jak on. Z malującym się na twarzy uniesieniem wyciąga swoją fletnię, a Nigdyptaki, wróżki i elfy zlatują się ze wszystkich stron, aż tłum jego wielbicieli na dachu małego domku robi się tak wielki, że część z nich wpada do środka przez komin. A on gra i gra, dopóki nie obudzimy się ze snu)

KONIEC

GDY WENDY DOROSŁA

Refleksja

Scena rozgrywa się w tym samym pokoju dzieciennym, ale od ostatniego czasu zaszło tu kilka zmian – łóżko Michaela stoi teraz tam, gdzie stało łóżko Wendy i *vice versa*, natomiast przed łóżkiem Johna, zakrywając je częściowo przed wzrokiem publiczności, stoi drewniana suszarka do prania, na której wiszą ubranka małej dziewczynki, nagrzewające się przy kominku. Jest wczesny wieczór. W pokoju palą się lampki.

Wendy wychodzi z łazienki. Jest teraz dorosłą kobietą ubraną w śliczną suknię z trenem i podchodzi do kominka posuwistym krokiem, z przesadną statecznością. Zwraca się wprost do publiczności, pokazuje z dumą swoją długą suknię i to, że ma upięte włosy. Potem zdejmuje dziecięcą koszulkę z suszarki i – z uniesieniem prezentując ją widowni – znika w drzwiach łazienki. Po chwili wychodzi ze swoją córeczką Jane, która ubrana jest w koszulkę nocną; Wendy osusza jej włosy.

JANE (*niegrzecznie*) Nie chcę do łóżka, Mamusiu, nie chcę i nie!

WENDY (*przesadnie sztywno*) Jane! Kiedy *ja* byłam małą dziewczynką, szłam do łóżka *od razu*, gdy tylko mi kazano. Chodź tu natychmiast! (*Jane wymyka się jej, ale po krótkim pościgu zostaje złapana*) Ty mała urwisko! (*Siada razem z Jane przed kominkiem i ogrzewa jej stopy*) Żeby tak przegonić po pokoju swoją biedną, starą mamę, która już nie jest taka młoda, jak była kiedyś!

JANE A jak młoda byłaś, Mamusiu?

WENDY Całkiem młoda. Ale ten czas leci!

JANE Tak samo, jak ty latałaś, jak byłaś mała?

WENDY Jak ja latałam! Wiesz, kochanie, to wszystko było tak dawno temu, że czasem się zastanawiam, czy ja naprawdę kiedyś latałam.

JANE No pewnie, że tak.

WENDY Ach, stare, dobre czasy.

JANE Czemu teraz nie możesz latać, Mamo?

WENDY Bo jestem dorosła, skarbie. Kiedy ludzie dorastają, zapominają, jak to się robi.

JANE A czemu zapominają?

WENDY Bo nie są już mali i niewinni. A tylko mali i niewinni mogą latać.

JANE Co to są mali i niewinni? Chciałabym być mała i niewinna! (*Wendy przytula ją w nagłym odruchu*)

WENDY Chodź już do łóżka, kochanie. (*Zabiera ją do łóżka, z prawej strony sceny*)

JANE Opowiedz mi bajkę. O Piotrusiu Panie.

WENDY (*stojąc w nogach jej łóżka*) Opowiadałam ci tę bajkę już tyle razy, że teraz chyba ty potrafiłabyś opowiedzieć ją lepiej mnie niż *ja* tobie.

JANE (*okrywając ją i siebie kołdrą, jak gdyby były w namiocie*) No dalej, Mamo. To jest Mały Domek. I co teraz widzisz?

WENDY Widzę... Widzę tylko ten pokoik dziecienny.

JANE Ale co widzisz w nim dawno temu?

WENDY Widzę... Małą Wendy śpiącą w łóżeczku.

JANE Tak, a Wujek Michael i Wujek John śpią tam.

WENDY Ach, co za życie! I pomyśleć, że John ma teraz brodę, a Michael jest maszynistą. Kładź się już, Myszko.

JANE Ale ty opowiadaj. Opowiedz o tym, jak ty się zrobiłaś dorosła, a Piotruś nie. Zaczynij od tego, jak on obiecuje, że co roku będzie po ciebie przyfruwał, żeby zabrać cię w Korony Drzew na Wiosenne Porządki. Ale miałaś świetnie!

WENDY No dobrze! (*Siadając na łóżku za Jane*) Po zakończeniu przygód opisanych w poprzednim rozdziale, gdy zostawiliśmy naszą bohaterkę w ramionach jej Mamusi, Wendy została bardzo szybko posłana do szkoły – chodziła tam dzień w dzień.

JANE I wszyscy chłopcy też.

WENDY Tak, bo Mamusia ich przygarnęła. Wszyscy strasznie się bali, bo John im naopowiadał, że jeśli się nie przystosują, zostaną wysłani do Schroniska dla Psów. Ale wszyscy się przystosowali i codziennie jeździli do szkoły autobusem, chociaż czasami byli bardzo niegrzeczni i kiedy konduktor chciał skasować im bilety, odfruwali, żeby nie płacić za przejazd. A trzeba było widzieć Nanę, jak zabierała ich do kościoła! Wyglądała jak pies pasterski, który ogania stadko owiec.

JANE A czy chcieli czasem wrócić na Nigdy-Nigdylandię?

WENDY (*z wahaniem*) Nie... nie wiem.

JANE (*z przekonaniem*) A ja wiem.

WENDY Oczywiście, tęsknili za zabawą. Nawet Wendy czasami nie mogła się powstrzymać od latania – najmniejszy drobiazg był w stanie poderwać ją w powietrze. Na przykład widok kapelusza zerwanego z głowy jakiegoś pana. Jeśli kapelusz odfruwiał, ona też leciała, hop! Tak minął rok, aż nadszedł czas pierwszych Wiosennych Porządków, kiedy Piotruś miał ją zabrać w Korony Drzew.

JANE Oooo! Oooo!

WENDY *Ależ* ona się szykowała na jego przylot! *Ależ* wyczekiwała przy oknie w swojej najładniejszej sukience – a gdy Piotruś przylatywał, odfruwali razem na Wiosenne Porządki, a on był zawsze dokładnie taki sam i nie zauważał, że ona się zmieniła.

JANE A jak się zmieniła?

WENDY Musiała wydłużyć sukienkę aż o dwa cale! Bardzo się bała, że Piotruś to zauważy, bo obiecała mu kiedyś nie mieć nigdy bólów wzrostowych. Ale on tego nie spostrzegł, zbyt był zajęty opowiadaniem ślicznych historii o sobie samym.

JANE (*radośnie*) Zawsze był strasznie zarozumiały.

WENDY Wydaje mi się, że panie często kochają zarozumiałych panów.

JANE I ja też ich kocham.

WENDY Ale z kolei ja zauważyłam jedną rzecz w Piotrusiu. On o wszystkim zapominał. Zapomniał nawet o Cynowym Dzwoneczku. Wydaje mi się, że ona umarła.

JANE Ojej!

WENDY Bo widzisz, kochanie, wróżki i elfy żyją tylko przez tyle czasu, ile ptasie piórko wiruje w porywach wiatru w wietrzny dzień. Ale one są tak malutkie, że ten krótki czas wydaje się im całkiem długi. Jak te fruujące piórka, wróżki i elfy mają bardzo przyjemne życie: mają czas, by urodzić się w odpowiedniej chwili, by rozejrzeć się po świecie, raz zatańczyć, raz zapłakać, wychować swoje dzieci – to tak samo, jakby przejechać bardzo długą drogę szybkim autem. I widzisz, w ten sposób auto pomaga nam zrozumieć wróżki i elfy.

JANE Wszyscy muszą dorosnąć i umrzeć, prawda, Mamo? Wszyscy, oprócz Piotrusia Pana?

WENDY Bo widzisz, on nie miał poczucia czasu. Jemu się zdawało, że wszystko było zaledwie wczoraj. Mówił tak, jakbyśmy *my* rozstali się dopiero wczoraj. A przecież od tego czasu mijał zawsze cały rok.

JANE Jejku jej!

WENDY Świetnie się bawiliśmy, ale po jakimś czasie ja musiałam wracać do domu, mijał kolejny rok i nadchodziły kolejne Wiosenne Porządki. Och, pamiętam, jak się bałam, czekając na niego przy oknie – bo musiałam w tym czasie poszerzyć sukienkę o dwa cale w talii! Ale on się nie zjawił. O! jak ja płakałam! Minął kolejny rok, znów jakimś cudem weisnęłam się w moją starą sukieneczkę i tego roku przyleciał – a najdziwniejsze, że nawet nie zauważył, że przegapił jeden rok. Nie powiedziałam mu o tym. Chciałam to zrobić, ale kiedy zapytałam „Piotrusiu, kim dla ciebie jestem?”, on odpowiedział „Moją mamą, Wendy” – więc po prostu nie mogłam mu powiedzieć. To był jednak ostatni raz.

Wiosenne Porządki przychodziły i mijały, ale Piotruś nie zjawiał się już nigdy. „Po prostu zawsze na mnie czekaj” – powiedział – „aż pewnego dnia usłyszysz moje pianie”. Ale ja już nigdy go nie usłyszałam. I widzisz, Skarbie, nawet lepiej, że tak się stało, bo gdyby wrócił, myślałby znowu, że wszystko zdarzyło się dopiero wczoraj i spodziewałby się na pewno, że nadal jestem małą dziewczynką – a to by było po prostu zbyt tragiczne. Ale teraz musisz już spać.

JANE Jestem strasznie nieśpiąca. Opowiedz o Nanie.

WENDY (*w nogach łóżka*) Teraz oczywiście widzę, że Nana nie była *idealną* piastunką. Miała trochę staroświeckie poglądy – za bardzo wierzyła w takie rzeczy, jak owijanie szyi wełnianą skarpetą i tak dalej – a dwa czy trzy razy zeszła tak bardzo na psy, że włożyła się przez pół nocy w złym towarzystwie i tata musiał zrywać się z łóżka o drugiej nad ranem i pędzić na dół w piżamie, żeby wpuścić ją do domu. Zawsze jednak tak bardzo lubiła dzieci, że nawet w te popołudnia, kiedy miała wychodne, wybierała się do Ogrodów Kensingtonskich, po czym śledziła niedbałe piastunki aż do drzwi ich domów i donosiła państwu o ich zaniedbaniach. Ale teraz Nana jest już stara i troszkę trzeba się nią zaopiekować, dlatego daliśmy jej stare łóżko Johna, żeby miała wygodnie do spania. (*Patrząc w lewo*) Kochana, droga Nana! (*Posyła pocałunek w stronę zasłoniętego łóżka*)

JANE A teraz opowiedz, jak wzięłaś ślub w białej sukni z różową szarfą.

WENDY Większość chłopców poślubiła swoje ulubione bohaterki z powieści, a Nieco ożenił się z wielką damą i został lordem.

JANE A jeden z nich ożenił się z Wendy i tak został moim Papą!

WENDY Owszem. A potem odkupiliśmy ten dom od Dziadka w ratach na trzy procent, bo Dziadkowi dokuczały schody. A Papa jest bardzo mądry, zna się na akcjach i obligacjach. Oczywiście tak naprawdę wcale się na nich nie zna, bo przecież nikt się nie zna, ale kiedy budzi się rankiem i mówi „Akcje poszły w górę, obligacje poszły w dół”, Mama jest z niego bardzo, ale to bardzo dumna.

JANE A teraz opowiedz o mnie.

WENDY I w końcu naszej bohaterce urodziła się córka. Nie wiem dlaczego, ale jakoś tak zawsze myślałam, że Wendy będzie kiedyś miała córeczkę.

JANE *Ja* też zawsze tak myślałam, Mamo! *Ja* też! Opowiedz, jaka ona jest.

WENDY Pióro tego nie wypowie, opisać może ją chyba tylko złote pluśnięcie! (*Przytula ją*)
Koniec bajki. Ale *teraz* proszę już do spania.

JANE Kiedy mi się nie chce spać.

WENDY (*odchodząc*) Sza!

JANE Mamo, tak sobie myślę ...(*pauza*)

WENDY No co takiego sobie myślisz, kochanie? (*Znowu pauza – Wendy podchodzi do łóżka, patrzy na Jane i widzi, że dziewczynka zasnęła*) Już śpi! (*Otula ją kołdrą, powoli zdejmuje ubranka z suszarki, składa je starannie i odkłada na bok, a wtedy naszym oczom ukazuje się Nana okryta kapą i śpiąca w łóżku Johna. Wendy przykręca płomień lampy i siada przy kominku, żeby zająć się szyciem. Pauza – nagle płomyk nocnej lampki nad łóżkiem Jane zaczyna drżeć, po czym gaśnie. W następnej chwili daje się słyszeć pianie Piotrusia – Wendy zrywa się bez tchu – okno się otwiera i do pokoju wlatuje Piotruś Pan. Nie postarzał się nawet o jeden dzień. Wendy z trudem łapie oddech i opada z powrotem na krzesło. Piotruś widzi śpiącą Nanę i jest zaskoczony. Nana pojękuje przez sen, Piotruś idzie dalej, omijając jej łóżko – widzi suknię Wendy i myśli, że ta chce z niego zażartować*)

PIOTRUŚ (*podskakując przed nią wesolo*) Cześć, Wendy! (*Ona odwraca twarz od światła*)
Naparstki! (*Wskakuje jej na kolana i całuje ją*)

WENDY (*nie wiedząc, co robić*) Piotrusiu! Piotrusiu, czy wiesz, kiedy byłeś tu po raz ostatni?

PIOTRUŚ Wczoraj.

WENDY Och! (*Gładzi ją po policzku*)

PIOTRUŚ Czemu masz coś mokrego na twarzy? (*Nie może mu odpowiedzieć*) Już wiem!
Dlatego, że tak się cieszysz, że po ciebie wróciłem! (*Nagle przypomina sobie Nanę – zeskakuje*) Czemu Nana śpi w łóżku Johna?

WENDY (*drżąc*) Bo John – bo on już tutaj nie sypia.

PIOTRUŚ O, co za tupet! (*Spoglądając beztrosko na łóżko Jane*) Michael śpi?

WENDY (*po chwili wahania*) Tak. (*Przerazona swoimi słowami*) To nie Michael! (*Piotruś zagląda ciekawie do łóżka*)

PIOTRUŚ (*podchodząc*) A to co, coś nowego?

WENDY Tak.

PIOTRUŚ Chłopiec czy dziewczynka?

WENDY Dziewczynka.

PIOTRUŚ Lubisz ją?

WENDY Tak! (*Zdesperowana*) Piotrusiu, czy nie rozumiesz, czyje to dziecko?

PIOTRUŚ Ależ rozumiem. Ona jest twojej mamy. I muszę powiedzieć, że też ją lubię!

WENDY (*placząc*) Czemu?

PIOTRUŚ Bo teraz twoja mama pozwoli ci zostać ze mną dłużej na Wiosenne Porządki. (*Udręka Wendy*)

WENDY Piotrusiu, ja... Ja muszę ci coś powiedzieć.

PIOTRUŚ (*podbiegając do niej wesóło*) Czy to sekret?

WENDY Och! Piotrusiu, wtedy, kiedy Kapitan Hak zabrał nas...

PIOTRUŚ Kto to Kapitan Hak? Czy to bajka? Opowiedz mi ją.

WENDY (*ostupiała*) Chcesz mi powiedzieć, że nie pamiętasz nawet Kapitana Haka, ani tego, jak go zabiłeś i wszystkich nas uratowałeś?

PIOTRUŚ (*wierząc się*) Zawsze o nich zapominam, gdy już ich zabiję.

WENDY Och, Piotrusiu! Ty wszystko zapominasz!

PIOTRUŚ Wszystko, oprócz mojej mamy Wendy. (*Przytula ją*)

WENDY Och!

PIOTRUŚ No chodź, Wendy.

WENDY (*nieszczęśliwa*) Ale gdzie mam iść?

PIOTRUŚ Do Małego Domku. (*Z większym naciskiem*) Zapomniałaś, że zbliżają się Wiosenne Porządki? To ty wszystko zapominujesz.

WENDY Piotrusiu, Piotrusiu! Przecież mały domek musiał już dawno zgnieć i rozpaść się na kawałki.

PIOTRUŚ No tak, ale są nowe domki, nawet mniejsze.

WENDY Sam je zbudowałeś?

PIOTRUŚ Och, nie, po prostu je znalazłem. Bo widzisz, Mały Domek to była matka, a to są jej dzieci.

WENDY Jesteś taki słodki.

PIOTRUŚ No więc chodź! (*Ciągnąc ją*) Ja jestem tu Kapitanem!

WENDY Nie mogę, Piotrusiu – zapomniałam, jak się lata.

PIOTRUŚ Zaraz cię znowu nauczę. (*Dmucha na nią pyłkiem wrózek i elfów*)

WENDY Och, Piotrusiu, nie trać na mnie pyłku.

PIOTRUŚ (*w końcu przestraszony*) Co się stało, Wendy? Coś złego? Nie oszukuj mnie, mamo Wendy – jestem przecież tylko małym chłopcem.

WENDY Nie mogę lecieć z tobą, Piotrusiu, ponieważ nie jestem już mała i niewinna.

PIOTRUŚ (*z krzykiem*) Nieprawda!

WENDY Podkręcę teraz mocniej płomień lampy, żebyś sam mógł się przekonać.

PIOTRUŚ (*przestraszony – mówi szybko*) Wendy, nie podkręcaj go.

WENDY Muszę. Ale najpierw chcę cię zapytać o coś, o co tak często pytałam na naszej kochanej Nigdy-Nigdylandii. Piotrusiu, co ty tak właściwie do mnie czujesz?

PIOTRUŚ Synowskie przywiązanie, Wendy. (*Wendy w milczeniu pozwala swoim palcom igrać z kosmykiem jego włosów – pieści jego policzki, uśmiechając się przez łzy – potem podkręca płomień lampy stojącej obok kominka i odwraca się twarzą do Piotrusia – oszalała go nagły przebłysk zrozumienia – Wendy wyciąga do niego ręce – Piotruś wdryga się i odsuwa*) Co to? Co to?

WENDY Dorosłam, Piotrusiu – nic nie mogłam na to poradzić! (*Piotruś odsuwa się znowu*) Jestem już mężatką, Piotrusiu, a tamta śpiąca dziewczynka to moje dziecko.

PIOTRUŚ (*po chwili milczenia – z pasją*) Jak ona do ciebie mówi?

WENDY Mamo.

PIOTRUŚ Mamo! *(Postępuje krok w stronę dziecka, trzymając w dłoni wzniesiony do ciosu sztylecik, potem chce wylecieć przez okno, w końcu rzuca się na podłogę i zaczyna szlochać)*

WENDY Piotrusiu, Piotrusiu! Och! *(Nie wiedząc, co robić, udręczona Wendy wybiega z pokoju – przez długi czas w ciszy słychać tylko szlochanie Piotrusia. Nana jest niespokojna. Piotruś siedzi dokładnie w tym samym miejscu, w którym siedział w Akcie I, gdy płakał z powodu Cienia. Po chwili jego łkanie budzi Jane, która siada na łóżku)*

JANE Czemu płaczesz, chłopczyku?
(Piotruś wstaje – kłaniają się sobie tak, jak w Akcie I)

JANE Jak ci na imię?

PIOTRUŚ Piotruś Pan.

JANE Tak właśnie myślałam, że to ty.

PIOTRUŚ Przyleciałem po moja mamę, żeby zabrać ją na Nigdy-Nigdylandię na czas Wiosennych Porządków.

JANE Wiem o tym. Czekałam na ciebie.

PIOTRUŚ Czyli teraz ty będziesz moją mamą?

JANE O, tak. *(Po prostu)*
(Jane wyskakuje z łóżka i staje obok Piotrusia, obejmując go w dziecięcym przeświadczeniu, że tak robią matki – Piotruś bardzo szczęśliwy. Płomień lampy migoce i gaśnie, tak jak wcześniej zgasła nocna lampka)

PIOTRUŚ Słyszę, że Wendy nadchodzi – Kryć się!
(Oboje się chowają. Potem widać, jak Piotruś uczy Jane latać. Wyglądają na bardzo szczęśliwych. Wchodzi Wendy i staje po prawej stronie, próbując zrozumieć sytuację – i w ogóle zrozumieć. Oni jej nie widzą)

PIOTRUŚ Hurra! Hurra!

JANE *(latając)* Ale ja mam świetnie!

PIOTRUŚ I polecisz ze mną?

JANE Jeśli Mamusia pozwoli.

WENDY Och!

JANE Mogę, Mamusiu?

WENDY A czy ja też mogłabym lecieć z wami?

PIOTRUŚ Ty nie umiesz latać.

JANE To tylko na tydzień.

PIOTRUŚ A ja tak bardzo potrzebuję matki.

WENDY *(ulegając wspaniałomyślnie)* Tak, kochanie, możesz lecieć. *(Pocałunki i pospieszne uściski, Wendy zakłada Jane pantofle i pelerynę, a potem nagle Jane i Piotruś unoszą się w powietrze i lecą ramię w ramię po nocnym niebie, Wendy macha za nimi – budzi się Nana, wstaje, ledwie się trzyma na nogach, poszczekuje cicho – Wendy podchodzi do niej i klęka obok)*

WENDY Nie martw się, Nano. Chciałam, żeby tak właśnie to wyglądało, gdyby Piotruś kiedykolwiek wrócił. W porze Wiosennych Porządków – za wyjątkiem tych, o których zapomni – będę pozwalala Jane odlecieć razem z nim na kochaną Nigdy-Nigdylandię, a kiedy ona dorośnie, mam nadzieję, że też będzie miała córeczkę, która będzie mogła lecieć z Piotrusiem. I w ten sposób może dziać się zawsze i zawsze, dopóki dzieci będą małe i niewinne.
(Światła powoli gasną, a w końcu widać tylko dwa błyszczące punkciki, sunące razem po nocnym niebie)

KURTYNA

KAPITAN HAK W ETON

Mowa wygłoszona do Setki Najlepszych Eton College

7 lipca 1927 roku, w przeddzień meczu na Lord's

Słowa, które do dziś Was kieruję, wynikają w pewnym sensie z wyzwania rzuconego mi przez Waszego Rektora. Gdy byłem tu w zeszłym miesiącu, 4 czerwca, podczas przemówienia w czasie lunchu Rektor wezwał mnie do tego, bym obalił owo okropne twierdzenie, iż „James Hak, kapitan piratów, był wprawdzie wybitnym, lecz nie dobrym Etończykiem”. Cóż, tak się składa, że w mojej opinii Hak był dobrym Etończykiem, chociaż nie był wybitny, i właśnie owo mniej lub bardziej żarliwe pragnienie, by Was o tym przekonać – by, że tak powiem, rozprawić się z Hakiem na dobre – sprawiło, że wbrew zdrowemu rozsądkowi stoję tu dziś przed Wami.

Żeby dowieść zasadności mojego przekonania, próbowałem ostatnimi czasy zgromadzić nieco faktów na temat młodości Haka i trzeba tu od razu powiedzieć, że nie należy on do Absolwentów Szkoły, którzy odcisnęli wyraźne piętno na jej tradycjach. Nie wiedzielibyśmy zapewne nawet, iż w ogóle uczęszczał do owego szacownego college'u, gdyby nie zdanie o „Eton i Balliol” padające w pewnym tekście, na którym nie powinno się jednak zbyt polegać. Z tego samego niepewnego źródła wiemy też, że jego ostatnie słowa brzmiały „Floreat Etona”.

Jeśli chodzi o lata nauki w Balliol na Oksfordzie, nie przeprowadzałem tu zbyt szczegółowych badań, będąc przekonany, że sprawa Eton stanowi priorytet. Wiemy na pewno, że Hak spędził tam kilka semestrów oraz że wypożyczył z biblioteki kilka książek; wszystkie one – co może dziwić – były tomikami poezji, przeważnie autorstwa poetów jezior. Na owe tomy można się jeszcze czasem natknąć na straganach z używanymi książkami: ich znakiem rozpoznawczym jest sygnatura „Jacobus Hak”, figurująca jako podpis właściciela. A zatem jego umysł już wtedy zwracał się w stronę klasyków. Będąc w Balliol, Hak nie położył zbyt wielkich zasług na polu lekkoatletyki, odnalazłem jednak osobliwy zapis, według którego, zraniony podczas meczu futbolu, „krwawił na żółto”. Jego najznamienitszym osiągnięciem sportowym zdaje się pozostawać dwunaste miejsce w biegu na sto jardów. Jak wiele późniejszych sław, Hak opuścił Oksford pewnego ranka.

W Eton zaliczał się raczej do „szczerów lądowych” (a więc takich, co przedkładają krykieta czy piłkę nad rozkosze wiosłowania) – wbrew temu, czego można by się spodziewać po jego przyszłej karierze wilka morskiego; fakt pozostaje faktem, że od najmłodszych lat Hak nie znosił wody i z tego względu zawsze opuszczał tonący okręt jako ostatni. Zdobył dla swojej szkoły wiele barwnych odznaczeń – był w istocie człowiekiem wielu barw i odcieni. Jego ciotka Emily, do której udało mi się dotrzeć, pokazała mi trzy zdobyte przez niego czapki, wiszące na honorowym miejscu nad jej kominkiem. Jako osoba z zewnątrz nie mam pojęcia, co oznaczają ich kolory, ale Wy na pewno będziecie wiedzieć: jedna była czerwono-niebieska, druga niebiesko-bordowa, a trzecia jasnoniebieska. Jego ciotka zdradziła mi, że owe czapki zostały wykonane na specjalne zamówienie w małej pracowni krawieckiej w mieście. Posiadam także dowody na to, iż w ciągu swoich ostatnich lat spędzonych w murach szkoły, Hak był członkiem grona, które należałoby określić jako najbardziej elitarne stowarzyszenie świata – Eton Society, zwanego Pop. Stowarzyszenie owo gromadzi mniej więcej trzydziestu uczniów, wybranych wyłącznie ze względu na swoje atrybuty umysłowe. Widok Popów to czołowa atrakcja Eton, szczególnie wtedy, gdy przy szczególnych okazjach paradują w szeregach po sześciu czy ośmiu, na baczność, w szkolnych getrach i gamaszach, na dwa jardy przed Słońcem i Księżycem. Legenda (źródło zawsze wątpliwe) głosi, że elekcja Haka zadziwiła samych członków Eton Society, którzy jako jedyni dysponowali prawem głosu, i że James musiał dopuścić się jakichś

machinacji przy urnie wyborczej. Lecz nawet jeśli tak było – czyż nie wskazuje to na pałacę pragnienie wyróżnienia się, które tkwi w każdej nieposkromionej drobini, jaką jest człowiek? Karta w annałach stowarzyszenia, na której widniał wpis o wyborze Haka na członka, uległa zniszczeniu w tajemniczych okolicznościach, i przez jakiś czas sądziłem, że owa sprawa może mieć tylko dwa wyjaśnienia: albo dokonały tego władze placówki, mając na względzie jego późniejszą (błyskawiczną) karierę, która (jako taka) nie wystawiała szkole najlepszego świadectwa, albo też w szkodę weszli tu łowcy autografów. Od tego czasu dokonałem jednak odkrycia, które rzuca światło na prawdziwe okoliczności tego zdarzenia, bez wątpienia jednego z najmroczniejszych i zarazem najbardziej chwalebnych w całej historii Eton. O wydarzeniach tamtej nocy opowiem Wam wkrótce, tusząc, że dam w ten sposób triumfalną odpowiedź Rektorowi, który nie będzie z pewnością żałować spóźnionej rehabilitacji swojemu starszemu koleździe, któremu – w swoich juniorskich latach – musiał się nieźle nawysługiwać.

Słyszę, że pytacie, jakie były intelektualne osiągi Haka. W tej kwestii stąpamy po pewnym gruncie: Hak był w Setce Najlepszych. Pisał również do jednego z ukazujących się w szkole czasopism, znanego pod nazwą (można się tylko domyślać, dłaczego taką) „Ulotnika”. Słyszałem, że jego artykuł nosił tytuł *Rozprawa na temat pieczonej świni* i zdaje się, że miał on pewną wartość merytoryczną, lecz z jakichś niewyjaśnionych przyczyn tutor Haka wdał się w tę sprawę, przez co autor nie otrzymał należnego mu wynagrodzenia. A oto kolejne odkrycie, które powinno poruszyć tych z Was, którzy nie mają serc z kamienia (jeśli w ogóle tacy tu siedzą): po fatalnych zdarzeniach, które doprowadziły do śmierci Jamesa, rewizja przeprowadzona w kabinie dryfującego kadłuba jego okrętu ujawniła, że przez wszystkie lata swojego pirackiego życia wiernie prenumerował gazetę „Eton Chronicle”. Koję Haka zalegały setki egzemplarzy tego periodyku, na większości których znajdowały się jego odciski palców.

Jeśli chodzi o aparycję oraz maniery Jamesa w czasach etońskich, mamy tutaj bardzo rozbieżne świadectwa. Zgodnie z opinią jego ciotki Emily, Hak był zawsze chłopackim ślicznym aż miło popatrzyć, nabożnym i już wtedy odznaczającym się wytwornym wdziękiem, który później robił takie wrażenie na nieszczęśnikach strącanych przez niego za burtę. Honorowy do szpiku – dodała ciotka – i taki wrażliwy, że usilnie prosiła w szkole, żeby nie bić trzcinką samego Jamesa, tylko jakiś mebel obok, bo to zawsze wywierało na odpowiednich częściach ciała tego wyczulonego dziecka dokładnie takie samo wrażenie. Niestety, nie posłuchano jej rady i teraz nie może pozbyć się wrażenia, że właśnie ta surowość rozbudziła w nim mrocznego ducha.

Kilku jego współczesnych, z którymi miałem zaszczyt porozmawiać, wyraziło mniej pochlebne opinie. Przyznają oni, że otaczała go aura taniej elegancji, z której zdawał sobie sprawę i którą się napawał. Przede wszystkim wspominają go jednak jako chłopca prawdziwie żarłocznego. „Krwawił tak nieprzyjemnie przez ubranie – pisze jeden z jego dawnych kolegów – że jeśli w grze w odbijanego wepchnęło się go na Mur, na ceglach zostawały brzydkie ślady”. Poinformowano mnie również, że to właśnie ta krew oszczędziła mu niejednego manta ze strony prefekta domu, który – chociaż był Kapitanem Drużyny Pięciu – mdlał na sam jej widok, o czym James wiedział doskonale i czym często się chełpił. Kiedy potrzebował pieniędzy, miał w zwyczaju zacinać się lekko w zamian za trzypensówkę lub jeszcze chętniej z porcją słynnego deseru truskawkowego z Eton. To pokazuje, że nie był całkiem pozbawiony wielbicieli. Jeśli chodzi o jego pobożność – mówią nieprzychylni mu komentatorzy – to polegała ona tylko na tym, że modlił się obłudnie, by nie odkryto niektórych jego grzeszków i ciemnych sprawek. Chłopak, mówiąc krótko, był „charakterny”.

Na próżno usiłowałem zdobyć fotografię Haka w wieku szkolnym. Ci z Was, którzy byli w Eton, wiedzą, że tamtejsi uczniowie – dopóki nie staną się posiadaczami własnej książeczki czekowej, co całkowicie zmienia ich charakter – tak namiętnie fotografują się w swoich szkolnych kapeluszach, że koszt wszystkich tych wizyt u fotografa musi się równać przynajmniej kosztom wynajmu domku na wsi. Wiedząc, że w momencie opuszczania szkoły chłopcy mają w zwyczaju zostawiać swoim tutorom na pamiątkę całe kolekcje własnych fotografii w zaufaniu, iż gdy owi tutorzy będą zwalniać nauczycielskie posady, nie zabiorą ich ze sobą, lecz przełożą je w kilku workach swoim następcom, napisałem do rozmaitych nauczycieli Jamesa z prośbą o jego fotografię. Odpowiedziano mi, że zostałem błędnie poinformowany; niestety, wieść o moich poszukiwaniach jakimś cudem przeciekła do grona

szkolnych pętek – tej plagi Eton, co to nieustannie pęta się wszystkim pod nogami – z których wielu, szukając chwilowej sławy, przesyłało mi później swoje fotografie z podpisem „Z poważaniem, Jas. Hak”.

Dochodzimy teraz do wydarzeń owej nocy, do których przez cały czas zmierzałem. Dotyczą one ostatniej i jakże zdumiewającej wizyty Haka w Eton, zaś w mojej relacji opieram się głównie na informacjach uzyskanych od pana G.F.T. Jasparina. Pan Jasparin należy do tego szacownego grona Etończyków, których miłość do ich dawnej szkoły z lekka sparaliżowała. Po ukończeniu studiów nie kwapią się oni do tego, by podjąć jakiś zawód, lecz wracają do lubego miasteczka Windsor leżącego w cieniu szkolnych murów, po czym osiedlają się tam – choć z Eton nie łączy ich już nic poza wspomnieniem – i próbują wierzyć, że nadal należą do grona małych, szczęśliwych pętek. Mają oni klub o nazwie Spizarka (niegdyś „U Jordana”) i jest to być może najbardziej nieszkodliwa z ekskluzywnych koterii na świecie.

Pan Jasparin pisze mi, że tamtej nocy szedł właśnie do tego przybytku ulicą Keate’s Lane prowadzącą z jego kwatery w Windsorze (umeblowanej dokładnie tak, jak pokoje w Eton: z wiszącym na ścianie obrazem przedstawiającym myśliwych, którzy wpadają do strumienia, składanym łóżkiem i pudłem na kapelusze używanym jako tajny składzik węgla). Szedł w niewesołym nastroju, była to bowiem pora po zamknięciu szkolnych bram, gdy uczniowie powinni już dawno być w łóżkach, a on, niestety! nadal miał prawo do tego, by przebywać na zewnątrz. Spróbuję przytoczyć tu jego słowa.

„Ulica – pisze pan Jasparin – zdawała się wyludniona, lecz gdy zbliżyłem się do przejścia wiodącego ku ówczesnej kwaterze Eton Society, zdałem sobie sprawę, że na murze college’u – tym niskim murku, na którym wolno siadać tylko Popom – majaczy jakaś ciemna postać. Po chwili, choć może to się wydawać nieprawdopodobne, wiedziałem już, że znajduję się w obecności Jas. Haka. Nigdy wcześniej nie widziałem go „we własnej osobie” – i wiem także, że to wyrażenie zupełnie nie oddaje charakteru jego cielesnej powłoki. Był ubrany zgodnie z najnowszą modą, w ów niezrównany strój Popów oraz jedwabny kapelusz, spod którego jego długie loki (bardzo nieetońskie, ale przypuszczam, że musiał mieć na względzie upodobania swojej załogi) zwisały jak czarne świece mające się za chwilę roztopić. Może pomyśli Pan, że to właśnie po nich go rozpoznałem – ale nie. Z prawego rękawa, zamiast ręki, sterczał mu żelazny hak, ale to również nie po nim go poznałem. Twarz miał tego koloru, na jaki jego krew barwiła ponoć ubranie podczas pomniejszych potyczek. Z żalem muszę powiedzieć, że osobiście nigdy nie widziałem, jak krwawił. Wszystkie te detale spostrzegłem dopiero później, dzięki czemu upewniłem się w moim przekonaniu, ale rozpoznałem go na pierwszy rzut oka po otaczającej go niezwyklej aurze *noblesse oblige*. Nie chodzi mi tylko o to, że na czole miał wypisane «Etończyk» – było w nim coś więcej, jak gdyby (że posłużę się metaforą) zawierał w sobie dwóch Etończyków połączonych w jedno przez jakieś dobrotliwe bóstwo natury. Jednym słowem: najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego kiedykolwiek widziałem, choć jednocześnie – być może – z lekka odrażający. Książyc – pisze dalej pan Jasparin – przystanął na chwilę (co moim zdaniem robi często, wędrując nad Eton), jak gdyby w oczekiwaniu na wyjątkowe zdarzenia. Przyglądałem się Samotnej Postaci z przejścia w murze i nigdy – powtarzam, nigdy – nie sądziłem, że ujrzę Kolosa tak skurczonego. Było żałośnie oczywiste, że z szeroko otwartymi oczami spogląda teraz poprzez ciemność swojej terażniejszości w stronę niewinnych lat chłopięctwa, z perspektywy potwora, jakim stał się na wybrzeżach Morza Karaibskiego, w stronę osóбки, którą był niegdyś w Eton, a efekt tych rozmyślań podkreślały niezbyt czyste łzy ściekające po jego policzkach. Zastanawiałem się właśnie, czy nie powinienem dyskretnie się wycofać, gdy od strony szkoły nadszedł stójkowy i ujrzałem hak wznoszący się jak gdyby do jakiejś straszliwej zabawy. Omalże nie krzyknąłem, ale moje obawy pokazały tylko, jak niewiele wiedziałem wówczas – nawet ja, który do przesyty piłem z kielichów Parnasu – o tym, z jakich pierwiastków złożeni są ludzie, nawet ludzie piraccy. Stójkowy zamajaczył w świetle latarni i stałem się świadkiem tej zadziwiającej rozmowy:

– Należysz pan do Popów, sir? – zapytał stójkowy chrapliwie, wiedział bowiem, że słuchają go w napięciu wszystkie cegły w murze.

Samotna Postać nie tylko zniżyła swój hak, ale nawet – co wprost zadziwiające – ukryła go za plecami. Po chwili bolesnej walki wewnętrznej padła odpowiedź: „Nie”. To właśnie

powiedział. Kiedyś Pop – zawsze Pop, lecz przez wzgląd na honor Eton Society Hak zaprzeczył wszelkim swoim powiązaniom z tą szacowną instytucją.

– A zatem nie masz pan prawa tu przesiadywać – odparł stójkowy. – Złazić, ale mi już. „Ale mi już” – zawtórowały wszystkie cegły w murze.

Samotnej Postaci wystarczyłoby tylko machnąć prawym ramieniem, by wykończyć gagatka, lecz przez wzgląd na honor szkoły posłusznie zeskoczył z murku – jego własnego murku.

– Jesteś pan AS-em? – indagował dalej stójkowy.

– Nie – odrzekł Jas. Hak, w tej oto chwili stając się pierwszym w historii Absolwentem Szkoły, który wyrzekł się tego lubego tytułu. A wszystko to uczynił dla ratowania honoru swojej szkoły.”

Gdy pan Jasparin – któremu z tego miejsca składam gorące podziękowania – odzyskał znów zdolność widzenia otaczającej go rzeczywistości, Haka nigdzie już nie było widać: rozplynął się w ciemnościach. Tej nocy był jednak widziany jeszcze przez innych świadków, do których również dotarłem: najpierw siedział otepiały na mostku Sheeps Bridge, później snuł się w okolicach Farmy Dutchmana, by pojawić się znów na „ornych” boiskach Agar’s Plough, które nazywane są w ten sposób chyba dlatego, że ci, którzy się na nich odznaczają, muszą później harować jak woły, żeby zdać egzaminy, a i to bywa często orką na ugorze.

Jednak najmroczniejsze doświadczenie owej nocy przypadło w udziale – jak to zwykle zresztą bywa – młodzikowi z pierwszego czy drugiego półrocza, który całkowicie nie zdawał sobie z tego sprawy, dopóki indagacje pana Jasparina nie obudziły w nim poczucia własnej ważności oraz nie uświadomiły zagrożenia, którego cudem uniknął. Ów chłopiec czy też młodzieniec zajmował wówczas pokój w dormitorium, które teraz, jak mi się zdaje, należy do domu pana Headlama, ale które wówczas wchodziło w skład kwatery głównej Popów (obecnie rezydujących z znacznie okazalszej lokalizacji) – około północy zbudził się nagle ze snu i spostrzegł, że w jego pokoju siedzi Hak. Samotna Postać pogrążona była w zbyt głębokiej zadumie, by zwrócić uwagę na oburzone pytanie chłopca, który miał właśnie rzucić następną uwagę, gdy niespodziewanie zapadł znowu w sen. Z pewnością nigdy nie będzie mu już dane znaleźć się tak niebezpiecznie blisko bycia rozerwanym na strzępy. To, jakim sposobem Hak dostał się do pokoju, pozostanie na zawsze tajemnicą. Jest to bowiem pomieszczenie, do którego niezwykle trudno zakraść się cichcem, gdyż zaraz po otwarciu drzwi spada się nagle z kilku wiodących w dół schodków; z tego to właśnie względu rzeczona kwatera stanowi przedmiot pożądania tych uczniów, którzy spodziewają się niezapowiedzianych odwiedzin ze strony rodziny. James znał jednak ów stary pokój Popów jak własną kieszeń, stąd pojawił się w nim zapewne cicho jak padający śnieg i równie dyskretnie wyszedł. Być może miał zresztą stary klucz do budynku, ponieważ kolekcjonowanie kluczy było jednym z jego hobby. To, czy myślał, że pokój stanowi nadal kwaterę klubu gigantów, której poszukiwał, by dokonać strasznego aktu samozaparcia, pozostanie na zawsze w sferze domysłów. Nie ma jednak wątpliwości co do tego, że jeszcze tej samej nocy włamał się do rzeczywistej siedziby Eton Society i zniszczył figurujące w annałach dowody na to, że kiedykolwiek był członkiem stowarzyszenia. Wymazanie wszelkiej pamięci po sobie z murów przybytku, który zbrukał, było wszystkim, co ten marnotrawny syn Eton mógł zrobić dla swej ukochanej szkoły. Czyż można zaprzeczyć temu, że w tamtej chwili Hak był dobrym Etończykiem? Czy usuwając się w ciemność, nie zasłużył na to, by móc odwrócić się i raz jeszcze spojrzeć na uszpioną szkołę, wołając: „O, gdybym to ja mógł być tym szczęśliwym snem, który zakrada się w twe czułe serce!”. I tak oto schodzi Hak ze sceny, a wszystkie drzwi zamykają się za nim na zawsze. Zaiste, żaden udreńczony powrót nie wzruszył nigdy cieni Eton tak, jak zrobiła to ostatnia wizyta skromnego pirata. Nikt nie widział, jak Samotna Postać odchodzi, by podjąć na nowo swą straszliwą *rôle*. Chciałbym myśleć, że Rektor wyglądał w tym momencie przez okno. Dziwne, że istnieje taki duch Eton, o którym on nie wie – duch bez jednej ręki, smągłolicy, trupioblady i mizerny, o którym powiadają, że powraca raz do roku, w dzień przed meczem na Lord’s, by straszyć w szkolnych korytarzach i siadywać na murku Haka – by z pewnością siebie, lecz nie bez drżenia, oczekiwać na jutro, które dla niego nigdy nie nadejdzie. Dziś wieczór ci z Was, których okna wychodzą na ten murek, ujrzą go może w bladej poświacie miesiąca i usłyszą coroczne przesłanie ducha: „Nasi przeciwnicy mogą wygrać czasem, lecz nie tym-czasem —”

Lecz nie, nie, nie – nie możemy wszak kończyć w tak żalostnej tonacji. Śmierć Haka musiała nastąpić niedługo po tej ostatniej wizycie w Eton. W prasie znalazłem tylko kilka suchych wzmianek na ten temat, zapewne dlatego, że wszystkie nekrologi zaczynają się niezmiennie od słów „Z żalem zawiadamiamy, iż...”, a można śmiało twierdzić, że nikt nie miał jakoś ochoty zacząć w ten sposób notatki o śmierci Jamesa. Można się było jednak obawiać najgorszego już po tym, że do szkoły przestały przychodzić pocztówki z wypisanymi po łacinie powinszowaniami, które Hak miał w zwyczaju wysyłać z okazji szkolnego święta 4 czerwca. Z czasem stało się powszechnie wiadomym, że pewien mały chłopiec – jego nieprzejednany wróg – zgładził go z krainy żyjących. Cóż, James zawsze nie cierpiał dzieci i właśnie te bezduszne bestyjki ostatecznie go wykończyły. Ów malec był jedyną osobą, wobec której ciotka Emily nie mogła zdobyć się na zmiłowanie. Do końca utrzymywała, że po przejęciu władzy na statku piratów chłopiec ten przebrał się w rzeczy jej siostrzeńca (zmniejszone i dopasowane na niego przez jedną z niewiast o wątpliwej reputacji, towarzyszących owemu chłopcu w rozbojach), po czym z haczykiem zamiast ręki i cygarami w ustach dumnym krokiem przechadzał się po pokładzie, używając niewybrednego języka – bolesny wizerunek zwycięzcy Jamesa, który (mam takie nieprzyjemne wrażenie) mógł nie odbiegać dalece od prawdy. Później pewien nurek wyłowił w okolicach Manaus kolekcję różnaitości, na którą składał się piracki dobytek Haka oraz inne skarby nagromadzone przez niego w czasie życiowych zmagania. W węzłku ze starej koszuli znajdowały się sakiewki dublonów i talarów, wysłużony jedwabny kapelus, z lekka powalany czarnym woskiem, oraz flet, na którym James improwizował ponoć wielce udatnie. Był tam również dziennik okrętowy, na którego kartach nie brakło płynących z głębi serca okrzyków rozpacz, że oto ich autor jest jak samotna wyspa pośród morza nieokrzesanych kamratów oraz o tym, że sława jest jałowym ugorem. Niektórych z tu obecnych zainteresować może plutarchowskie porównanie zapisane przez Haka w jego dzienniku i dotyczące jego samego oraz jego niegdysiejszego juniora sługusa, piastującego dziś wysoki szkolny urząd. Autor rozprawy przyznaje, iż oni obaj – choć innymi drogami – doszli do zaszczytów, oraz stawia hipotezę na temat tego, jakie skutki dla statku i dla szkoły wyniknęłyby z ewentualnej zamiany ich stanowisk. Żalostny wydźwięk tych wpisów niepozbawiony jest nuty melancholii godnej wielkich autorów grackich z okresu rozkwitu Hellady. Porównać wystarczy choćby jeden z najwznioślejszych ustępów tragedii Sofoklesa z tym przejmującym zdaniem: „Lepiej byłoby przecie dla Haka, gdyby się wcale nie rodził na świecie”.

Większe zainteresowanie wśród pospólstwa, do którego ta przemowa musi się ostatecznie zwrócić, wzbudzi zapewne testament Jamesa Haka, który trafił do jego ciotki za pośrednictwem pewnego spekulanta z Rio. Ostatnią jego wolą było mianowicie zapisać wszystko na rzecz Eton College. Zdaje się jednak, że Rektorstwo miało w tym względzie pewne skrupuły – nawet odnośnie kapelusza – koniec końców cała puścizna przypadła więc w udziale ciotce Emily, która wyznała mi później, płonąc lekkim rumieńcem, że nie przyjąć spadku byłoby to wyrządzić despekt nieodżałowanej pamięci Jamesa.

Oto już wszystkie fakty, które udało mi się zgromadzić na temat przeszłości Haka w Eton i jeśli zgodzicie się ze mną co do tego, że ten jeden raz w życiu, owej pamiętnej nocy, zrobił on dla swojej dawnej szkoły wszystko, na co ktoś jego pokroju mógł się zdobyć, nie będę próbował okraszać mej mowy żadnym innym morałem, choć może należałoby zauważyć, że zaszczytna – nawet jeśli odstręczająca – pozycja, którą zdobył, stanowi kolejny dowód na to, iż każdy Etończyk jest urodzonym przywódcą. Jeśli chodzi o stronę naukową, po jego dzienniku wnioskuję, że skłaniał się raczej w stronę klasyków niż ku autorom współczesnym. Pod względem przekonań politycznych był konserwatystą. O ile się orientuję, w jego życiu nigdy nie było kobiety i okręt jego życia płynął po morzach samotnie. Być może gdyby jakaś miła panienska... – lecz któż to może wiedzieć? Lub to, czemu po tak pięknym poranku nastąpiła wieczorna nawałnica? Możliwe, że stało się to po prostu dlatego, że na Oksfordzie popadł w złe towarzystwo – tych z Harrow, oczywiście.

WŁADCA RZEKI RUSHIE

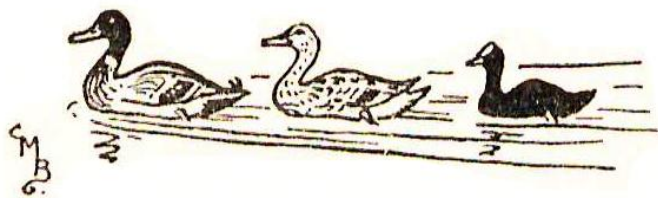
tekst oraz ilustracje
Cicely Mary Barker

przekład
Aleksandra Wieczorkiewicz

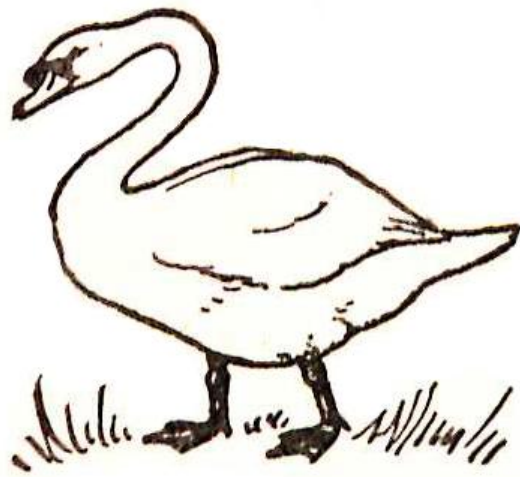


Łabędzie przysłuchiwały się uważnie

Drogiej panie Edith



z wielką serdecznością





Lucja sama latala je najlepiej, jak umiała

ROZDZIAŁ I

OPUSZCZONA

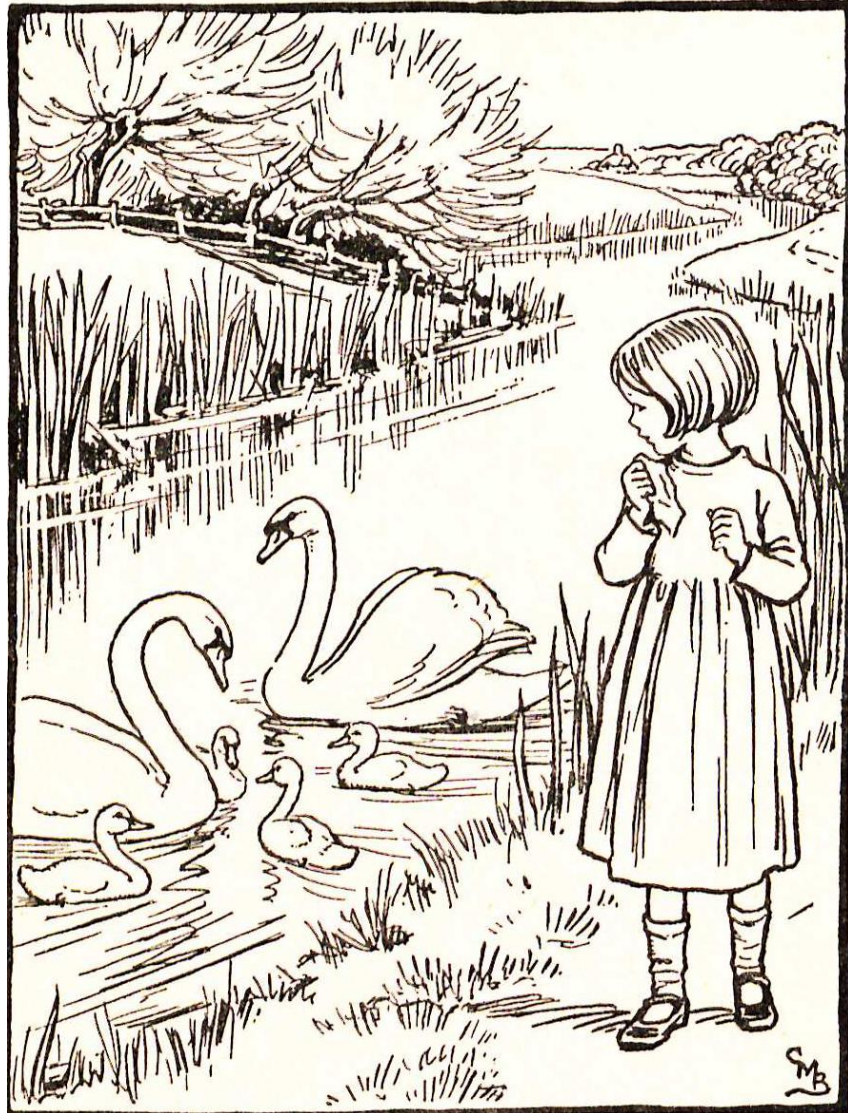
– Do widzenia, moja mała – powiedział Żeglarz, po czym ucałował swoją córeczkę i postawił ją z powrotem na ścieżce biegnącej wzdłuż rzeki. – Wracaj teraz do domu i sprawuj się dobrze. Stara pani Dinnage kocha cię tak, jakbyś była jej własnym dzieckiem, a ja zostawiłem jej trochę grosza, żeby mogła kupić wszystko, czego ci będzie trzeba. A pewnego dnia, gdy wyjrzysz przez okienko, zobaczysz mnie, jak wracam. I to z workiem pełnym złota, przynajmniej taką mam nadzieję. Tylko – dodał – musisz w tym czasie wyrosnąć na dużą dziewczynę – bo Łucja była bardzo mała jak na swój wiek.

To powiedziawszy, ruszył przed siebie nadrzeczną ścieżką, która wiodła ku wielkim okrętom i ku morzu, a mała Łucja podreptała powoli do wioski Rushiebanks, odwracając się często i machając na pożegnanie, dopóty, dopóki Tatus ostatecznie nie zniknął jej z oczu. Dawniej zawsze brał ją ze sobą, ale tym razem podróż miała być o wiele za daleka i zbyt niebezpieczna, choć jednocześnie obiecane wynagrodzenie miało być ogromne.

Łucja nie potrafiła powstrzymać łez, lecz gdy przypadkiem podniosła wzrok, uśmiechnęła się, bo zobaczyła, że tuż obok niej płynie rodzina łabędzi – Łabędź i Łabędzica, czyli państwo Łabędziowie, razem ze swoimi puchatymi łabędziatkami.

– Maleństwo ma się już zupełnie dobrze – rzekła, przypominając sobie ten dzień, gdy jej ojciec ocalił jedno z piskląt z rąk okrutnego chłopaka, który męczył ptaszka, przywiązawszy sznurek do jego nóżki. Łabędziątko było na wpół martwe, ale Żeglarz włożył złamaną nóżkę w łubki i opiekował się biedactwem tak długo, aż znów mogło wrócić na wodę. Był dobrym człowiekiem – tak dobrym, iż trudno było mu uwierzyć, że ktoś może umyślnie wyrządzać innym zło.

Nie dostrzegł też wcale, jak nikczemną kobietą była stara pani Dinnage. Najął ją, by zajmowała się domem oraz opiekowała jego córeczką, i na pewno okropnie by się rozżłościł, gdyby tylko zobaczył, co zaczęło się dziać zaraz po jego odjeździe. Rzekoma miłość pani Dinnage do Łucji była całkowitym oszustwem. Teraz już nie nazywała dziewczynki swoim „złotkiem” ani „serduszkim”; karmiła ją najlichszymi ochłapami, a do picia dawała mleko tak rozwodnione, że właściwie nie można go już było nazywać mlekiem. Łucja nie wyrosła wprawdzie ze swoich ubrań (no bo jak może wyrosnąć ktoś, kogo karmi się w ten sposób?), ale z czasem jej sukienki zaczęły wyglądać na



Małeństwo ma się już zupełnie dobrze

znoszone, a ponieważ pani Dinnage nie kłopotowała się naprawianiem jej odzieży, ani nie kupowała żadnych nowych ubrań, mała Łucja sama łątała je najlepiej, jak umiała. – Gdy Tatuś wróci do domu – mówiła sobie, – nie chciałby przecież zobaczyć mnie w łachmanach.

Tymczasem z każdym tygodniem stara wełniana skarpeta pani Dinnage, ukryta w kufrze zamykanym na klucz, pęczniała coraz bardziej od pieniędzy, które miały opłacić wikt i odzienie dla Łucji.

Dzień za dniem Łucja wyglądała przez okienko lub włóczyła się po nadrzecznej ścieżce i rozmawiała z łabędziami. Odkładała dla nich okruchy ze swoich skąpych porcji chleba, przekonana, że łabędzie kochają ją i rozumieją jej słowa.

– Pewnego dnia mój Tatuś przyjdzie tą ścieżką – zapewniała je często. – A jeśli będę wtedy akurat w domu, polecę mu na naprzeciw i spotkamy się właśnie tutaj. Same zobaczycie!

A łabędzie wyginały szyje i przysłuchiwały się jej uważnie.

Młode dorosły. Stopniowo ich brązowe piórka zastąpiło prześliczne białe upierzenie. Miały już około roku, a najpiękniejszym i największym z nich było to, które kiedyś miało złamaną nóżkę. Wyrósł z niego naprawdę wspaniały łabędź – gdy tak żeglował po rzece, zaś jego bracia i siostry (a nawet rodzice) sunęli skromnie za nim, zdawało się, że mówi: „Patrzcie! Jestem Władcą Rzeki Rushie!”. Lecz chociaż był dumny i majestatyczny, Łucję zawsze traktował łagodnie i jadł z jej ręki okruchy chleba.

Miesiące mijały, a ona wciąż wyczekiwała z nadzieją.

– Potrzeba mnóstwa czasu, żeby napełnić worek złotem – mówiła łabędom.



ROZDZIAŁ II

MIASTO

Tymczasem stara pani Dinnage obwieściła niespodziewanie, że opuszczają Rushiebanks. Na próżno Łucja szlochała i błagała – cały dobytek zapakowano na furgon, a ona sama została wepchnięta na pakę między tobołki, tak, że nie mogła widzieć niczego po drodze. Przez całą noc i cały następny dzień trzęsło niemiłosiernie, a furgon podskakiwał na wyboistych wiejskich drogach, to wspinając się na wzgórze, to znów zjeżdżając w doliny. Na drugą noc przybyły wreszcie do miasta, a Łucja odkryła, że jej nowym domem miało być od teraz poddasze na szczycie wysokiego, krzywego budynku w plątaninie wąskich uliczek. To tu pani Dinnage zamierzała ukryć się razem ze swoją bezprawnie zagarniętą zdobyczą.

Łucja była teraz naprawdę nieszczęśliwa. W myślach widziała, jak jej ojciec powraca do domu i nie zastaje swojej córeczki wyglądającej jego nadejścia, ani też nikogo, kto mógłby mu powiedzieć, gdzie ona się podziała. Przestała łątać swoją sukienkę. Nie miała nawet łabędzi, z którymi mogłaby porozmawiać, a pani Dinnage zagroziła, że sprawi jej lanie, jeśli będzie odzywać się do innych mieszkańców domu.

Lecz pewnego dnia Łucja, wychyliwszy się z okienka na poddaszu, usłyszała łopot skrzydeł wielkiego ptaka: ku swej ogromnej radości ujrzała pięknego łabędzia, który leciał wolno nad dachami, wyciągał szyję i rozglądał się na wszystkie strony.

„Ach, może to jeden z moich łabędzi przyleciał, żeby mnie odnaleźć?” – pomyślała Łucja. Ale ptak jej nie zauważył i odpłynął w dal, poza horyzont.

Następnego ranka ujrzała go znowu – i znów przeleciał nad poddaszem, choć biedna Łucja wyciągnęła do niego ręce i zawołała:

– Łabędziu, Łabędziu, zabierz mnie do Rushiebanks!

– Ejże, a to co ma znaczyć? – zakrzyknęła na to stara pani Dinnage z wnętrza izby, po czym, chwyciwszy Łucję za wystrzępioną sukienkę, odciągnęła ją od okna. – Próżno gadać o Rushiebanks. Już n i g d y tam nie wrócisz.



Łabędziu, Łabędziu, zabierz mnie do Rushiebanks!

Łucja nie odrzekła nic. Nie uroniła nawet jednej łzy. Ale nocą, gdy pani Dinnage spała twardo, a cały dom pogrążony był w milczeniu, owinęła głowę i ramiona starą chustą, po czym cicho, cichuteńko zaczęła skradać się w dół po schodach. Była tak mała i lekka, że ani jeden stopień nie zatrzeszczał. Powoli, powolutku odsunęła rygiel w drzwiach prowadzących na ulicę, uchyliła je delikatnie i wymknęła się na zewnątrz.

– To *był* mój łabędź – mówiła do siebie – i jeśli on nie może mnie odnaleźć, ja muszę poszukać jego.

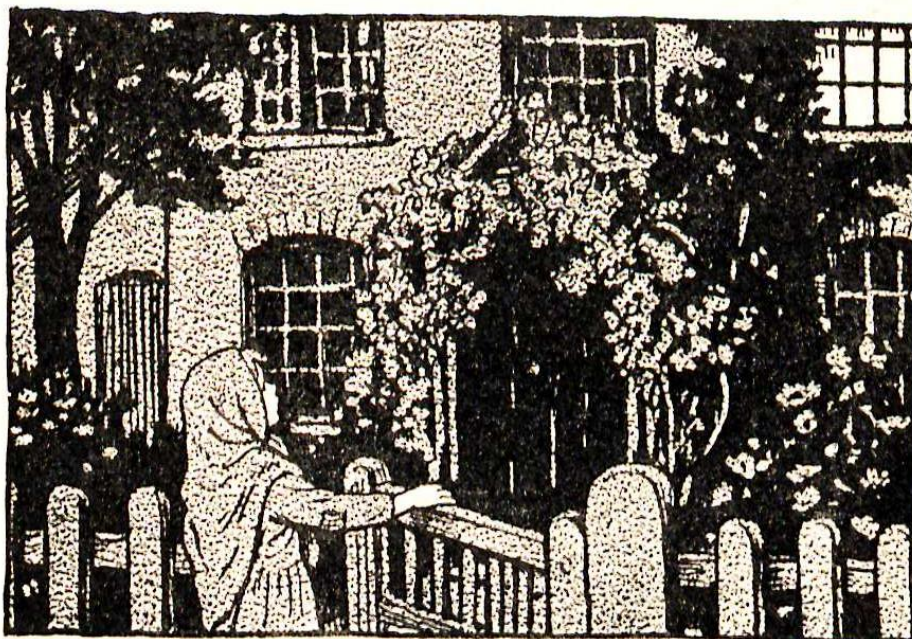


ROZDZIAŁ III

LOT

Jedyna droga, którą Łucja знаła pośród wąskich uliczek i zaułków, wiodła na targ, ale dziewczynka nie poszła w tamtą stronę. Chciała pójść tam, dokąd poleciał łąbędz, i zdawało się jej, że wie, gdzie powinna się kierować. Podążyła więc jedną z uliczek, potem kolejną i jeszcze kolejną, cały czas wpatrując się w gwiazdy i starając się nie zmylić kierunku. Domy stały ciemne i ciche – nikt nie wyglądał przez okno, nikt nie słyszał stukotu jej kroków po ulicznym bruku. Nigdzie nie było widać nocnego stróża i tylko kilka przyyczajonych kotów przyglądało się jej, jak biegła.

A biegła coraz dalej: domy zaczęły rzednąć i odsuwać się od siebie, przy drodze pojawiły się drzewa oraz żywopłoty, a Łucja zorientowała się, że jest już na wsi, poza miastem. Noc była spokojna i ciemna, lecz w jednym z domostw, w okienku na piętrze, paliło się przyćmione światelko, które sprawiło, że poczuła się raźniej, jakby znalazła towarzystwo: to przecież mogła być nocna lampka przy łóżku małej dziewczynki, takiej samej jak ona. Zakradła się w kącik porośniętego dzikim winem ganku i tam usiadła, żeby odpocząć.





Zarzuciła mu ręce na szyję

Bardzo wczesnym rankiem, skoro tylko pierwsza smuga światła pojawiła się na niebie, jeszcze zanim wstał pierwszy wiejski parobek, Łucja znów wyruszyła w drogę. Stopy miała zakurzone i obolałe, nigdzie też nie było widać rzeki podobnej do Rushie, przy której mógłby czekać jej Łabędź.

Wkrótce jednak dostrzegła staw w pobliżu drogi i pomyślała, że obmyje w nim stopy. Przeszła się przez nadbrzeżne zarośla i w następnej chwili, na murawie na przeciwległym brzegu, ujrzała wielkiego, pięknego łabędzia, który czyścił sobie piórka.

On również zauważył Łucję: zatrzepotał potężnymi skrzydłami, osiadł na wodzie i prędko do niej podpłynął.

– Och, mój Łabędziu! – zawołała dziewczynka z radością, gdy ptak wyszedł na brzeg, po czym upadła na kolana i zarzuciła mu ręce na szyję. Łabędzia szyja była tak biała i mocna, a jednocześnie miękka i delikatna, że Łucja pomyślała, iż jeszcze nigdy w życiu nie dotykała czegoś tak miłego.

– Przyleciałeś, żeby mnie odszukać? – zapytała, spoglądając w górę w jego przenikliwe oczy, czarne jak paciorki. Łabędź pochylił głowę i łagodnie gładził dziobem jej włosy.

– Zabierzesz mnie do Rushiebanks? – pytała dalej Łucja, a Łabędź skinął poważnie głową i odrzekł:

– Tak! Jeśli tylko nie będziesz się bała, zaniosę cię tam na moich skrzydłach.

Łucja zapomniała jakoś zdziwić się temu, że rozumie mowę Łabędzia – on przecież od tak dawna rozumiał to, co do niego mówiła. Ptak przysiadł nisko na ziemi i rozpostarł skrzydła. Łucja z pełną ufnością ułożyła się na białych piórach, przyłgnęła policzkiem do karku łabędzia i objęła go mocno za szyję. Potężne skrzydła po obu jej stronach rozpostarły się, a szlachetny łabędź wzbił się w powietrze razem ze swoim ciężarem – taki wielki ptak, a dziewczynka taka mała! Łucja umościła się między jego skrzydłami jak pisklę w gnieździe, po czym – do cna wyczerpana – zasnęła prędko, ukołysana pędem wiatru i monotonnym świstem łabędziego lotu.



ROZDZIAŁ IV

POŚRÓD ŁABĘDZI

Zbudziła się na wielkiej stercie sitowia – jak okiem sięgnąć, wszędzie widać było tylko sitowie, sitowie i wodę. Usiadła na posłaniu, przeciągnęła się i w tym momencie zobaczyła jakiegoś łabędzia, który się jej przyglądał.

– Obudziła się! – zawołał, a na ten okrzyk spomiędzy szuwarów wychynęło mnóstwo innych łabędzi.

Jako ostatni zjawił się jej przyjaciel. Wspiął się na posłanie z sitowia (było to gniazdo łabędzi, teraz opuszczone), usiadł obok Łucji i z uprzejmym gestem położył jej na podołku pół bochenka chleba. Następnie wyciągnął skrzydło i, otoczywszy nim opiekuńczo dziewczynkę, powiedział:

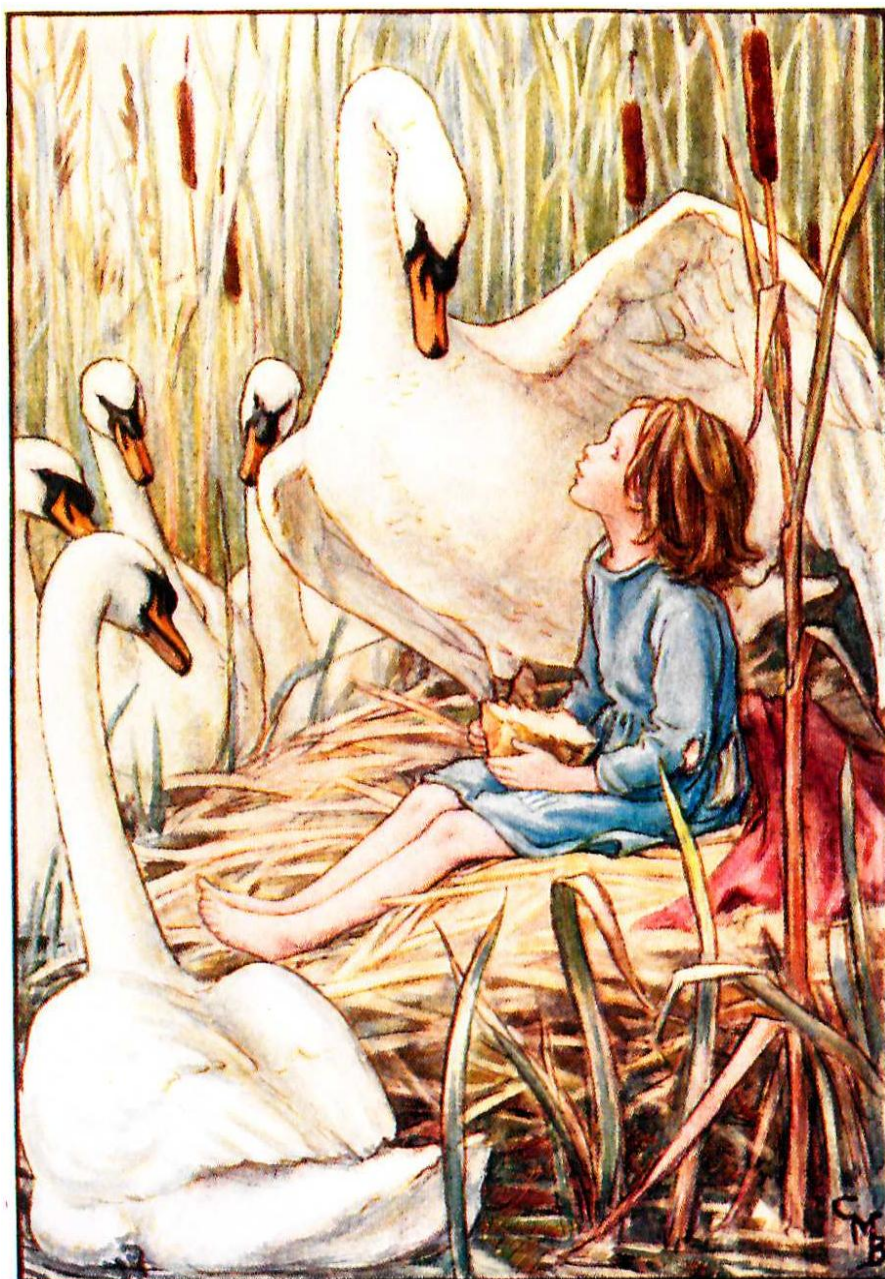
– Twój ojciec uratował mi życie, a tyś karmiła mnie, kiedy sama ledwie miałaś co do ust włożyć. Teraz ja zaopiekuję się tobą do czasu, aż nie powróci twój ojciec. Nie bój się: czyż nie jestem Władcą Rzeki Rushie?

– Och, mości Łabędziu, jak ja ci się odwdzięczę? – odpowiedziała Łucja, po czym zaczęła jeść chleb (była naprawdę głodna), a łabędzie przypatrywały się temu z aprobatą. Potem zapytała:

– Mości Łabędziu, a skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

– Cóż, rozpytywałem wśród wszystkich ptaków o wieści o tobie – padła odpowiedź. – Mewy, które przybyły tu z dolnego biegu rzeki, nie wiedziały nic. Ale sowa widziała, jak stara kobieta uciekła z tobą po kryjomu, a jaskółki krążyły wszędzie, by posłyszeć dalsze nowiny. W końcu jedna z nich odnalazła oknówkę, która знаła pewnego wróbla mieszkającego daleko w mieście. To właśnie on opowiedział o dziecku, które wychylało się z okna i płakało za Rushiebanks. Wybrałem się tam osobiście, lecz dachy i kominy oszołomiły mnie tak, że cię nie dostrzegłem. Gdybyś jednak nie przyszła do mnie sama, wróciłbym, żeby szukać dalej. Czyż Władca Rzeki mógłby się poddać, nie spłaciwszy wpierw długu?

Ostatnie słowa wyrzekł bardzo dumnie, rozglądając się dookoła w swój najbardziej majestatyczny sposób.



Wyciągnął skrzydło i otoczył nim opiekuńczo dziewczynkę

– Mewy obiecały – mówił dalej Łabędź – że przylecą z nowiną, gdy tylko statek twojego ojca wpłynie do portu. Powiedzą nam, kiedy Żeglarz będzie schodził na ląd i zbliżał się do Rushiebanks. Do tego czasu musisz jednak ukrywać się pośród nas. To rozlewisko należy tylko do nas i do innych ptaków wodnych, nikt więcej tu nie przychodzi. Będziemy zdobywać dla ciebie pożywienie. Będziesz też mogła pływać wczesnym rankiem, ale nigdy w ciągu dnia, kiedy wszędzie kręcą się mieszkańcy wioski. Czy będziesz posłuszna i zrobisz to, o co cię prosimy?

A Łucja z ogromnej radości mogła tylko odpowiedzieć „Tak!”.





Gdzie dzikie kaczki krzyżówki miały swoje siedziby

ROZDZIAŁ V

CHLEB POWSZEDNI

Mijały letnie dni, a Łucja żyła pośród łabędzi, bardzo z tego zadowolona. Spędzała długie godziny na maleńkiej wysepce, porośniętej wierzbina i ukrytej między kępami trzciny oraz pałki wodnej, czasem przemykała się też tajemnymi przejściami pośród sitowia, gdzie dzikie kaczki krzyżówki miały swoje siedziby. Gdyby ktoś inny poważył się zapuścić w pobliże ich kryjówek, krzyżówki wzbityby się w powietrze, podnosząc alarm swoim wrzaskiem. Ale Władca Rzeki Rushie wydał im rozkazy, więc ani jedna kaczka nie myślała zdradzać obecności Łucji. Wkrótce zresztą zapomniały zupełnie o nieśmiałości i dziewczynka mogła prowadzić z nimi przyjazne pogawędki – gwarzyła więc często z kaczkami, a nieraz także z łyskami i pardwami. Kiedy zaś odpoczywała w starym łabędzim gnieździe, odwiedzał ją czasem szczur wodny, który gramolił się na sitowie obok niej i pozwalał gładzić swoje miękkie futerko.

W deszczowe, zimne dni Łucja szukała schronienia pod pochyłą wierzbą i – jak małe zwierzątko – związała się w kłębek na posłaniu z suchych wierzbowych listków oraz łabędzich piór, czekając, aż wiatr i deszcz ustaną.

W księżycowe noce albo o świtaniu wypływała poza rozlewisko, na otwartą rzekę, i patrzyła na znajome pola, ścieżki oraz uśpioną wioskę, w której niegdyś mieszkała. Zdarzało się czasem, że ktoś, kto wracał do domu bardzo późno lub wychodził nad rzekę wczesnym rankiem, dostrzegł na wodzie jakieś mignięcie, jakieś poruszenie – i tak po okolicy rozeszła się pogłoska, że w rzece mieszka duszek wodny.

Niewielu jednak dawało temu wiarę, a ci, którzy coś widzieli, też mówili niewiele, gdyż obawiali się wystawić na pośmiewisko. Raz tylko kilku wiejskich wyrostków próbowało wdrzeć się łodzią między trzciny, lecz łabędzie narobiły takiego hałasu trzepotem skrzydeł i dzikim syczeniem, że chłopcy zniknęli szybciej, niż się pojawili.

Każdego dnia Władca Rzeki Rushie przynosił Łucji pożywienie. W wiosce dobrze go znano i w niektórych domach miał nawet swoje stałe miejsca odwiedzin.



Musiał jednak pływać tyle razy tam i z powrotem pomiędzy wioską a rozlewiskiem z każdym zdobytym kęsem, że Łucja w końcu stwierdziła: „Muszę koniecznie zrobić mu koszyk.” Popróbowwała tak i owak za pomocą trzcin oraz wierzbowych witek, aż w końcu jej się udało. Uplotła też rączkę do koszyka, za którą Łabędź mógł go trzymać w dziobie – pływał z nim po rzece, bardzo z tego zadowolony.

Czasem odwiedzał młyn wodny, a młynarzowa zawsze miała dla niego coś w zanadru, podpływał też do nadrzecznego ogrodu, gdzie przybiegały do niego dzieci pana Diedzica. Od czasu do czasu zatrzymywał się pod mostkiem i łapał do koszyka najlepsze skórki chleba i kawałki biszkoptów, które ludzie mu rzucali, a małym okruszkom pozwalał wpadać do wody i zostawiał je do zjedzenia kaczkom.

Najczęściej odwiedzał jednak podwórko piekarza. Mała piekarczówna zwykła bowiem siadać na murku i czekać na niego, a w fartuszu trzymała rozmaite bułki, bułeczki, rogaliki i pokruszone ciastka, które zostały z wczorajszego pieczenia. Nie domyślała się nawet, że wszystkie te przysmaki nakarmią inną małą dziewczynkę, zupełnie taką, jak ona sama! Łabędź potrafił dochować sekretu – skłaniał dwornie głowę w podzięcie i płynął dalej.



Mała piekarniczka zwykła czekać na murku

Pływał tak wzdłuż całej wioski, zaglądając to do jednego domu, to do drugiego – czasem nawet całą milę w dół rzeki, aż do chatki starego przewoźnika. A dokądkolwiek docierał, zawsze wracał stamtąd dumny i z koszykiem wypełnionym po brzegi.

Żywiąc się chlebem, ciastkami oraz kawałki placka i żyjąc ciągle na świeżym powietrzu, Łucja zaczęła rosnąć. Z każdym dniem nabierała ciała, stawała się wyższa, bardziej opalona, szczęśliwsza i ładniejsza. Lato chyliło się już ku jesieni, więc często, skoro świt, podpływała do sadu, gdzie jabłonie zwieszały gałęzie nad wodą, a rumiane, otrząśnięte wiatrem jabłka wpadały do wody i podskakiwały, płynąc z rzeczny nurtem. Częstowała się nimi do woli – nimi oraz całym mnóstwem dojrzałych jeżyn i orzechów laskowych, które znajdowała w splątanych zaroślach rosnących wokół rozlewiska.

Czasem wdrapывała się na stromy brzeg, by pohasać po mokrych od rosy łąkach – lecz nigdy wtedy, gdy obserwowały ją zapobiegliwe łabędzie, które na pewno wyłajałyby ją za nieostrożność.



ROZDZIAŁ VI

CZEGOŚ BRAKUJE

Tylko jedna rzecz martwiła Łucję: skąd wziąć sukienkę, którą mogłaby włożyć na powitanie Tatusia?

Jej stara sukienka wyglądała teraz jak bezkształtny łachman, zaś halka wcale nie przedstawiała lepszego widoku. Takie strzępy nie przeszkadzały oczywiście, gdy wybierała się na pogawędkę z kaczkami lub zimorodkami, które – choć same wystrojone po królewsku – nie miały wielkiego pojęcia o tym, jak przystoi ubierać się ludzkiemu dziecku. Łucja uważała jednak, że jej ojciec będzie się wstydził zaprowadzić ją do wioski w takim stanie.

Zwierzyła się w końcu ze swego kłopotu Pani Łabędziowej, ptasiej matce, która namyśliła się chwilę, a potem rzekła:

– Na mój gust to całkiem dziwne i bardzo nieporęczne, że wy, ludzkie dzieci, nie potraficie wyhodować swoich własnych okryć, tak jak robią to moje pociechy. Pewnie zresztą nie możecie na to nic poradzić, ale ja z całą pewnością nie wiem, jak ci pomóc. Nie płacz, moja droga – dodała, widząc rozczarowanie Łucji – zapytam mojego syna, już jemu uda się coś wymyślić. On ma głowę nie od parady.

Odplynęła kawałek w tę stronę, gdzie Władca Rzeki posilał się właśnie wodorostami, a w następnej chwili Łucja zobaczyła, że matka i syn się naradzają. Wkrótce Pani Łabędziowa wróciła z wyrazem triumfu w oczach.

– Mój syn powiada, że to bardzo proste – obwieściła. – Mówi, że w każdy poniedziałek żona piekarza rozwiesza pranie na podwórku. Następnym razem, gdy zobaczy na sznurze jedną z sukienek małej piekarni, podleci tam, zerwie klamerki, a sukienkę przyniesie tobie. Tamta dziewczynka jest dokładnie twojego wzrostu. No, a teraz przyznaj sama: czy to nie sprytny plan? Nie o to właśnie ci chodziło?

Ale Łucja była przerażona.

– Och, ależ Pani Łabędziowo! – zawołała. – To bardzo uprzejmie ze strony pani syna, że zaproponował coś takiego, ale pod żadnym pozorem nie wolno mu tak zrobić! To by była kradzież! Nie mogłabym nosić skradzionej sukienki.

Dla Pani Łabędziowej był to całkiem nowy punkt widzenia. Odwaga, cierpliwość, dobroć i mądrość we własnych sprawach leżały w jej naturze, ale nigdy wcześniej nie musiała łamać sobie głowy nad kwestiami dobra i zła, jak to muszą czynić ludzie. Łucja musiała jej wytłumaczyć, co rozumie przez słowo „kradzież”.



Zwierzyła się w końcu ze swego kłopotu Pani Łabędziowej

Kiedy ta sprawa została wyjaśniona, Pani Łabędziowa znów podpłynęła do swojego syna.

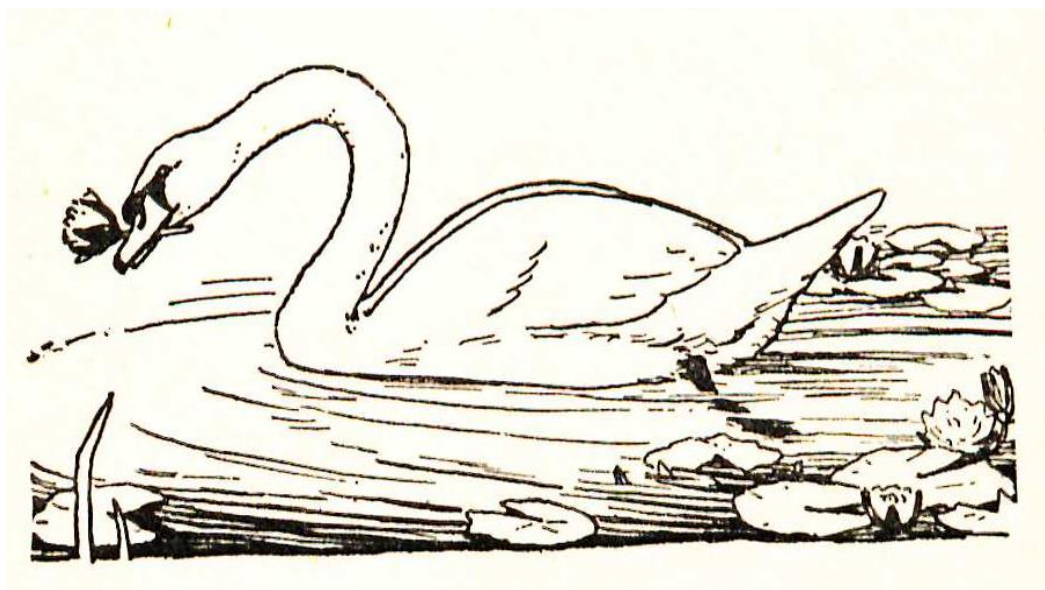
– Ludzkie dziecko ma bez wątpienia rację – powiedziała. – Pomyśl tylko, jak ja bym się czuła, gdyby na przykład jakiś obcy ptak przyleciał i oskubał jedno z moich łabędziątek, żeby wyłożyć jego puchem swoje własne gniazdo.

Ale Władca Rzeki Rushie bardzo niechętnie rezygnował z raz powziętego planu.

– Piekarczówna ma tyle sukienek, że strata jednej na pewno nie miałaby dla niej znaczenia – upierał się.

– Nie, mój synu – odparła Pani Łabędziowa. – Dobro jest dobrem, a zło złem. Łucja wszystko mi wytłumaczyła. Może, zanim wróci jej ojciec, uda nam się znaleźć gdzieś dla niej sukienkę, albo może wiatr przywieje jakąś nad rzekę. Jeśli nie, to trudno, będzie musiała obejść się bez niej.

I tak Władca Rzeki Rushie dał się przekonać argumentom swojej matki. Nie poruszano już więcej tej sprawy, a łabędzie wkrótce zupełnie o niej zapomniały. Tylko syn miał czarne oczy szeroko otwarte i w wietrzne dni baczył, czy szczęśliwy podmuch nie przygna nad rzekę jakiejś zabłąkanej sukienki, porwanej z wioskowych sznurów na bieliznę. Zaś jego matka była dla Łucji miłsza niż kiedykolwiek – opowiadała jej różne historie i przynosiła drobne upominki: czasem kwiat, a czasem śliczne piórko, które znalazła dryfujące w wodzie.



ROZDZIAŁ VII

MEWI POSŁANIEC

Wkrótce poranki zaczęły wstawać mgliste, a noce były coraz chłodniejsze dla Łucji, która nie miała przecież żadnego okrycia, prócz swojej niewielkiej starej chusty.

Nadeszła jesień, a wraz z nią zjawiły się mewy. Przyleciały tu, w górę rzeki, by nocami dołączać do krzyżówek i łysek na rozlewisku, zaś w ciągu dnia wytrwale podążać za pługiem orzącym zbrązowiałe pola.

Było ich tak dużo, że Łucja poczuła niepokój.

– Mewy obiecały wypatrywać okrętu mojego taty, ale teraz przyleciały znad morza tutaj – powiedziała pewnego dnia do Władcy Rzeki Rushie.

– Mnóstwo ich jeszcze tam zostało – uspokajał ją łabędź. – Zresztą nigdy nie zostawiają wybrzeża bez straży. Dotrzymają słowa, możesz na nich polegać. Hej, mowo! – zawołał do jednego z ptaków, który pikował nad ich głowami. – Czy straż ciągle wypatruje ojca tej panienki?

– Tak jest, kapitanie! – odkrzyknął tamten dziarsko. – Dniami i nocami! Nie ma strachu! Zauważymy go na pewno!

Ledwie w kilka dni po tej rozmowie zjawiła się nad rzeką wielka mewa srebrzysta – posłaniec nadleciał z pełną szybkością prosto z wybrzeża, krzyżąc: „Wieści! Wieści!”

Kołując, zniżył lot, a po chwili osiadł na wodzie tuż obok starego łabędziego gniazda. Zwinął skrzydła i zaczął opowiadać, zaś Łucja i łabędzie otoczyli go rażno, by posłuchać wieści.

Posłaniec opowiedział, jak to wcześniej tego ranka trzymał straż na klifie, gdy nagle na horyzoncie pojawił się żagiel. Poleciał więc zobaczyć, do jakiego okrętu należy – okazało się, że jest to statek kupiecki, który zbliża się do portu dość powoli, ponieważ płynie pod wiatr.

Usadowił się więc na którejś z lin takielunku, by podsłuchać żeglarzy, którzy rozmawiali między sobą o swoich domach, żonach i dzieciach. Jeden z nich rzekł: „Moja Łusia jest już teraz pewnie dużą dziewczyną. Wybieram się prosto do niej, gdy tylko wyładujemy towary.” Ten żeglarz – prawil dalej mowi posłaniec – był wysoki, miał gęste siwe włosy i piwne oczy. Mogło być oczywiście wielu żeglarzy, którzy mają córkę o imieniu Łucja, ale on był pewny, że widział właściwego człowieka.

– To by się zgadzało, mój Tatus ma gęste siwe włosy i piwne oczy. Czy wspominał coś o Rushiebanks?



Mewi posłaniec

– Nie, żeglarze już więcej nie rozmawiali. I od razu poleciałam do was, żeby wszystko opowiedzieć. Okręt powinien wpłynąć do portu dziś wieczór, ale może też nie przybić aż do jutra rana. Teraz coś przekąszę, a potem polecę z powrotem i będę gotów, żeby znów przynieść wam wieści.

Posłaniec nie czekał nawet na podziękowania – pofrunął natychmiast na pobliskie pole, by dołączyć do swoich kompanów, którzy kręcili się między świeżo przewalonymi skibami ziemi.

– Ahoj, chłopcy, macie tam jakieś słuszne larwy? – zakrzyknął, a tamci powitali go gulgoczącym śmiechem. To była naprawdę wspaniała mewia uczta.

Łucja nie mogła prawie uwierzyć, że jej Tatuś jest już tak blisko. Miała ochotę krzyczeć, śpiewać i tańczyć, ale łabędzie przykazały jej, żeby jeszcze przez jakiś czas zachowywała się spokojnie.

Gdybyż tylko miała sukienkę, którą mogłaby ubrać na powitanie ojca! Zaczęła już jednak rozmyślać, jak może doprowadzić do porządku to, co ma na sobie.

Władca Rzeki Rushie rozmyślał o czymś zupełnie innym.

– Sam polecę zobaczyć, czy posłaniec odnalazł właściwego człowieka – oznajmił nagle, po czym rozwinął skrzydła i wzbił się w powietrze. Wyciągając długą szyję, szybował nieprzerwanie w stronę odległego morza.



ROZDZIAŁ VIII

CUDOWNA SUKIENKA

Oświetlony blaskiem zachodu słońca, okręt stał na kotwicy w pobliżu portu. Wiatr ucichł i zaczynał się odpływ, więc statek nie mógł wpłynąć do doków przed nastaniem ranka. Towary czekały już gotowe do rozładunku, a załoga korzystała z chwili odpoczynku. Kilku żeglarzy wychylało się przez nadburcie i przyglądało wielkiemu łabędziowi, który wcześniej nadleciał od strony lądu, a teraz pływał powoli wokół statku, zerkając w górę na ludzi.

– To dziwne, żeby łabędź zapuszczał się tak daleko w morze. Ciekawe, czego tu chce – powiedział jeden z żeglarzy.

– Rzuciłem mu kawałek chleba, ale to nie o to mu chodziło – odparł drugi.

Do zebranych dołączył kolejny żeglarz – wysoki mężczyzna o gęstych siwych włosach i piwnych oczach.

– Witaj, Johnie Łabędziu! – zawołał. – Czy przyleciałeś tu specjalnie z dalekiego Rushiebanks, żeby mnie przywitać? Jeśli tak, powiedz mojej małej Łucji, że już do niej wracam!

Łabędź uniósł się na wodzie na całą swoją wysokość i zaczął bić powietrze wielkimi skrzydłami. Żeglarze wybuchnęli śmiechem.

– Wygląda na to, że cię zrozumiał, Jimie! – wołali.

Wszyscy wrócili teraz do układania i pakowania skarbów, które wieźli do domu w prezencie dla swoich żon i córek – raz jeszcze oglądali korale, muszle, jedwabne szale i chusteczki.

Mężczyzna o siwych włosach rozwinął przed sobą pięknie haftowany strój, który przyniósł na pokład – materiał był bardzo pognieciony, bo przez wiele miesięcy leżał zwinięty w schowku żeglarza.

– Cóż tam masz, Jimie? Nie ma co, wygląda jak podarunek dla królowy! – powiedział jeden z jego kompanów.

– Bo to był strój dla królowy – odpowiedział Żeglarz. – A przynajmniej tak powiedziała mi kobieta, od której go kupiłem. Zdaje się, że królowa tamtej krainy należy do dam, które codziennie miewają inny kaprys. Więc chociaż zamówiła tę suknię dla swej córki, nie była z niej zadowolona, gdy już została uszyta. A biedna kobiecina, która przez długie miesiące nad nią pracowała, musiała zabrać sukienkę na targ, żeby dostać za nią tyle, ile się da. Zapłaciłem dobrą cenę, pewnie nawet więcej niż powinienem, ale zrobiło mi się żal nieszczęsnej szwaczki.

– A co zrobisz z suknią? Chcesz ją sprzedać?



Łabędź złapał suknię w locie i pofrunął z nią przed siebie

– Nie, to prezent dla mojej małej. Była naprawdę mała, gdy ją opuszczałem, ale myślę sobie, że teraz sukienka będzie na nią w sam raz. Powieszę ją tutaj, żeby trochę się przewietrzyła i rozprostowała.

Przewiesił suknię przez reling, po czym stanął, by przyjrzeć się jej z zachwytem.

– Będzie w niej ślicznie wyglądała – powiedział.

Był to rzeczywiście cudny widok, bo promienie zachodzącego słońca podświetliły jaskrawe barwy stroju. Rąbek sukni obszyty był prześlicznym wiankiem liści i kwiatów we wszystkich kolorach. Tkanina usiana była motylami, ptakami oraz płatkami sypiącymi się z drzew, które wyhaftowano subtelnie i z prawdziwym kunsztem. Tylko na piersi wzór się zmieniał: jaśniało tam wielkie złociste słońce, a jego promienie połyskiwały w dole pomiędzy ptakami i kwiatami. Dekolt oraz nadgarstki obszyte były ciemnym granatem, na którym błyszczały maleńkie srebrne gwiazdy.

Najstarszy z żeglarzy, mały, pomarszczony człowieczek, przyjrzał się sukni uważnie.

– To zaczarowana robota – powiedział. – Wiele już w życiu widziałem haftowanych strojów z najdalszych krańców świata, więc zapamiętaj, Jimie, moje słowa: ta suknia przyniesie ci szczęście. Nie sprzedała ci jej śmiertelna szwaczka, ale prawdziwa wróżka.

Jeszcze nie przebrzmiały jego słowa, a w powietrzu dał się słyszeć głośny łopot i świst skrzydeł. Łabędź wzbił się nad wodę i teraz zataczał kręgi nad statkiem. W tym samym momencie powiała bryza – podmuch porwał cudowną suknię i uniósł ją w powietrze. Żeglarze próbowali ją pochwycić, lecz Łabędź był szybszy: zanurkował, złapał suknię w locie i pofrunął z nią przed siebie.

Czy widział kto kiedy coś podobnego? Na co łabędziowi haftowana suknia? A jednak, nie było wątpliwości, że ptak odlatuje w stronę brzegu, jak gdyby miał do załatwienia pilną sprawę, i unosi w dziobie trzepoczącą na wietrze zdobycz. Stawał się coraz mniejszy i mniejszy, aż w końcu zniknął w oddali, zaś Żeglarz mógł tylko przyglądać się temu bezradnie. W końcu westchnął i odwrócił się do swego zawiniątka.

– Zostało tu na szczęście trochę innych rzeczy – pantofelki, korale i co tam jeszcze. Ale to w tej sukience wyglądałaby tak ślicznie...



ROZDZIAŁ IX

RADOŚĆ WĘDROWCA

Nie dnia następnego, lecz dopiero z dniem kolejnym nadszedł oczekiwany zachód słońca. Mewi posłaniec spisał się dobrze i Łucja wiedziała, że jej ojciec jest już blisko.

Przez cały dzień czekała nad brzegiem rzeki w niewielkiej kępie wierzb i olszyny, gdzie dziki powojnik zwany „bródką starca”, pokryty teraz białym, miękkim puchem, tworzył jakby zaciszną altankę, w której mogła się schować.

Władca Rzeki Rushie stróżował obok niej, a kosy obiecały, że dadzą znać, gdyby jakiś nieproszony gość chciał wtargnąć w zarośla. Nikt się jednak nie zjawił, a mijające godziny wcale nie dłużyły się Łucji, która mogła rozmyślać o tylu sprawach i przyglądać się swojej sukience.

Skoro świt, jeszcze zanim mieszkańcy wioski wstali, przypłynęła do altanki (była już o wiele za duża, by Władca Rzeki mógł ją unieść na skrzydłach) i tam Łabędź wręczył jej sukienkę. Ukrył ją wcześniej bezpiecznie w wydrążonym pniu i strzegł pilnie przez dwie noce.

Nie powiedział, skąd wzięła się suknia, a Łucja była nią tak oczarowana, że nawet o to nie zapytała. W końcu Łabędź był cudownym ptakiem, czemu więc nie miałby ofiarować jej cudownego daru?

Była gotowa: stara chusta, związana za rogi i wypełniona czymś miękkim i lekkim, leżała obok niej na ziemi. Już poprzedniego dnia Łucja pożegnała się ze wszystkimi nieśmiałymi mieszkańcami rozlewiska – ale nie z łabędziami, które były teraz w pobliżu i czekały zebrane w stado, wypatrując czegoś na brzegu rzeki.

Wędrowiec zmierzający w stronę Rushiebanks zauważył je i dumał nad tym, skąd się tu wzięły; zastanawiały go również mewy, które towarzyszyły mu od samego morza – co jakiś czas pomykały do przodu, krzycząc i nawołując, by po chwili wrócić i znów kołować nad jego głową.

– Skąd to poruszenie? – pytał je. – Jeśli myślicie, że mam w tobołku rybę, grubo się mylicie!

Westchnął, przypomniawszy sobie o tobołku. Miał nadzieję, że uda mu się przywieźć worek pełen złota – i tak się właśnie stało, tyle że worek był bardzo mały. Wyrzucał sobie, że taki dużo wydał na sukienkę dla córki – tę wspaniałą i bezsensowną sukienkę, która przepadła na zawsze. A potem zaczął znów myśleć o swojej małej Łusi.

Czy będzie wyglądać go przez okienko, czy też czekać na ścieżce, gdzie ją zostawił? A może wyrosła na dużą dziewczynę, która wśród przyjaciół i przyjemności zupełnie zapomniała o swoim starym Tatusiu?



Stanęła na ścieżce, przysłaniając dłonią oczy przed promieniami zachodzącego słońca

Wzrok Żeglarza błędził po znajomej okolicy i puszystych zwojach bródki starca, które zwieszały się z zarośli rosnących wzdłuż ścieżki.

„Kiedy kwitnie, zwie się ją «radością wędrowca» – powiedział do siebie. – Czy i na mnie będzie czekać jakaś radość?” I zaczął nucić piosenkę, którą znał z dawnych lat:

Wędrowcze, wędrowcze, co wracasz w swe strony,
Z tych krain dalekich i mórz tak wzburzonych —

a gdy zakończył słowami: „Niech szczęście cię spotka i radość wędrowca!”, z niewielkiej kępy olszyn tuż przed nim wybiegła dziewczynka. Stała na ścieżce, osłaniając dłonią oczy przed promieniami zachodzącego słońca. Włosy miała przystrojone wiankiem z puchatych gałązek bródki starca, a ciepłe światło ozłacało jej rumiane policzki oraz odkryte, opalone ramiona i nogi. Oświetlało także sukienkę, w którą była ubrana, ukazując wszystkie cuda czarodziejskich kolorów i wyszywanego złotem słońca.

W następnej chwili dziewczynka wystrzeliła do przodu i z radosnym okrzykiem wpadła w otwarte ramiona ojca.

Mewy przestały nawoływać, zaś łabędzie – wszystkie prócz jednego – odpłynęły, sunąc cicho po wodzie.

Było tyle do opowiedzenia z przeszłości i tyle do zaplanowania na przyszłość, że gdy gwiazdy zabłyśły, zastały Łucję i jej ojca wciąż nad brzegiem rzeki.



Nareszcie!

Ptaki powiedziały dziewczynce, że w ich dawnej chatce mieszka już ktoś inny, więc Żeglarz zdecydował, że spędzą noc w gospodzie.

– Chodźmy – powiedział w końcu. – Czas już na kolację i do spania.

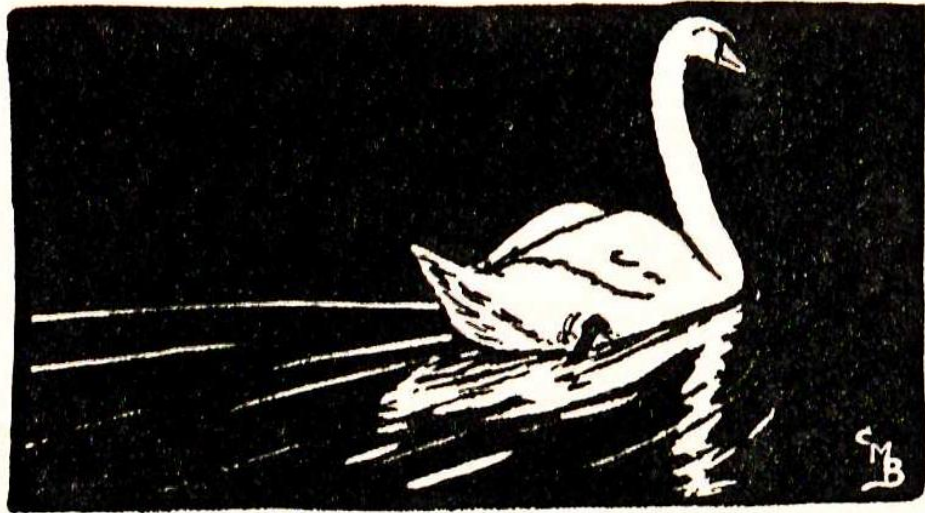
Lecz gdy odwrócili się, żeby odejść, Łucja raz jeszcze spojrzała na rzekę i zobaczyła swojego wiernego przyjaciela, który czekał w pobliżu na ciemnym zwierciadle wody.

– Och, Tatusiu – powiedziała – to jest Władca Rzeki Rushie. Nie powiedzieliśmy mu przecież „dobranoc”.

Żeglarz zdjął czapkę z głowy.

– Wasza Wysokość – rzekł – prosty ze mnie człowiek, a kiedy spotkaliśmy się ostatnim razem, nazwałem cię Johnem Łabędziem, bo nie znałem jeszcze twojego szlachetnego tytułu. Ale niezależnie od tego, jakim imieniem będę się do ciebie zwracać, chcę ci, panie, podziękować z całego serca, że zaopiekowałeś się moją małą.

Władca Rzeki Rushie, bardzo kontent, skłonił głowę i pożeglował dostojnie do swej siedziby.





Dziękując Johnowi Łabędziowi

ROZDZIAŁ X

ZAKOŃCZENIE OPowieści

Wielki był gniew Żeglarza wobec starej pani Dinnage. Chciał nawet zarządzić poszukiwania, żeby postawić ją przed sądem, ale ponieważ Łucja nie wiedziała, jak nazywało się miasto, do którego została zabrana, marne byłyby szanse powodzenia. W dodatku dziewczynka błagała ojca, żeby dał spokój – nie chciała widzieć pani Dinnage i miała nadzieję, że już nigdy o niej nie usłyszy.

Ojciec Łucji nie wrócił więcej na morze.

Szczęście mu sprzyjało, bo dokładnie w tym czasie, kiedy powrócił z rejsu, stary przewoźnik rzeczny porzucił swoją pracę i zamieszkał w wiosce, więc Żeglarz mógł go zastąpić. Mała chatka przy promie, milę w dół rzeki, była wprost idealna dla niego i dla Łucji. Władca Rzeki Rushie odwiedzał ją codziennie – zaś kiedy przyszła wiosna i odbyły się łabędzie gody, razem z żoną założyli gniazdo w miejscu dobrze widocznym z promu. To był naprawdę podniosły dzień, gdy przypłynął pokazać Łucji sznureczek płynących za nim puszystych łabędiątek.

Każdej nocy Łucja zasypiała złożwszy głowę na małej poduszce, wypełnionej mięciutkim łabędzim puchem i piórkami, które wypadły ptakom, a które dziewczynka zabrała znad rozlewiska jako pamiątkę od swoich przyjaciół.

W letnie niedziele oraz w dni świąteczne, kiedy na łąkach odbywały się tańce, wkładała swoją wspaniałą suknię – i, rzecz niesłychana, suknia nigdy nie była za mała i zdawała się rosnąć razem z właścicielką. Musiała to być naprawdę zaczarowana suknia.

Łucja nadal uwielbiała pływać w rzece, szybko nauczyła się też kierować promem. I tak czas mijał, aż pewnego wieczoru, gdy razem z ojcem siedzieli przy ogniu płonącym na kominku, rozległo się stukanie do drzwi – była to stara pani Dinnage, we własnej osobie!

Lecz jakże odmieniona! Łucja nie mogła bać się jej teraz, bo staruszka drżała i szlochała, przyniosła też wszystkie ukradzione pieniądze.

Powiedziała, że te przywłaszczone bogactwa nie dały jej ani chwili szczęścia. Żyła w ciągłym strachu przed tym, że zostanie odnaleziona, i nie mogła przestać zadrezczać się myślą o zaginionej Łucji. W końcu postanowiła wrócić do Rushiebanks, gdzie ku swej wielkiej uldze dowiedziała się, że ojciec Łucji powrócił, a dziewczynka jest cała i zdrowa, i może nie jest jeszcze za późno, żeby naprawić wyrządzone krzywdy.

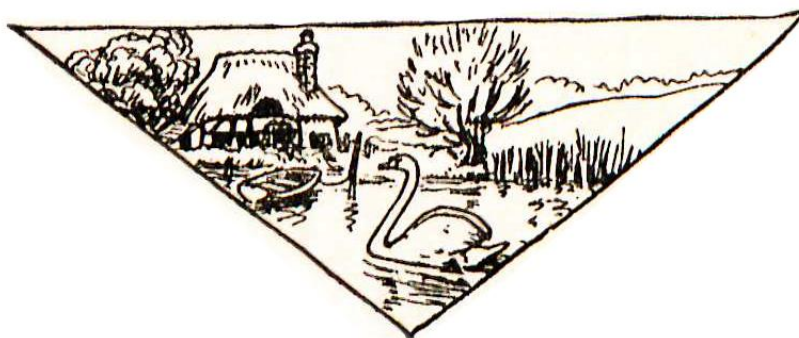


Stara pani Dinnage, lecz jakże odmieniona!

Przewoźnik o dobrym sercu użalił się nad staruszką, nie przyjął zwróconych pieniędzy, lecz kupił za nie małą chatkę, w której umieścił panią Dinnage.

To była wielka dobroć – zupełnie nieoczekiwania i niezasłużona. Stara pani Dinnage nie wiedziała wprost, jak ma dziękować: szorowała, gotowała i naprawiała bieliznę Przewoźnika i Łucji, przynosiła im domowe wypieki, miód ze swojego ula i dojrzałe gruszki z sadu. Z czasem, gdy zaczęła niedomagać, a dawne krzywdy poszły w niepamięć, to Łucja przychodziła *do niej*, żeby pomóc jej w potrzebie.

Przewoźnik Jim nigdy nie miał dość opowiadania o tym, że całe swoje szczęście zawdzięcza Johnowi Łabędziowi, Władcy Rzeki Rushie. A John Łabędź, przyglądając się tym wszystkim sprawom mądrymi oczami, był dumny ze swego udziału w tej historii.



PODSTAWY PRZEKŁADÓW

1. George MacDonald, *At the Back of the North Wind*, ed. R. McGillis, J. Pennington, preface by S. Prickett, London 2011.
2. James Matthew Barrie, *Peter Pan and Other Plays*, Oxford World's Classics, ed. with and Introduction and Notes by P. Hollindale, Oxford 2008.
3. James Matthew Barrie, *Captain Hook at Eton*, w: *M'Connachie and J.M.B. Speeches of J.M. Barrie, op. cit.*, s. 108–121.
4. Cicely Mary Barker, *The Lord of the Rushie River*, London 1938.